

1 / (52)
2011

CENA 15 zł
(W TYM VAT)

NOWY BYWATEL



Europa 5,5 EUR
USA 7 USD
ISSN 1641-1021
INDEX 361569



K
KAPITALIZM

Romuald Mielczarski

RAZEM!

czyli Społem

Wybór pism spółdzielczych

Wybór i opracowanie Remigiusz Okraska

Pierwsze od roku 1936 wznowienie wszystkich najważniejszych tekstów Romualda Mielczarskiego, poświęconych spółdzielczości, jej zasadom, wizjom i celom. Twórca polskiej spółdzielczości spożywców, wieloletni lider „Społem”, ukazuje, czym może być i czym była spółdzielczość zanim zniszczyli ją komuniści, a także dlaczego jest ona znakomitą alternatywą wobec kapitalizmu. Zawiera m.in. kluczowe manifesty programowe Mielczarskiego: „Cel i zadania stowarzyszenia spożywców”, „Kooperacja spożywców w Królestwie Polskim i jej dezyderaty”, „O zjednoczeniu ruchu”, „Najbliższe zadania spółdzielczości spożywców w Polsce”. Oprócz tego w książce znajduje się prezentacja biografii Mielczarskiego – jedna z najbardziej obszernych i szczegółowych, jakie dotychczas opublikowano.

Wspólna edycja „Obywatela”, Krajowej Rady Spółdzielczej i Instytutu Stefczyka.

Romuald Mielczarski (1871–1926) – działacz socjalistyczny (PPS) i niepodległościowy. Jeden z liderów Towarzystwa Kooperatystów, współtwórca nowoczesnej spółdzielczości spożywców w Polsce. Przez wiele lat dyrektor związku spółdzielczego „Społem” – największej w międzywojniu instytucji handlowej na ziemiach polskich, twórca jej podstaw organizacyjnych i finansowych. Zwolennik konsekwentnie demokratycznego i prospołecznego oblicza kooperatywności. Jedną z najwybitniejszych i najbardziej zasłużonych postaci w historii polskiego ruchu spółdzielczego.

Jego poglądy spółdzielcze tworzą rodzaj ewangelii – nie zawsze wykonywanej, ale czczonej i szanowanej. U Mielczarskiego słowo i czyn były tożsame. Idee głoszone przezeń nie są może nowatorskie. Były one głoszone i przez innych ludzi. Siła i potęga słowa Mielczarskiego polega na tym, że dawał rzeczy głęboko przez siebie przeżyte. W Mielczarskim widziano pełne zespoleń wyznawanych ideałów z życiem osobistym.

prof. Konstanty Krzeczkowski

Idealista – marzył całe życie o Polsce i o sprawiedliwości społecznej, na której winna być oparta, a równocześnie trzeźwy rachmistrz, który sumiennie obliczał każdy krok naprzód, zanim go postawił. Trzeźwy idealista. Osobliwy marzyciel, któremu udało się wszystkie swoje marzenia wcielić w realne formy życia.

Stanisław Thugutt



Romuald Mielczarski
„RAZEM! czyli Społem. Wybór pism spółdzielczych”

170 stron, cena **20.00 zł** (w księgarniach)
18,00 zł bezpośrednio u wydawcy (koszt przesyłki wliczony)

Wpłaty prosimy kierować:

Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”

ul. Więckowskiego 33/126, 90-734 Łódź, tel./fax. 42 630 17 49
 e-mail: biuro@obywatel.org.pl

Bank Spółdzielczy Rzemiosła, ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
 numer konta: **78 8784 0003 2001 0000 1544 0001**
 (z dopiskiem „Mielczarski”)

Wydawca: Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”
 ul. Więckowskiego 33/126, 90-734 Łódź, tel./fax. 42 630 17 49
 e-mail: biuro@obywatel.org.pl

Kontakt: Łukasz Walczuk
 tel.: 42 630 22 18
 e-mail: walczuk@obywatel.org.pl

Więcej o książce oraz zamówienia w Internecie:

www.obywatel.org.pl/mielczarski

Patronat medialny

LEWICOWO.pl
www.lewicowo.pl

ngo.pl

ekonomiaspoleczna.pl



Wydawca

OBYWATEL
WWW.OBYWATEL.ORG.PL



Krajowa Rada
 Spółdzielcza

Nowy Obywatel



Fot. Katarzyna Reszka

Jak pamiętacie, przed kwartałem świętowaliśmy 10-lecie istnienia „Obywatela”. Tymczasem narodził się „Nowy Obywatel”, którego właśnie trzymacie w rękach. Pewien etap w dziejach naszej gazety uznaliśmy za zamknięty.

Zaczynaliśmy jako pismo w młodzieńczy sposób buntownicze. Jedną z głównych idei, które nam wówczas przyświecały, było stworzenie swoistego Hyde Parku, gdzie swobodnie mogłyby się wypowiadać osoby z przeróżnych środowisk określanych jako radykalne czy – jak mówi elegancki język mainstreamu – oszołomskie. Taki profil czasopisma miał swoje zalety, miał też jednak wady. Głównymi z nich były nieporozumienia interpretacyjne oraz to, że główne wątki naszego przekazu ginęły wśród tekstów efektownych, lecz niekoniecznie kluczowych.

Z biegiem lat pojawili się w redakcji i wśród współpracowników ludzie nowi, zaś część założycieli „Obywatela” pożegnała się z nami z różnorodnych przyczyn. Również redakcyjni „weterani” są dziś inni niż ongiś – mieliśmy wiele czasu, żeby przemyśleć swoje poglądy, ustalić priorytety wśród naszych postulatów, skonfrontować wyobrażenia z rzeczywistością. Wszystkie te zmiany chcemy zaakcentować nowym tytułem. Umarł „Obywatel”, niech żyje „Nowy Obywatel”.

Zmiana nie jest totalna, nie proklamujemy rewolucji. **Główną wartością, jeszcze mocniej akcentowaną, pozostanie opcja prospołeczna.** Nasze czasopismo będzie krytyczne wobec liberalizmu gospodarczego i sceptyczne w stosunku do jego obyczajowych pochodnych. Będzie wskazywało na takie zalety sfery publicznej i działań zbiorowych (w wydaniu instytucjonalnym i oddolnym), które są w Polsce niemożliwe i wściekle atakowane zarówno przez dogmatyków z obozów Balcerowicza i Korwin-Mikkego, jak i przez te środowiska jakoby prospołeczne, które w imię interesów dowolnie zdefiniowanych mniejszości gotowe obrazić się na większość, a raczej ją nieustannie obrażać.

Stałe pozostanie również to, co dla wielu było główną zaletą, dla innych zaś wadą niemożliwą do ścierpienia, mianowicie różnorodność autorów i inspiracji ideowych. **Drugorzędną kwestią jest dla nas, czy osoba promująca prospołeczne rozwiązania gospodarcze i dotyczące sfery publicznej, a przy tym akceptująca**

demokrację i aktywność obywatelską, przychodzi z lewa, czy z prawa, czy media przykleiły jej taką, czy inną łatkę, czy inspirowane się socjalizmem, czy katolicyzmem. Tego rodzaju postawa jest szczególnie ważna właśnie teraz i właśnie tutaj – w Polsce, czyli kraju, gdzie wszelka myśl i praktyka prospołeczna są wyszydzane i marginalizowane. Sekciarskie podziały i kulturowanie „czystości ideologicznej” to zajęcie wielu jednostek i grup. Nas stać na więcej.

Z takim przeświadczeniem zapraszamy do lektury „Nowego Obywatela” – który, jak widzicie, zyskał także nową oprawę graficzną. Wśród wielu tekstów wartych uwagi, polecam szczególnie te najbliższe wyżej wspomnianemu duchowi. Prof. Tadeusz Kowalik, chyba najwybitniejszy polski lewicowy ekonomista, przypomina m.in., że ośmieszana dzisiaj idea sprawiedliwości społecznej została stworzona i teoretycznie uzasadniona przez myślicieli zaliczanych do nurtu liberalnego. Prof. Włodzimierz Bojarski, kojarzony ze środowiskami narodowej prawicy, przekonuje, że zadłużenie z czasów Gierka miało przynajmniej częściowy sens ekonomiczny, inaczej niż znacznie większe zadłużenie obecne. Barbara Fedyszak-Radziejowska, etykietowana przez media establishmentu jako intelektualistka „pisowska”, wyjaśnia, że dbałości o obywateli zamieszkujących prowincję nauczyła polskich decydentów Unia Europejska.

Ta jedność w różnorodności i przełamywanie schematów – nie sprowadzające się jednak do epatowania fajerwerkami intelektualnymi – będą, mam nadzieję, znakiem firmowym „Nowego Obywatela”.

REMIGIUSZ OKRASKA

PS Prosimy o nieutożsamianie „Nowego Obywatela” z Instytutem Spraw Obywatelskich, stworzonym przed laty w środowisku związanym z naszym pismem i wielokrotnie promowanym na jego łamach. 1 stycznia 2011 r. nasza współpraca uległa zakończeniu.

PPS Z powodu trudnej sytuacji finansowej naszego kwartalnika oraz wskutek wprowadzenia podatku VAT na takie czasopisma, zmuszeni jesteśmy od niniejszego numeru podnieść cenę do 15 zł za egzemplarz. Mamy nadzieję, że mimo to nadal będzie nabywali i czytali „Obywatela”. Aż 10 zł możecie zaoszczędzić na 4 numerach pisma, jeśli zamówicie prenumeratę, do czego zachęcamy – szczegóły na s. 159.

7 W liberalnej sieci

WYWIAD

rozmowa z prof. Włodzimierzem Bojarskim

15 Gra w klasy

prof. dr hab. Leszek K. Gilejko

Krytyczna ocena władzy politycznej przesłania na razie konflikt w sferze ekonomicznej. Staje się on jednak coraz bardziej wyrazisty.

21 Państwo i sprawiedliwość

prof. Tadeusz Kowalik

29 Na prospołecznym froncie

WYWIAD

rozmowa z Cezarym Miżejewskim

37 Uniwersytet na procesie

Rafał Bakalarczyk

Krytyka założeń procesu bolońskiego wychodzi z dwóch perspektyw. W pierwszej odzywa się obrona tradycyjnej misji uniwersytetu, a także funkcji oraz charakteru wiedzy i jej przekazu. Druga wypływa z ogólnej krytyki neoliberalizmu i urynkowienia oświaty,

44 Studenci wszystkich krajów, łączcie się!

Klaudia Maria Budek

Chcemy odbudować etos studenta i uniwersytetu zaangażowanego. W czasach PRL-u władze stawiały znak równości pomiędzy słowami „student” i „wywrotowiec”. Co by się dzisiaj znalazło po drugiej stronie tego równania? Czy naprawdę jest aż tak pięknie i wspaniale, że nie warto się buntować?



7

Tragicznym skutkiem podejścia neoliberalnego jest destrukcja społeczeństwa, zarówno w krajach ubogich, jak i bogatych, gwałtowne rozwarstwienie i ogromny wzrost ubóstwa, co w dalszej perspektywie prowadzi do narastania patologii społecznych. W wyniku tego np. w Stanach Zjednoczonych na więziennictwo i policję wydaje się więcej niż na oświatę i kilka innych służb społecznych. Nędza narasta tak szybko, że w USA jest już około 30 milionów ludzi, którzy w zakresie elementarnej opieki społecznej znajdują się w sytuacji gorszej niż mieszkańcy niektórych krajów afrykańskich.



21

Nie jest prawdą, że postulat sprawiedliwości społecznej został bez reszty zaanektowany przez społeczną lewicę (włączając chrześcijańską). Teorię sprawiedliwości społecznej tworzyli myśliciele liberalni, traktujący koncepcje egalitarne jako ideał, do którego należy dążyć, co oznacza przede wszystkim odrzucenie kapitalizmu wolnorynkowego.



29

Realne zmiany na lepsze nie są kwestią rozwiązań legislacyjnych czy finansowych, lecz tego, czy ludzie zaczną robić coś wspólnie. Bo współcześni Polacy nie potrafią tego robić, nie umieją walczyć o swoje sprawy na żadnym polu. Pod tym względem Polska jest jednym z najsłabiej zorganizowanych krajów w Europie, krajem o najniższym stopniu mobilizacji społecznej.



52 Rosyjskie uniwersytety - fatalny wzór dla świata

Aleksander Bikbow

Uniwersytet, jako instytucja pobierająca znaczne kwoty z publicznej kasy, jest na każdym kroku potępiany przez rynkowych dogmatyków, dla których nigdy nie jest on dość wydajny. Wbrew wyobrażeniom, finansowa samowystarczalność i zysk osiągany w warunkach rynkowych, prowadzą nie do podwyższania, lecz do obniżania standardów edukacyjnych.

58 Prywatyzacja demokracji

dr Edward Karolczuk

Wraz z utowarowieniem znikają wszystkie bezpłatne przestrzenie i ludzie coraz bardziej stają się więźniami pościgu za wzrostem dochodu, bez którego byliby pozbawieni szeregu usług niezbędnych do życia - od ochrony zdrowia poczynając, a kończąc na udziale w kulturze.

62 Trzy paradygmaty modernizacji

dr Tomasz Jarmużek, dr Joanna Szalacha

Modernizacja wyłącznie poprzez rozbudowę infrastruktury to pole do popisu dla „kręcenia lodów”. Postrzeganie jej jedynie w wymiarze obyczajowym sprawia, że i tak już silne grupy społeczne stają się jeszcze silniejsze.

68 Konsumencie, chroń się

Bartłomiej Grubich

Okazuje się, iż tzw. kranówka w Warszawie bywa lepsza od wody butelkowanej, natomiast atest Instytutu Matki i Dziecka jest jedynie chwytem marketingowym, nie zaś wyznacznikiem jakości.

73 Poza kontrolą?

Natalia Królikowska, Michał Sobczyk

Sprawne państwo stoi na straży nie tylko swoich granic. Dbą także, aby zawartość talerzy obywateli była bezpieczna.

GOSPODARKA SPOŁECZNA

80 Nowa wieś?

WYWIAD

rozmowa z dr Barbarą Fedyszak-Radziejowską

Polscy politycy nie potrafili zrozumieć, że domaganie się wsparcia dla słabiej rozwiniętych regionów, grup i gospodarstw nie jest wyrazem nieuprawnionej roszczeniowości. Unia uczy nas polityki spójności i solidarności, bo na tych zasadach opiera się projekt europejski.

86 Wspólnoty korzyści

Konrad Malec

Firmy zajmujące się skupem i przetwórstwem zastraszają rolników, by ci nie organizowali się w grupy producentów rolnych, grożąc im w takim przypadku odmową kupna towaru. Panicznie boją się siły, która tkwi w jedności.

92 W poszukiwaniu logiki systemu emerytalnego

dr hab. Jerzy Żyżyński

Od początku funkcjonowania nowego systemu do końca 2008 r. fundusze emerytalne pobrały w ramach tzw. opłaty za zarządzanie około 10,5 mld zł. Stanowiło to 9% środków przekazanych im - dużo jak na zapłatę komuś, kto zarządza cudzymi pieniędzmi i nie osiąga nadzwyczajnych wyników.

100 Reforma obok problemu?

Janina Petelczyc

Powstaje pytanie, czy obniżanie świadczeń socjalnych nie spowoduje na dłuższą metę większego rozwarstwienia społecznego i w rezultacie nie będzie wymagało w przyszłości znacznie wyższych nakładów finansowych na programy służące jego zmniejszaniu.

105 Czy biznes może mieć sumienie?

Jadwiga Bogdanowicz

Nie chcieli wspierać finansowo wojny w Wietnamie i dlatego Pax World uruchomiła pierwszy fundusz społecznie odpowiedzialny. Zamierzali w ten sposób umożliwić inwestowanie w zgodzie z pewnymi wartościami, takimi jak pokój, ochrona środowiska, promowanie równości.



PROJEKT OKŁADKI
 © kooperatywa.org
 ilustracja: Ewa Starzyk
 pomysł: Piotr Świderek

ZESPÓŁ REDAKCYJNY

Konrad Malec, Remigiusz Okraska (redaktor naczelny),
Michał Sobczyk (sekretarz redakcji), **Szymon Surmacz**

KWARTALNIK „NOWY OBYWATEL”

ul. Więckowskiego 33/127, 90-734 Łódź
 tel./faks (42) 630 22 18
 propozycje tekstów: redakcja@obywatel.org.pl
 reklama, kolportaż: biuro@obywatel.org.pl
 opracowanie graficzne: kooperatywa.org

www.obywatel.org.pl

ISSN 1641-1021

NAKŁAD 1500 szt.

WYDAWCA

Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”
 ul. Więckowskiego 33/126, 90-734 Łódź

STALI WSPÓŁPRACOWNICY

Rafał Bakalarczyk, dr Karolina Bielenin-Lenczowska,
 Marcin Domagała, Joanna Duda-Gwiazda, Bartłomiej Grubich,
 Maciej Krzysztofczyk, dr hab. Rafał Łętocha,
 dr hab. Sebastian Maćkowski, Anna Mieszczanek,
 dr Arkadiusz Peisert, dr Jarosław Tomaszewicz,
 Karol Trammer, Bartosz Wieczorek, Krzysztof Wołodźko,
 Marta Zamorska, dr Andrzej Zybała, dr Jacek Zychowicz

RADA HONOROWA

Jadwiga Chmielowska, prof. Mieczysław Choraży,
 Piotr Ciompa, prof. Leszek Gilejko, Andrzej Gwiazda,
 dr Zbigniew Hałat, Bogusław Kaczmarek, Marek Kryda,
 Jan Kozia, Bernard Margueritte, Mariusz Muskat,
 dr hab. Włodzimierz Pańków, Zofia Romaszewska,
 dr Zbigniew Romaszewski, dr Adam Sandauer,
 dr hab. Paweł Soroka, prof. Jacek Tittenbrun,
 Krzysztof Wyszkowski, Marian Zagórny, Jerzy Zalewski

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania, zmian stylistycznych i opatrywania nowymi tytułami materiałów nadesłanych do druku. Materiałów niezamówionych nie zwracamy. Nie wszystkie publikowane teksty odzwierciedlają poglądy redakcji i stałych współpracowników. Przedruk materiałów z „Nowego Obywatela” dozwolony wyłącznie po uzyskaniu pisemnej zgody redakcji, a także pod warunkiem umieszczenia pod danym artykułem informacji, że jest on przedrukiem z kwartalnika „Nowy Obywatel” (z podaniem konkretnego numeru pisma), zamieszczenia adresu naszej strony internetowej (www.obywatel.org.pl) oraz przesłania na adres redakcji 2 egz. gazety z przedrukowanym tekstem.

SPRZEDAŻ

W całej Polsce „Nowego Obywatela” można kupić w sieciach salonów prasowych Empik, Ruch, Inmedio, Relay. Wybrane teksty z „Nowego Obywatela” są dostępne na stronach OnetKiosku (kiosk.onet.pl)

SPIS TREŚCI

109 **Ekonomia dobra wspólnego. Tradycja i problemy chrześcijańskiego socjalizmu**

Gary Dorrien

Dla większości myślicieli chrześcijańskich w czasach Ery Postępu i Wielkiego Kryzysu, kapitalistyczne skupienie się na zaspokajaniu jedynie własnych potrzeb stało w jaskrawej sprzeczności z nauczaniem Chrystusa. Niektórzy z nich, lokujący się nawet bardzo daleko od marksizmu, poddawali bezwzględnej krytyce drapieżną amoralność kapitalizmu.

NASZE TRADYCJE

117 **Spółeczna organizacja ochrony przyrody**

Jan Gwalbert Pawlikowski

Żadne ustawodawstwo, żadna organizacja państwowa nie zdołają skutecznie spełnić zadań ochrony przyrody – bez oparcia się o szeroką podstawę społeczną. Od przejścia się tym przekonaniem zależy skuteczność wszelkiej pracy w dziedzinie ochrony przyrody.

126 **Z dziejów ochrony przyrody**

Władysław Szafer

Utarło się zdanie, że idea ochrony przyrody jest wytworem kultury końca XIX i początku XX wieku. Zdanie to jest o tyle słuszne, że istotnie dopiero w tym czasie stała się ochrona przyrody jednym z twórczych czynników współczesnej kultury narodów i państw całego świata. Niesłuszne natomiast jest takie zapatrywanie, gdy chodzi o jej początki, gdyż te sięgają historycznie daleko w przeszłość.

132 **Urbanistyka i krajobraz**

Jerzy Hryniewicz

„Człowiek uwielokrotniony” przez technikę i przemysł wtedy tylko może żyć pełnią życia i szczęścia, jeśli technika, którą się posługuje, jest zdrowa, jeśli jej sens nie gubi się w walce z naturą, jeśli to, co daje technika, nie było zapłacone tym, co straciła przyroda.

Z POLSKI RODEM

136 **Gigant Czynu - książka
Piotr Wawrzyniak***dr hab. Rafał Łętocha*

Na zebraniach, spotkaniach, wiecach, ale i podczas kolędowania głosił, iż przyzwyczajenie oszczędzania należy w sobie wykształcić. Po powstaniu pierwszych polskich spółek kredytowych apelował o pobieranie z nich pożyczek. Przyniosło to pożądany skutek, tak iż po latach mógł z satysfakcją skonstatować usunięcie lichwiarstwa, które - jak stwierdzał - należy u nas już do legendy i wspomnień minionych czasów.

141 **A jednak istniała**

RECENZJA

Krzysztof Wołodźko

Walentynowicz została wyproszona przez Wałęsę z obrad Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”: jeśli pani będzie się upierać, to zawołam służbę i każę panią wyrzucić. Trudno oprzeć się refleksji, że faktycznie coś się już wtedy w Polsce zmieniło: dawny robotnik chciał wezwać „goryli”, by wyrzucić starą, jakże zasłużoną robotnicę...

145 **Wychowanie do życia
w kapitalizmie**

RECENZJA

dr Krzysztof Poślajko

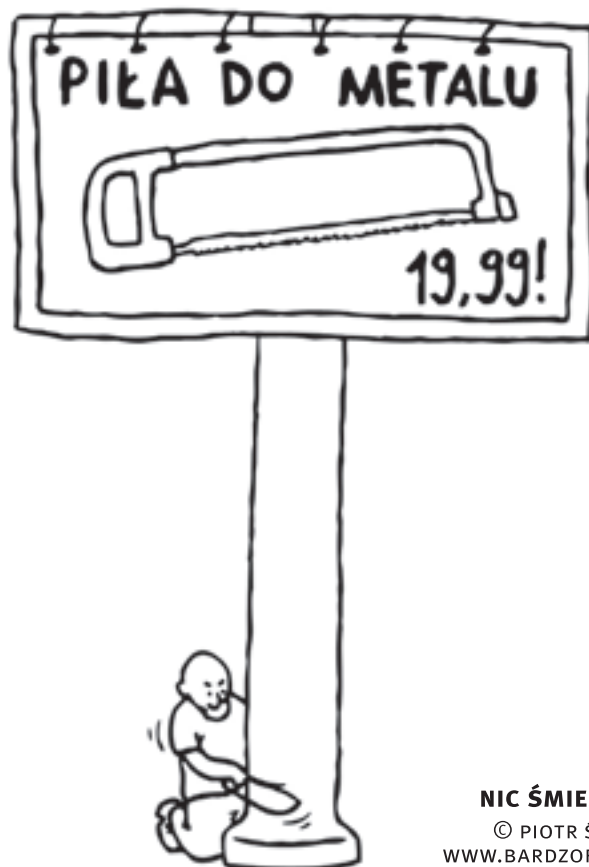
Oznacza to, że podejmowane są celowe działania. Mają one prowadzić do tego, aby szkoły stały się miejscem, w którym uczniów przygotowuje się do sprawnego funkcjonowania w rzeczywistości zdominowanej przez neoliberalny kapitalizm.

149 **Normalne jest wywrotowe?**

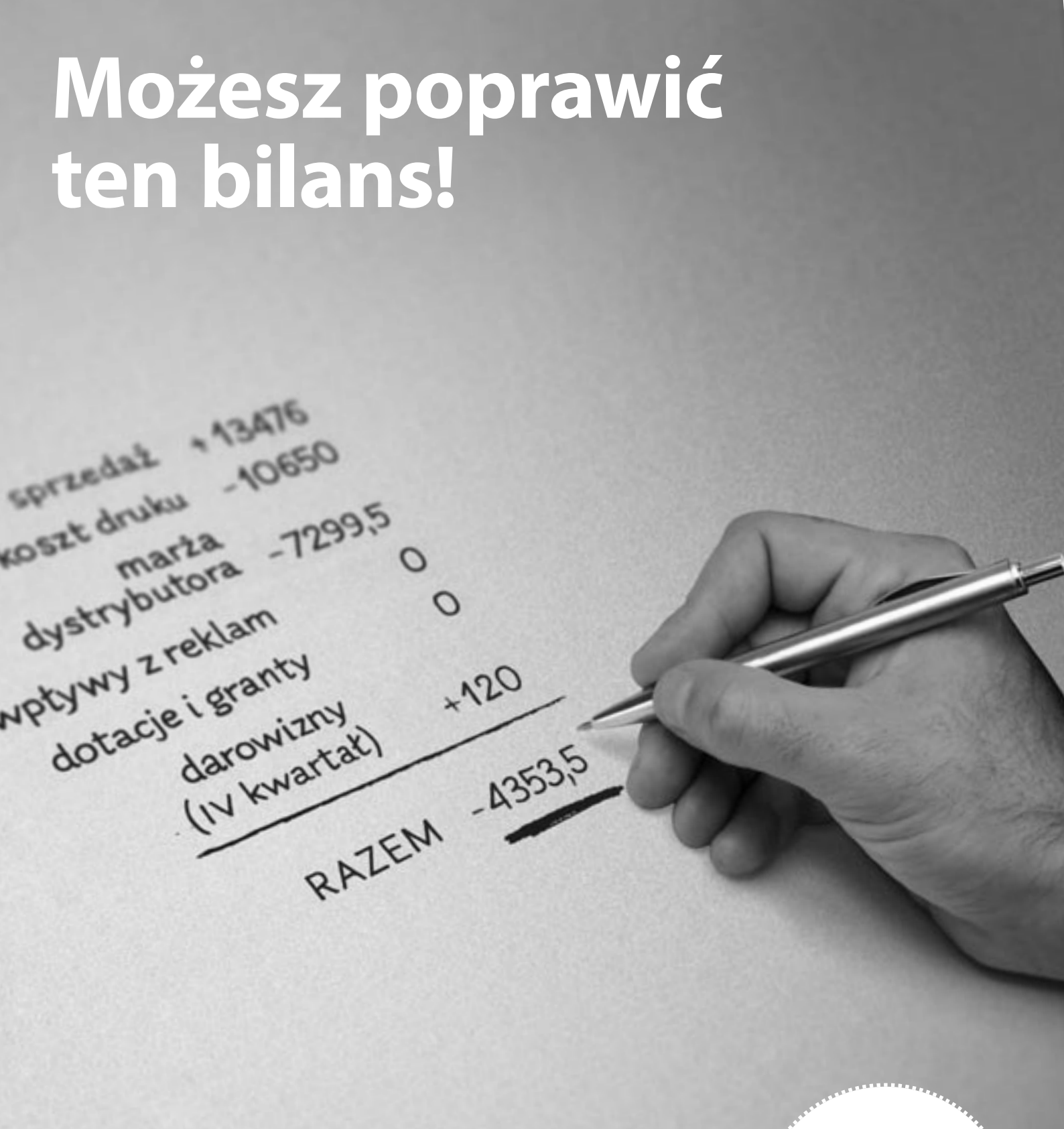
RECENZJA

Remigiusz Okraska

To, co określa się mianem „kultury alternatywnej”, nie osłabia, lecz wzmacnia kapitalizm i etos komercyjny. Nadaje im mocy oddziaływania i pozwala dokonywać ekspansji w nowe sfery. Co gorsza, rośnie popularność tych „alternatywnych” idei, które przekonują, że nie ma sensu walczyć o realne, stopniowe przeobrażenia na lepsze w sferze polityki i rozwiązań instytucjonalnych. „Wywrotowcy”, choć operują bardzo radykalnymi hasłami, pełnią zatem rolę reakcyjną.

156 **Autorzy numeru****NIC ŚMIESZNEGO**© PIOTR ŚWIDEREK
WWW.BARDZOFAJNY.NET

Możesz poprawić ten bilans!



sprzedaż	+13476
koszt druku	-10650
marża	
dystributora	-7299,5
wpływy z reklam	0
dotacje i granty	0
darowizny (IV kwartał)	+120
RAZEM	-4353,5

- **Przekaż darowiznę** – jeszcze nigdy nie było to takie proste. Szczegóły: strona 14.
- **Zareklamuj w „Nowym Obywatelu” swoją firmę.** Zostań oficjalnym darczyńcą pisma i pokaż, że Twój biznes jest społecznie odpowiedzialny. Strona 36.
- **Dołącz do grona prenumeratorów.** Więcej informacji: strona 159.
- **Przekaż nam 1% podatku.** Jak to zrobić, dowiesz się na stronie 145.
- **Zatrudnij nas!** Kooperatywa.org to nasze w pełni profesjonalne studio graficzne i agencja kreatywna. Dochód z jej działalności w 100% przekazywany jest na realizację celów statutowych Stowarzyszenia „Obywatele Obywatelom” – przede wszystkim na wydawanie „Nowego Obywatela”. Informacje i kontakt znajdziesz na ostatniej stronie okładki.

Każdy, kto do końca lutego wpłaci darowiznę większą niż 40 zł, otrzyma od nas kalendarz plakatowy i przypinki „Nowego Obywatela”. Darowizna to jedyna metoda zdobycia tych gadżetów!





© Kuba Bożanowski, <http://www.flickr.com/photos/jbozanowski/4352196949/>

W liberalnej sieci

z prof. Włodzimierzem Bojarskim

rozmawia Michał Sobczyk

- **W swoich publikacjach i wystąpieniach bardzo mocno krytykuje Pan współczesny system ekonomiczny, nazywany neoliberalizmem. Dlaczego?**

- Włodzimierz Bojarski: Można wobec niego wysunąć wiele zarzutów, ale jeden jest kluczowy. Neoliberalizm to system, który odrzuca postulat bezpośredniej sprawiedliwości społecznej, ponieważ postuluje maksimum zysku dla osób posiadających energię, pomysły, umiejętności, talenty i zasoby, którymi mogą gospodarować i je pomnażać. Tyle że za podstawę racjonalności działania uznaje się w tym nurcie niemal wyłącznie operacje na wartościach rynkowych. Nie mówi się przy tym o żadnych innych wartościach, czy to społecznych, czy ekologicznych. Jedyne, co interesuje teoretyków i praktyków neoliberalizmu, to wartości rynkowe i maksymalna swoboda dla kadr zarządzających kapitałem, bez oglądania się na skutki dla społeczeństwa czy środowiska naturalnego.

Prowadzi to do naruszania podstawowych praw ludzkich i obywatelskich. Takie podejście powoduje również odchodzenie, na coraz większą skalę, od ustawodawstwa związanego z ochroną pracy i środowiska. Tym samym długookresowa równowaga społeczna i ekologiczna jest całkowicie lekceważona. Prowadzi to do bardzo szybko narastających konfliktów, co jest sytuacją niezwykle groźną.

- **Zdaniem części ekonomistów, niedawny kryzys światowy stanowi dowód na to, że w dłuższej perspektywie neoliberalizm nie jest systemem stabilnym i efektywnym nawet w sferze czysto gospodarczej.**

- Wspomniane zasady neoliberalizmu dają szczególnie fatalne skutki w połączeniu z tworzonym równocześnie nowym systemem własności akcyjnej, oderwanej od określonego właściciela. Wielkie przedsiębiorstwa i korporacje są w znacznej mierze własnością

masy dość anonimowych akcjonariuszy, którzy wymuszają na ich menedżerach osiąganie wysokich zysków. Ponieważ są oni rozliczani w wąskich przedziałach czasowych, na podstawie niemal doraźnych wyników ekonomicznych, w systemie tym gubiona jest dłuższa perspektywa czasowa. Jest to zasadnicza różnica w stosunku do np. kapitalizmu zachodniemieckiego z początku XX wieku, „kapitalizmu wielkich rodzin”, które dbały o rozwój przedsiębiorstwa w znacznie dłuższej perspektywie. Nawet jeśli te przedsiębiorstwa niejednokrotnie lekcewały interes społeczny, to nie lekcewały interesu narodowego, gdyż były mocno związane z określonym państwem, na terenie którego funkcjonowały. Dzisiaj ideologia neoliberalna stymuluje odrywanie się własności od państwa i konkretnych właścicieli. Najczęściej akcjonariusze nie znają się na gospodarce, a nawet nie znają realiów przedsiębiorstwa, którego są formalnymi współposiadaczami. W orbicie ich zainteresowań znajduje się wyłącznie zysk, z pominięciem skutków społecznych i ekologicznych oraz norm kulturowych, obywatelskich i państwowych. Zwłaszcza, że mowa tu w dużej mierze o przedsiębiorstwach transnarodowych, działających ponad granicami.

- **W kontekście liberalizacji handlu międzynarodowego, zgodnej z zaleceniami ideologii neoliberalnej, mówi się o tzw. wyścigu na dno: kolejne państwa obniżają standardy socjalne czy płace, aby nie przegrać na światowym rynku z krajami tańszymi. Jak przerwać to błędne koło i kto mógłby tego dokonać: instytucje międzynarodowe, takie jak Unia Europejska, państwa narodowe, a może masowe ruchy nacisku na władze?**

- Wyszczególniłbym dwa obszary zagadnień. Pierwszy z nich można opisać następująco: w warunkach globalnej łączności transportowej i telekomunikacyjnej utrzymanie względnie kontrolowanej, jako tako wyizolowanej gospodarki krajowej, jest pewnym anachronizmem i na dłuższą metę niemożliwe. A jeżeli nie jest do utrzymania, to z konieczności następuje bardzo powolne wyrównywanie poziomu życia i konsumpcji pomiędzy różnymi strefami geograficznymi i kulturowymi. Świat zachodni zmuszony został stać czoła bardzo ostrej konkurencji krajów Dalekiego Wschodu oraz częściowo Afryki, gdzie produkcja jest znacznie tańsza. Ten proces pewnego spadku dobrobytu w krajach wysoko rozwiniętych na rzecz krajów „na dorobku”, daleki zresztą od zakończenia, oceniam pozytywnie. Znaczna część wysokiego standardu materialnego Zachodu pochodzi bowiem nie z wysoko jakościowej produkcji, lecz z dziedzictwa dwóch czy trzech stuleci wyzysku kolonialnego właśnie tych krajów. Zresztą eksploatacja wielu państw Trzeciego Świata, np. zawłaszczanie ich zasobów naturalnych, trwa do dziś.

Co do drugiej kwestii - rozwiązywania tej spirali nacisku - to przywołam refleksje Josepha Stiglitz,

wielkiego uczonego i działacza Banku Światowego, zaangażowanego przez lata w krzewienie neoliberalizmu. Z czasem stał się on czołowym krytykiem propagowanej wcześniej idei i w swoich najnowszych publikacjach proponuje poddanie światowego systemu finansowego zasadom uczciwości i kontroli społecznej. Ta kwestia mogła być podjęta i rozwiązana już dawno, bo próbowano to uczynić po pierwszym światowym kryzysie w latach 30., gdy istniały uzasadnione podstawy, by sądzić, iż został on celowo wywołany przez system finansowo-bankowy. Na długo przed obecnym kryzysem, ekonomista James Tobin, laureat nagrody Nobla, jako jeden z pierwszych uczonych dał prostą receptę - wprowadzenie podatku od spekulacyjnych obrotów giełdowych i finansowych, tzw. podatku Tobina. Opodatkowane byłyby wpływy z przenoszenia fikcyjnych kwot z konta na konto - operowania pieniędzmi, których zapewne nikt nie miał w rękach i które najprawdopodobniej nie miały nigdy żadnego realnego pokrycia. W rzeczywistości, w kosztach produkcji i w cenach wyrobów bardzo wysoki udział stanowią koszty kapitału i jego oprocentowanie. Zamiast obniżać płace i świadczenia socjalne, trzeba zredukować koszty kapitału w sprawiedliwym systemie finansowym. Oczywiście, wielki kapitał broni się za pomocą wszelkich środków przed wprowadzeniem takich zmian. Mimo tego, m.in. na Węgrzech wprowadzono opodatkowanie rozliczeń bankowych.

Klub Rzymski w 2009 r. przyjął tzw. Deklarację amsterdamską, w której czytamy: „Zadaniem banków i biznesu finansowego nie jest dominacja, lecz



©© charamelody, <http://www.flickr.com/photos/charamelody/4600160729/>

świadczenie usług dla społeczeństwa”. Od ponad stulecia, czyli od czasów Leona XIII, podobne twierdzenia są głoszone w encyklikach papieskich. Teraz w dalszej części Deklaracji czytamy: „Transakcje wewnątrz sektora bankowego trzeba uznać za przejaw przestępczości zorganizowanej”. Uważam, że jest to niewątpliwie słuszny kierunek. Nie wiem, czy tego typu transakcje powinny być zakazane, ale jestem absolutnym zwolennikiem podatku Tobina - o konieczności jego wprowadzenia wielokrotnie już mówili i pisali kompetentni ludzie.

W ideologicznych uzasadnieniach neoliberalizmu często można spotkać się z twierdzeniem, że z zamożnością jest jak z poziomem wody - gdy się podniesie bogatym, to automatycznie podniesie się też biednym. Jest ono pozbawione jakiegokolwiek empirycznego potwierdzenia i trzeba być krańcowo bezkrytycznym, żeby je przyjąć. Niemniej posługiwano się nim przez wiele lat, a nawet i dziś. Tymczasem tragicznym skutkiem podejścia neoliberalnego w biznesie jest destrukcja społeczeństwa, zarówno w krajach ubogich, jak i bogatych, gwałtowne rozwarstwienie i ogromny wzrost ubóstwa, co w dalszej perspektywie prowadzi do narastania patologii społecznych. W wyniku tego np. w Stanach Zjednoczonych na więziennictwo i policję wydaje się więcej niż na oświatę i kilka innych służb społecznych. Nędza narasta tak szybko, że w USA jest już około 30 milionów ludzi, którzy w zakresie elementarnej opieki społecznej znajdują się w sytuacji gorszej niż mieszkańcy niektórych krajów afrykańskich.

Równocześnie skompromitowała się gołosłowna idea całkowicie wolnego rynku, który zapewnić miał samoregulację oraz stabilność i równowagę rozwoju gospodarczego. Okazało się, że nic takiego nie następuje, a kapitalizm neoliberalny niszczy sam siebie oraz strukturę gospodarczą. Monopolizacja, która gwałtownie rozwija się w systemie neoliberalnym, niszczy ogromne obszary drobnej i średniej wytwórczości. Koniec końców upadają także więksi gracze, ponieważ nie są w stanie wytrzymać, często nieuczciwej, konkurencji. W tym systemie w ogóle trudno mówić o uczciwej konkurencji. Zamiast zasad uczciwości, obowiązujących w nim reguły prawa, i tylko o tyle, o ile są egzekwowane, gdyż system neoliberalny dopuszcza omijanie rygorów prawa. Zmienia się ustalenia, normy, zarządzenia po to, żeby pójść na rękę temu czy innemu koncernowi, co także pogłębia destrukcję życia gospodarczego, społecznego i ekologicznego.

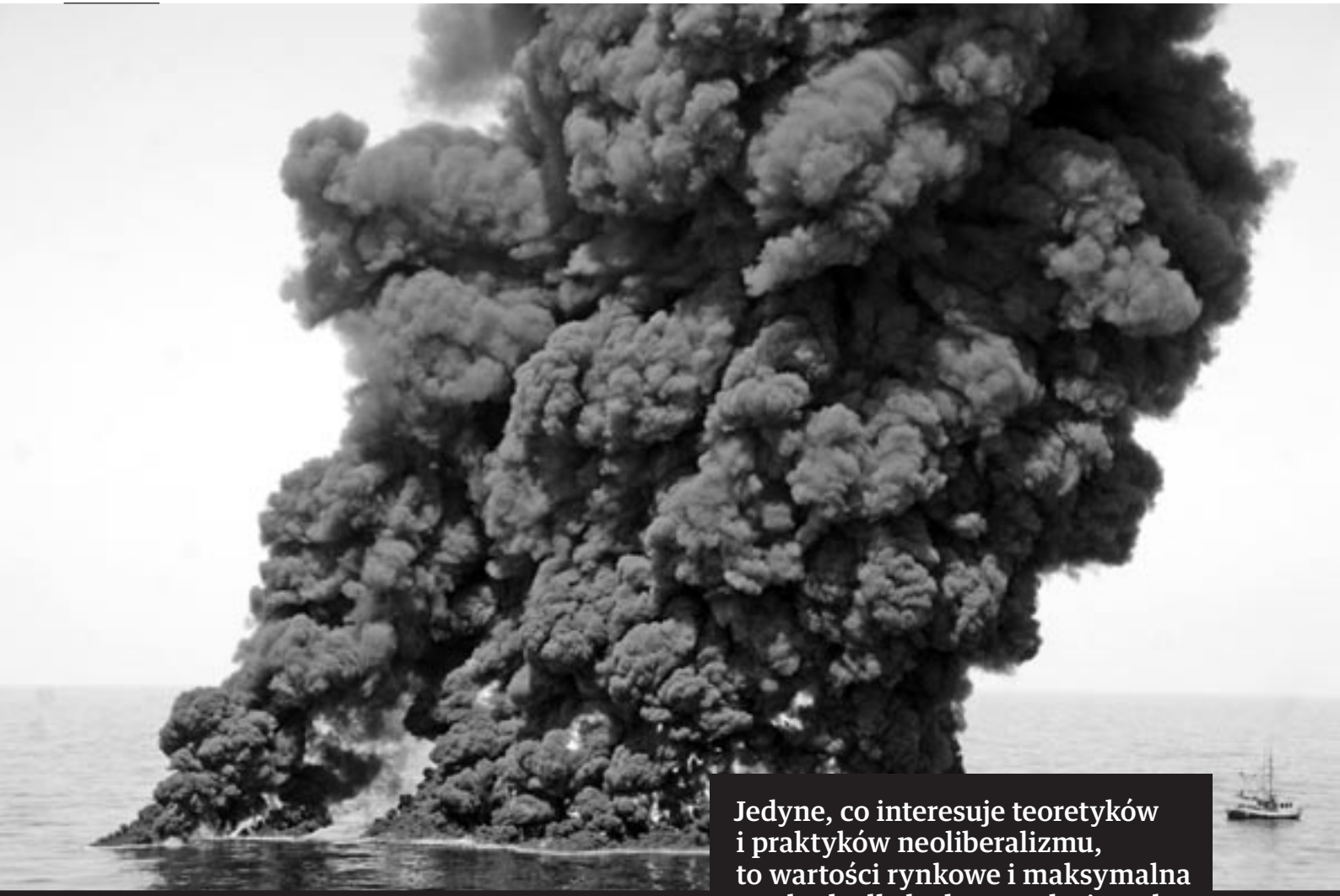
- **Jednym z głównych założeń ideologii neoliberalnej jest przekonanie o szkodliwości jakichkolwiek ingerencji państwa w życie gospodarcze.**
- Wolny rynek jest nie do pomyślenia bez jakiegoś organizatora swojego funkcjonowania, nasuwa się więc pytanie, kto jeśli nie państwo miałby go zorganizować? Jeżeli rynek nie będzie zorganizowany, to przyjdzie jakaś banda łupieska i zagrabi to, co jest. Z dużym



BO JAR SKI

Włodzimierz Witold Bojarski (ur. 1930) - profesor doktor habilitowany, energetyk, ekonomista i analityk systemowy; ekspert komisji rządowych i parlamentarnych, działacz gospodarczy i społeczny. W latach 1976-2000 pracował w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN, obecnie wykładowca w Warszawskiej Szkole Zarządzania - Szkole Wyższej. Działa w Komitecie Prognoz „Polska 2000 Plus” Polskiej Akademii Nauk. Był działacz „Solidarności”, uczestnik podzespołów Okrągłego Stołu, senator I kadencji z ramienia Komitetu Obywatelskiego. Był wiceprzewodniczącym rady programowej Ligi Polskich Rodzin. Autor książek naukowych oraz z dziedziny publicystyki politycznej, m.in. „Podstawy analizy i inżynierii systemów” (1984), „Więcej Polski!” (1994), „Efektywność systemowa przedsięwzięć gospodarczych” (2001), „Dokąd Polsko? Wobec globalizacji i integracji europejskiej” (2002), „O przyszłość Polski. Problemy i wyzwania XXI wieku” (2006), „Jak było i jak jest naprawdę. CO ROBIĆ? Refleksje dotyczące przemian lat 1979-2009” (2009), „Gospodarka i państwo dla społeczeństwa” (2009), oraz wielu artykułów naukowych i publicystycznych. Instruktor harcerski. Ojciec pięciorga dzieci i dziadek dziewięciorga wnuków.

opóźnieniem, dopiero w ostatnich latach zaczyna się mówić o nowej ekonomii instytucjonalnej, czyli takim nurcie myślenia, który dostrzega, że nie może być mowy o nowoczesnym rynku i nowoczesnej gospodarce bez sprawnych instytucji państwowych. Przykładowo, jeżeli rynek ma być w miarę stabilny, z pewną perspektywą rozwoju, i jeżeli ma być na nim możliwa uczciwa konkurencja, to nie można wpuścić na niego rekinów, tzn. supermonopolistów, którzy zawładną znaczną jego częścią. Istnieje zatem potrzeba ochrony rynku od strony utrzymania wolnej konkurencji poprzez kontrolę jakości towarów, jawności cen i operacji oraz gwarantowanie skuteczności egzekucji porozumień handlowych. Jeżeli za ważnością umowy nie będzie stało silne prawo i sprawny aparat egzekucji, to umowy przestaną obowiązywać, bowiem im mniej jest jego sprawność, tym te umowy stają się mniej wiarygodne. Niedostateczna sprawność tego aparatu



powoduje gwałtowny wzrost kosztów transakcji i ryzyka, np. niespodziewane bankructwa.

Powstaje cały nurt ekonomii, który dostrzega i uzasadnia potrzebę istnienia silnego państwa i zbioru instytucji niezbędnych, aby gospodarka rynkowa mogła się prawidłowo rozwijać. Jeżeli uwzględnić dodatkowo, że ma to być społeczna gospodarka rynkowa, potrzebne są kolejne instytucje, które będą dbały o zapewnienie pewnych norm, związanych np. z ustawodawstwem pracy i ochroną pracowników. Po jakimś czasie wielcy przedsiębiorcy dostrzegli też wreszcie, że potrzebni są im wykwalifikowani pracownicy. Ich kształceniem zajmują się jednak marginalnie, dlatego pojawia się kwestia sektorów publicznych, które zadbały o edukację przyszłych pracowników, ale także o służbę zdrowia, system socjalny i emerytury dla ludzi, którzy pracują. Ten aspekt społecznej gospodarki rynkowej poszerza zadania państwa o cały kompleks instytucji, które będą służyły w równym stopniu przedsiębiorcom oraz ogółowi społeczeństwa. Do tej samej kategorii należy także zaliczyć instytucje związane z gospodarką i ochroną środowiska. Przedsiębiorcy nie są w stanie funkcjonować poza środowiskiem naturalnym.

Potrzebny jest zatem odpowiedni system prawny i instytucjonalny, który będzie ustalał, sprawdzał i egzekwował wszelkiego rodzaju normy.

Jedyne, co interesuje teoretyków i praktyków neoliberalizmu, to wartości rynkowe i maksymalna swoboda dla kadr zarządzających kapitałem, bez oglądania się na skutki dla społeczeństwa czy środowiska naturalnego.

- Mówimy o państwie jako organizatorze i kontrolerze życia gospodarczego, tymczasem w swoich publikacjach podkreśla Pan również jego pozytywną rolę w stymulowaniu procesów rozwojowych oraz jako gospodarza dóbr publicznych, którymi tylko ono może na szeroką skalę zarządzać w interesie społecznym. To nie jest pogląd modny w dzisiejszych czasach.
- Od zarania dziejów państwo było właścicielem przestrzeni, nadawało własność. Sprawa dóbr państwowych jest w dalszym ciągu ważna i aktualna. Dotyczyła ona tradycyjnie takich sektorów, jak kopalnictwo, w szczególności górnictwo, gospodarka leśna, drogownictwo oraz gospodarka wodna. Poza tym kolej, żegluga oraz, od czasów rewolucji francuskiej zabezpieczenia socjalne, a od czasów Hindenburga - zabezpieczenia emerytalne. Do przemysłu wydobywczego z czasem dołączył przemysł zbrojeniowy i strategiczny oraz rozwojowy i technologiczny, w następnych latach rurociągi gazu i ropy naftowej, elektrownie i sieci przesyłowe. Pierwsza bitwa o Elektrownię Warszawską - przejęcie jej przez państwo od zagranicznego właściciela - miała

miejsce w okresie międzywojennym i trwała prawie 20 lat. Już wtedy panowało bowiem przeświadczenie, że elektroenergetyka i gazownictwo stanowią część najważniejszej infrastruktury państwowej. W większości krajów świata są to właśnie sektory państwowe. Do tego dochodzi system naftowy, państwowa służba zdrowia, państwowy system edukacji i państwowe wojsko, policja, straż pożarna oraz służby ochrony środowiska.

Dałoby się tę własność państwową podzielić na trzy sektory: produkcyjny (wytwórczy), infrastrukturalny oraz usługowy. Częściowa prywatyzacja tego ostatniego jest dopuszczalna i w ostatnich latach fragmentarycznie się sprawdza. W zakresie usług publicznych dochodzi do rozwiązań cząstkowych na zasadzie partnerstwa publiczno-prywatnego, a więc pewnego rodzaju uelastycznienia, a nie zmian systemowych. Prywatne podmioty przejmują realizację części usług przynależnych państwu – powstaje np. szkoła prywatna, korzystająca z tych samych środków publicznych, które państwo kierowałoby do szkoły publicznej. Ono samo odpowiada jednak nadal za cały system edukacji – i nie można go zwolnić z tej odpowiedzialności.

Można również częściowo dopuścić, co również się zdarza, by małe, marginalne obiekty, np. elektrownie wodne czy wiatrowe, włączały się do wielkich państwowych systemów energetycznych – mogą funkcjonować prywatnie, co nie zmienia zasady odpowiedzialności państwa za ciągłość zasilania wszystkich obywateli. Funkcję taką może pełnić również miejska sieć energetyczna, w całości lub częściowo będąca własnością komunalną, której do tej pory nie wyszczególniłem, traktując ją jako część własności państwa. Odpowiedzialność za niektóre podsystemy komunikacyjne czy energetyczne również mogą przejąć zarządy miast czy gmin – co nie jest bardzo złe, jeżeli jest to proces możliwie naturalny i nie budzi wątpliwości oraz trudności technicznych czy rozliczeniowych. Nie można jednak powiedzieć tego samego w kwestii systemu kolejowego. Podział sieci kolejowej i wydzielenie jej w formie kolei regionalnych tak komplikuje systemy ruchowe czy rozliczeniowe, że trzeba uznać to rozwiązanie za zupełnie nieudane. Dzielenie dużych, publicznych systemów infrastrukturalnych rzadko kiedy jest wskazane. Za dany system musi być odpowiedzialne jednolite kierownictwo publiczne.

- **Krytyka państwa w duchu doktryny neoliberalnej trafia w Polsce na podatny grunt. Pamięć o realnym socjalizmie, który nie był efektywny, a z drugiej strony obecne niesprawne funkcjonowanie wielu instytucji publicznych utwierdzają ludzi w przekonaniu, że państwo nie powinno brać odpowiedzialności za realizację różnych celów.**
- Sąd o nieefektywności systemu socjalistycznego jest częściowo przesadzony. Powiem rzecz niepopularną, ale porównanie efektywności gospodarowania z okresu gierkowskiego z okresem pogierkowskim czy z okresem

po roku 1990, wypada na korzyść poprzedniego systemu. Można już było wtedy mówić o dość dużym usamodzielnieniu przedsiębiorstw, były próby otwierania ich na rynek zachodni, na konkurencję zewnętrzną; planowanie gospodarcze było procesem otwartym i doskonalonym. Ilość inwestycji zrealizowanych w ciągu dziesięciolecia gierkowskiego w porównaniu z długiem, który w tym czasie został zaciągnięty, jest imponująca i zupełnie niewyobrażalna w obecnej rzeczywistości. Tamten dług w porównaniu z dzisiejszym, o którym stale się mówi jako o długu gierkowskim, był stosunkowo niewielki i stanowi około 10% obecnego zadłużenia Polski. Ponadto tamten dług w dużym stopniu miał pokrycie w nowoczesnych maszynach, urządzeniach i uruchomionych w kraju liniach technologicznych. Oczywiście, już wtedy panowało olbrzymie marnotrawstwo, ale kiedy się to wszystko bilansuje, to okazuje się, że w obecnym systemie, w którym nie chcemy mówić o marnotrawstwie, jest ono wielokrotnie większe, a inwestycje – daleko bardziej skromne. W okresie gierkowskim do wielu szkół trafili lekarz i stomatolog, a dzisiaj mówi się, że państwa nie stać, aby zapewnić obywatelom elementarną opiekę medyczną w ośrodkach zdrowia...

Bardzo udane przykłady funkcjonowania sektora publicznego możemy odnaleźć w okresie międzywojennym, kiedy to polskie przedsiębiorstwa państwowe nieźle dawały sobie radę nawet w czasie kryzysu światowego. Rozwój i uprzemysłowienie dokonywały się wówczas bez zaciągania wielkich długów zagranicznych. Wybudowano Gdynię z jej wielkim portem, linie kolejowe, zaporę w Rożnowie, linię energetyczną Rożnów – Warszawa i wiele innych inwestycji państwowych, które dynamizowały gospodarkę, dając możliwość rozwoju także firmom prywatnym.

Na podobnych zasadach dokonała się odbudowa krajów zachodnich po ostatniej wojnie, kiedy nie obowiązywał żaden neoliberalizm, lecz wszędzie stosowana była państwowa gospodarka planowa. Zarówno we Francji, jak i w Niemczech państwo zachowywało szeroki udział majątkowy w przemyśle, infrastrukturze i instytucjach, o których poprzednio mówiłem, oraz utrzymało szeroki zakres ingerencji regulacyjnych za pośrednictwem rozbudowanych organów publicznych. Takie zespolenie tworzyło wolny rynek w formule, która nie dopuszczała do powstawania monopolu i stwarzała realną konkurencję. Poskutkowało to tzw. cudem odbudowy Niemieckiej Republiki Federalnej.

Do dziś trochę się to zmieniło, ale w dalszym ciągu państwa zachodnie zachowują wiele olbrzymich, strategicznych przedsiębiorstw. W większości krajów europejskich systemy energetyczne, gazownicze, naftowe, kolejowe, lotnicze i inne pozostają w rękach państwowych. Tymczasem u nas np. Warszawa oddała wszystkie swoje elektrociepłownie szwedzkiemu państwowemu koncernowi energetycznemu, a sieci elektroenergetyczne – koncernowi niemieckiemu. Teraz zamierza sprzedać swoją sieć ciepłowniczą. To wrogie

rozbiory naszej stolicy! Nauczyli nas myśleć, że jeśli coś jest państwowe, to musi być nieefektywne, a nie zastanawiamy się, czemu efektywne jest szwedzkie i państwowe czy niemieckie i państwowe.

- **A co z systemami usług publicznych, jak służba zdrowia czy szkolnictwo wyższe? Istnieje w Polsce presja w kierunku ich prywatyzacji, uzasadniana tym, że nie działają efektywnie.**
- Zapewnianie części usług publicznych, związanych z komunikacją lokalną, edukacją czy opieką zdrowotną należy do zakresu obowiązków władz komunalnych. Dlatego efektywność ich dostarczania zależy w znacznej mierze od funduszy lokalnych oraz racjonalności, odpowiedzialności i kompetencji władz miejscowych. Nadzór państwowy nad działaniem władz samorządowych jest ograniczony. Nie jest przy tym powiedziane, że nasilanie funkcji kontrolnych poprawiłoby jakość zarządzania. Nad złą jakością usług publicznych ciąży przede wszystkim ograniczenia finansowe oraz koterie ugrupowań partyjnych na poziomie samorządu lokalnego. Podstawowym kierunkiem zmian na lepsze byłoby odpartyjniowanie tego poziomu administracji i zastosowanie jednakowych, bezwzględnych kryteriów kwalifikacyjnych w stosunku do personelu. Innym problemem jest niedocenywanie usług publicznych, wynikające z tego, że osoby związane z nomenklaturą rządową i administracyjną radzą sobie znakomicie nie korzystając z nich lub korzystając w niewielkim tylko stopniu.

Jedną z możliwych dróg poprawy jakości niektórych usług publicznych jest ich uspołecznienie. Znam piękną inicjatywę w Grudziądzu, częściowo realizowaną także w Wielkopolsce, polegającą na tym, żeby zakład wodociągów i kanalizacji stał się częściowo własnością zatrudnionych tam pracowników, a częściowo własnością użytkowników sieci. Inaczej mówiąc, idzie o to, aby wspomniane przedsiębiorstwo zamiast sprzedawać udziały anonimowemu właścicielowi, wydało akcje i rozprowadziło je wśród załogi i mieszkańców. Jest to bardzo ładna idea, gdzieś tam już sprawdzona, choć w większości miast dominuje prymitywna tendencja do prywatyzacji.

- **Wróćmy na chwilę do przeszłości. Współpracował Pan z „Solidarnością” od jej powstania, reprezentował ją przy Okrągłym Stole. Obecnie rzadko przywołuje się wymiar społeczno-ekonomiczny ówczesnego Związku, wspominając go głównie jako ruch patriotyczny i antykomunistyczny. Jak Pan wyobrażał sobie odejście od realnego socjalizmu i jakie były pod tym względem oczekiwania społeczne?**
- W drugiej połowie lat 80. w kilku zespołach rządowych i społecznych prowadzone były zaawansowane prace związane z przygotowaniem transformacji. Uczestniczyłem jako ekspert w części z nich, ponieważ



W ideologicznych uzasadnieniach neoliberalizmu często można spotkać się z twierdzeniem, że z zamożnością jest jak z poziomem wody – gdy się podniesie bogatym, to automatycznie podniesie się też biednym.

prowadziłem wtedy Zakład Kompleksowych Problemów Energetyki Polskiej Akademii Nauk, obejmujący szeroki sektor paliw, górnictwa, gazownictwa, ropy naftowej i energetyki, eksportu, importu... Przy Okrągłym Stole z ramienia „Solidarności” byłem członkiem trzech podzespołów – ekonomicznego, górniczego i ochrony środowiska. Proces transformacji rysował się wtedy jako stopniowe otwieranie gospodarki na rynek i wymianę międzynarodową oraz poszerzanie udziału załóg w zarządzaniu i zyskach przedsiębiorstw. Celem było stworzenie Rzeczypospolitej Samorządnej w aspektach samorządu terytorialnego, politycznego i gospodarczego. Kierunkiem domyślnym było stworzenie uspołecznionej gospodarki rynkowej z zachowaniem własności państwa w obszarach o strategicznym znaczeniu. Sprawa prywatyzacji była traktowana jako proces wtórny, dopełniający transformację partycypacyjną i samorządową. Podkreślałem, że partycypacja owa miała obejmować również udział we własności. Chodziło o to, żeby uwłaszczyć ogół społeczeństwa, zgodnie z hasłem: „Tyle wolności, ile własności”.

Kierunek transformacji samorządowej został w ramach ustaleń Okrągłego Stołu zaakceptowany. Mówiło się przy nim m.in. o konieczności powołania Agencji Majątku Narodowego jako państwowej i społecznej instytucji kontrolnej, która dokona inwentaryzacji



©seanmcgrath, <http://www.flickr.com/photos/mcgrathhs/346327826/>



©©© Frisno, <http://www.flickr.com/photos/frisno/489131974/>

majątku narodowego na stan z roku 1989 i będzie następnie nadzorowała proces prywatyzacji oraz weźmie odpowiedzialność za uwłaszczenie obywateli.

- Jak się zatem stało, że ton transformacji zaczęli nadawać ludzie pokroju Leszka Balcerowicza, a nie specjaliści bardziej prospołeczni?

- Po czerwcowych wyborach w 1989 r., już w lipcu, sierpniu i wrześniu w Brukseli i Warszawie toczyły się poufne, a praktycznie tajne rozmowy reprezentantów „Solidarności” z przedstawicielami światowego kapitału i z młodymi adeptami amerykańskiej szkoły neoliberalnej - Jeffreyem Sachsem, Jackiem Rostowskim (obecnym ministrem finansów), Stanisławem Gomułą. Z polskiej strony była delegacja pod przewodnictwem znanego i cenionego prof. Witolda Trzeciakowskiego. Podczas tych rozmów uzgodniono w sposób zakulisowy całkowite odrzucenie programu „Solidarności”, przyjętego przy Okrągłym Stole.

Program uspołecznienia polskiej gospodarki uznano za nieefektywny, nieracjonalny i nieobiecujący. W zamian przyjęto założenia, które później zostały sformułowane jako tzw. Konsensus Waszyngtoński, określający zbiór warunków gospodarczych, nakładanych na poszczególne kraje, które chciały współpracować z Bankiem Światowym i innymi międzynarodowymi

instytucjami finansowymi. Wymagano pełnego otwarcia kraju na wymianę finansową i gospodarczą oraz zminimalizowania wszelkich krajowych ograniczeń i interwencji państwa w sferze ekonomicznej. Te warunki zostały przyjęte i były następnie realizowane. Kolejnym z nich była prywatyzacja majątku narodowego i ograniczanie wydatków z budżetu, żeby stworzyć warunki do jak najpełniejszej minimalizacji roli państwa w gospodarce i w życiu publicznym.

Wszystkie te warunki zostały przyjęte potajemnie, o czym do dziś się nie mówi. Podkreśla się natomiast fałszywie, że państwo realizuje zasady uzgodnione przy Okrągłym Stole, które po paru latach zostały zapisane w Konstytucji z 1997 r. Czytamy tam, że obowiązuje sprawiedliwość społeczna, że państwo jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli, że podstawę ustroju gospodarczego stanowi społeczna gospodarka rynkowa, oparta na solidarności, dialogu i współpracy partnerów społecznych... Podsumowując, z jednej strony były ustalenia Okrągłego Stołu i ich zapisy w Konstytucji, a poza tą propagandową fasadą realizowano reguły Konsensusu Waszyngtońskiego, otwarcia i wyprzedzającego gospodarki na nie do końca przejrzystych zasadach finansowo-prawnych. Nasze projekty powołania Agencji Majątku Narodowego czy systemu samorządowych organów państwa nie zostały nawet rozpatrzone.

- Mówiąc o zawiedzionych nadziejach na prospołeczną transformację, dochodzimy do pytania o istnienie swego rodzaju „złotego środka” między kapitalizmem a komunizmem. Różne „trzecie drogi” są zazwyczaj przedmiotem kpin neoliberalistów („trzecią drogą do Trzeciego Świata”), natomiast Pan wypowiada się bardzo pozytywnie o licznych modelach pośrednich.

- Społeczna gospodarka rynkowa zrodziła się jako koncepcja ustrojowa w okresie międzywojennym. Wypromowana została w krajach skandynawskich, a realizowana była m.in. w Polsce. Po II wojnie światowej została najlepiej opracowana i rozwinięta w odbudowujących się Niemczech. W krajach północnej Europy, które nie poddały się naciskowi globalizacji, modele te funkcjonują do dziś i bardzo dobrze radzą sobie w warunkach światowej konkurencji. Finlandia z kraju zacofanego stała się państwem niemalże wzorcowym, osiągając nieprawdopodobny wręcz rozwój społeczny i gospodarczy. A osiągnęła to właśnie dzięki konsekwentnemu realizowaniu modelu społecznej gospodarki rynkowej w bardzo trudnych warunkach olbrzymiej konkurencji. W Niemczech poddano się w dużym stopniu ideologii globalistycznej i neoliberalnego gospodarowania w latach 80. Kiedy nastąpił regres po załamaniu się światowego systemu finansowego i ekonomicznego, wielu uczonych, myślicieli i działaczy gospodarczych odwróciło się od ideologii neoliberalnej i w krajach Europy Zachodniej na różne sposoby zwiększa się obecnie skalę interwencjonizmu państwowego. W państwach tych sfera usług socjalnych w znacznej mierze została przez świat pracy obroniona, nie podlegając takiej redukcji jak choćby w Polsce.

Wydaje się zatem, że mamy podstawy do tego, by sądzić, iż społeczna gospodarka rynkowa stanowi dobrze sprawdzony model na nasze czasy. Jest to wariant, który zapewnia długookresowy rozwój gospodarczy oraz równowagę społeczną - stara się on bowiem zmniejszać różnice majątkowe i dochodowe oraz utrzymać szeroki zakres sfery socjalnej, dbając jednocześnie o środowisko naturalne. Jest to kierunek budowy społecznej, zrównoważonej i trwałej gospodarki oraz społeczeństwa obywatelskiego.

- Mówił Pan o odwróceniu od koncepcji neoliberalnych na Zachodzie. W Polsce nic takiego niestety nie nastąpiło, nie tylko w ekonomii, ale i w polityce - dominujące obecnie ugrupowania wywodzą się ze środowisk, które najmocniej forsowały neoliberalny model transfor-

macji. Jakie mogą być konsekwencje utrzymania tego błędnego kursu i czy jest w ogóle jakiś sposób, aby go zmienić? A może system sam dokona korekty, ze wszystkimi tego skutkami?

- W tej kwestii jestem względnie pesymistą. Mamy obecnie do czynienia z narastaniem przejawów coraz bardziej drastycznych konfliktów w ramach gospodarki oraz pomiędzy gospodarką a społeczeństwem. Istnieje wprowadzić w Polsce Komisja Trójstronna, ale z wielkim trudem dochodzi tam do jakichkolwiek uzgodnień, przy czym często po kilku miesiącach okazuje się, iż rząd całkowicie je lekceważy i łamie. Niestety, jest to w tej chwili jedyna platforma dialogu między światem pracy a światem kapitału - nie mamy przecież w Sejmie partii robotniczej, a jedynie partię liberalną, która sama siebie nazywa lewicową, nie mając w istocie żadnego programu społecznego. Nie ma także prawdziwej partii ludowej, chłopskiej, która by reprezentowała interesy polskiego rolnictwa rodzinnego. W zamian mamy, mówiąc z przesadą, partię obszarników i urzędników gminnych, w której prawdziwi rolnicy mają mało albo prawie nic do powiedzenia. Poza tym partia rządząca dąży do zdobycia władzy totalnej oraz są jakieś ugrupowania mniej lub bardziej satelitarne, które *de facto* - przy różnicy haseł - reprezentują tę samą, dominującą opcję liberalną. Również partia wyraźnie opozycyjna, choć odwołuje się do idei solidaryzmu społecznego, w praktyce też jest w znacznym stopniu liberalna gospodarczo. W efekcie mamy bardzo jednostronny system polityczny, pozostawiający znaczną część społeczeństwa bez głosu i bez reprezentacji.

W dodatku, jak się szacuje, odsetek osób funkcjonujących jako obywatele - czy to w partiach politycznych, czy w organizacjach społecznych - wynosi ok. 10% ogółu mieszkańców Polski. Ile zatem „procentowo” jest demokracji w naszym kraju? Wszystko to prowadzi do bardzo niejasnej przyszłości, ponieważ reszta społeczeństwa jest oszukiwana, zagubiona i skutecznie rozbita; na dodatek utrudnia się jej samoorganizację i partycypację. Jedynym wyjściem z obecnej sytuacji jest porozumienie społeczne i budowa społecznej, zrównoważonej gospodarki rynkowej - akceptowana i przyjmowana, również przez Unię Europejską, która jednak póki co dąży, wbrew deklaracjom, do centralizacji władzy i zarządzania w interesie kapitału.

Dziękuję za rozmowę.

Warszawa, 12 listopada 2010 r.

INWESTYCJA W „NOWEGO OBYWATELA”. TO MA SENS.



Przeznacz darowiznę na fundusz wydawniczy: Stowarzyszenie „Obywatele Obywatelom”, 90-734 Łódź, ul. Więckowskiego 33/126 Multibank, nr konta: 28 1140 2017 0000 4302 1082 2387 (tytuł: Darowizna - „Nowy Obywatel”)

Przez Internet najszybciej:

- PayPal - przełącz dotację na adres paypal@obywatel.org.pl
- Skorzystaj z serwisu Przelewy24. Wejdź na <http://www.obywatel.org.pl/wspieraj>

Gra w klasy

PROF. DR HAB. LESZEK K. GILEJKO

Krytyczna ocena władzy politycznej przesłania na razie konflikt w sferze ekonomicznej. Staje się on jednak coraz bardziej wyrazisty.

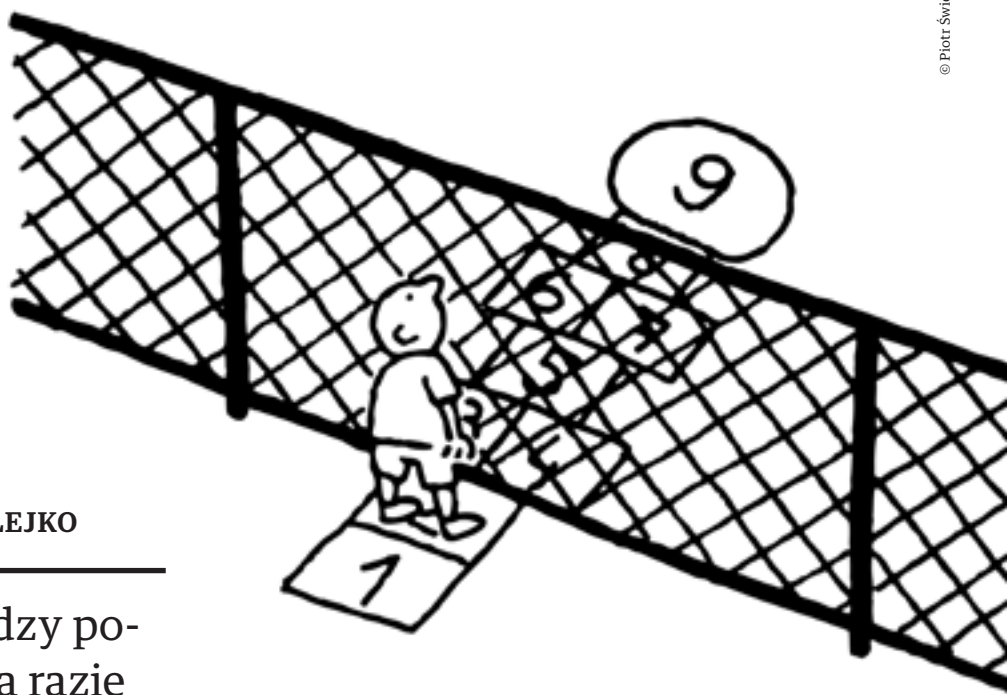
Struktura społeczna charakteryzuje stan danego społeczeństwa, stanowi jego swoistą legitymację, zespół cech tożsamościowych, a jednocześnie jest elementem i czynnikiem sprawczym dynamiki społecznej. Zlokalizowane są w niej najważniejsze źródła konfliktów społecznych.

Oto krótkie ujęcie definicyjne: *klasy według Maxa Webera, tworzą [...] ci, którzy na wolnym rynku mają podobne szanse życiowe i możliwości, zdaniem Karola Marksa podziały społeczne są wynikiem własności środków produkcji, bardziej ogólnie są to różnice między subpopulacjami w zakresie ich dostępu do wartościowych zasobów*¹. Hasło encyklopedyczne mówi, że *Struktury klasowe tworzone są przez nierówny, konfliktogenny rozkład bogactwa, władzy i wiedzy w makrosystemie społecznym*².

Powszechnie uważa się, że podstawą struktury społecznej i kształtowania się jej klasowego charakteru jest wykonywany zawód oraz jego status finansowy i prestiż. Zawód i stanowisko w zawodzie stały się podstawą do upowszechnienia kolejnej kategorii stratyfikacyjnej - grup społeczno-zawodowych.

Strukturę społeczno-zawodową zaczęto uznawać za realny obraz społecznego zróżnicowania, hierarchii i podziałów. Mówi się o nowym kształcie struktury społecznej, który można określić jako struktura klasowo-warstwowa, jeśli jej najważniejszym, a jednocześnie najbardziej dynamicznym segmentem są grupy społeczno-zawodowe. Żywotność zachowały przekonania, że w każdym społeczeństwie należy wyodrębnić klasę rządzącą, posiadającą najwięcej kapitału i władzy.

W badaniach struktury społecznej analiza poziomu nierówności, głównie dochodowych, występuje powszechnie i zawsze towarzyszy jej badanie rozmiarów i trwałości ubóstwa. Pojawiło się pojęcie podklasy, grupy „zmarginalizowanej” lub „wykluczonej” z życia, jakie prowadzi reszta społeczeństwa. W analizach struktury społecznej ważne miejsce zajmuje także płeć, co wynika m.in. z utrwalania się podziału na zawody męskie i kobiece, z których te drugie są na ogół niżej płatne. *Międzynarodowe badania porównawcze (z 1995 r.) ujawniły, że suma miesięcznych zarobków (praca główna i dodatkowa) pracującej kobiety wynosiła w Polsce tylko niecałe 57% zarobków mężczyzny*³. Co więcej, znacznie więcej kobiet niż mężczyzn jest bezrobotnych.



Zmiany występujące we współczesnych społeczeństwach powodują, że struktura społeczna jest dynamiczna. Do niedawna szczególnie silny wpływ na jej kształt miało powstawanie nowych zawodów i zmiany w ich rynkowych szansach, a przede wszystkim powstawanie nowej klasy średniej. Jednocześnie nasilały się procesy polaryzacji, szczególnie w krajach przechodzących transformację ustrojową.

Powracająca klasa

Jednym z najważniejszych skutków transformacji w Polsce są właśnie zmiany struktury społecznej. Charakterystyczne są tutaj przynajmniej trzy procesy. Pierwszy to rozwój nowych klas i zmiany w obrębie tych uformowanych jeszcze w systemie gospodarki upaństwowionej i władzy autorytarnej. Drugi – pojawianie się nowych mechanizmów strukturotwórczych i wzrost ich znaczenia. Trzeci, **najbardziej wyrazisty, to zwiększanie się zróżnicowania społeczeństwa (i jego utrwalenie), przejawiające się przede wszystkim w rozroście sfery ubóstwa.**

Jednym ze szczególnie istotnych procesów jest odwołanie i rozwój klasy przedsiębiorców, właścicieli czy kapitalistów, określanych mianem „powracającej klasy”⁴. Dokonuje się on różnymi drogami, z których dwie są najbardziej znaczące i charakterystyczne. Pierwszą wyznacza nomenklaturowa przeszłość części elity biznesu i innych członków górnych warstw powracającej klasy. W formacji nomenklaturowej, obok prominentnych członków Partii, uczestniczyli dyrektorzy przedsiębiorstw państwowych i osoby pełniące funkcje kierownicze na szczeblach władzy niższych niż centralny. Po ponad dwóch dekadach transformacji trzeba podkreślić, że z „renty władzy” korzystała nie tylko „stara nomenklatura” realnego socjalizmu, ale także kolejne ekipy związane ze zmieniającymi się rządami, nazywane „nową nomenklaturą”. Wynika to w dużej mierze z tego, że państwo sprawuje bezpośredni nadzór lub jest właścicielem czy współwłaścicielem wielu przedsiębiorstw w różnych branżach oraz z istnienia rozbudowanej sieci agencji rządowych i podobnych instytucji.

Tak zresztą renta władzy jako czynnik strukturotwórczy postrzegana jest przez opinię publiczną. Wszystkie badania jednego z najważniejszych procesów transformacji, jakim jest prywatyzacja gospodarki, wskazują, że większość społeczeństwa uważa, iż jego beneficjentami są ludzie ze „starej” i „nowej” nomenklatury, którzy wraz z „kombinatorami” tworzą grupę „wygranych”. Analizy wykazują, że oba rodzaje nomenklatury mają największy udział w tworzeniu „świata biznesu”⁵.

Na drugim miejscu rankingowej listy członków „powracającej klasy” znaleźli się profesjonaliści, zwłaszcza z inteligencji technicznej. W drugiej połowie lat 90. napływ inteligentów stał się bardziej intensywny. W 2002 r. wśród właścicieli firm było ich 16,9%, z czego

wynika, że pochodzenie inteligenckie było kategorią kilkakrotnie nadreprezentatywną wśród ludzi biznesu⁶. Robotnicy również uczestniczyli w tworzeniu nowej klasy, ale nadreprezentowani byli przede wszystkim w grupie „przegranych”, w tym w sferze ubóstwa.

Drugą formą rekrutacji do klasy kapitalistów była klasyczna droga biznesowa, której jeden z kanałów stanowiła prywatyzacja założycielska. Elity biznesu to ci, którzy dysponowali kapitałem lub uczestniczyli w procesie prywatyzacji, w której „inwestorem strategicznym” lub założycielem był kapitał zagraniczny. Ta grupa stworzyła listę najbogatszych Polaków, powiększała ją i uzupełniała „zwolnione miejsca”.

Procesy te oznaczały jednocześnie, że następuje zmiana czynników strukturotwórczych. Obok zasobów władzy, która stanowiła w przeszłości główny czynnik zróżnicowania społecznego oraz usytuowania na listach zawodów, pojawiła się władza ekonomiczna, jej zasoby, własność i kontrola. Powstawaniu nowej klasy towarzyszy rewolucja dochodowa: *Polska ma najbardziej nierównomierny podział ze względu na niezmiernie niską koncentrację niskich dochodów przy wysokiej (na poziomie wyższym niż kraje bogatsze od Polski) koncentracji dochodów wysokich. Inaczej mówiąc, na tle innych krajów Europy Środkowej Polska realizuje najbardziej elitarny model podziału dochodów*⁷.

Proces prywatyzacji, udział w nim kapitału zagranicznego i powstanie nowej drabiny dochodowej, związane zwłaszcza z sektorem bankowo-ubezpieczeniowym, a przede wszystkim wyodrębnienie się klasy menedżerów – wszystko to sprawiło, że czynnik władzy ekonomicznej stał się szczególnie ważny w procesach strukturotwórczych. Członkowie elity menedżerskiej stawali się także właścicielami akcji kapitałowych czy w inny sposób uczestniczyli w zyskach dużych spółek, ale przede wszystkim wyróżniali się zakresem posiadanej władzy i uzyskiwanymi dochodami. Zasadna jest ocena, że w drugiej połowie lat 90. największe znaczenie dla osiągania wysokich dochodów miało pełnienie funkcji kierowniczej i posiadanie wyższego wykształcenia.

Posiadanie stało się też podstawowym czynnikiem podziału klasy chłopskiej. Stosunkowo szybko uformowała się grupa agrobiznesu, do której należeli zarówno chłopcy, zwłaszcza młodzi, lub dyrektorzy i kierownicy upadających PGR-ów. Badający podkreślali: *Kształtująca się w środowisku wiejskim struktura ma charakter dualny. Na jednym biegunie znajduje się grupa rolników-producentów, która będzie obejmowała właścicieli około 600 tys. silnych ekonomicznie gospodarstw rolnych, w których będzie się skupiać produkcja żywności [...]. Drugi biegun stanowić będą ci, którzy rozluźnią związki z rolnictwem, będą czerpać środki utrzymania z innych źródeł – emerytur, rent, zasiłków, pracy poza rolnictwem*⁸.

Procesy zmian strukturalnych w klasie chłopskiej przebiegają inaczej niż w klasie robotniczej, przy czym

większość rolników ocenia się jako przegranych: *Rolnicy, których gospodarstwa spełniają kryteria rynkowe, stanowią jedną czwartą, najwyżej jedną trzecią tej klasy, reszta zaś to osoby wegetujące w specyficznym sektorze socjalnym, być może stanowią największy odłam polskiej podklasy*⁹. Sytuacja wsi poprawiła się nieco po przyjęciu Polski do Unii Europejskiej. Dopłaty do rolnictwa wpłynęły na złagodzenie jej pauperyzacji.

Pęknięta struktura

Autorzy opracowania „Pęknięta struktura społeczeństwa polskiego” stwierdzają: *W europejskiej tradycji socjologicznej klasy społeczne definiuje się w odniesieniu do stosunków kontroli nad produkcją i dystrybucją dóbr oraz usług, a także kwalifikacji i możliwości osiągania pożądanych wartości*. Dodają, że z tego powodu strukturę klasową w Polsce powinno się ujmować dynamicznie oraz że jej model musi odzwierciedlać specyfikę transformacji¹⁰. Wychodząc z tego założenia, proponują następujący schemat kategorii klasowych w naszym społeczeństwie:

1. przedsiębiorcy (posiadający własną firmę i zatrudniający siłę roboczą),
2. menedżerowie (wyższe kadry kierownicze w zakładach produkcyjnych i usługowych oraz wyższe kadry administracji państwowej),
3. eksperci („górne warstwy inteligencji”),
4. kierownicy (bezpośredni kontrolerzy procesu pracy),
5. samodzielni (kategoria pracujących na własny rachunek),
6. wykonawczy pracownicy umysłowi (wysiłek mentalny, funkcje usługowe),
7. wykwalifikowani pracownicy fizyczni (przede wszystkim robotnicy fabryczni),
8. niewykwalifikowani pracownicy fizyczni (przyuczeni, proste prace fizyczne),
9. rolnicy (kategoria bardzo zróżnicowana pod względem kwalifikacji i zamożności).

Poszerzają swoje zasoby przedsiębiorcy, właściciele największych pakietów akcji kapitałowych, elity menedżerskie i polityczne. Dorównują im specjaliści, zwłaszcza pracujący w instytucjach i zawodach, które aktualnie mają najwyższą pozycję rynkową. Niewątpliwie ukształtował się szczyt koncentracji kapitału i władzy, złożony z grup nawzajem się przenikających. Jak podkreśla Stanisława Golinowska: *tworzy się nowa klasa wyższa, obejmująca dysponentów wielkiego i średniego kapitału, menedżerów, także przedsiębiorstw państwowych, oraz elity administracyjne. Gromadzi ona bogactwo i przejmując władzę*¹¹.

Drugim segmentem jest klasa robotnicza, która w toku transformacji podlegała procesom zmniejszenia liczebności, a przede wszystkim wzrostu wewnętrznego zróżnicowania wskutek prywatyzacji i restrukturyzacji. Jej trzon, ukształtowany w toku kolejnych faz

industrializacji, czyli tzw. wielkoprzemysłowa klasa robotnicza, do której dołączyli zatrudnieni w dwóch sektorach usługowych, energetyce i transporcie kolejowym, pozostaje grupą ilościowo znaczącą. W 2002 r. było to jeszcze 22,4% ogółu aktywnych zawodowo. W ujęciach statystycznych wyróżniano ich jako robotników wykwalifikowanych. Według innej klasyfikacji, pod koniec lat 90. udział tej kategorii (obejmującej oprócz robotników przemysłowych także m.in. rzemieślników i operatorów urządzeń mechanicznych) w zatrudnieniu szacowano na 36,2%.

Obok miejsca zatrudnienia – w kluczowych branżach przemysłu, dużych przedsiębiorstwach – dla wielkoprzemysłowej klasy robotniczej charakterystyczne jest nadal silne skoncentrowanie przestrzenne. Jest też ona bardziej zorganizowana niż inne grupy. W dalszym ciągu cechują ją aktywne zachowania, głównie kontestacyjne, dotyczące nie tylko podstawowych interesów ekonomicznych, ale także interesów ogólnospołecznych.

Klasa robotnicza, choć odegrała najważniejszą rolę w pierwszej fazie transformacji, stała się jej największym przegranym. Znalazło to wyraz przede wszystkim w grupowych zwolnieniach i wzroście bezrobocia, w degradacji okręgów przemysłowych i transferze z podstawowego do peryferyjnego rynku pracy. Wielu robotników objęła sfera ubóstwa lub „życia na granicy”, znaczna część tej klasy pozbawiona jest reprezentacji.

Trzecią klasą są niewątpliwie menedżerowie, zwłaszcza ci, którzy pełnią funkcje kierownicze, zarządzają spółkami akcyjnymi, ale nie należą do ścisłej czołówki elity menedżerskiej. Są to członkowie zarządów spółek, dyrektorzy przedsiębiorstw i instytucji działających w sferze usług. W 2002 r. dyrektorzy przedsiębiorstw zatrudniających ponad pięciuset pracowników, wraz z wyższymi kadrami w administracji państwowej nie należący do elity władzy, stanowili 2,4% ogółu zatrudnionych, a w 1998 r. traktowani ogólnie jako kierownicy – 6,25%.

Nową klasę średnią tworzą też specjaliści, nazywani też profesjonalistami, których cechą wyróżniającą jest posiadanie wyższego wykształcenia. Jest to grupa szybko się zwiększająca. W 2002 r. inteligencja nietechniczna i techniczna stanowiła 8,6% ogółu aktywnych zawodowo, a obecnie jej udział wzrósł do 18,1%. Jest zróżnicowana i nie posiada jeszcze dużych zasobów ekonomicznych; nazywana bywa „klasą na dorobku”. Profesjonalistów wyróżniają przede wszystkim posiadane kwalifikacje. Można też odnotować pewne zbiorowe zachowania: strajki i demonstracje nauczycieli, lekarzy, pracowników sądownictwa, a także udział w wyborach, rozstrzygający o ich wyniku.

Klasą pozostają chłopci, właściciele gospodarstw rolnych, wśród których najważniejszą grupą są posiadający gospodarstwa średniej wielkości (do 20 ha), zdolne do produkcji towarowej. Przedsiębiorcy rolni – polscy farmerzy – należą raczej do klasy przedsiębiorców.

Na początku obecnej dekady stanowili 5,9% właścicieli gospodarstw, jednak te należące do nich zajmowały aż 40,5% użytków rolnych. Klasa chłopska zmniejszyła się z 23,5% do 12,2%, pozostaje jednak stosunkowo liczną grupą.

We współczesnych dyskusjach pojawiła się kategoria „klas usługowych”, wyróżniających się tym, że ich członkowie są na ogół zatrudnieni na podstawie stałej, długookresowej umowy o pracę. O polskiej klasie usługowej nie można tego powiedzieć, zwłaszcza w odniesieniu do jej znaczącego segmentu - pracowników handlu i usług. Pracując w supermarketach, a nawet w usługach finansowych, nie mają ustabilizowanego zatrudnienia. Są to przy tym, łącznie z pracownikami administracji, zawody najbardziej sfeminizowane - działa tu więc dyskryminujący czynnik płci. W 2002 r. wśród najniższego szczebla pracowników administracji kobiety stanowiły 87,8%. Podobnie wyglądała sytuacja w grupie pracowników handlu i usług. Z badań wynika, że *największą grupę firm z załogami w pełni kobiecymi stanowiły firmy prowadzące działalność usługową i handlową, a także w zakresie administracji i ubezpieczeń*¹².

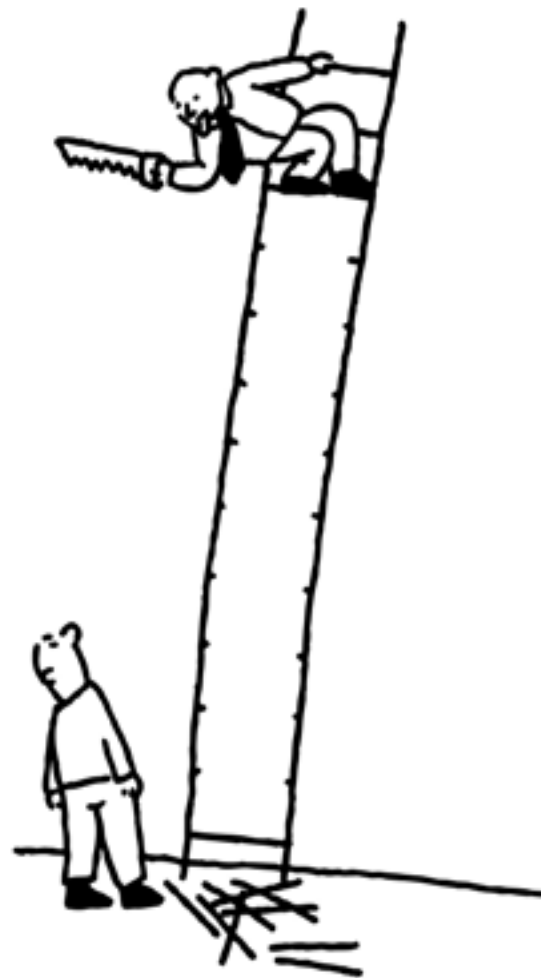
Jeśli pod pojęciem klasy usługowej rozumieć pracowników handlu i usług oraz urzędników nie pełniących funkcji kierowniczych, to jest to coraz bardziej znaczący segment polskiego społeczeństwa. Jednak w przeciwieństwie do innych grup obecnych na podstawowym rynku pracy, nie zachowuje cech klasy w rozumieniu europejskiej tradycji socjologicznej.

Relacje między klasami

W przeszłości główną osią konfliktu były relacje między „światem władzy” i „światem pracy”. Mimo zmian, jakie dokonały się w Polsce, powróciło krytyczne postrzeganie władzy. Z wielu badań wynika, że postrzeganie struktury społecznej w kategoriach „my” i „oni” ma charakter niemal ogólnospołeczny. **Na liście „oni” nie są lokowani tylko, jak w przeszłości, członkowie elity władzy, lecz również beneficjenci transformacji. Przyczyną tego jest nie tylko frustracja przegranych i poczucie zagrożenia, ale autentyczna polaryzacja.**

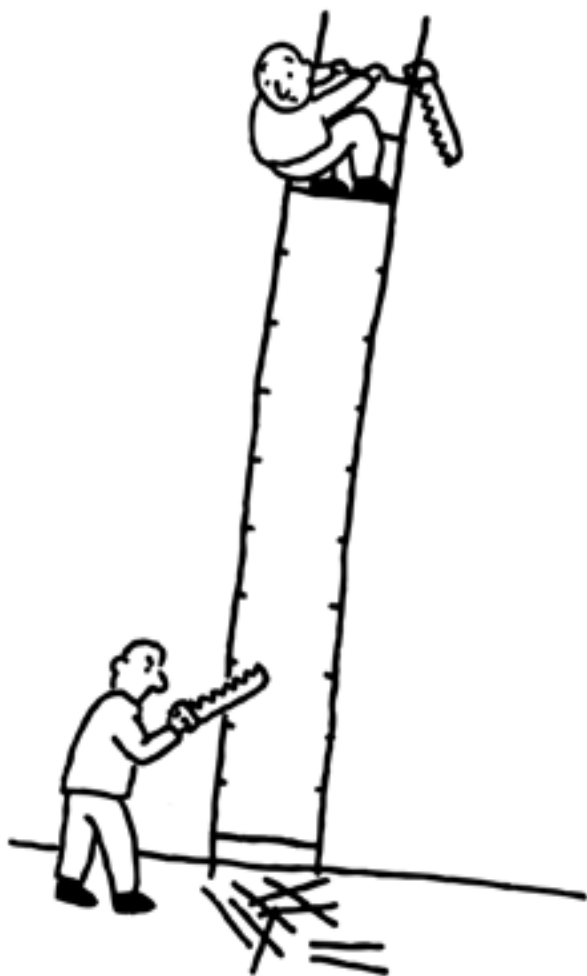
W społeczeństwie przeważa pogląd, że struktura społeczna jest nie tylko bardzo zróżnicowana, ale ma wyraźną tendencję do dalszej dychotomizacji. Ostry podział na bogatych i biednych, wygranych i przegranych, utrwalił się w świadomości społecznej. Osąd, że dochody są w Polsce zbyt zróżnicowane, wyraża 91% przedstawicieli „warstwy inteligencji”, 93% właścicieli firm, 94,3% robotników. Większość też uważa, że rząd powinien działać na rzecz zmniejszania ich rozpiętości itp.¹⁶

W latach 90. jedną stroną w konfliktach społecznych było zwykle państwo, rzadziej władze samorządowe, drugą - różne grupy pracownicze, w pewnym okresie chłopi. Klasyczny konflikt klasowy, wynikający z podziału zasobów ekonomicznych, władzy i kontroli, był



© Piotr Świderek, bardzofajny.net

jakby utajony. Ostatnio jednak zarysował się wyraźniej. Przyczyną jest wzrost znaczenia tradycyjnego zróżnicowania w procesie pracy i na rynkach pracy, a przede wszystkim krzepnięcie sektora prywatnego oraz „urynkowienie” całej sfery ekonomicznej. W sektorze publicznym, w przedsiębiorstwach państwowych i spółkach skarbu państwa pojawiły się i zaostrzyły konflikty między zarządami i dyrekcjami a pracownikami. Świadczą o tym napięcia w przynajmniej trzech branżach: górnictwie, hutnictwie i energetyce. Konfrontacje miały miejsce także w transporcie publicznym, zwłaszcza w spółkach grupy PKP. W tych ostatnich stroną często pozostają władze państwowe, choć stopniowo ich miejsce zajmują zarządy nowych spółek kolejowych i zarząd grupy. Z badań wynika, że coraz częściej ujawniają się różnice interesów między zarządem, menedżerami i pracownikami. Już nie tylko urzędnicy państwowi czy klasa polityczna, ale właśnie menedżerowie są postrzegani jako odrębna grupa interesu, a w szerszym kontekście jako klasa społeczna. Konflikt ten ma więc znamiona konfliktu między kapitałem a pracą. Zawiera też silny ładunek emocjonalny - menedżerowie, a zwłaszcza ich górne warstwy, to ludzie bogaci.



Juliusz Gardawski stwierdza na podstawie badań prowadzonych w sektorze prywatnym: *wzajemne oceny pracodawców i pracowników, powstawanie dystansów, świadomość różnicy interesów, poczucie wyzysku [...] nie są wyraziste, ale mają dynamiczny charakter. Oceny te ewoluują w kierunku relacji konfliktowych, opartych nie tylko na świadomości różnicy interesów, ale rysującego się coraz bardziej społecznego antagonizmu [...]. Z rozmów z pracownikami wynikało, że obserwują oni uważnie swoich pracodawców i mają poczucie, że [sami] są nadmiernie eksploatowani, a ich praca jest źródłem bogactwa właścicieli firm; widzą szybko rosnący dystans między sobą a właścicielami firm*¹³.

Z badań zespołu Gardawskiego wynika, że na liście grup, między którymi występują konflikty, znaleźli się „rządzający i rządzeni”, a następnie „bogaci i biedni” oraz właściciele przedsiębiorstw i ci, którzy na nich pracują. W odpowiedzi na pytanie o konflikt między pracownikami i właścicielami, nieco ponad 34% pracujących Polaków, w tym robotnicy, potwierdza jego występowanie. Większość wybiera odpowiedź „decydowanie nie i raczej nie” (56,3% badanych robotników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych)¹⁴, a na pytanie

o konflikt między bogatymi a biednymi twierdząco odpowiedziało 60% wyższej kadry kierowniczej, 64% pracodawców, 67,6% robotników wykwalifikowanych, 56,6% niewykwalifikowanych¹⁵.

Respondenci, którzy potwierdzali istnienie silnego konfliktu między bogatymi i biednymi, częściej dostrzegali też różnice interesów między właścicielami prywatnych przedsiębiorstw a tymi, którzy w nich pracują – przy czym znacznie mniej osób stwierdzało istnienie takiego konfliktu w przedsiębiorstwach zagranicznych. W badaniach „Polacy pracujący 2007” tylko 29,6% badanych robotników potwierdzało występowanie tam konfliktu między kapitałem a pracą¹⁶. Z badań przeprowadzonych pod kierownictwem Marii Jarosz w połowie lat 90. wynikało, że *pracownicy spółek oceniali, iż zagraniczny właściciel pozytywnie wpływa na kondycję firmy i położenie zatrudnionych*¹⁷. Podstawą tej oceny była wówczas zmiana czynników określających pozycję pracownika w spółce. Wymieniano je w następującej kolejności: umiejętności, wykształcenie, pracowitość.

Bardzo istotne znaczenie dla oceny stosunków społecznych w przedsiębiorstwach sprywatyzowanych z udziałem kapitału zagranicznego miały pakiety i zobowiązania socjalne nowych właścicieli. Dotyczyły przede wszystkim stabilizacji zatrudnienia na okres sześciu i więcej lat oraz podwyżek płac. *Według zapewnień obu stron (związkowców i przedstawicieli zarządu), postanowienia pakietów były przez pracodawców ściśle przestrzegane i nie powstawały na tym tle żadne spory. Natomiast związkowcy wyrażali obawy załóg i związków zawodowych po wygaśnięciu pakietów, co w praktyce oznaczać będzie przede wszystkim wygaśnięcie gwarancji utrzymania miejsc pracy*¹⁸. Z czasem okresy gwarancyjne skracano, ale przy zwalnianiu pracowników najczęściej stosowano formułę „dobrowolnego odejścia” za cenę rekompensaty finansowej (odprawy, środki na przekwalifikowanie itp.).

Ogólnie w spółkach sprywatyzowanych z udziałem kapitału zagranicznego stosunki pracy były raczej uregulowane. Z kolei w przedsiębiorstwach należących do wielkich międzynarodowych koncernów obowiązywały zasady przyjmowane w megaskali, choć poziom płac w Polsce na ogół był niższy niż w macierzystych krajach korporacji. Odmienne stosunki pracy panują w tzw. handlu wielkopowierzchniowym. Umowy krótkoterminowe należą do repertuaru działań zarządów, a częste zmiany organizacyjno-własnościowe zaostrzają poczucie zagrożenia utratą pracy.

W sektorze prywatnym, zwłaszcza w małych i średnich przedsiębiorstwach, związki zawodowe zaznaczają swoje istnienie tylko śladowo. Pracownicy czują się bezbronni, a stale występująca presja trudnej sytuacji na rynku pracy powoduje wyciszenie konfliktów. Można powiedzieć, że **mamy do czynienia z utajonym napięciem, które będzie się ujawniało wraz ze zmianami w składzie załóg pracowniczych i zaostrzaniem**

„niezbyszalnych cech gospodarki rynkowej”, wyrażających się w koniunkturalnych wahanach, kryzysach i recesjach.

Warto wspomnieć, że blisko 40% polskich przedsiębiorców z połowy lat 90. jeszcze kilka lat wcześniej było robotnikami. *Fakt ten może wpływać osłabiająco na ewentualne napięcia na tle klasowym* – pisze Andrzej Rychard¹⁹.

Konflikty przyszłości

Oceniając współczesne społeczeństwa i gospodarki wchodzące w fazę postfordyzmu, podkreśla się, że jednym z przejawów tego procesu jest przemieszczanie się konfliktów ze sfery produkcji do sfery usług, a innym – nasilanie się napięć nazywanych przez Ralfa Dahrendorfa „konfliktem poklasowym”. Jego podstawą jest wykluczenie i marginalizacja, powstanie podklasy oraz nowy typ anomii społecznej.

Wykluczenie powoduje, że ludzie nie mają swego miejsca w społeczeństwie, więc nie czują się ograniczeni jego prawami²⁰. Pisząc o perspektywach tego typu konfliktów, Dahrendorf stwierdza: *społeczeństwo, akceptując trwałe istnienie grup, które nie mają z nim żadnego związku, samo naraża się na niebezpieczeństwo*²¹. Związki między istnieniem podklasy a rozmiarami sfery ubóstwa oraz stałym zagrożeniem znalezienia się w tym obszarze przez członków klas średnich, zauważa wielu obserwatorów. Ich zdaniem, konflikt poklasowy będzie się upowszechniał, chociaż: *Stosunki między większością a podklasą nie należą do gatunku takich, jakie mogłyby wywołać jakiekolwiek zorganizowane konflikty na miarę tych pomiędzy burżuazją a klasą pracującą*²². Mogą one jednak przyjmować bardzo ostrą, agresywną postać, czego przykładem są „płonące dzielnice” w miastach Europy Zachodniej.

O wiele bardziej prawdopodobne jest natężenie konfliktów w sferze usług, w tym takich, jak edukacja czy ochrona zdrowia. W tym przypadku ich źródłem są czynniki statusowe, obecność na podstawowym, uregulowanym rynku pracy, a także zagrożenie bezrobociem. Konflikt ten mogą wzmacniać procesy komercjalizacji i prywatyzacji usług publicznych oraz ograniczenia praw socjalnych. Może to powodować wzajemne oddziaływanie dwóch pól konfliktogennych – konfliktów wynikających z marginalizacji i ubóstwa oraz ograniczania i obrony praw socjalnych, w tym poziomu regulacji rynku pracy.

Będziemy mieć zatem do czynienia z utrzymaniem się tradycyjnego konfliktu klasowego, rozwojem nowych konfliktów w sferze usług oraz z „poklasowym konfliktem”, generowanym przez rozległą i na razie trwałą sferę ubóstwa. Wynika z tego wniosek ogólniejszy, że potransformacyjna struktura społeczna nie

straciła właściwości klasowych, lecz stworzyła ich nowe pola, mające źródła i naturę systemową.

Niezależnie od cech charakterystycznych naszej drogi do kapitalizmu, „Polska rynkowa” staje się coraz bardziej powszechna, a podział na pracujących i właścicieli jest już postrzegany jako prawie tak samo ważny jak sprzeczność między „rządzającymi” i „rządzonymi” czy tradycyjny konflikt „my” i „oni”. Krytyczna ocena władzy „zasłania” na razie konflikt w sferze ekonomicznej, ale staje się on coraz bardziej wyrazisty.

PROF. DR HAB. LESZEK K. GILEJKO

Powyższy tekst stanowi zmienioną na potrzeby „Nowego Obywatela” wersję rozdziału książki „Polacy równi i równiejsi. Klasy i warstwy we współczesnym społeczeństwie polskim”, red. Maria Jarosz, Instytut Studiów Politycznych PAN, Warszawa 2010.

1. J.H. Turner, *Socjologia. Podstawowe pojęcia i ich zastosowanie*, Poznań 1998, s. 256.
2. W. Wesołowski, K.M. Słomczyński, *Klasy i warstwy społeczne* [w:] *Encyklopedia socjologii*, t. 2, Warszawa 1999, s. 26.
3. T. Kowalik, *Polska transformacja*, Warszawa 2009, s. 214.
4. J. Gardawski, *Powracająca klasa. Sektor prywatny w III Rzeczypospolitej*, Warszawa 2001, s. 48.
5. H. Domański, *Struktura społeczna*, Warszawa 2004, s. 221.
6. H. Domański, *Polska klasa średnia*, Wrocław 2002, s. 85.
7. T. Kowalik, *Dystrybucyjna sprawiedliwość w transformacji polskiej* [w:] T. Kowalik (red.), *Nierówni i równiejsi*, Warszawa 2002, s. 54.
8. H. Podedworna, *Stare i nowe klasy w strukturze społecznej polskiej wsi* [w:] L. Gilejko (red.), *Studia nad zmianami w strukturze społeczeństwa polskiego (lata dziewięćdziesiąte)*, Warszawa 2001, s. 198.
9. J. Gardawski, *Uwagi o strukturze klasowej społeczeństwa polskiego* [w:] L. Gilejko (red.), *Studia nad zmianami...*, s. 50.
10. K.M. Słomczyński, K. Janicka, *Pęknięta struktura społeczeństwa polskiego* [w:] M. Jarosz (red.), *Polska. Ale jaka?*, Warszawa 2005, s. 163.
11. S. Golinowska, *Raport społeczny 2005*, Warszawa 2005, s. 213.
12. G. Firlit-Fesnak, *Wykształcenie i kwalifikacje zawodowe a dyskryminacja kobiet w polskim świecie pracy* [w:] G. Firlit-Fesnak (red.), *Wykształcenie i kwalifikacje kobiet a ich sytuacja na rynku pracy*, Warszawa 2008, s. 35.
13. J. Gardawski, *Powracająca klasa...*, s. 149.
14. Tamże, ss. 126-127.
15. Tamże.
16. J. Gardawski, *Polacy pracujący a kryzys fordyzmu*, Warszawa 2009, s. 126.
17. M. Jarosz, M. Kozak, *Zagraniczni właściciele polskich przedsiębiorstw* [w:] M. Jarosz (red.), *Kapitał zagraniczny w prywatyzacji*, Warszawa 1996, s. 338.
18. J. Wrątny, M. Bednarski, *Wpływ prywatyzacji na zbiorowe stosunki pracy. Aspekty prawne i społeczno-ekonomiczne*, Warszawa 2005.
19. A. Rychard, *Rozproszona Polska. Wstępna próba bilansu socjologicznego* [w:] H. Domański, A. Rychard, P. Śpiewak, *Polska jedna czy wiele?*, Warszawa 2005, s. 117.
20. R. Dahrendorf, *Nowoczesny konflikt społeczny. Esej o polityce wolności*, Warszawa 1993, s. 255.
21. Tamże, s. 257.
22. Tamże, s. 256.

Państwo i sprawiedliwość

PROF. DR HAB. TADEUSZ KOWALIK

O tym, że sprawiedliwość społeczna to tylko intuicja, pisał... prezes Trybunału Konstytucyjnego, oceniając zapisy ustawy zasadniczej, w której znajduje się wyjątkowo dużo gwarancji składających się na ową sprawiedliwość!¹ Leszek Balcerowicz i jego akolici przyzwyczaili publicystów do uporczywego ujmowania tego pojęcia w cudzysłów. A jeśli ktoś odważy się podnieść kwestię łagodzenia nadmiernych nierówności, zaraz zostanie ofuknięty jako dinozaur PRL, co ma wynikać z „zawiści i pogardy” dla wiedzy, inicjatywy i przedsiębiorczości.

Temat modny, lecz nie w Polsce

Podejmując tematykę sprawiedliwości społecznej, z trudem można się uwolnić od myśli o straszliwym prowincjonalizmie naszego środowiska ekonomicznego, a może i ogółu nauk społecznych. Znani uczeni brytyjscy, A.B. Atkinson i John Micklewright, w decydującym okresie przemian systemowych zarzucili ekonomistom krajów postkomunistycznych obojętność wobec problematyki podziału dochodu narodowego². I tak już pozostało.

W Polsce milczeniem lub głośliwym odrzuceniem pokrywa się nawet najważniejsze światowe wydarzenia i debaty. Za przykład najjaskrawszy może służyć przyznanie w 1998 r. Amartyi K. Senowi Nagrody Nobla w dziedzinie ekonomii za badania nad nierównościami, biedą i głodem. Fakt ten za skandal uznała „Gazeta Bankowa” piórem Ryszarda Legutki, dla Henryki Bochniarz był to dowód „upolitycznienia Komitetu Noblowskiego”, a dla publicysty „Gazety Wyborczej” – kolejny argument na rzecz zniesienia nagrody.

Tymczasem na Zachodzie obserwujemy erupcję badań i debat na ten temat. Znanе wydawnictwo opublikowało dwa opasłe tomy tekstów, w tym kilku noblistów, pod tytułem „Sprawiedliwość ekonomiczna”³. Redaktorzy i autorzy wyraźnie obejmują przymiotnikiem „ekonomiczny” również treści społeczne. Przez wielu naszych ekonomistów uważane byłoby to za oczywisty błąd, ponieważ sprawiedliwość czy problemy socjalne mają się znajdować poza sferą gospodarki i ekonomii.

W 1994 r., po ponad trzydziestu latach od wydania oryginału, ukazał się polski przekład głównego dzieła Johna Rawlsa pt. „Teoria sprawiedliwości”⁴. W świecie

wywołało lawinę literatury filozoficznej, socjologicznej, politologicznej, prawniczej i ekonomicznej. U nas – pozostało poza zainteresowaniem ekonomistów.

Liberałowie o równości szans

Nie sposób zaprzeczyć, że pojęcie sprawiedliwości społecznej jest wieloznaczne. Jednak gdy wiemy, że odsetek dzieci żyjących poniżej progu ubóstwa wynosi ok. 25% w USA i mniej niż 3% w Szwecji (2000), to nie musimy się odwoływać do teorii, by stwierdzić, który kraj bardziej respektuje elementarne zasady sprawiedliwości. Jednocześnie pojęcie to nie jest już tylko intuicyjne. Wobec ogromu literatury nawiązującej do dzieła Rawlsa, nie do utrzymania jest pogląd, że brak nam teorii; przeciwnie, jest ich wiele.

Nieprawdą jest też, że problematyka sprawiedliwości społecznej nie jest mierzalna. Twierdzenie takie wynika z pojęciowego ograniczenia się do mierzalności **bezpośredniej**. Tymczasem w ekonomii i socjologii istnieje długa tradycja mierzenia zjawisk i procesów w sposób **pośredni**. Na ogół nie mierzy się bezpośrednio ani dobrobytu społecznego, ani rozwoju (nie wzrostu) gospodarczego, choć w odniesieniu do obu są i takie próby. Szereg wskaźników pozwala jednak na mierzenie **pośrednie**. Analogicznie, jeśli przyjąć, że sprawiedliwość społeczna realizuje się wskutek usuwania barier dla ekonomicznego, społecznego, politycznego i intelektualnego potencjału każdej jednostki – głównie przez zmniejszanie nierówności dochodowych i majątkowych, ale także np. w dostępie do stanowisk w różnych sferach życia społecznego – to pojęcie, o którym mówimy, nabiera treści uchwytnej i będących od dawna przedmiotem badań. Dodajmy, że w ostatnich dwóch dekadach nawet takie zjawiska jak wolność czy demokracja zostały poddane procedurom mierzenia.

Chyba najłatwiej o zgodę w tym, że sprawiedliwość społeczna ma zapewnić równość szans. Spór toczy się o to, jak ją rozumieć. Znaczna część dawnych liberałów i obecni neoliberalowie wychodzą z założenia, że rynek „merytokratycznie” dzieli produkty i usługi, zgodnie z wkładem, a więc sprawiedliwie. Celem jest więc tylko zagwarantowanie równości wobec prawa. Na taki redukcjonizm nie godzili się socjaliści, a później socjaldemokraci. *Novum* polega na tym, że współcześnie dołączyli do nich, a często ich zastąpili, coraz liczniejsi myśliciele liberalni. Obecnie jednym i drugim chodzi o rzeczywistą równość szans, która wymaga braku rażących nierówności dochodowych oraz znaczącego marginesu wykluczonych.

Chodzi więc o taki rozdział zasobów materialnych, który pozwala na kształcenie i samokształcenie, umożliwia pracę przynajmniej w przybliżeniu zgodną z umiejętnościami i zainteresowaniami, zapewnia godziwą płacę, możliwość uczestnictwa w życiu społecznym i politycznym. John E. Roemer⁵ i wielu innych teoretyków sprawiedliwości społecznej wprowadzają pojęcie „wyrównywanie pola gry” na szeroko pojętym

„rynku” (także społecznym i politycznym). **Państwo musi więc brać na siebie obowiązek organizowania gospodarki w taki sposób, by zatrudnienie mieli wszyscy zdolni i chętni do pracy. Masowe bezrobocie nie daje się pogodzić ze sprawiedliwością społeczną.**

To dobra okazja, by raz jeszcze (robił to wielokrotnie Andrzej Walicki) wyjaśnić różnicę między tym, co u nas uchodzi za myśl liberalną, a zachodnią myślą liberalną. **Nie jest bowiem prawdą, że postulat sprawiedliwości społecznej został bez reszty zaanektowany przez społeczność lewicę (włączając chrześcijańską). Więcej nawet: teorię sprawiedliwości społecznej tworzyli raczej myśliciele liberalni, traktujący koncepcje egalitarne jako „realną utopię”, ideał, do którego należy dążyć, co oznacza przede wszystkim odrzucenie kapitalizmu wolnorynkowego.**

Oto na przykład pisał Bruce Ackerman: *Ustrój oparty na zasadach laissez-faire z jednej strony akceptuje ogromną koncentrację dziedzicznego bogactwa, a z drugiej dopuszcza istnienie klasy niewykształconej, pozbawionej wszelkiego majątku. Taka systematyczna wadliwa dystrybucja bogactwa zamienia w farsę ideał równego uczestnictwa politycznego. Spójna jest również z wszelkimi przejawami zawodności rynku: tworzeniem karteli, degradacją środowiska, powszechnym nadużywaniem ignorancji konsumentów. Żaden myśliciel liberala [...] nie będzie z radością przyglądał się tak jawnym niesprawiedliwościom⁶. W innym miejscu autor ten podkreślał, że dla współczesnego liberalizmu prawo własności nie jest największą świętością. Ustąpić musi ono takim wznioślejszym wartościom jak umożliwienie obywatelom rozwoju osobowości w warunkach swobody i równości⁷.*

Demokracja właścicielska

Niektórzy teoretycy liberalizmu podkreślali, że kapitalistyczna własność powstała z naruszeniem elementarnych praw. Tak uważał np. jeden z najważniejszych myślicieli tego nurtu, John Stuart Mill. W swym głównym dziele ekonomicznym pisał: *Społeczne urządzenia współczesnej Europy zaczęły się od podziału własności będącego rezultatem podboju i gwałtu, a nie sprawiedliwego podziału lub nabycia przez skrzętność [...]. System ten ciągle nosi wiele istotnych cech owych początków. Prawa własności nigdy nie zostały skonfrontowane z zasadami, na których opiera się usprawiedliwienie prywatnej własności. Uczyniły one własnością rzeczy, które nigdy nie powinny nią być, także stworzyły własność absolutną w przypadkach, gdy istnieć powinna tylko własność ograniczona. Nie zachowały one przyzwoitej równowagi między jednostkami ludzkimi [...]; celowo wymusiły nierówności i uniemożliwiły przyzwoity start w wyścigu wszystkich⁸.*

Mill dowodził, że socjaliści okazaliby się zbędni, gdyby prawo sprzyjało upowszechnieniu bogactwa, a nie jego koncentracji. Dzieło Rawlsa, powszechnie uważanego za myśliciela liberalnego⁹, można uznać za próbę naprawienia tego historycznego błędu. Już w samej



koncepcji ogólnej postulowanego ustroju autor podkreśla postulat równego podziału bogactwa, a więc i własności: *Wszelkie pierwotne dobra społeczne – wolność i szanse, dochód i bogactwo, a także to, co stanowi podstawy poczucia własnej wartości – mają być rozdzielone równo, chyba że nierówna dystrybucja któregośkolwiek z tych dóbr bądź wszystkich jest z korzyścią dla najmniej uprzywilejowanych*¹⁰.

Chyba jednak najdobitniej sformułował to w przedmowie do polskiego wydania swego dzieła: *W państwie opiekuńczym chodzi o to, by nikt nie spadł poniżej określonego, godziwego poziomu życia i aby wszystkim zapewnić ochronę w razie wypadku czy niepowodzenia, na przykład zasiłek dla bezrobotnych i opiekę zdrowotną [...]. Taki system może dopuszczać wielkie i dziedziczne nierówności w zakresie rozdziału bogactwa, które są nie do pogodzenia z autentyczną wartością wolności politycznych [...], jak również wielkie różnice dochodu, naruszające zasadę dyferencji. Choć czyni się pewien wysiłek, by zapewnić autentyczną równość szans, jest on przy takich różnicach w zakresie dochodu,*

i w konsekwencji – wpływu politycznego, niewystarczający albo nieskuteczny. W przeciwieństwie do tego w demokracji właścicielskiej celem jest urzeczywistnienie przez cały czas idei społeczeństwa jako sprawiedliwego systemu kooperacji obywateli, jako wolnych i równych osób. Tak więc instytucje podstawowe od początku muszą działać tak, by środki produkcji trafiały w ręce szerokiej rzeszy obywateli – tak aby w pełni uczestniczyli oni w społecznej kooperacji – a nie tylko w ręce nielicznych.

Przypomnijmy też, że przystępując do definicji swej koncepcji ogólnej, Rawls zastrzega, iż *nierówności społeczne i ekonomiczne mają być tak ułożone [...] aby były z największą korzyścią dla najbardziej upośledzonych – nie z korzyścią w ogóle, lecz z największą korzyścią. Chodzi, jak sądzę, o dawanie więcej tym, którzy nie ze swojej winy cierpią niedostatek lub narażeni są na bariery uniemożliwiające korzystanie z autentycznie równych szans* (ulubiony zwrot Rawlsa). Na przykład należy dawać więcej środków na edukację dzieciom ze slumsów, ponieważ inaczej odziedziczą slumswy status. Podobnie jak czynią to rodzice, wysyłając na korepetycje dziecko mniej zdolne, ponieważ utalentowane da sobie radę samo. Dopiero wówczas, gdy osiągną one w przygotowaniu do życia mniej więcej równy poziom i jako dorośli będą mogły odpowiadać za siebie, można je traktować (np. w testamencie) jednakowo¹¹. Ten nurt myśli wymaga przypomnienia, gdyż **we współczesnej Polsce dominuje aroganckie wołanie nowobogackich o prawo do przeciwstawnej nierówności: o prawo do nieograniczonego bogactwa.**

Wbrew częstej opinii, w dziele Rawlsa znajdujemy całkiem konkretnie zarysowany obraz organizacji państwa zapewniającego sprawiedliwość społeczną. Jednym z jego zadań miałyby być *stopniowe i ciągłe korygowanie podziału bogactwa i zapobieganie koncentracji władzy, godzącej w wolność polityczną i równość szans*¹². Ostatecznym celem jest system, w którym ziemia i kapitał są w posiadaniu niekoniecznie równym, ale szerokich rzesz, nie zaś małej grupy kontrolującej większość zasobów.

Kontynuacja myśli Milla i Rawlsa znalazła swój najpełniejszy wyraz w pracach Josepha Stiglitz. Sformułował on wiele postulatów, które brzmią jak ostra krytyka polskiej transformacji. Tylko tytułem przykładu zacytuję ten z nich, który jeszcze po rozpoczęciu wielkiego skoku na rynek, w maju 1990 r. pozostawał niespóźnioną sugestią. Dotyczył dopiero projektowanej na wielką skalę prywatyzacji sektora publicznego: *gospodarki krajów posocjalistycznych są w wyjątkowej sytuacji, mając możliwość stworzenia takiej równości własności bogactwa, która nieosiągalna być może w innych gospodarkach rynkowych. Często formułowany cel „kapitalizmu ludowego” może rzeczywiście znajdować się w zasięgu ręki, w sposób, który w innych krajach jest trudny do pomyślenia z uwagi na istniejącą koncentrację własności. Kraje posocjalistyczne nie powinny utracić okazji dokonania reform, które są osiągalne*¹³.

Sprawiedliwość = stabilność = efektywność

Czy sprawiedliwość społeczna kosztuje? Dotykamy tu czegoś, co uważam za największe osiągnięcie w dziedzinie teorii ekonomii czasu powojennego, choć w Polsce notorycznie przemilczane.

Przez wiele dziesięcioleci sądzono, że wzrost gospodarczy (przynajmniej w fazie uprzemysłowienia) nieuchronnie powoduje wzrost nierówności dochodowych. Za teoretyczne uogólnienie uchodziła tu rozprawa Simona Kuzneta¹⁴, której autor wyrażał jedynie nadzieję, że na wysokim stopniu rozwoju powstaną warunki do łagodzenia nierówności. Jeszcze w latach 70. Arthur Okun, jeden z bliskich doradców prezydentów Kennedy'ego i Johnsona, działający zresztą na rzecz zmniejszenia nierówności, opublikował książkę, której tytuł sugeruje nieuchronny konflikt pomiędzy równością i efektywnością. Brzmiał on „Equality and Efficiency: The Big Tradeoff” (w wolnym tłumaczeniu: „Ile równości, ile efektywności?”). *Tradeoff* oznacza tu: jeśli chcesz więcej pierwszego, to zapłacisz zmniejszeniem drugiego, i odwrotnie.

Pod wpływem realiów, głównie tzw. tygrysów wschodnioazjatyckich, dokonała się radykalna zmiana poglądów. Fakty i dane statystyczne dowodnie świadczyły, że najwyższą dynamikę wykazywały kraje o najmniejszych nierównościach dochodowych. Kropkę nad „i” postawił Stiglitz, wówczas główny ekonomista Banku Światowego (1997-2000), ogłaszając, że doświadczenie wschodnioazjatyckie skłoniło go do odrzucenia prawa Kuzneta.

Przykłady dwóch krajów przywoływane są jako dowód, że wielkie i rosnące nierówności mogą iść w parze z bardzo wysoką stopą wzrostu. Prawdziwego skoku modernizacyjnego dokonała w ciągu zaledwie kilkunastu lat Irlandia. Z kraju o średnim poziomie PKB wysunęła się na czoło państw UE pod względem wysokości dochodu narodowego w przeliczeniu na mieszkańca (wyprzedza ją tylko Luksemburg). Powstaje jednak pytanie, czy stworzyła ona społeczeństwo stabilne, zdolne do długotrwałego rozwoju. Głębia zapaści jej gospodarki w czasie obecnego kryzysu ma wiele wspólnego z faktem, że spadek udziału płac w dochodach ludności (a więc i kurczenie się popytu krajowego) był tu bodaj najsilniejszy wśród krajów UE (może poza Polską). Drugim krajem są Chiny, szczytujące się najwyższą na świecie stopą wzrostu gospodarki – średnio ok. 10% na przestrzeni ostatnich 30 lat. Tylko w pierwszej dekadzie marszu do kapitalizmu szybko ograniczały ubóstwo, obecnie zaś nierówności dochodowe osiągnęły tam poziom najbardziej nieegalitarnych krajów Ameryki Południowej.

Mit demontażu państwa opiekuńczego

W Polsce powszechnie uważa się, że na Zachodzie państwo opiekuńcze przechodzi lub przeszło do historii. Opinię taką ukształtowali, mocno wspomagani przez media, polscy konserwatywni liberałowie (tych

niekonserwatywnych, wywodzących się nie od Hayeka i Friedmana, lecz od Milla, w Polsce prawie nie ma). Jednak najbardziej przyczynili się do tego korespondenci zagraniczni głównych organów prasowych, od lat wieszczący śmierć państwa opiekuńczego, modelu szwedzkiego czy społecznej gospodarki rynkowej w Niemczech. Taka systematyczna negacja istnienia państwa opiekuńczego na Zachodzie odgrywa oczywistą rolę instrumentalną. Wsparta wtłaczaną do głów koniecznością „reformy” finansów publicznych, ma zachęcać władze do dalszego demontażu socjalnych funkcji państwa, jako czegoś oczywistego.

W tym kontekście szczególnie ważne stają się doświadczenia krajów nordyckich. Przede wszystkim okazało się, że wejście do Unii Europejskiej nie zmieniło zasadniczo charakteru ich ustroju społeczno-ekonomicznego. Wbrew często powtarzanym opiniom o negatywnym wpływie wysokiego poziomu wydatków socjalnych i uprawnień pracowniczych, czynniki te nie przeszkodziły ich sukcesowi gospodarczemu. Niejako na marginesie problemu konkurencyjności USA i UE, dwaj austriaccy uczeni, Karl Aiginger i Michael Landesman, wysuwają wręcz ostrożne przypuszczenie, że w krajach tych rodzi się „przyszły model europejski”, charakteryzujący się wysokim stopniem opieki i szerokim zabezpieczeniem społecznym, lecz również inwestowaniem w nowe technologie i ich upowszechnianie¹⁵.

Nie jest to niemożliwe, ponieważ państwo opiekuńcze się obroniło¹⁶. Potwierdzenie tego faktu nietrudno znaleźć w danych statystycznych oraz monografiach specjalistów¹⁷. „Uporczywość” utrzymywania się państwa opiekuńczego wypływa m.in. z głęboko zakorzenionego przywiązania społeczeństw do jego instytucji. Nawet w Niemczech po reformach Schrödera-Hartza udział wydatków socjalnych w PKB wynosi obecnie 26%, o 9 punktów procentowych więcej niż w USA, a tylko o jeden punkt mniej niż w Szwecji¹⁸.

Wiemy dziś, że jedną z głównych przyczyn obecnego kryzysu światowego jest wadliwy podział dochodu narodowego; wskazuje na to wielu znanych ekonomistów (m.in. Paul Krugman, Robert Reich, Joseph Stiglitz). W USA w latach 1978-2007 godzinowe płace 80% pracowników (z wyłączeniem menedżerów wszystkich szczebli) – nie wzrosły. To ten fakt sprawia, że zanika tamże klasa średnia¹⁹. Zrodziło to wielkie problemy popytu krajowego, na tym podłożu powstała pokusa szukania środków zastępczych w postaci kolosalnego zadłużenia, m.in. osławione kredyty hipoteczne dla uboższych (*subprime*).

Nie jest wolna od tych problemów Unia Europejska. Ostatnio coraz częściej padają pod adresem Niemiec oskarżenia, że windując do niebotycznych wysokości eksport przy trzymaniu w ryzach płac krajowych, dezorganizują Euroland. Uważa się, że kraj ten ponosi częściową winę za kryzys Grecji²⁰. Choroba ta trawi również gospodarkę Polski. Szczycimy



się, że w czasie transformacji już prawie dwukrotnie wzrósł PKB. O tyle też mniej więcej wzrosła wydajność pracy. Wszelako płace realne pozostawały daleko w tyle i odzyskały poziom sprzed transformacji dopiero w okolicach 2000 r. Były spychane w dół przez wysokie bezrobocie przy braku skutecznej działalności defensywnej związków zawodowych, zwłaszcza „Solidarności”, złamanej przez rozciągnięcie parasola ochronnego nad „planem Balcerowicza”. Niskie zaś płace jako narzędzie konkurencyjności nie zachęcały przedsiębiorców do postępu technicznego. Niskie płace to także ograniczony popyt, a więc i marne perspektywy zyskowności inwestycji. Są zatem antywzrostowe i antyzatrudnieniowe.

Nowy ład społeczno-ekonomiczny

Polska w 1989 r. miała przed sobą wiele możliwych ścieżek rozwoju. Niestety, wybrano wcielanie w życie czystej doktryny rynku. Społeczne konsekwencje obranego modelu transformacji znalazły wyraz w następujących cechach. Po pierwsze, Polska doświadczyła najwyższej w tak długim czasie stopy bezrobocia pośród krajów Unii Europejskiej oraz w Europie Środkowej. Już w pierwszej połowie lat 90. zarejestrowane bezrobocie osiągnęło u nas poziom 16%, a w szczytowym momencie – 20%. Po chwilowej poprawie sytuacji w wyniku wstąpienia do UE, znów doświadcza

Polskę charakteryzują jedne z najwyższych w Europie nierówności dochodowych, istnienie dużego bieguna ubogich, a także dużych fortun powstałych na styku sfery publicznej i prywatnej.

wysokiego bezrobocia z tendencją do jego wzrostu. Istnieje też bezrobocie ukryte, ponieważ spora część bezrobotnych nie widzi sensu rejestrowania się, gdy tylko nieznaczna część z nich ma prawo do zasiłku. W żadnym kraju UE bezrobocie wśród młodzieży nie przekroczyło 40%. W Polsce zaś przed wejściem do Wspólnoty wynosiło 43%, a obecnie znów zmierza w kierunku tego niechlubnego rekordu. Jest to jeden z wielu symptomów świadczących, że elity władzy przyzwyczały się do wysokiego bezrobocia. Proponowane obecnie środki nie zapowiadają na najbliższe lata nawet zahamowania wzrostu tej prawdziwej klęski społecznej o wielorakich konsekwencjach. Bezpośrednim skutkiem zaniedbań stała się emigracja zarobkowa o skali największej w czasie pokoju. Tylko cynizm lub niewiedza mogłyby skłaniać do obrony tezy, że korzyści z tego masowego i wymuszonego exodusu przewyższają straty.



© dkeyjon, http://www.flickr.com/photos/dkeyjon/1886415051/

We współczesnej Polsce dominuje aroganckie wołanie nowobogackich o prawo do nieograniczonego bogactwa.

Po drugie, transformacji towarzyszy bardzo wysoki poziom ubóstwa, znacznie większy niż w innych krajach Europy Środkowej. Przykładem najbardziej jaskrawym był następujący fakt: w dziesięciolecie poprzedzającym przystąpienie Polski do Unii, nasz PKB wzrósł o ponad 1/3, a w tym samym czasie liczba osób żyjących poniżej (biologicznego) minimum egzystencji zwiększyła się niemal trzykrotnie, przekraczając 4 miliony osób. Niedawno UE wykłnęła Polsce najwyższy we Wspólnocie odsetek dzieci żyjących poniżej linii ubóstwa, wynoszący 26%. Przed recesją lat 2008-2009 sytuacja się poprawiła, ale znów mamy objawy narastania tej patologii. Bezpośrednią przyczyną jest jeden z najniższych w Unii udziałów w PKB wydatków na zabezpieczenie społeczne, a zwłaszcza najniższy udział świadczeń dla dzieci, dla bezrobotnych, na pomoc mieszkaniową i inną pomoc socjalną²¹. Najniższy jest także udział wydatków na aktywną politykę walki z bezrobociem.

Po trzecie, Polskę charakteryzują jedno z najwyższych w Europie nierówności dochodowych, istnienie

dużego bieguna ubogich, a także dużych fortun powstałych na styku sfery publicznej i prywatnej. Według Stanisławy Golinowskiej²², mamy najwyższy po Portugalii wskaźnik nierówności dochodowych (Giniego) w UE, a porównania z innymi krajami Europy Środkowej brzmią wręcz niewiarygodnie. Wskaźnik ten w Czechach, na Słowacji i w Słowenii jest ciągle jeszcze niższy niż w Polsce przed transformacją, a tylko nierówności Węgier osiągnęły ówczesny ich poziom w naszym kraju²³. Nie jest więc zasadny często podnoszony argument, że nasze rozpiętości dochodowe są uwarunkowane potrzebami wydajności.

To nie wszystkie cechy nowego ładu społeczno-ekonomicznego. Należałoby jeszcze wymienić zwłaszcza ubóstwo wśród rolników, zapaść budownictwa mieszkaniowego dla osób gorzej sytuowanych, systematyczne ograniczanie i zachwianie stabilności państwa opiekuńczego, przewagę XIX-wiecznych stosunków pracy w nowo powstałym sektorze prywatnym, wreszcie zjawisko korupcji i klientelizmu, objawiające się ze szczególną siłą w procesach prywatyzacji.

Te właśnie fakty, zjawiska i procesy traktuję jako osobliwości konstytuujące system, który będzie nam towarzyszyć przez wiele, wiele lat. Owe cechy systemowe oznaczają daleko idące konsekwencje, w tym czysto ekonomiczne – mają fatalny wpływ na innowacyjność i dynamikę polskiej gospodarki.

To nie jest kraj dla zwykłych ludzi

Powyższe wywody prowadzą do wniosku, że nowy ład społeczny zawodzi zarówno jako promotor modernizacji, jak i twórca podstaw dobrobytu społecznego. Jest więc jawnym zaprzeczeniem podstawowych zasad Konstytucji. Wskazywał na to słusznie były rzecznik praw obywatelskich, Tadeusz Zieliński: *Sfera ubóstwa w naszym kraju znowu się drastycznie zwiększyła [...]. W świetle tych ponurych statystyk [GUS-u] nie ma już wątpliwości, że Trzecia Rzeczpospolita nie jest państwem sprawiedliwości społecznej. Jest to stan niezgodny z ustrojową zasadą wyrażoną w art. 2 konstytucji. W Polsce współczesnej nie jest realizowana idea wolności „od lęku i niedostatku”, do której ponad pół wieku temu odwołało się Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych, uchwalając Powszechną Deklarację Praw Człowieka*²⁴ [podkr. T.K.].

Nie chodzi jednak o samo tylko ubóstwo. Wyżej przedstawiłem listę niechlubnych polskich rekordów. Jest to oczywisty wynik działań i zaniechań kolejnych władz. Chodzi tu zarówno o kierunkowe decyzje ustrojowe, jak i o cały splot tysięcy publicznych i prywatnych decyzji. Zaprzeczeniem polityki pełnego zatrudnienia jest masowe i permanentne bezrobocie. Znikoma część bezrobotnych otrzymuje zabezpieczenie z tego tytułu. Nie zapewniono faktycznej wolności tworzenia związków zawodowych w sektorze prywatnym. „Planowe” niedobory w budżecie państwa w licznych wypadkach uniemożliwiają wywiązywanie się z konstytucyjnego i ustawowego obowiązku pomocy materialnej osobom żyjącym w biedzie. Wprowadzany w 1999 r. system emerytalny nawet w elementarnym stopniu nie spełnia kryterium solidarności międzygrupowej i międzypokoleniowej. Dokonane i projektowane reformy nie zapewniają równego dostępu do usług zdrowotnych i edukacyjnych.

Rodzi się zatem fundamentalne pytanie: jaki kapitalizm chcemy mieć w Polsce? Wiąże się z nim wiele innych. Czy wobec braku realizacji zasad sprawiedliwości społecznej RP jest krajem demokratycznym, czy też państwem rządzonym przez oligarchię polityczno-gospodarczą. Czy można stworzyć państwo prawa, ignorując równocześnie postanowienia ustawy zasadniczej w podstawowych kwestiach społeczno-ekonomicznych? Czy można w dobrej wierze głosić zasady etyki w gospodarowaniu, które miałyby obowiązywać poszczególne firmy i jednostki, nie odnosząc się do rażącej sprzeczności pomiędzy konstytucyjnymi zobowiązaniami i politycznymi czynami? Czy można mieć nadzieję, że da się ograniczyć korupcję, klientelizm w mikroskali, nie podejmując wysiłku zmierzającego do uzdrowienia zasadniczych kierunków działalności gospodarczej państwa w makroskali?

Odważne spojrzenie prawdzie w oczy powinno skłonić do porzucenia wzorów anglosaskich i wejścia na lepszą trajektorię rozwoju. Nasza obecność w zróżnicowanej systemowo UE (np. brytyjski ład wolnorynkowy

versus socjaldemokratyczny ład krajów nordyckich) zachęca do naśladowania wzorów najlepszych. Konstytucja RP stwarza prawne podstawy do takich dążeń. Deklaruje ona oparcie naszego ustroju na zasadach „społecznej gospodarki rynkowej” i zawiera ich szczegółową eksplikację. Miejsce naczelne zajmuje zasada dążenia do społecznej sprawiedliwości (art. 2), ta zaś ma być realizowana m.in. przez udział związków zawodowych i innych organizacji w procesie decyzyjnym (art. 12). Inne artykuły omawiają liczne uprawnienia pracownicze. Społeczno-ekonomiczna część ustawy zasadniczej stanowi logicznie przemyślaną całość, a wśród konstytucji europejskich wyróżnia się szczegółowością zapisów.

Niezależnie od tego, czy w najbliższych latach realny jest zasadniczy zwrot w polityce kształtowania ładu społecznego, aktualne pozostają dwa ważne zadania. Po pierwsze, w procedurach bieżącego kształtowania prawa, a zwłaszcza w orzeczeniach kontrolnych, powinna być obecna świadomość niezgodności realiów z założeniami Konstytucji. Powinno to skłaniać do znacznie szerszego niż dotąd udziału reprezentacji zainteresowanych grup społecznych, nie tylko w postaci niezależnych ekspertyz, lecz także w formie otwartych debat. Stałyby się one, być może, początkiem społecznego ruchu obrony Konstytucji jako rzeczywistej podstawy ustrojowej również w sferze społeczno-ekonomicznej.

Po drugie, ogromnie ważne jest kształtowanie wyobraźni społeczno-ekonomicznej w duchu legalistycznego naprawiania porządku społecznego. Już kilkanaście lat temu Jacek Kuroń przestrzegał²⁵: *Kiedy duże grupy społeczne mają poczucie, że zostały wypchnięte poza społeczeństwo, że pozbawiono je szansy udziału w normalnym życiu, że odebrano im możliwość spełnienia swych aspiracji, to zaczynają się buntować przeciwko takim porządkom i mogą je zniszczyć*. Obecność zasady społecznej sprawiedliwości w procesie kształtowania prawa oraz dyskursie publicznym może zapobiec ślepych siłom społecznym.

W artykułach 188 i 191 Konstytucja zawiera postanowienia umożliwiające Trybunałowi Konstytucyjnemu zakwestionowanie zgodności z Konstytucją *celów lub działalności partii politycznych*, co *implicite* musi się odnosić także do rządzących ugrupowań politycznych. Drugi z przywołanych artykułów upoważnia związki zawodowe do występowania z odpowiednimi wnioskami do Trybunału. Enuncjacje przywódców związkowych²⁶ świadczą o tym, że dostrzegają oni wymienione wyżej wady systemowe. Może się więc zdarzyć, że związki zawodowe właśnie w Trybunale Konstytucyjnym upomną się o elementarne prawa świata pracy. Wniosek taki dobrze wpisywałby się we wspomniany ruch obrony Konstytucji. Trudno sobie wyobrazić, by w takiej sytuacji Trybunał mógł kontynuować swą praktykę odwoływania się do Konstytucji w sprawach mniej ważnych, czasem nawet

drugorzędnych, milczeniem pomijając ułomności ustrojowe o znaczeniu tak kluczowym dla całego społeczeństwa.

PROF. DR HAB. TADEUSZ KOWALIK

Powyższy tekst jest zmienioną wersją referatu wygłoszonego w Trybunale Konstytucyjnym w dniu 9 marca br. i opublikowanego (w minimalnym nakładzie) w: Trybunał Konstytucyjny, *Podstawowe założenia Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej*, Warszawa 2010.

1. Marek Safjan, *Sprawiedliwość społeczna - intuicja czy teoria?*, „Rzeczpospolita”, 19.04.1999.
2. A.B. Atkinson, J. Micklewright, *Economic Transformation in Eastern Europe and the Distribution of Income*, Cambridge 1992.
3. *Economic justice*, t. 1 i 2, red. G. Brosio, H.M. Hochman, Cheltenham, UK - Northampton, USA 1998.
4. J. Rawls, *Teoria sprawiedliwości*, przeł. M. Panufnik, J. Pasek, A. Romaniuk, Warszawa 1971 i 1994.
5. J.E. Roemer i in., *Equality and responsibility*, „Boston Review” nr 2/1995.
6. B. Ackerman, *Przyszłość rewolucji liberalnej*, Warszawa 1996, s. 15.
7. Ibidem, ss. 94-95.
8. J.S. Mill, *Zasady ekonomii politycznej*, t. 1, Warszawa 1966, s. 334.
9. J. Rawls, op.cit., s. 414.
10. Ibidem, s. 414.
11. J.E. Roemer, op.cit.
12. J. Rawls, op. cit., ss. 379-381.
13. J. Stiglitz, *Whither Socialism*, Wicksell Lectures, ksero, Sztokholm 1990, s. 62.
14. S. Kuznets, *Economic growth and income inequality*, „American Economic Review” t. 45/1, 1955.
15. K. Aiginger, M. Landesman, *Competitive economic performance: USA versus EU*, Wiedeń 2002.
16. Dodajmy, że w rankingu Transparency International z 2003 r. pięć krajów nordyckich znalazło się w pierwszej dziesiątce najmniej zarażonych korupcją, chociaż są państwami największymi z punktu widzenia zakresu dochodów i wydatków sektora publicznego. Przeczy to popularnemu przekonaniu, że dążenie do państwa minimalnego jest najpewniejszą drogą do redukcji tej patologii.
17. Zob. np. P.H. Lindert, *Growing Public. Social Spending and Economic Growth since the Eighteenth Century*, Cambridge 2004.
18. C. Brooks, J. Manza, *Why Welfare States Persist. The Importance of Public Opinion in Democracies*, Chicago 2007.
19. P. Krugman, *America revels in a replay of the Gilded Age*, „The Times” 26.10.2002.
20. H. Flassbeck, *Germany and the Euro. Anatomy of a Misunderstanding*, *Economist online debate*, 1 kwietnia 2010 r.
21. K. Hagemeyer, *Polityka celów, środków i miar*, „Dialog” nr 3-4/2009, ss. 24-25.
22. S. Golinowska, *Diversity and Communality in European Social Policies. The Forging of a European Social Model*, s. 22; polska wersja streszczenia książki, Fundacja F. Eberta, Warszawa 2008.
23. J. Przychodzeń, W. Przychodzeń, *Szara strefa a nierówność dochodowe w gospodarkach posocjalistycznych*, „Master of Business Administration” nr 2 (97)/2009.
24. T. Zieliński, *Więcej biedy - mniej wolności*, „Przegląd” z 24.01.2000.
25. J. Kuroń, *Wykluczeni, wyróżnieni, niewidzialni*, „Magazyn Gazety Wyborczej” 22.07.1997.
26. Patrz np. A. Radzikowski, *Związki w świecie konfliktów*, „Przegląd Socjalistyczny” nr 1/2010.

POLECAMY



**Tak trudno żyć bez mamy.
Tak łatwo pomóc osieroconym dzieciom.**

Nasz numer konta: 07 1240 6247 1111 0000 4975 0683



www.wioskisos.org

Na prospołecznym froncie

z Cezarym Miżejewskim

rozmawia Michał Sobczyk

- **Był Pan aktywistą podziemnej opozycji demokratycznej, w wolnej Polsce jednym z liderów radykalnej pozaparlamentarnej Polskiej Partii Socjalistycznej, a następnie posłem z listy SLD; działał w dwóch centrach związkowych i reprezentował stronę związkową w Komisji Trójstronnej; pełnił funkcję wiceministra polityki społecznej oraz radcy w Ministerstwie Rozwoju Regionalnego; angażuje się Pan w ruch pozarządowy. To niemal pełna paleta opcji wpływania na rzeczywistość społeczną.**

- Każda z wymienionych form aktywności ma oczywiście zalety i minusy. W działalności w ramach administracji rządowej olbrzymie znaczenie ma to, w jakim miejscu się pracuje i na jakim stanowisku. Paradoksalnie, czasem nie trzeba pełnić wysokiej funkcji, aby mieć wpływ na rzeczywistość. Najlepiej wspominać początek pracy w Ministerstwie Rozwoju Regionalnego, gdzie tworzyliśmy zrębny Programu Operacyjnego Kapitał Ludzki (PO KL) oraz forsowaliśmy inne prospołeczne pomysły. Istotnym czynnikiem są relacje personalne. Miałem bardzo dobry kontakt z ministrem Gęsicką, którą znałem jeszcze z czasów „Solidarności”. Chociaż odczuwaliśmy brak zainteresowania działaniami społecznymi ze strony Ministerstwa Pracy, to pozwalało nam to kształtować rzeczy tak, jak chcieliśmy.

Pewną rolę odgrywa nieraz także przypadek. Gdy budowano PO KL, wychodzono od pewnego systemu wartości, od aksjologii. Zauważyłem, że ktoś napisał o wykluczeniu społecznym ekspertyzę w bardzo modnym duchu myślenia amerykańskiego, osądzającego wykluczonych jako winnych swemu położeniu, bo np. nadużywają alkoholu. Ekspertyza miała stać się podstawą diagnozy PO KL i programowania działań. Na szczęście udało mi się przeformułować tekst, stwierdzając,

że wykluczeniu winne jest wadliwe funkcjonowanie państwa, a nie poszczególne osoby. Bo tak naprawdę większość problemów społecznych wynika z pewnej dysfunkcji systemu, a nie z tego, że ktoś sobie danej roli zażył. Z tego przekonania wpływały później różne projekty społeczne. Taka jest właśnie rola jednostki w historii: czasami można w pojedynkę zrobić dużo dobrego.

Paradoksalnie, o wiele trudniej było realizować prospołeczne wizje w Ministerstwie Polityki Społecznej na stanowisku sekretarza stanu, ponieważ było więcej uwarunkowań i zależności od innych podmiotów, np. Ministerstwa Finansów. Mam jednak wrażenie, że i tam parę rzeczy udało się „pchnąć”. Kiedy chce się pracować przy tego typu działaniach, trzeba nastawić się na małe kroki. Nie jest tak, że można wszystko przewrócić do góry nogami, zbudować od nowa cały system. Do ustawy o spółdzielniach socjalnych mieliśmy kilka podejść, w różnych konfiguracjach. Początkowo uchwalenie zablokował poseł Adam Szejnfeld z PO, który twierdził – co było oczywiście bzdurą – że po jej wejściu w życie przedsiębiorcy przekształcą firmy w spółdzielnie socjalne i będzie to źródłem powszechnych nadużyć. Na szczęście udało się przekonać premiera Belkę, żeby złożył projekt do następnego Sejmu, a ministra Michałkiewicza z PiS-u, aby zgodził się go przejąć. Te zawirowania poskutkowały ustępstwami. Musieliśmy z pewnych rzeczy zrezygnować, co spowodowało pewną wadliwość przyjętej ustawy.

- **Na tym jednak nie skończyły się Pańskie zabiegi w tej sprawie.**

- Droga tej ustawy to klasyczny przykład pracy, która nie przynosi „fajerwerków”, natychmiastowych,

spektakularnych efektów. Jakiś czas później udało się nam, w ramach Programu Inicjatywy Wspólnotowej EQUAL, zabrać posłów do Włoch i pokazać im, jak funkcjonują spółdzielnie socjalne. Pozwoliło to przełamać pewne bariery. Udało mi się też, ale to już w roli eksperta, podjąć pracę nad nowelizacją owej wadliwej ustawy. Teraz pracujemy nad kolejną zmianą i dopiero kiedy ją wprowadzimy w życie, będzie można powiedzieć, że udało się stworzyć w miarę sensowny model spółdzielczości socjalnej. Mówię o tym wszystkim, aby pokazać, że będąc pierwszym zastępcą ministra i - wydawałoby się - posiadając dzięki temu wszystkie instrumenty w ręku, okazałem się na pewne rzeczy „za krótki”; cel udało się osiągnąć dopiero w roli szeregowego eksperta. Jeżeli się czegoś naprawdę chce, jeżeli wierzy się w to, co się robi, można wiele dokonać. Trzeba się tylko nastawić, że do zmian na lepsze będziemy dochodzić małymi krokami, bo nie da się ukryć, że praca w administracji mocno ogranicza.

- **Związki zawodowe oferują większą swobodę działania?**
- Jest tam znacznie więcej przestrzeni do kreowania różnych pomysłów, jednak często podąża za tym brak odpowiedzialności za państwo jako całość. Działalność w związkach jest więc sympatyczna, ale dla kogoś, kto

patrzy z perspektywy roszczeniowej, nie umiejscawiając żądań w kontekście całego systemu, jakim jest państwo. Praca w administracji nauczyła mnie, że pobudki z natury dobre i słuszne, nie zawsze są tak jednoznaczne i że każdorazowo należy rozpatrywać je na jak najszerszym tle. Łatwo się czegoś domagać; to naturalne, że chcemy coraz więcej zarabiać czy coraz krócej pracować. Jednak odkąd wiem, jak to funkcjonuje „od drugiej strony”, zdaję sobie sprawę, że część roszczeń nie jest sprawiedliwych, patrząc na interes społeczny jako całość.

Zasadniczo jednak w związkach też trzeba nastawiać się na mniejsze pomysły i budować krok po kroku, co jest bardzo trudne. Każda z tych form aktywności ma swoje wady i zalety, przy czym młodym ludziom nie zalecałbym zostawiania od razu urzędnikiem, bo kiedy wpadnie się w schematy i procedury, to ciężko się z nich wyswobodzić. Widzę znajomych, którzy duszą się w skostniałej administracji publicznej pod natłokiem papierkowej roboty, mimo że mają szereg dobrych pomysłów. Trzeba umieć zbudować sobie taką pozycję, aby być wysłuchiwanym. Natomiast w związkach zawodowych, jeżeli ktoś się nastawi na myślenie, że „zawsze będzie po stronie dobra”, będzie popierał wszystkie roszczenia, to również nie zajdzie daleko. Bo choć jest to fajne, to naprawdę skuteczna działalność

Z jednej strony mówimy o starzeniu się społeczeństwa, a z drugiej nie dbamy o rodziny. Skąd się mają brać płacący składki za 20 lat?



związkowa ma „mrówczy” charakter, niejednokrotnie jest trudna i mało efektywna. Daje natomiast większą satysfakcję, ponieważ zwykle pomaga się konkretnym osobom. W ministerstwie trudniej dostrzec efekty swoich działań. Dopiero teraz, gdy jeżdżę po kraju i widzę np. centra integracji społecznej, spółdzielnie socjalne czy inne instytucje, które powstały dzięki przeforsowanym rozwiązaniom, czuję, że było warto. Bo to przecież nie jest tak, że my cokolwiek nakazaliśmy. Stworzyliśmy jedynie możliwości, które inni wypełnili treścią, a teraz możemy ten system ulepszać.

- A jaką przestrzeń dla prospołecznych projektów widzi Pan w sferze polityki partyjnej?

- Ich realizowanie jest strasznie trudne. W pewnym momencie jako Polska Partia Socjalistyczna mieliśmy nieuzasadnioną wiarę, że podziały historyczne odejdą do lamusa, a życie polityczne zacznie opierać się na programach i wartościach. Okazało się to niemożliwe. To, co u nas nazywa się lewicą, czyli SLD, cały czas spaja wspólnota życiorysów, nie zaś zespół poglądów. W innych formacjach politycznych wygląda to podobnie, dlatego tak ciężko ten podział przełamać.

Osobiście bardzo miłe wspominać okres poselski, ale właśnie dlatego, że zostaliśmy „wylani” z klubu SLD i założyliśmy koło parlamentarne PPS-u, co było



MIŻE JEW SKI

Cezary Miżejewski (ur. 1964) – działacz państwowy, związkowy i polityczny. W latach 80. związany z opozycją demokratyczną, m.in. członek Międzyzakładowego Robotniczego Komitetu „Solidarności”, redaktor i drukarz prasy podziemnej, w tym „Robotnika”. W 1987 r. brał udział w reaktywacji Polskiej Partii Socjalistycznej, w okresie 1988-1990 wchodził w skład rady naczelnej PPS-Rewolucja Demokratyczna, po kongresie zjednoczeniowym (1990) wszedł w skład Centralnego Komitetu Wykonawczego PPS, któremu przewodniczył w latach 1996-2001. Na początku lat 90. pracownik Regionu Mazowsze NSZZ „Solidarność” i ekspert Komisji Krajowej związku ds. bezrobocia, w latach 1993-1997 poseł PPS wybrany z listy SLD, w okresie 1997-2000 kierował biurem zespołu posłów i senatorów OPZZ. Współzałożyciel i w latach 1999-2001 przewodniczący związku zawodowego Konfederacja Pracy, zrzeszającego m.in. pracowników supermarketów. Od 2002 r. doradca ministra pracy i polityki społecznej, od 2003 r. dyrektor departamentu rynku pracy w Ministerstwie Gospodarki, Pracy i Polityki Społecznej. W latach 2004-2005 kolejno: podsekretarz stanu we wspomnianym resorcie, następnie w Ministerstwie Polityki Społecznej, wreszcie sekretarz stanu w MPS; był m.in. sekretarzem zespołu przygotowującego Narodową Strategię Integracji Społecznej, koordynował prace nad Krajowym Planem Działań na rzecz Integracji Społecznej oraz Strategią Polityki Społecznej 2007-2013. W latach 2005-2009 radca ministra w Ministerstwie Rozwoju Regionalnego, m.in. autor ustawy o zatrudnieniu socjalnym i ustawy o spółdzielniach socjalnych. Członek rady programowej Wspólnoty Roboczej Związków Organizacji Socjalnych WRZOS, członek Rady Ekspertów Społecznych, a następnie członek Komitetu Wykonawczego Polskiego Komitetu Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu (EAPN). Przedstawiciel strony związkowej Trójstronnej Komisji ds. Społeczno-Gospodarczych w powołanym przez premiera Zespole ds. rozwiązań systemowych w zakresie ekonomii społecznej. Od listopada 2010 r. przewodniczy Komisji Polityki Społecznej OPZZ oraz jest prezesem zarządu Ogólnopolskiego Związku Rewizyjnego Spółdzielni Socjalnych. Pracownik spółdzielni socjalnej „Opoka” w Kluczach.



naszym świadomym zabiegiem. Jako trzyosobowe koło mogliśmy swobodnie „hasać”, czyli zgłaszać różnego rodzaju pomysły. W dużych klubach jest tak, że kierownictwo podejmuje większość kluczowych decyzji, a reszta posłów pełni role statystów. Dlatego uważam, że w naszej małej grupie mieliśmy szansę wykonać kawał fajnej roboty - i udało się to. Walczyliśmy o kwestię dochodu gwarantowanego, powstała ustawa „azbestowa” i szereg innych rzeczy. Zawsze żartowałem, że nasze koło działało prężniej niż znacznie większy klub Unii Pracy, z Ryszardem Bugajem na czele, który wiecznie przeżywał dylematy w rodzaju: „co dalej robić?”. My z tym naszym trzyosobowym kołem zgłaszaliśmy wiele różnych inicjatyw, jednak oczywiście byliśmy za mali, aby przeforsować je wszystkie.

Są dwa pozytywy bycia posłem. Ma się wpływ na różne problemy lokalne, np. poprzez mediację w trakcie strajku. W parlamencie można się też bardzo wiele nauczyć. Miałem szczęście trafić na bardzo dobrą komisję polityki społecznej, gdzie przewodniczącą była Anna Bańkowska, przy której po prostu wstyd było nie wiedzieć czegoś w kwestii, w której chciało się zabrać głos. Inna rzecz, że poziom kompetencji dzisiejszych komisji znacząco się obniżył. Biorę udział w pracach komisji parlamentarnych jako ekspert i często odnoszę wrażenie, że meritum spraw jest zupełnie marginalizowane. Nie ma rzetelnej dyskusji na jakikolwiek temat, posłowie głosują według zaleceń kierownictwa partii. Młodzież służy do noszenia teczek, demoralizuje się przy starszych. W ogóle nie ceni się wiedzy merytorycznej. Nasza polityka weszła w okres „pop”, którego istotą jest to, kto ładniej wystąpi, kto się sympatycznie zaprezentuje; nie ocenia się tego, co ktoś ma do powiedzenia. Mam jednak cichą nadzieję, że to się odwróci, że tak jak w teorii Kelles-Krauza o retrospekcji przewrotowej od indywidualizmu do kooperatywizmu, tak samo w polityce wrócimy od pop-polityki do meritum.

- **Czy poglądy, samoorganizacja i stopień „zradykalizowania” polskiego społeczeństwa dają nadzieję na odbudowę w przyszłości autentycznej lewicy społecznej? Jak dotąd wybory wygrywają niemal wyłącznie ugrupowania „na prawo” nie tylko od lewicy europejskiej, ale nawet od tamtejszej chadecji czy obecnych Torysów.**
- Gdy w sondażach zadaje się pytania dotyczące różnych kwestii społecznych, to wygląda to tak, jakby nie miało być w parlamencie nikogo poza lewicą. Mam wrażenie, że sporo ludzi wyznaje lewicowe wartości, choć rośnie też w siłę grupa reprezentująca poglądy liberalne. Jednak deklaracje wartości prospołecznych nie mają przełożenia na decyzje wyborcze, ponieważ ludziom brak myślenia przyczynowo-skutkowego. Polska lewicowość nie jest intelektualnie pogłębiona, nie przekłada się na zdolność prawidłowego rozpoznawania własnych interesów. Najbardziej istotne jest jednak najgorsze dziedzictwo PRL-u, czyli bierność. Myślenie w kategoriach,

że ktoś tam „na górze” powinien za mnie coś zrobić. Tymczasem gdy siłą prawicy jest kapitał, siłą lewicy jest masowość i zaangażowanie. Właśnie na tych fundamentach powstał cały ruch lewicowy, związki zawodowe, partie robotnicze. Natomiast gdy dochodzi u nas do zagrożenia najbardziej żywotnych interesów społeczeństwa, jak w przypadku planów prywatyzacji ochrony zdrowia, niemal wszyscy zgodnie przytakują, że tak nie powinno być, a jednocześnie nikt palcem nie kiwnie, aby to zmienić. To nie jest Francja, gdzie setki tysięcy ludzi wychodzą na ulice manifestować. To chyba największy problem, przed jakim staje lewica w Polsce: bierność społeczeństwa sprawia, że nie ma siły, która mogłaby wpływać na decyzje polityków. Mimo że społeczeństwo ma naprawdę rozsądne poglądy, brak w nim oparcia dla prospołecznych zmian.

Na fali świeżych wrażeń z jeżdżenia po Polsce w sprawie organizacji pozarządowych, spółdzielczości, szeroko rozumianej ekonomii społecznej, dochodzę do wniosku, że realne zmiany na lepsze nie są kwestią rozwiązań legislacyjnych czy finansowych, lecz tego, czy ludzie zaczną robić coś wspólnie. Bo współcześni Polacy nie potrafią tego robić, nie umieją walczyć o swoje sprawy na żadnym polu. Jeszcze nie widziałem stowarzyszenia, które faktycznie miałoby co najmniej piętnastu członków - tak, jak przewiduje ustawa. „Na papierze” oczywiście jest ich piętnastu, ale naprawdę działa zaledwie kilku. Jest zarząd, który realizując różne projekty utrzymuje się z tego, co nie jest niczym złym, ale złe jest to, że tak działające stowarzyszenie przestaje być organizacją społeczną, a zamienia się w zakład pracy. Pod tym względem Polska jest jednym z najslabiej zorganizowanych państw w Europie, krajem o najniższym stopniu mobilizacji społecznej.

Tymczasem, paradoksalnie, szeroko rozumiana lewica ignoruje społeczeństwo obywatelskie. Gdyby nie Jerzy Hausner, to SLD byłoby przeciwko ustawie o działalności pożytku publicznego i wolontariacie, uważała ją za niepotrzebną. Wszystkie pozostałe formacje również nie zwracają się w stronę organizacji społecznych. Z drugiej strony powstała niestety maniera apolityczności sektora pozarządowego. Organizacje obywatelskie uchylają się od deklaracji ideowych, praktycznie nie słyszy się, żeby ktoś mówił: jesteśmy lewicowym stowarzyszeniem.

- **Choć etos Pierwszej „Solidarności” był raczej lewicowo-demokratyczny, z ruchu tego wypączkowały głównie prawicowe inicjatywy, zazwyczaj prowadzące politykę liberalną. Nie powstała silna i trwała formacja socjaldemokratyczna - Unia Pracy została zmarginalizowana przez SLD, nie powiodła się także próba odbudowy PPS-u, w którą się Pan zaangażował.**
- Czynnikiem tej porażki były dziesiątki. Zawsze mówię, że widocznie to my coś schrzaniiliśmy. Ale prawdą jest również to, że zwyczajnie na lewicowe myślenie nie było wtedy klimatu. Istotą tego, co się dzieje i co



Najbardziej istotne jest jednak najgorsze dziedzictwo PRL-u, czyli bierność. Myślenie w kategoriach, że ktoś tam „na górze” powinien za mnie coś zrobić.

będzie się działo, jest wciąż podział historyczny, oparty na wspólnocie życiorysów. Dawna PZPR utrzymała się dzięki stworzeniu nowej formacji, stosując taktykę „oblężonej twierdzy”, dzieląc społeczeństwo na lewicę, utożsamioną z postkomunistami, oraz nas, czyli „Solidarność”. W 1993 r. popełniliśmy błąd, do którego sam przyłożyłem rękę, wstępując do SLD, aby tam – zgodnie z nurtem promowanym przez Cimoszewicza – budować wizję państwa w oparciu o poglądy, a nie o przeszłość. Jednak w Sojuszu byliśmy ciałem obcym, bo budowaliśmy tożsamość w oparciu o pracowników z organizacji zakładowych „Solidarności” i kiedy przeszliśmy na stronę SLD, zostaliśmy odcięci od naszych korzeni. Nie mogliśmy zbudować nowej bazy, bo nad poglądami i wizją państwa przeważały podziały motywowane historycznie. W rezultacie zostaliśmy niewielką grupą, robiącą fajne rzeczy, za które nawet nas chwalono, ale nigdy nie przełożyło się to na poparcie wyborcze. Jako poseł SLD i PPS-u wciąż intensywnie współpracowałem z „Solidarnością” w Radomskim, ale choć na co dzień





© Maurits Burgers, <http://www.flickr.com/photos/mauritsb/474635351/>

Nasza polityka weszła w okres „pop”, którego istotą jest to, kto ładniej wystąpi, kto się sympatycznie zaprezentuje.

świetnie się rozumiałem ze związkowcami i pracownikami, to ciężko im było przeskoczyć historyczny podział i zagłosować w wyborach na kandydata SLD. I tak to się niestety potoczyło. Nie chcę nikogo winić za to niepowodzenie. Myślę, że początek był dobrze pomyślany, choć oczywiście pracownicy ciężko to przyjmowali. Jednak z drugiej strony, konotacja lewicowa nie była aż tak zła w sensie myślowym. W latach 1989-92 działały na lewicy naprawdę dobre rzeczy. Dopiero usiłowanie przełamania podziałów historycznych zakończyło się naszą klęską.

- **Mówimy o doświadczeniach sprzed niemal 20 lat. Tymczasem nadal podejmowane są próby pociągnięcia SLD w lewo lub dostania się do parlamentu we współpracy z tym ugrupowaniem, by za cenę kompromisu „robić swoje”.**
- Myślę, że charakter obecnej sytuacji jest bardzo dynamiczny. Trzeba pamiętać, że na scenę polityczną wchodzi nowe pokolenie, dla których stare podziały nic nie znaczą. To oni muszą teraz wypracować jakiś pomysł na lewicę, niekoniecznie związany z robotniczym etosem warsztatu pracy. Wyrosło przecież całe pokolenie ludzi, którzy są trochę taką klasą średnią, ale strasznie stłamszoną. Pracowałem z wieloma młodymi osobami, które nieskutecznie namawiałem do zakładania związków zawodowych. A przecież aby się utrzymać, pracują oni po kilkanaście godzin na dobę, mają pozaciągane kredyty, boją się o swoje miejsca pracy, są uciskani na przeróżne sposoby. Lewica z kolei zbyt kurczowo trzyma się tradycyjnych schematów,

nie potrafi wyjść naprzeciw oczekiwaniom tych ludzi. Oni czują się klasą średnią, bo chodzą do klubów, są wykształceni, mają samochód, mieszkanie (które będą spłacać do końca życia), ale w istocie są współczesnym proletariatem, do którego trzeba tylko znaleźć klucz. Tutaj wymachiwanie „Solidarnością” czy PZPR-em nie będzie miało znaczenia. Ale to jest wciąż kwestia przyszłości, sformułowania pewnego projektu, który nie może być przeintelektualizowany, oderwany od swego społecznego rdzenia. Dzisiejsza lewica poza-SLD-owska funkcjonuje bowiem w dość hermetycznym kręgu akademicko-artystycznym.

- **Mówiliśmy o społeczeństwie obywatelskim i partiach lewicowych. Z czego natomiast wynika słabość związków zawodowych, tradycyjnie mocno związanych z projektami emancypacyjnymi i egalitarnymi? Wśród przyczyn wymieniasz m.in. zbyt silne zaangażowanie central w politykę (głównie casus „Solidarności”), ich anachroniczną i ociążałą formułę (tu chyba przoduje OPZZ), antyzwiązkową propagandę mediów głównego nurtu oraz zniszczenie naturalnej bazy związków, jaką były wielkie przedsiębiorstwa. Wedle jednych związki są za mało radykalne, innych odstrasza „zadymiarstwem”.**
- Związki są niestety w znacznej mierze traktowane jako przedłużenie siły politycznej i stanowią element wspomnianego podziału: mamy OPZZ po stronie SLD-owskiej i „Solidarność” po stronie PiS-owskiej. Często przynależność do związku oceniana jest przez pryzmat poglądów, a nie interesów pracowniczych - i to jest ich główna słabość. Poza tym, wszyscy patrzą na związki przez pryzmat ich bastionów - starego przemysłu, tradycyjnych branż. Związkom brakuje otwarcia na nowych członków. Proszę zwrócić uwagę, jak wielu jest niezrzeszonych bankowców, handlowców czy ubezpieczeniowców, podobnie było do niedawna z pracownikami super- i hipermarketów. Co więcej, działalności związków ton nadają starzy działacze, przywiązani do schematów, etatów, procedur. Natomiast dziś trzeba być

otwartym, tak jak my w Konfederacji Pracy, gdy swego czasu co tydzień jeździliśmy pod OBI, kiedy wyrzucili z pracy naszych chłopaków, którzy założyli związek zawodowy. Trzeba szukać niekonwencjonalnych rozwiązań, stąd idea powołania Konfederacji Pracy była dobrym pomysłem, ponieważ związek ten nie był identyfikowany ani z OPZZ-em, ani z „Solidarnością”. Zalecam więc poszukiwania formacji neutralnych i zupełnie nowe formy działania związkowego. Nie wierzę, że ludzie nie chcą się zrzeszać; to związkowcy nie potrafią znaleźć odpowiedniej drogi do pracowników.

Współpracowałem przez kilka lat ze związkiem zawodowym pielęgniarek, okupowałem Ministerstwo Zdrowia w roku 2000 i pamiętam, jak narodził się bardzo silny, neutralny w sensie politycznym, ale bardzo sprawny związek, który jednak dość szybko uległ pewnemu rozdrobnieniu. Z siły 80 tysięcy zrzeszonych, na której można było zbudować merytoryczne działanie, pozostało dużo mniej, bo ważniejsze okazały się etaty, pokazywanie się w towarzystwie polityków, którzy oczywiście sami o to zabiegali. Aktualnie związek stanowi cięń samego siebie sprzed dziesięciu lat. A ja pamiętam, że to była naprawdę potężna siła ludzi, którzy autentycznie działali – prawie nikt nie był tam na etacie, a jednak się kręciło, i to bardzo sprawnie. Wszyscy rozumieli, że istnieje potrzeba rozbudowy zaplecza eksperckiego, jednak struktura, która zaczęła się tam rodzić u góry, szybko skostniała i skończyło się tak, jak się skończyło. Przewodniczącą związku widuję obecnie jedynie w telewizji, w towarzystwie Marka Borowskiego czy innych polityków. Teraz, gdy potrzeba merytorycznych rozstrzygnięć, zarząd związku nie potrafi zagospodarować siły tkwiącej w swoich członkach. Być może trzeba zatem budować wszystko od początku?

- **Jak na tle wszystkiego, o czym mówiliśmy, wyglądają istniejące strategie i nadzieje środowisk prospołecznych? Jedni nadal wierzą w „zwrot w lewo” SLD, inni w nagły kryzys, który wyprowadzi lud na barykady, jeszcze inni są przekonani, że z neoliberalizmem można wygrać za pomocą publicystyki w „Gazecie Wyborczej” i występów w TVN-ie, są też środowiska, które mozolnie próbują odbudować oddolne inicjatywy w zatomizowanym społeczeństwie. Która z tych dróg, które celowo przedstawiam tu nieco ironicznie, wydaje się Panu najbardziej płodna?**

- Myślę, że każda prowadzi w jakiś sposób do celu. Mogę się podśmiewać z „Krytyki Politycznej” i jej niektórych abstrakcyjnych czy teoretycznych pomysłów, ale rzeczywiście istnieje potrzeba lewicowych naukowców, ponieważ większość tej grupy nie chce oficjalnie utożsamiać się z poglądami lewicowymi. Odwojowanie kulturowe uniwersytetów jest więc ważne, bo ludzie potrzebują autorytetów. Natomiast moją ścieżką jest budowanie samoorganizacji społecznej. Dezaktywizacja, która jest mentalną spuścizną PRL-u, powoduje, że trudno mówić o masowych ruchach społecznych – te

mogą mieć miejsce, gdy istnieją przynajmniej zręby jakiejś organizacji. Dlatego lewica powinna zająć się trochę taką „żeromszczyzną”, czyli iść w Polskę i animować rozmaite inicjatywy, a następnie je łączyć w większe całości. To, co robi teraz Piotr Ikonowicz, czyli budowanie federacji lokatorskiej, jest dużo bardziej użyteczne niż pokazywanie się w telewizji z Nową Lewicą. I choć jest mniej zauważalne, to jednak ma większy sens, bo właśnie z takich mikro-inicjatyw wypływają większe fale, które nie muszą się wcale przejawiać w masowych strajkach i demonstracjach, ale także w decyzjach wyborczych i działaniach społecznych.

Nośnikiem lewicowych wartości mogliby się stać również np. spółdzielcy. Nie muszą się z nimi w jakikolwiek sposób politycznie obnosić, po prostu są ważni ze względu na sam charakter działalności. Tego typu różnych grup są w Polsce setki, dlatego uważam, że trzeba się uderzyć w pierś, ruszyć w Polskę i pracować „w terenie”, pamiętając wciąż o szukaniu pomysłów na młodzież, na potencjalnych nowych odbiorców lewicowych ideałów, którzy nie mają nic wspólnego z PRL-em. Można odczuć, że grupa ta mocno potrzebuje kogoś, kto zaproponuje im wartościową ofertę, pomysł na życie. PIS ich odstrasza, brakuje im formacji, do której mogliby się odwołać w sensie ideowym. Oczywiście pojawiają się pewne buntownicze formacje, w rodzaju ruchu Palikota czy Samoobrony, jednak nie potrafią realizować żadnych celów, ponieważ nie posiadają „kośćca” wartości, ani pomysłów.

- **Jak się ma obecna polska polityka społeczna do ideałów lewicy?**

- Ostatnie lata oceniam bardzo źle. Nawet nie tyle to, że ma miejsce masowy atak liberałów na prawa socjalne i pracownicze, choć oczywiście istnieje takie zjawisko. Największy problem polskiej polityki społecznej stanowi jej bezruch. W dwóch kolejnych rządach kwestiami społecznymi zajmują się politycy trzeciorzędni. To pokazuje, że Ministerstwo Pracy i polityka społeczna stały się nieistotnym elementem szeroko rozumianej polityki. Obecna minister, która oczywiście potrafi pokazać się w mediach, gdzie czegoś tam się domaga, nie przeprowadziła skutecznie bodaj jednego sensownego projektu. Gdy byłem sekretarzem stanu, zdobyliśmy milion złotych na spółdzielczość socjalną, który to milion zwyczajnie „gwizdnęliśmy” z innych pozycji budżetowych i była to dla nas olbrzymia kwota. Dzisiaj Ministerstwo Pracy dysponuje setkami milionów ze środków europejskich, którymi tylko ono może rozporządzać. Mając wreszcie odpowiednie instrumenty, jego pracownicy mogliby zrobić bardzo mnóstwo dobrych rzeczy. Wychowywanie dzieci, opieka nad niepełnosprawnymi, aktywizacja bezrobotnych i wiele innych kwestii społecznych – to działania wieloletnie, które planować i realizować trzeba długofalowo. Tymczasem wydaje się te pieniądze, bo trzeba, bo „Unia każe”,

ale nie idzie za tym żaden szerszy plan, spójny politycznie i społecznie. Można różnie oceniać rząd, w którym byłem ministrem, bo miał on swoje cienie, ale budowaliśmy wtedy np. całociowy system świadczeń rodzinnych, powstała spójna koncepcja podwyższenia progów dochodowych. Chcieliśmy stworzyć kompleksową siatkę bezpieczeństwa socjalnego. A teraz nikt się nawet nad tym nie zastanawia. Funkcjonuje grupa Michała Boniego, z której diagnozami mogę się zgadzać lub nie, ale nawet to myślenie perspektywiczne nie przekłada się na żadne działania ministerstw. Są jak gdyby równoległe rzeczywistości, więc wygląda to tak, jakby Boni tworzył strategię, które mają wyłącznie wymiar propagandowy. A w zmieniającym się świecie trzeba szybko reagować, polityka społeczna musi cały czas ewoluować.

System pomocy społecznej wymaga głębokiej reformy, m.in. za pomocą środków europejskich. Zaczęliśmy to robić, rzucając ośrodki pomocy społecznej na głęboką wodę, zmuszając je, aby nauczyły się myśleć nieco inaczej. W wyniku tego w wielu miejscach Polski powstała masa świetnych inicjatyw, takich jak np. budowanie wspólnej przestrzeni lokalnej na Śląsku. Szczególnie wartościowe jest wspólne uczenie się tego, że mieszkamy w jakiejś przestrzeni, że ma ona swoją historię, że jest fajna, że możemy coś razem zrobić. I później nagle się okazuje, że nie trzeba wcale wielkich pieniędzy na pomalowanie klatki, że mieszkańcy sami to robią, a następnie wspólnie dbają, aby nikt ich wysiłku nie zniszczył. W Bielsku-Białej zrealizowano projekt, który połączył biedną i bogatą dzielnicę w jednym działaniu. Okazało się, że można coś takiego zrobić i że nie musi to być program dla biednych czy dla bogatych, lecz dla społeczności jako takiej. Ruszyliśmy więc pewne rzeczy, ale wymagają one ciągłego „podkręcania”, budowania nowych rozwiązań prawnych, konstruowania instrumentów. A tego wciąż brakuje.

Znamienne, że Ministerstwo Rozwoju Regionalnego na swojej stronie internetowej chełpi się tym ile, a nie na co wydało pieniądze. I tak jest też w polityce społecznej. Jest kryzys i trzeba oszczędzać, więc minister Rostowski tnie ulgi rodzinne, podczas gdy jesteśmy w czołówce krajów o najwyższym poziomie ubóstwa wśród dzieci. Z jednej strony mówimy o starzeniu się społeczeństwa, a z drugiej nie dbamy o rodziny. Skąd się mają brać płacący składki za 20 lat? Nie stwarzamy kobietom bezpieczeństwa i wsparcia, aby podjęły decyzję o założeniu rodziny. Przecież nie jest to tylko

kwestia biologiczna, ale przede wszystkim społeczna. Przy czym nawet najwyższe becikowe nie skłoni do macierzyństwa – trzeba zbudować usługi społeczne, takie jak żłobek, przedszkole, pomoc opieki środowiskowej czy pielęgniarstwa. Na przykład ponad 10% mieszkańców Warszawy to osoby nie zameldowane w stolicy i pochodzące z innych miejscowości, nie mają więc tutaj rodziców czy dziadków, którzy mogliby pomóc w wychowywaniu dziecka.

- W teorii, tzw. ekonomia społeczna, którą się Pan zajmuje, wydaje się łączyć dwa kanoniczne elementy myśli lewicowej: odgórne wsparcie przez instytucje publiczne, z oddolnym, demokratycznym charakterem takich inicjatyw. U początku takich przedsięwzięć jak spółdzielczość socjalna docierały do nas sygnały, że na polskim gruncie ta piękna idea niekoniecznie materializuje się w równie pięknej postaci.

- Wynikało to z różnych uwarunkowań, o których mówiłem wcześniej. Obecnie funkcjonuje ok. 260 takich spółdzielni, wśród których widziałem bardzo wiele naprawdę rzetelnie pracujących i wyrabiających nadwyżkę finansową, choć nie jest to oczywiście większość. Cały czas jednak wierzę, że jeżeli zbudujemy spójny system infrastrukturalny, to ich wydajność się poprawi. Bo dla mnie ekonomia społeczna to nie tylko kolejne przedsiębiorstwa dające pracę wykluczonym społeczeństwu, ale także to, co nazywam „solidarnością zamiast wyzysku”, czyli że ludzie wspólnie pracują na siebie, że zupełnie inaczej myślą o pracy.

Po trudnym początku widać, że zmiany wprowadzone w 2009 r. zaczynają przynosić rezultaty. Wciąż jednak istnieją urzędy pracy, które nie rozumieją idei ekonomii społecznej, dlatego też nagradzamy dyrektorów, którzy potrafią wyjść naprzeciw nowym, coraz bardziej wysublimowanym pomysłom. Chcemy budować system usług w oparciu o sektor ekonomii społecznej. Na czym polega włoski fenomen rozwoju tego sektora? Nie na dotacjach, nie na preferencjach podatkowych, lecz na rzetelnej współpracy z samorządami, które zlecają prace spółdzielniom socjalnym. Ekonomia społeczna jest również pewnym sposobem odtwarzania społeczności i wspólnot lokalnych. W swojej istocie nie jest zatem pomysłem ekonomicznym, a właśnie społecznym.

Dziękuję za rozmowę.

Warszawa, 5 listopada 2010 r.

REKLAMODAWCA, DARCZYŃCA CZY INWESTOR? KTÓRE OKREŚLENIE PASUJE DO CIEBIE?

Nie każdy może opublikować reklamę w naszym piśmie. Reklama w „Nowym Obywatelu” to inwestycja dla tych, którym bliskie są nasze wartości. Przeczytaj Manifest na ostatniej stronie i zadzwoń: 502 554 352, lub napisz: reklama@obywatel.org.pl



© lumaxart, <http://www.flickr.com/photos/lumaxart/2136948367/>

Uniwersytet na procesie

RAFAŁ BAKALARCZYK

U schyłku XX w. ministrowie 29 krajów (w tym Polski) podpisali w Bolonii dokument określający kierunki dalszego rozwoju szkolnictwa wyższego w Europie. Po ponad dekadzie można się pokusić o ocenę, czy proces ten idzie w dobrym kierunku. Zdania są podzielone.

Gruzy tradycji

Na przemiany szkolnictwa wyższego trudno patrzeć w oderwaniu od historii instytucji uniwersytetu. Gdy pod koniec XI w. założono pierwszy średniowieczny uniwersytet - właśnie w Bolonii na północy Włoch - raczej nie przypuszczano, że to początek instytucjonalizacji procesu, który nie tylko przetrwa swoją epokę, ale i wprowadzi cywilizację europejską w nowy okres.

Tym procesem był rozwój nauki, nowy kierunek transmisji wiedzy i wartości oraz wzrost świadomości i ciekawości świata. Wiek XIX przyniósł zróżnicowanie modeli szkolnictwa wyższego w Europie, co wiązało się z przypisywaniem uniwersytetom nowych funkcji, np. we Francji było to szkolenie kadr administracji publicznej. Nie mniejsze znaczenie miały zmiany w XX w., zwłaszcza w drugiej jego połowie, gdy rozgorzał spór o status wiedzy i autorytet nauki, a ponadto uczelnie

stawały się zarzewiem wydarzeń społeczno-politycznych, z Majem '68 na czele.

Ostatnie dekady upłynęły pod znakiem takich tendencji, jak umasowienie i urynkowanie kształcenia, a także przejście społeczeństw zachodnich w kierunku gospodarki postindustrialnej. Wszystko to doprowadziło do erozji dawnej formuły uniwersytetu oraz stworzyło nowe wyzwania. Czy tzw. proces boloński próbuje ożywić ducha „starej Bolonii”, czy raczej umacnia tendencje, które go pogrzebały?

Którędy do Bolonii?

Zdaniem prof. Tomasza Szapiro z SGH, dwa zjawiska przyczyniły się do uruchomienia procesu bolońskiego. Były to rosnąca świadomość efektywności systemów edukacyjnych Azji i USA oraz niska efektywność ich europejskich odpowiedników¹. Przyjmując, iż rzeczywiste celem procesu był wzrost efektywności szkolnictwa wyższego dla zwiększenia jego konkurencyjności w skali globalnej, nie jest to optymistyczny sygnał, jeśli chodzi o społeczny wymiar uniwersytetu. Systemy będące tu punktami odniesienia, raczej nie stanowią wzoru – mimo badawczych sukcesów – w kwestii wyrównywania szans w dostępie do edukacji wyższej.

Warto zaznaczyć, że Deklaracja Bolońska nie jest dla sygnatariuszy wiążąca w sensie sankcji prawnych czy finansowych. Nie mamy też do czynienia z osobnym modelem europejskiego szkolnictwa wyższego przed i po 1999 r., a raczej ze swoistą ciągłością, w ramach której pojawiły się nowe elementy, zmierzające do coraz większej harmonizacji między systemami krajowymi.

Poszczególne kraje są na różnym etapie wdrażania postanowień Deklaracji. Dowiadujemy się o tym szczególnie z raportu Eurydice, sieci informacji o edukacji w Europie. Przytoczmy wnioski odnoszące się do podstawowych elementów procesu: [...] w większości instytucji i programów studiów wszystkich państw została już teoretycznie wdrożona lub przynajmniej jest szeroko wprowadzana nowa trójstopniowa struktura. Jednakże w niektórych krajach poza nią pozostają pewne rodzaje studiów, takie jak medycyna, architektura i inżynieria².

Raport mówi też o innym ważnym elemencie – wprowadzaniu ECTS (European Credit Transfer System), systemu międzyuczelnianego transferu punktów za zaliczone przedmioty. Ma on umożliwić uznawanie okresu studiów odbywanych w różnych krajach. W ogromnej większości państw wprowadzenie systemu ECTS odbyło się na drodze wdrożenia odpowiednich przepisów prawnych i uregulowań. W chwili obecnej tego rodzaju ramy legislacyjne ustanowiono w niemal wszystkich krajach, stąd w tym formalnym aspekcie tempo rozwoju wspólnego europejskiego systemu gromadzenia i przekazywania punktów jest spektakularne³.

Nie we wszystkich przewidywanych obszarach osiągnięto zamierzone rezultaty. Choć w powszechnej świadomości system boloński to właśnie ów dwustopniowy podział studiów i uniwersalna punktacja ECTS,

założenia autorów Deklaracji były znacznie rozleglejsze. Spójrzmy na katalog celów, jakie postawili sobie sygnatariusze dokumentu:

- wprowadzenie systemu przejrzystych i porównywalnych stopni poprzez wdrożenie tzw. suplementu do dyplomu;
- przyjęcie systemu nauczania opartego na dwóch/trzech poziomach kształcenia;
- powszechne stosowanie ECTS;
- promocja mobilności studentów, nauczycieli akademickich, naukowców i personelu administracyjnego;
- promocja współpracy europejskiej w zakresie podwyższania poziomu szkolnictwa akademickiego;
- promocja europejskiego wymiaru szkolnictwa wyższego, szczególnie w zakresie rozwoju zawodowego.

Realizacja tych celów podlega analizie i sprawozdawczości podczas kolejnych spotkań uczestników procesu bolońskiego. Pierwsza taka konferencja odbyła się w 2001 r. w Pradze. Oprócz podtrzymania dotychczasowych celów, dodano wówczas nowe: 1) promocję kształcenia przez całe życie; 2) podkreślenie znaczenia współpracy z instytucjami szkolnictwa wyższego i studentami; 3) potrzebę międzynarodowej promocji atrakcyjności Europejskiego Obszaru Szkolnictwa Wyższego. Z kolei na konferencji w Berlinie (2003) podjęto temat studiów doktoranckich.

Z prospołecznej perspektywy szczególnie ważne wydają się postanowienia konferencji w Bergen (2005). Przyjęto tam jako jeden z priorytetów na następne lata uwzględnienie społecznego wymiaru procesu bolońskiego, tj. zapewnienie dostępu do studiów osobom o niższym statusie oraz eliminowanie barier dla mobilności studentów i pracowników uczelni⁴.

Należy zaznaczyć, że obszar oddziaływania procesu bolońskiego wykracza nie tylko poza ramy Unii Europejskiej, ale nawet poza szeroko rozumianą Europę. Dowodem może być Bologna Policy Forum z 2010 r., poświęcone dotychczasowym osiągnięciom procesu. W spotkaniu oprócz ministrów państw w nim uczestniczących wzięli udział zainteresowani koncepcją przedstawiciele Australii, Brazylii, Chin, Egiptu, Etiopii, Izraela, Japonii, Kanady, Kazachstanu, Kirgistanu, Maroka, Meksyku, Nowej Zelandii, Tunezji i USA⁵.

Afirmacja i krytyka

Mimo złożoności procesu bolońskiego, opinii publicznej kojarzy się on głównie z promowaniem mobilności, umiędzynarodowieniem i wprowadzeniem uniwersalnych miar ocen, „uzawodowieniem” i „uprzątnięciem” uniwersytetów. W wymiarze zaś bezpośrednio dotyczącym ogół studentów – z wprowadzeniem i upowszechnieniem studiów w systemie „3 plus 2” (obowiązkowy licencjat, a następnie opcjonalne studia magisterskie) oraz punktacją ECTS, odzwierciedlającą ilość pracy koniecznej do zaliczenia danego przedmiotu.



Proces boloński możemy oceniać pod kątem samych założeń, a także sposobu realizacji. Jeśli chodzi o ideową ocenę założeń, nietrudno znaleźć obrońców i krytyków. Dla przykładu, ECTS jedni postrzegają jako uczynienie edukacji bardziej wymierną (ułatwia studentom mobilność w ramach przejrzystych reguł), inni będą tu widzieli tendencję do standaryzacji nauki, która ich zdaniem powinna rządzić się innymi prawami, np. relacją mistrz - uczeń, nie zawsze przeliczalnymi na punkty. W podziale studiów na licencjackie i magisterskie można widzieć zarówno ukłon w stronę studentów (łatwiej zdobyć wyższe wykształcenie, a w razie złego wyboru studiów mniej dotkliwa jest zmiana dziedziny po trzech latach), jak i tendencję do uzawodowiania szkolnictwa wyższego. Sama kwestia mobilności oraz to, na ile i w jaki sposób szkoły wyższe powinny być zintegrowane z gospodarką - leży w centrum poważnego ideologicznego sporu.

Krytyka założeń procesu bolońskiego wychodzi z dwóch perspektyw. W pierwszej odzywa się obrońca tradycyjnej misji uniwersytetu, a także funkcji oraz charakteru wiedzy i jej przekazu. Druga wypływa z ogólnej krytyki neoliberalizmu i urynkwienia oświaty, czego konkretyzacją zwolennicy owego ujęcia widzą właśnie w procesie bolońskim.

W książce „Uniwersytet Krytyczny” czytamy: *plano-
wane reformy wpisują się w szerszą strategię zamienia-
nia wyższych uczelni w jeden z trybików w maszynierii
produkującej wzrost gospodarczy. Temu służy wdrażany
w całej Unii Europejskiej proces boloński, o którego wpro-
wadzeniu zdecydowali urzędnicy za plecami naukowców
i poza demokratyczną debatą. Celem procesu bolońskie-
go jest zamiana uczelni w taśmowe fabryki produkują-
ce siłę roboczą dopasowaną do wymogów elastycznego
ryнку pracy*⁶.

Ów cytat zdaje się oddawać zarówno podejście środowisk lewicowych do procesu bolońskiego, jak i w ogóle podejście lewicy do relacji szkolnictwo wyższe - rynek pracy. W procesie bolońskim powiązanie tych dwóch sfer wydaje się jednym z głównych celów. Pytanie, czy to źle? Rację mają ci, którzy upatrują zagrożenia dla kierunków ważnych społecznie, lecz bez walorów rynkowych. Studia w schemacie 3+2 wzmacniają tendencję podejmowania nauki dla celów merkantylnych, jak otrzymanie tytułu absolwenta szkoły wyższej już po trzech latach. Może to pogłębić umasowienie kształcenia. Zjawisko to ma cienie - zwłaszcza, że dokonuje się głównie poprzez rozrost sektora uczelni prywatnych (Polska jest w grupie zaledwie kilku krajów UE, gdzie liczba wyższych szkół publicznych jest

mniejsza niż komercyjnych), które często nie przekazują odpowiednich umiejętności, a nieraz, wbrew marketingowym zapowiedziom, nie dają też perspektyw znalezienia pracy.

Jednak w sytuacji, w której położenie młodych ludzi na rynku pracy jest kiepskie, dążenie do powiązania szkolnictwa z potrzebami zawodowymi staje się zrozumiałe – nie z punktu widzenia doktryny neoliberalnej, lecz z uwagi na ochronę jednostki przed dalszym wykluczeniem ekonomicznym⁷. Spójrzmy na tabelę 1.

Zawarte w niej dane pokazują, że **młodzi ludzie są szczególnie zagrożeni bezrobociem. Raport Międzynarodowej Organizacji Pracy** unaocznia zaś, że jest to zjawisko o charakterze globalnym, które w czasie kryzysu uległo nasileniu⁸. Trudności młodzieży na rynku pracy wynikają oczywiście nie tylko z tego, że szkoły nie dość efektywnie przygotowują ją zawodowo. Problemem wydaje się także to, że częściej jest ona zatrudniona na czas określony lub w innych elastycznych formach, oraz w większym stopniu niż starsi znajduje zatrudnienie w branżach wrażliwych na wahania koniunktury, np. w budownictwie⁹.

Krótko mówiąc, istnieją głębokie przyczyny niekorzystnej sytuacji absolwentów na rynku pracy i wobec tego cytowane lewicowe stanowisko wydaje się nazbyt jednostronne. A także nieco demonizujące proces boloński i wyolbrzymiające jego rolę.

Projektując system szkolnictwa wyższego nie można uciec od kwestii właściwego przygotowania młodzieży do rynku pracy, choć trzeba szukać kompromisu z innymi funkcjami uniwersytetu. Wart refleksji jest nie sam fakt powiązań Akademii z rynkiem pracy, a raczej model tych relacji. Ten zaś nie zależy tylko od systemu bolońskiego, ale i od tego, jak kształtuje się rynek pracy w kraju i w perspektywie międzynarodowej.

Oczywiście, moim celem nie jest apologia procesu bolońskiego. Chodzi raczej o jego obronę przed krytyką nietrafną, wynikającą ze zbyt wąskiego pojmowania zadań szkolnictwa wyższego. O ile poniekąd słusznie zarzuca się procesowi bolońskiemu nadmierny nacisk na praktyczny wymiar kształcenia, o tyle w jego krytykach kładzie się przesadny akcent na autoteleczne funkcje poznania, bez uwzględniania realiów ekonomicznych.

Bolonia Warszawa

Oto, jakie elementy procesu udało się już wprowadzić nad Wisłą:

- powszechny suplement do dyplomu, z informacjami o kwalifikacjach zdobytych podczas studiów;
- w 2002 r. powstała Państwowa Komisja Akredytacyjna;
- rozwijany jest system studiów dwustopniowych (od niedawna także trójstopniowych);
- wprowadzono system punktacji ECTS;
- wielu studentów uczestniczy w wymianie międzynarodowej (zwłaszcza dzięki programowi Erasmus).

Powyższe wyliczenie nie oddaje skali przemian ani ich charakteru. Dla przykładu, PKA wciąż nie do końca wypracowała procedury postępowania. Nadal powstają – głównie w mniejszych ośrodkach – uczelnie, które doją studenckie kieszenie, choć nie spełniają akademickich standardów. Niemniej na poziomie wdrażania procedur Polska jest dość zaawansowana i można mówić o włączeniu w będący *in statu nascendi* Europejski Obszar Szkolnictwa Wyższego.

Ważnym kryterium jest udział w wymianie zagranicznej, jednak akurat jeśli chodzi o ten wskaźnik, nasze szkolnictwo zasługuje na raczej ambiwalentną ocenę: *Z raportu Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju wynika, że Polska zajmuje ostatnie miejsce w statystykach krajów OECD pod względem udziału obcokrajowców w ogólnej liczbie studentów, mimo że liczba polskich studentów wyjeżdżających za granicę [...] wzrosła niemal dziewięciokrotnie w ciągu minionej dekady*¹⁰. Widzimy więc rażącą asymetrię, a także przesłankę dla tezy, że krajowe uczelnie jakością oferty nie są w stanie przyciągać studentów z zewnątrz i/lub nie stwarzają dla nich odpowiednich warunków. Natomiast to, że nasi studenci powszechnie uczestniczą w wymianie międzynarodowej wydaje się mieć *summa summarum* korzystne konsekwencje, skłaniające do pozytywnej oceny procesu bolońskiego w tym względzie.

Jednak nad mobilnością studentów warto nieco się pochylić, gdyż wydaje się ona jednym z centralnych elementów całego procesu. Media liberalne przyzwyczyły nas, że mobilność jednostek jest postrzegana wyłącznie pozytywnie, z perspektywy indywidualnej wolności.

Tab. 1. Bezrobocie w wybranych grupach wiekowych, Polska i UE-27

	Wiek	2005	2006	2007	2008	2009
UE-27	15-24	18,4	17,2	15,4	15,5	19,7
	25-74	7,6	7,0	6,1	5,6	7,6
Polska	15-24	36,9	29,8	21,7	17,3	20,6
	25-74	15,1	11,8	8,1	5,9	6,8

Źródło: Zestawienie własne na podstawie Eurostatu.

Tymczasem ułatwiona mobilność jednostek wpływa na sytuację nie tylko ich, ale także społeczeństw, z których pochodzą. Z tego dylematu zdają sobie sprawę prof. Ewa Chmielecka i dr Jakub Brdulak z krajowego Zespołu Ekspertów Bolońskich (zob. www.ekspercibolonscy.org.pl): *Czy proces boloński w istocie zaowocował powszechnie użyteczną mobilnością studentów, absolwentów i pracowników, czy też przeciwnie – uruchomił silny strumień drenażu mózgów i przenoszenia kapitału intelektualnego do północno-zachodniej Europy, a co za tym idzie, stworzył w jednym miejscu lepsze, a w innym gorsze krajowe podstawy do budowy społeczeństw wiedzy. Czy proces boloński uruchomił narzędzia współpracy pomiędzy uczelniami i krajowymi systemami edukacji wyższej, czy też raczej narzędzia konkurencji pomiędzy nimi? I pytanie fundamentalne: czy powinniśmy i czy już potrafimy myśleć o Europejskim Obszarze Szkolnictwa Wyższego jako „naszym” obszarze i cieszyć się jego wspólnymi osiągnięciami, nie kierując się względami narodowymi, czy też jednak dominuje w Europie myślenie kategoriami systemów narodowych, dla których EOSW jest miejscem zdobywania możliwie najlepszej pozycji?*¹¹

Przez całe życie – na potrzeby rynku

Warto poświęcić więcej uwagi jednemu z celów procesu bolońskiego: promocji uczenia się przez całe życie. Badania wskazują, że jest ono piętą achillesową polskiego społeczeństwa. Zanim przytoczę dane potwierdzające tę diagnozę, konieczne będzie zastrzeżenie.

Koncepcja *lifelong learning* jest dość wieloznaczna. Podczas debaty o komercjalizacji edukacji, dr Paweł Rudnicki przekonywał, że wizja uczenia się przez całe życie podlegała na przestrzeni ostatnich dekad znaczącej ewolucji. Pierwotnie oznaczała możliwość nieustannego poszerzania horyzontów i realizacji indywidualnych zainteresowań, zaś obecnie sprowadza się do ciągłego podnoszenia kwalifikacji w celu sprostania wymaganiom rynku pracy, opartego na ostrej konkurencji¹². Upraszczając, powiedziałbym, że w pierwszym znaczeniu źródła motywacji *lifelong learning* są wewnętrzne, a jej cele – poznawczo-egzystencjalne. W drugim są one zewnętrzne, a cel – rynkowo-instrumentalny. Wydaje się, że w Polsce żaden z tych modeli nie jest w pełni realizowany. Przyczyny mogą leżeć nie tylko w nastawieniu ludzi, ale i w tym, że sytuacja w niewielkim stopniu pozwala na nieustający rozwój (ponadprzeciętne obciążenie pracą, nie dość rozwinięta infrastruktura, która odciążałaby Polaków z części obowiązków rodzinnych, niskie dochody dużej części społeczeństwa itp.). Ponownie wracamy do kwestii pomijanej w debacie publicznej: winę za niepowodzenia w sferze edukacyjnej i zawodowej ponosi nie tylko niedostateczne dopasowanie szkolnictwa do rynku, ale także sama struktura rynku. Łączny efekt tych szkolnych i rynkowych uwarunkowań jest w Polsce, z punktu widzenia założeń procesu bolońskiego, niesatysfakcjonujący. Spójrzmy na tabelę 2.

Poniższe dane pokazują szereg niepokojących prawidłowości. Młodzi polscy pracownicy doksztalają się w podobnym stopniu, co ich rówieśnicy w Unii. Jednak ów relatywnie wysoki wskaźnik wynika z tego, że po prostu mnóstwo studentów nie jest w stanie utrzymać się ze stypendiów i pomocy rodziny. W związku z tym podejmują pracę, co może przekładać się na efektywność zdobywania wiedzy. Nie mniej niepokojący jest ponad dwukrotnie niższy od unijnej średniej udział osób starszych w dalszym kształceniu. Polska jest jedynym krajem UE, gdzie rozbieżność między udziałem w edukacji osób przed 30. rokiem życia a starszymi jest aż czterokrotna. Pokazuje to, że promocja kształcenia przez całe życie nie odnosi u nas zbyt wielu sukcesów.

Warto też zwrócić uwagę, że w podnoszeniu kwalifikacji najmniej uczestniczą ci z młodych pracowników, którym najbardziej by się to przydało, czyli najmocniej zagrożeni wykluczeniem z rynku pracy. Choć w całej grupie pracujących Polaków w wieku 15-30 doksztalca się więcej niż co piąty, to wśród tych, którzy nie mają średniego wykształcenia – mniej więcej jeden na ośmiu. Nie jest to wcale konieczna ani powszechna

Tab. 2. Uczestnictwo pracowników w edukacji i szkoleniach (2007)
Zestawienie pokazuje odsetek pracowników, którzy uczestniczyli w edukacji i szkoleniach w okresie 4 tygodni przed przeprowadzeniem badania.

	Młodzie ^a	Nisko wyedukowani młodzie ^b	Dorośli ^c
Szwajcaria	50,5	78,7	27,4
Dania	43,0	50,1	28,3
Niemcy	36,3	75,4	6,8
Finlandia	33,5	37,5	24,8
Austria	31,6	65,2	12,8
Holandia	29,8	27,4	18,8
Norwegia	23,6	28,2	20,3
Szwecja	22,7	20,2	18,2
Polska	21,7	13,3	5,2
Francja	18,1	22,8	8,6
Hiszpania	16,6	9,5	12,1
Irlandia	14,7	11,6	7,7
Luksemburg	11,4	16,8	7,5
Belgia	10,2	6,1	7,7
Czechy	8,9	6,4	6,1
Włochy	8,0	3,8	5,9
Węgry	8,0	4,4	3,0
Portugalia	6,2	3,7	3,1
Grecja	5,3	3,5	1,4
Słowacja	1,7	2,4	3,8
Średnia unijna	20,1	24,4	11,3

a) 15-29 lat

b) z mniej niż średnim wykształceniem

c) 30-54 lata

Źródło: European Union Labour Force Survey (EULFS)

dysproporcja – do krajów, w których nisko wykwalifikowani młodzi pracownicy podnoszą kwalifikacje znacznie częściej niż ich dobrze wykształceni koledzy, należą np. Austria, Dania, Luksemburg, Niemcy i Szwajcaria.

Znaczenie mniejsze, niż się wydaje

Jeśli chcemy spojrzeć na proces boloński i przemiany szkolnictwa wyższego z prospołecznej perspektywy, warto powiedzieć jeszcze o dwóch istotnych kwestiach. W żadnej z nich system boloński bezpośrednio nie oddziałuje na cechy naszego systemu, przynajmniej w tak ewidentny sposób, jak w przypadku ECTS czy trójstopniowego podziału studiów.

Pierwszym zjawiskiem jest segmentacja systemu szkolnictwa wyższego na podsystemy studiów płatnych i bezpłatnych. Studenci obydwu rodzajów studiów okazują się być w diametralnie różnej sytuacji. Możemy tu mówić o nakładaniu się kilku wymiarów nierówności społecznych, których współwystępowanie jest z punktu widzenia sprawiedliwości ewidentnie skandaliczne. Okazuje się, że na studia bezpłatne częściej trafia młodzież ze względnie zamożnych i wykształconych

rodzin, zazwyczaj z dużych ośrodków. Na studia płatne zaś – młodzież z obszarów i środowisk uboższych w kapitał materialny, kulturowy i społeczny. Mówiąc w skrócie, defaworyzowani muszą płacić więcej niż ich rówieśnicy w lepszej sytuacji wyjściowej.

Na to wszystko nakłada się fakt, że studia bezpłatne w państwowych uczelniach dają z reguły większe możliwości zdobycia wiedzy i umiejętności wysokiej jakości. Natomiast niemała część uczelni prywatnych nie spełnia tych standardów, a niektóre stanowią wręcz formę instytucjonalnego oszustwa, żerowania na młodych ludziach i ich rodzinach. Powołanie na fali procesu bolońskiego Państwowej Komisji Akredytacyjnej, choć słuszne, nie przyniosło – sądząc po niedawno nagłaśnianych przypadkach „fikcyjnych” szkół wyższych – jeszcze wystarczających rezultatów, jeśli chodzi o uporządkowanie i kontrolę rynku uczelni prywatnych. Jednak nawet gdyby udało się zabezpieczyć respektowanie odpowiednich standardów w tego typu szkołach, wciąż pozostałby problem segregacji między studiami płatnymi a bezpłatnymi ze względu na status społeczno-ekonomiczny oraz miejsce zamieszkania.



Proces boloński w niewielkim stopniu uwzględnia ten kluczowy problem, prawdopodobnie ze względu na to, że nie jest on kwestią uniwersalną. Wiele krajowych systemów jest zorganizowanych w ten sposób, że owa segmentacja nie zachodzi, np. z powodu powszechnej odpłatności połączonej z mniej lub bardziej rozbudowanym systemem stypendialnym. W Polsce takie propozycje – przy wysokim bezrobociu młodzieży i niskich dochodach dużej części ludności – budzą opór nie pozbawiony racjonalnych podstaw. Jednak także *status quo* urąga zasadom sprawiedliwości, zaś deklaracje wypracowane w ramach procesu bolońskiego nie proponują rozwiązania tego problemu.

Kolejną fundamentalną kwestią – jeszcze mniej regulowaną w ramach procesu bolońskiego – jest to, że różnicowanie *klasowo-habitusowe* (odwołując się do kategorii Pierre’a Bourdieu), a nieraz ewidentne praktyki segregacji następują już na znacznie wcześniejszych etapach edukacji. Segregacja na poziomie edukacji wyższej jest kolejnym stadium i częściową konsekwencją tego, co dzieje się nie tylko na szczeblu edukacji średniej, ale nawet wczesnoszkolnej i przedszkolnej. Rozwiązywanie problemów szkolnictwa akademickiego zaczynając dopiero od tego szczebla, jest postawieniem sprawy na głowie i wątpliwe, by przyniosło oczekiwane skutki.

RAFAŁ BAKALARCZYK

1. T. Szapiro, *Proces Boloński: Nowe szanse czy nieznane zagrożenia* [w:] *Ekonomiczne studia licencjackie z perspektywy absolwenta i władz uczelni*, pod red. E. Drogosz-Zabłockiej i B. Minkiewicz, Uniwersytet Warszawski, Centrum Badań Polityki Naukowej i Szkolnictwa Wyższego.
2. Eurydice, *Szkolnictwo wyższe w Europie 2009: postępy w realizacji Procesu Bolońskiego*, <http://www.eurydice.org.pl/files/SWwE1.pdf>
3. Tamże.
4. Strona Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, *Proces Boloński*, <http://www.nauka.gov.pl/szkolnictwo-wyzsze/sprawy-miedzynarodowe/proces-bolonski/>
5. Tamże.
6. *Uniwersytet Zaangażowany. Przewodnik Krytyki Politycznej*, Warszawa 2010.
7. Szerzej bariery przejścia z systemu edukacji (nie tylko wyższej) na rynek pracy omawiam w artykule *Ze szkoły na rynek pracy* w piśmie „Dialog” nr 3/2010.
8. International Labour Organization, *Global Employment Trends for Youth*, sierpień 2010.
9. *Rising youth unemployment during the crisis: How to prevent negative long-term consequences on a generation?*, „OECD Social, Employment and Migration Papers” no. 106, 14.04.2010, s. 14.
10. Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich, *Strategia Rozwoju Szkolnictwa Wyższego 2010–2020*, s. 163.
11. E. Chmielecka, J. Brdulak, *Nowe klasyfikacje*, „Forum Akademickie” 11/2009.
12. Debata odbyła się we Wrocławiu 18.10.2010 r. i poświęcona była książce „Komerccjalizacja edukacji. Konsekwencje i nowe zagrożenia”, dostępnej także w wersji elektronicznej: <http://www.komerccjalizacjaedukacji.pl/>

FUNDUSZ „NOWEGO OBYWATELA” TO JEDYNY SPOSÓB NA PRAWDZIwą NIEZALEŻNOŚĆ!

„Nowy Obywatel” powstaje dzięki zaangażowaniu dziesiątek autorów, grafików, tłumaczy, korektorów i innych aktywistów, którzy swoją codzienną wolontariacką pracą umożliwiają wydawanie kwartalnika i książek, organizowanie dyskusji, prelekcji, pokazów filmowych i innych działań.

- Podoba Ci się to, co robimy?
- Dołącz do nas!
- Wesprzyj Fundusz „Nowego Obywatela”!

Dzięki Twojej wpłacie będziemy mogli wydrukować następny numer gazety, zorganizować pokaz filmowy, wyjechać z prelekcjami. Każda podarowana złotówka umożliwia rozwijanie naszych działań.

Wpłaty można przekazywać na konto:
Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”
ul. Więckowskiego 33/126, 90-743 Łódź
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111, Łódź
Numer konta:
78 8784 0003 2001 0000 1344 0001
z dopiskiem „Fundusz »Nowego Obywatela«”

Dziękujemy za wpłaty:

- Zygrydowi Foremskiemu,
- Maciejowi Pilichowskiemu,
- Kamilowi Sawczakowi,
- Ewie Kaźmierskiej-Vick,
- trzem anonimowym darczyńcom.

Studenci wszystkich

KLAUDIA MARIA BUDEK

Gdy mechanizmy rynkowe nadmiernie wpływają na sposób kształcenia, edukacja jako wartość sama w sobie odchodzi do lamusa. Co więcej, opłaty za studia sprawiają, że nie każdy może je podjąć lub jest zmuszony do zadłużenia się już u początku kariery zawodowej. Ci, których te problemy dotyczą bezpośrednio, postanowili protestować.

Myśl globalnie, protestuj lokalnie

W różnych częściach świata studenckie inicjatywy w obronie publicznego szkolnictwa wyższego powstają z tych samych pobudek i formułują podobne postulaty. Dowodzi to, że problem komercjalizacji edukacji nie wynika z lokalnych uwarunkowań.

Łatwo zignorować incydentalne protesty niewielkich grup, nie mających szerszego wsparcia społecznego. Trudniej jednak bagatelizować takie, które odbywają się jednocześnie w kilkudziesięciu krajach. Pierwszą akcją na skalę światową udało się skoordynować 5 listopada 2008 r., pod hasłem Międzynarodowego Dnia Akcji Przeciwko Komercjalizacji Edukacji.

W Niemczech protest objął 7 miast i nabrał dużego rozgłosu. We Frankfurcie usunięto z uniwersytetu wszystkie reklamy, w myśl hasła „Odszamuj swój kampus”. W Marburgu ponad 250 studentów okupowało budynki uczelni oraz ulice. W Hamburgu studenci skupili się wokół siedziby Partii Zielonych, która złamała wyborczą obietnicę zniesienia opłat za naukę. Demonstracja w Mannheim zgromadziła ok. 600 uczestników, w Düsseldorfie - ok. 300.

W Chorwacji łącznie ok. 2 tys. osób wzięło udział w manifestacjach w Zagrzebiu i Puli. Organizacji studencka NUS z Wielkiej Brytanii zmotywowała tysiące studentów z całego kraju do udziału w protestach

ulicznych. W Austrii żacy zebrali się przy wiedeńskiej giełdzie, by zwrócić uwagę opinii publicznej na fakt dotowania banków - zamiast edukacji. W Belgradzie zorganizowano 5-dniowy koncert rockowy; pokłosiem tego wydarzenia było powstanie organizacji nagłaśniającej problemy szkolnictwa. Protesty we Włoszech wiązały się z okupowaniem uczelni i uniemożliwianiem prowadzenia zajęć, demonstracjami i manifestacjami. Spotkały się one z bezwzględnością władz. - *Zajmowanie uniwersytetów to nie demokratyczny protest, lecz przemoc. Wyślemy policję przeciwko studentom, już wydałem odpowiednie rozporządzenia ministrowi spraw wewnętrznych* - groził w 2008 r. Berlusconi. Jego odezwa ukazała się w gazetach równocześnie ze zdjęciami z protestów, podczas których policja przy użyciu pałek i gazu łzawiącego walczyła z młodzieżą (rannych zostało pięciu studentów).

Podobnie było poza Europą. W Buenos Aires w imię protestu zrealizowano artystyczną inscenizację utoworowienia edukacji, wyświetlono także filmy pokazujące, jak proces ten przebiegał w Hiszpanii i Portugalii. W stolicy Liberii, Monrowii, zgromadziło się ponad 250 uczniów i nauczycieli z różnych szkół, a także przedstawicieli organizacji pozarządowych. Międzynarodową akcję poparło także Stowarzyszenie Studentów Bangladeszu: na kampusie w Dhace setki studentów

krajów, łączcie się!

i wykładowców zaprezentowały filmy wyjaśniające cel akcji. W Kanadzie protest podniosły m.in. dwie grupy skupione wokół Uniwersytetu w Toronto: Komisja na rzecz Sprawiedliwej Edukacji oraz Stowarzyszenie Studentów Zaocznych. Demonstracje zorganizowały również grupy m.in. w Egipcie i Sierra Leone.

Na całym świecie krytykowano przede wszystkim wzrost opłat za studia oraz postulowano darmową edukację. Łącznie w akcję zaangażowało się 25 krajów z 5 kontynentów. Tym samym zyskała ona rozgłos, a uczestnicy utwierdzili się w wierze w istotność swoich postulatów i postanowili wzmocnić działania. Koordynację poszczególnych inicjatyw umożliwiła platforma Międzynarodowy Ruch Studencki (International Student Movement, www.emancipating-education-for-all.org), która w Sieci publikuje informacje o planowanych wydarzeniach oraz umożliwia komunikację za pomocą chatów i forum internetowego. Już wiosną 2009 r. zorganizowano globalny tydzień akcji studenckich pod hasłem „Odzyskaj swoją uczelnię”.

Studencka kula śnieżna

Jesienią 2009 r. zorganizowano kolejną falę strajków, pod hasłem „Edukacja nie jest na sprzedaż”. Aktywiści, zachęcając do współpracy, pytali: „Czy publiczna edukacja nadal służy dobru wspólnemu, czy może bardziej zajmuje się interesem prywatnym i biznesowym?”. Ostrze krytyki skupiono na tym, że funkcjonowanie instytucji naukowych jest coraz bardziej uzależnione od ich atrakcyjności dla sponsorów. Według protestujących, edukacja powinna być niezależna i dostępna dla każdego.

Sukces demonstracji zorganizowanych rok wcześniej, sprawił, że do protestu przyłączyły się nowo powstałe grupy, m.in. z Polski. Skala tygodniowej akcji znacznie przerosła oczekiwania. W wielu miastach globu odbyły się demonstracje, których uczestnikami byli głównie studenci, choć nie tylko oni. W Berlinie na ulice

Jeszcze w 1960 r. nauka na Uniwersytecie Kalifornijskim była bezpłatna, zaś w 2010 r. średnia wysokość czesnego wynosiła aż 10 302 dolarów rocznie. Kolejne podwyżki są źródłem protestów społeczności studenckiej. © esyooee, <http://www.flickr.com/photos/esyooee/4407592487/>





Waszyngtoński protest amerykańskich studentów z Georgia Students for Public Higher Education.
© Andrew Partain, <http://www.flickr.com/photos/phoenixgsu85/4435170101/>

wyszło 25 tys. osób, w Turynie - 15 tys., zgromadzenia w Rzymie i Neapolu liczyły po 10 tys. uczestników.

Zaangażowanie w globalny ruch protestu można było zobaczyć nawet w takich krajach jak Zimbabwe, gdzie studenci Narodowego Uniwersytetu Technicznego pokojowo okazywali swój sprzeciw wobec „dolaryzacji” edukacji: ustanowienia opłat za naukę w obcej walucie - dolarach amerykańskich. Gdy demonstracje stały się dokuczliwe, uczelnie czasowo zamknięto, a 75 studentów aresztowano.

Jak wspomniano, inicjatywy zyskały poparcie nie tylko żaków. Wśród walczących o przyszłość edukacji znaleźli się również reprezentanci kadry akademickiej. W Niemczech do akcji przyłączyły się m.in. niektóre związki zawodowe, wychowawcy przedszkolni oraz media. W Zjednoczonych Emiratach Arabskich milczący protest w związku ze wzrostem opłat za studia o 100% był inicjatywą rodziców studentów.

W sumie protest w 2009 r. objął 52 kraje na 5 kontynentach. W kolejnym roku łącznie w ponad 100 miastach na całym świecie wzięło w nim udział niemal 270 tys. uczniów, studentów, pracowników naukowych, osób pracujących oraz bezrobotnych.

Profesjonalni buntownicy

„Globalna fala akcji dla edukacji” - tak brzmiało hasło międzynarodowych strajków na rok 2010. Fala ta miała być, jak tłumaczyli animatorzy Międzynarodowego

10 listopada 2010 r. ok. 50 tys. angielskich studentów protestowało na ulicach Londynu przeciwko planowanemu reformom, skutkującym m.in. potrojeniem wysokości czesnego.
 © Andrew Moss Photography, <http://www.flickr.com/photos/andymoss461/5166016217/>



Ruchu Studenckiego, okazją do wzmocnienia sieci oraz inspirować i jednoczyć ludzi na całym świecie w walce o wolną i dostępną edukację. Wydarzenie miało również pełnić funkcję informacyjną, ukazując poszczególnym społeczeństwom naturę i skalę problemów takich jak zadłużenie studenckie czy służebna rola publicznej edukacji wobec rynku pracy.

Inicjatywa zyskała cykliczność i zdaje się, że z roku na rok będzie angażowała coraz większe rzesze. Ciekawe jest też to, jak dynamicznie rozwija się w wielu krajach stopień zorganizowania ruchu, który zwłaszcza w Niemczech zaczyna przypominać „państwo w państwie”. Grupy z poszczególnych miast, zrzeszone na szczeblu krajowym, tworzą strukturę przypominającą harcerstwo. Nieco podobnie też funkcjonują: zagrzewające do walki hasła, relacje i raporty z akcji, deklaracje poparcia dla innych inicjatyw, gazetki... Powstały specjalne portale, blogi internetowe, a także kanał na portalu YouTube, pod nazwą united4education. Pełnią funkcję informacyjną oraz komunikacyjną, umożliwiając bieżące śledzenie poszczególnych akcji. Te z kolei są organizowane coraz bardziej profesjonalnie, a jednocześnie – coraz odważniej.

Okazuje się, że młodzież jest twórcza i dobrze zorganizowana, o ile motywacja do działania pochodzi od wewnątrz. Inicjatywy są bardzo różnorodne: od „spokojnych” akcji informacyjnych przez „atrakcje”, jak choćby układanie nietypowych konstelacji z krzeseł

na uczelniach, po wielotysięczne demonstracje uliczne. Studenci chętnie organizują koncerty i spotkania np. w pubach, co zwiększa zainteresowanie inicjatywami wśród tych, których uwagę trudno byłoby przyciągnąć samymi aspektami ideologicznymi. Często wykorzystywanym narzędziem są tzw. *flash moby*, które w przewrotny sposób mają zmusić do refleksji lub stanowić symboliczną manifestację. *Flash moby* stały się bardzo popularne i zdominowały zeszłoroczne (2010) akcje protestacyjne. Są sposobem, by zwrócić uwagę, nieraz w zabawny sposób, na poważne problemy.

Tak jak wtedy, gdy jesienią 2010 r. setki młodych ludzi jednocześnie usiadły na centralnej stacji rzymskiego metra i czytały książki, blokując jej większą część, po komunikacie mówiącym, że „pociąg edukacji jest na ślepych torze”. Jedna ze studentek mówiła: *Jesteśmy tu dziś, ponieważ chcemy wybierać pomiędzy kilkoma drogami oraz móc wsiąść do takiego pociągu, dzięki któremu zyskamy naszą przyszłość, którą próbuje się nam odebrać!* Podróżni zareagowali brawami na inicjatywę młodych ludzi, która była częścią fali strajków i okupacji związanych z reformą dyskusowaną we włoskim parlamencie.

Młodzież strajkuje nadal, a władza wciąż to bagatelizuje. Obecne protesty są *przypomnieniem starych sloganów i przejawem dążenia do zachowania statusu quo. Trzeba mieć odwagę, by wprowadzać zmiany* – broni się włoska minister edukacji. Twierdzi, że jej reformy

zbliżą szkolnictwo do świata pracy i uczynią bardziej międzynarodowym. Ich przeciwnicy wskazują, że sytuacja edukacji jest coraz gorsza (np. w 2010 r. nakłady na utrzymanie budynków szkolnych zmalały o 8 mln euro w stosunku do roku 2009), a planowane zmiany będą ostatnim zadaniem jej ciosem.

W Manili, stolicy Filipin, studenci zdecydowali się na nietypowy rodzaj strajku – jego uczestnicy... byli nadzy. – *Naga prawda jest taka, że rząd nadal nie traktuje edukacji jako podstawowego prawa!* – tłumaczył jeden z aktywistów. Z kolei w Seulu część studentów ogoliła głowy w tradycyjnym akcie protestu. Jego symbolika nie wzruszyła jednak tamtejszej policji, która była przygotowana na demonstrację i szybko aresztowała niemal 50 osób. Podczas okupacji uczelni w Katalonii, trwającej ponad 100 dni, w wyniku interwencji specjalnych oddziałów policji wiele osób zostało rannych, a to sprowokowało kolejne protesty, tym razem przeciwko stosowaniu przemocy przez rząd. Warto wspomnieć, że w marcu 2009 r. demonstracja zgromadziła 50 tys. Katalończyków.

Do przykrych zdarzeń dochodzi zwłaszcza podczas spontanicznych, wręcz desperackich akcji studenckich. Tak jak np. na Uniwersytecie w Sussex (Wielka Brytania), w którego budynku w marcu 2010 r. zabarykadowała się młodzież zbulwersowana decyzją rządu o obniżeniu nakładów na szkolnictwo wyższe. Policja przy użyciu gazu pieprzowego rozpędziła strajkujących, a kilku aresztowała. Po kilku dniach większość aktywistów otrzymała wiadomość o zawieszeniu w prawach studenta.

Lekcje zza Odry

Jednym z najbardziej aktywnych uczestników globalnej akcji jest dobrze zorganizowane środowisko niemieckie, z Deutsches Studentenwerk jako jednostką zwierzchnią dla 58 mniejszych w całym kraju. Poprzez współpracę z uniwersytetami i miastami akademickimi, przyczyniają się one do poprawy funkcjonowania szkolnictwa wyższego i uczestniczą w kształtowaniu otoczenia życia studenckiego.

W celu koordynacji i informowania o strajkach roku 2009 utworzono w Niemczech specjalny portal, istniejący do dziś (www.bildungsstreik.net). Można tam znaleźć pomysły i wskazówki dotyczące akcji, artykuły, aktualności dotyczące protestów w obronie edukacji. W Tygodniu Strajków 2009 wzięło udział ponad 100 lokalnych zrzeszeń studentów, organizacji pozarządowych i grup rodziców. 90 tys. osób uczestniczyło w pochodach ulicznych, sporo uczelni było okupowanych. Wydarzenia wzbudzały wiele emocji. W Essen podczas niemal 3-tysięcznej demonstracji, policja zatrzymała 154 osoby. Natomiast we Frankfurcie n. Menem studenci okupujący gmach Uniwersytetu Goethego zostali zaatakowani przez policjantów, gdy obradowali. Funkcjonariusze siłą opustoszyli budynek, kilka osób trafiło do szpitala.

Jednym z alternatywnych pomysłów były „napady na bank”, które miały na celu paraliż ich pracy. Wybrano banki, ponieważ są symbolem kapitalistycznego świata finansów. **Według studentów, rząd przeznacza na wsparcie banków (zwłaszcza podczas kryzysu) pieniądze, które powinien inwestować w edukację.** Były to całkowicie pokojowe przedsięwzięcia, podczas których studenci urządzali np. spontaniczne seminaria lub odgrywali symboliczne scenki.

Zaangażowanie niemieckich studentów było ogromne zarówno podczas akcji pokojowych, jak i tych bardziej radykalnych. Masowe protesty niemieckich studentów w lecie 2006 r. pokazuje film pod polskim tytułem „Lato oporu” (można go obejrzeć w Internecie). Uwagę protestom poświęcił także filmowiec Martin Kessler, który zdumiony energią młodych ludzi postanowił udokumentować całą sytuację i jej atmosferę. – *To, co mnie interesuje, to: co z tym dalej będzie? Z tą nową jakością, bojowością, zajmowaniem autobusów czy dworców i formami protestów, które były dotychczas w Niemczech nieznane* – mówił autor filmu „Kick it like Frankreich: der Aufstand der Studenten” (Odrzuć to jak Francja: powstanie studentów).

Unsere Uni (Nasza uczelnia) to pomysł polegający na „przejęciu władzy” przez studentów poprzez zajmowanie głównych auli uniwersytetów. Inicjatywa została zapoczątkowana w Austrii obłężeniem Uniwersytetu Wiedeńskiego. Grupy w wielu innych miastach (w sumie ok. 60) solidaryzowały z wiedeńskimi kolegami „przejmując” swoje uczelnie i obradując tam, bądź przez akcje informacyjne, w których deklarowali, że popierają postulaty austriackich studentów. Portale #unsereuni powstały szybko w Niemczech i Szwajcarii. Młodzi ludzie zaczęli zbierać się w obronie edukacji w aulach uczelni wielu miast niemieckich, austriackich oraz szwajcarskich, m.in. Zurychu i Bazylei. W programie były także warsztaty i wystąpienia. Dziś z inicjatywą związanych jest blisko 7 tys. osób, z czego ponad 800 stanowią wykładowcy.

W grudniu 2009 r. niemieccy studenci zaczęli zbierać pierwsze plony swoich działań. Tamtejsze ministerstwo edukacji zaczęło wprowadzać w życie mini-reformy studiów licencjackich, m.in. uelastyczniono plany zajęć oraz ułatwiono zmianę szkoły. Politycy w reakcji na studenckie strajki obradowali na spotkaniach w Bonn i Hamburgu. Ministrowie edukacji poszczególnych landów postanowili pracować nad doskonaleniem systemu kształcenia wyższego. Kanclerz Angela Merkel, w odpowiedzi na list otwarty przedstawicieli szkolnictwa wyższego, zdecydowała, że do 2015 r. na edukację i badania w Niemczech przeznaczane będzie 10% PKB, co odpowiada kwocie rządu 250 mld euro rocznie – w roku 2008 było to 8,6% (215,3 mld euro), a rok wcześniej 8,4% (204,1 mld euro). – *Nie ma powodu, żeby spocząć na laurach. Inwestycje w edukację i naukę są przyszłościowe – szczególnie w czasach kryzysów ekonomicznych* – oświadczyła



niemiecka minister edukacji, nauki i badań, Annette Schavan.

Z kolei w ramach współpracy międzynarodowej w maju 2010 r. w Bochum udało się zorganizować Europejski Kongres Edukacji. Celem była analiza systemów edukacji i związanych z nimi problemów, a także wypracowanie propozycji strategii przyszłego zarządzania tym sektorem. Uczestnicy mieli możliwość udziału w dyskusjach i warsztatach, natomiast na wieczory zaplanowano atrakcje kulturalne.

Protestują także studenci z Europy Wschodniej, m.in. w kilkunastu miastach Ukrainy (we Lwowie aż 7 tys. osób). W tym kraju studencka akcja była w roku 2010 przede wszystkim wyrazem sprzeciwu wobec „ustawy 796”. Wprowadziła ona stosunkowo wysokie opłaty za egzaminy poprawkowe, których wysokość uzależniono m.in. od... wieku wykładowcy (*sic!*). Źródłem dodatkowych kosztów dla żaków uczyniła m.in. absencję na zajęciach, jednak sięgnęła także do kieszeni ambitnych studentów, wprowadzając odpłatność za zajęcia dodatkowe. Wprowadzono także opłaty za dostęp do Internetu na terenie uczelni. A wszystko to w sytuacji, gdy konstytucja Ukrainy w art. 53 mówi, iż państwo winno zapewnić obywatelom bezpłatną edukację.

Nic zatem dziwnego, że fala strajków u naszego wschodniego sąsiada stała się dość głośnym wydarzeniem. Młodzi ludzie twierdzą, że dotychczas byli ignorowani i dopiero skala protestu zmusiła władze do wzięcia ich głosu pod uwagę. Ówczesny prezydent

Wiktor Janukowycz nakazał premierowi Mykole Azarowowi anulowanie ustawy, jednak studenci na tym nie poprzestali i postanowili odtąd śledzić poczynania władz związane z edukacją. Protest zorganizowała niezależna organizacja studencka Priama Dija (Akcja Bezpośrednia). Walka ukraińskich studentów wciąż trwa. Cel nie został osiągnięty. Obietnica Janukowicza zawieszenia dekretu nr 796 okazała się kłamstwem, którym posłużono się, by uspokoić rozgniewanych młodych ludzi.

Szkoła aktywności społecznej

Trudno niestety mówić o większych wymiernych sukcesach dotychczasowych studenckich akcji protestacyjnych. Wszelkie reakcje i obietnice władz były jak dotąd niekonkretne lub oznaczały wycofanie się ze szkodliwych pomysłów, nie poprawiając sytuacji wyjściowej. Na niektórych uniwersytetach obiecano współpracę ze studentami za pomocą grup konsultacyjnych, kwestie finansowe nie uległy jednak większym zmianom. Aktywiści nie osiągnęli zatem swoich celów i planują nowe demonstracje.

Mimo to, trudno przecenić znaczenie dotychczasowych przedsięwzięć. Wielu studentów twierdzi, że najważniejszym efektem dotychczasowych mobilizacji było nagłośnienie problemów edukacji. Refleksja wśród całego społeczeństwa może przełożyć się na realne zmiany, które będą możliwe tylko przy wspólnych staraniach i nacisku na władze.

Protesty studenckie objęły także inne problemy społeczne. W Iranie podczas strajku zorganizowanego w Dniu Studenta młodzi ludzie skandowali antyrządowe hasła (swoją odwagę ponad dwustu z nich przypłaciło aresztowaniem). Z kolei we Francji studenci zorganizowali się, by strajkować przeciwko reformie podwyższającej wiek emerytalny. Okazuje się, że w niejednym przypadku strajki w obronie publicznej edukacji przyczyniły się do większego zaangażowania społecznego i wiary w znaczenie wspólnych działań.

Student to brzmi... jak?

W Polsce protesty studenckie mają zazwyczaj formę bezpośredniej reakcji na zmiany w prawodawstwie, jednak i u nas rodzi się ruch „na co dzień” walczący o autentycznie publiczne szkolnictwo.

W 2009 r. powołano Demokratyczne Zrzeszenie Studenckie (www.demokratyczne.pl), którego deklarowanym celem jest *walczyć o naukowe, materialne i społeczne interesy społeczności studenckiej*, siłami samych żaków. W Międzynarodowym Dniu Studenta, 17 listopada 2009 r., DZS wspierając międzynarodową akcję, podniosło „Alarm dla edukacji”. Protest objął 10 miast, w których zorganizowano demonstracje i *flash moby*. Liczba uczestników sięgnęła ok. pięciuset. Wiele emocji wzbudzały prace nad ustawą o szkolnictwie wyższym. Główne hasła pokrywały się z tymi, które zdominowały akcje w innych krajach: „Chcemy edukacji, nie prywatyzacji!”, „NIE płatnym studiom”. Inicjatywa DZS była pierwszą, która tak jednoznacznie poruszyła tę tematykę w Polsce.

- DZS powstał po to, aby takie wartości, jak wolność, równość i solidarność znalazły swoje odzwierciedlenie w rzeczywistości edukacyjnej - tłumaczy Maciej Łapski, student Uniwersytetu Warszawskiego, działający w DZS od początku. - Po 20 latach neoliberalnej transformacji nowe pokolenie dorosło i dojrzało wreszcie do tego, żeby powiedzieć „Dość!”. Nie zgadzamy się na prywatyzację i komercjalizację edukacji. DZS tworzą zarówno ludzie, którzy zdobyli już doświadczenie w innych organizacjach, jak i tacy, którzy w ruchu studenckim stawiają swoje pierwsze kroki. Łączy nas wspólna świadomość społeczna i polityczna oraz wspólne cele i ideały. Chcemy odbudować etos studenta i uniwersytetu zaangażowanego. W czasach PRL-u władze stawiały znak równości pomiędzy słowami „student” i „wywrotowiec”. Co by się dzisiaj znalazło po drugiej stronie tego równania? Czy naprawdę jest aż tak pięknie i wspaniale, że nie warto się buntować? To pytanie chcemy zadać polskim żakom - dodaje.

U podstaw organizacji leży idea egalitaryzmu, dlatego od początku dbano, by nie tworzyła się w niej wewnętrzna hierarchia, co sprawiło zresztą, że sąd odrzucił wnioski o rejestrację stowarzyszenia. To natomiast skutkowało jego nieformalnym charakterem i utrudnieniami w funkcjonowaniu, np. problemami z udostępnianiem pomieszczeń na spotkania.

Jesienią 2010 r. doszło do intensyfikacji działań, m.in. w związku z kolejnym „Alarmem dla edukacji”. Łapski zapowiadał: *Mamy kilka pomysłów na dalszą działalność. Przede wszystkim, stawiamy na kontakt bezpośredni. Będziemy chodzić po akademikach i wydziałach, by rozmawiać ze studentkami i studentami o naszych postulatach i wyzwaniach, jakie stoją przed młodymi ludźmi.* Duży zapał, który towarzyszył wznowieniu aktywności, znalazł odzwierciedlenie w czynach. W Międzynarodowy Dzień Studenta, 17 listopada 2010 r., wielu żaków wzięło udział w akcji pod hasłem „Proces Boloński leży!”, w ramach której położyli się przed budynkami uczelni. Nie bacząc na warunki atmosferyczne, studenci spędzili długie godziny, pokazując, że edukacja „leży”. Happeningi udało się zorganizować m.in. w Warszawie, Katowicach, Cieszyźnie, Gdańsku, Krakowie i Lublinie. Wysłany został także list otwarty do minister nauki i szkolnictwa wyższego z prośbą o podjęcie konsultacji społecznych i napisanie nowej wersji ustawy.

Aktywiści DZS-u deklarują, że ich głównym celem jest wyrwanie ruchu studenckiego z letargu. *- Zdajemy sobie sprawę z tego, że rząd nie traktuje nas JESZCZE poważnie, ale już nasza w tym głowa, żeby to zmienić. Nie jesteśmy przy tym tak naiwni, żeby sądzić, że dokonamy tego jednym protestem. Przed nami ciężka praca: wiele rozmów, artykułów, spotkań, happeningów i protestów - mówi Łapski. Młodzi aktywiści chcą w ciągu najbliższego roku przygotować własny projekt ustawy dotyczącej szkolnictwa wyższego.*

Problem został podjęty także w Gdańsku, przez Otwarty Komitet Uwalniania Przestrzeni Edukacyjnych (OKUPÉ). Grupa została założona w 2009 r. Zwraca ona uwagę na patologie towarzyszące działalności uniwersytetów. *Opowiadamy się za tym, by studenci, doktoranci, wykładowcy i pracownicy uczelni sami decydowali o zachodzących na niej zmianach. Opowiadamy się za ochroną idei autonomii uczelni względem władz państwowych i potęg kapitalistycznych. Uważamy uczelnię za społeczność - universitas - którą buduje wspólna praca nas wszystkich, toteż wszyscy powinniśmy mieć wpływ na zasady jej funkcjonowania - napisali twórcy inicjatywy.*

Komitet, w którego spotkaniach roboczych w pierwszych miesiącach istnienia brało udział do czterdziestu osób, swoją aktywność rozpoczął od walki z... płotem okalającym Kampus Bałtycki. Grupa dołączyła do „Alarmu dla edukacji”, a wcześniej m.in. przygotowała, w marcu 2009 r., happening na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Gdańskiego, podczas którego studenci w przestrzeni nowego budynku uczelni udawali zombie. W ten sposób chcieli pokazać dehumanizujący wpływ skomercjalizowania edukacji. Niestety, od pewnego czasu Komitet ogranicza się przede wszystkim do działalności informacyjno-edukacyjnej za pośrednictwem bloga internetowego (www.okupe.blogspot.com).



Protest przeciwko wprowadzaniu w życie zapisów Procesu Bolońskiego, Uniwersytet Śląski 2010. Fot. z archiwum Demokratycznego Zrzeszenia Studenckiego, <http://www.demokratyczne.pl/>



Na aktywistycznej mapie Polski wyróżnia się także Wrocław, w którym powstała grupa ochrzczona przez media „Odzyskaj swoją edukację” (zob. www.odzyskaj-edukacje.wordpress.com). Jak twierdzą, uczelnie stały się masowymi fabrykami dyplomów, a kształt szkolnictwa dyktują wyobrażone potrzeby rynku pracy. Działania podejmowane przez inicjatywę to pokazy filmów, pikety, akcje plakatowe i happeningi uliczne. W ramach Tygodnia Działań na rynku stolicy Dolnego Śląska zorganizowano tzw. Miasteczko Edukacji Krytycznej, które służyć miało debacie na temat problemu i poszukiwaniu rozwiązań. Skierowano także listy do władz.

Pierwsze jaskółki, ostatni ludzie

Jak widać, w Polsce pojawiło się kilka grup będących potencjalnymi aktorami w walce o przyszłość edukacji. Niemniej jednak faktem jest, że grupy tego rodzaju mają zwykle charakter efemeryczny, a zaangażowanie polskich studentów i środowisk akademickich w akcje protestacyjne jest niewielkie. Kilka set osób protestujących w całym kraju to niewiele w porównaniu z tysiącami strajkującymi w jednym mieście, jak dzieje się to w wielu państwach.

A może polscy studenci po prostu nie widzą powodów, żeby się buntować? Ewentualna likwidacja studiów bezpłatnych nie będzie stanowiła dla większości

z nich dużej zmiany, gdyż już teraz płacą za edukację. Być może uważają, że „sami są sobie winni”, bo przecież gdyby byli lepsi, dostaliby się na studia bezpłatne? Poza tym, skoro większość studentów musi płacić za swoje wykształcenie, zapewne resztę czasu przeznaczają na pracę zarobkową. Gdzie zatem czas i siły na strajki w imię edukacji, zwłaszcza że wielu z nich ma prawo czuć się przez nią oszukanych, gdyż okazała się bezużyteczna w życiu codziennym. Skonfrontowani z bezlitosnym rynkiem pracy, przeżywają rozczarowanie, bo pomimo lat nauki nie spełniają wymagań pracodawców, a duża część wiedzy, którą posiadli, nie zostanie nigdy wykorzystana.

Z drugiej strony, chodzi o kulejącą w Polsce solidarność i partycypację obywateli, a przede wszystkim o ich świadomość, że mają prawo do wpływania na otaczający świat. – Odniosę się do tezy *Nietzschego* o „ostatnich ludziach” – mówił student z Monachium, zapytany o sens protestów. – *Są oni tylko konsumentami, już nie istotami myślącymi. Nie lubią walczyć, bo jest to zbyt wyczerpujące; są mali i słabi wewnętrznie. Nie mogą się pozbyć wrażenia, że polityka jest tworzona właśnie przez tych, którzy nie potrzebują nikogo innego jak konsumentów...*

KLAUDIA MARIA BUDEK



Rosyjskie uniwersytety

fatalny wzór dla świata

©©© Pragmagraphr, <http://www.flickr.com/photos/sveinhal/2075747765/>

ALEKSANDER BIKBOW

Trwa nowa walka o władzę nad rosyjskimi uniwersytetami. Walka między dwoma scenariuszami: „czarnym”, prywatnym oraz państwowym – scentralizowanym i pozornie bardziej transparentnym. W rzeczywistości są to dwa różne określenia tego samego zjawiska: żywiołowego prokapitalistycznego neokonserwatyzmu. Co więcej, rządy w innych krajach Europy starają się naśladować państwo rosyjskie, które z powodzeniem czerpie zyski z publicznych uczelni.

Rosyjskie ministerstwo edukacji zdecydowało się na rwdrozenie procesu bolońskiego w 2003 r., a więc po pięciu latach od jego zapoczątkowania. Zwłoka ta, której towarzyszyły wyraźna niepewność rządu i zdecydowana niechęć władz uczelni, sprawiła, że rosyjski uniwersytet zdawał się być kolejnym przykładem spóźnionej modernizacji. Był i jest to argument chętnie podnoszony przez zwolenników reformy, na szczeblu krajowym i międzynarodowym. **Uniwersytet, jako instytucja pobierająca znaczne kwoty z publicznej kasy, jest na każdym kroku potępiany przez rynkowych dogmatyków, dla których nigdy nie jest on dość wydajny.**

W rosyjskiej debacie próbuje się kreować wyrazistą opozycję: między pożądaną przyszłością szkolnictwa wyższego, które miałyby stać się częścią światowego rynku, a zaściankową i pokraczną radziecką przeszłością. Perspektywa historyczna nie tłumaczy jednak obecnego pędu ku reformie. Jeśli oddzielimy nowy model uniwersytetu od jego aspektów technicznych (system transferu punktów ECTS, ujednolicone etapy studiów, wzajemne uznawanie stopni naukowych), zobaczymy, że jego rosyjska wersja, podobnie jak w innych miejscach świata, **jest wyrazem globalnego trendu politycznego. Trend ten określają trzy główne zasady: obniżanie kosztów sektora publicznego, prywatyzacja wspólnych dóbr i marginalizacja samorządnych ciał decyzyjnych.**

Powrót do przyszłości

Budżety państwowych uniwersytetów w Europie kontynentalnej (Francji, Niemczech) składają się w 8-10% ze środków pozapublicznych. W przypadku Wielkiej Brytanii, często przywoływanej przez zwolenników reformy, wpływy części uniwersytetów z kapitału żelaznego i czesnego oraz inne pozapubliczne środki stanowią do 28% ich budżetów. Rosyjskie uniwersytety nie udostępniają podobnych statystyk, tłumacząc się trudnościami w zliczaniu wpływów lub stosując formułę „założy, co jest brane pod uwagę”. Jednak w prywatnych rozmowach przedstawiciele kilku dużych uniwersytetów i wydziałów wskazali, że udział prywatnych środków w budżecie wynosi „około 50%”. Dane te zgadzają się z szacunkami ekspertów, którzy na początku bieżącej dekady podali, że odsetek ten waha się między 45 a 55%.

Taka finansowa samowystarczalność, w porównaniu ze skromnymi 10-28 procentami w przypadku uniwersytetów europejskich, jest dość kusząca. Dlaczego zatem tak często można usłyszeć narzekania na żenujący poziom edukacji na postsowieckich uniwersytetach, zarówno z ust profesorów, jak i przedstawicieli władz? Wbrew wyobrażeniom, **finansowa samowystarczalność i zysk osiągany w warunkach rynkowych, prowadzi nie do podwyższania, lecz do obniżania standardów edukacyjnych.**

Pod wpływem rynku „zliberalizowanego” w wyniku reform wczesnych lat 90., a także w obliczu braku instytucji mogących i chcących inwestować w edukację

i badania nie przynoszące zysku, rosyjskie uniwersytety zdecydowały się na sprzedaż określonych dóbr. Miało to zagwarantować im przetrwanie. To nie gruntowna wiedza była jednak najczęściej kupowanym dobrem; usługi edukacyjne w pierwszych latach po upadku ZSRR były wciąż czymś egzotycznym. Oferowano przede wszystkim powierzchnię użytkową budynków uniwersyteckich i grunty należące do uczelni. Dzierżały je spółki handlowe na potrzeby przedsięwzięć komercyjnych. Handlowano również dyplomami, których uzyskanie niekoniecznie było uwarunkowane posiadaniem określonej wiedzy lub uczestnictwem w zajęciach. Ważnym powodem gwałtownego rozwoju „przemysłu dyplomowego” było zwolnienie z obowiązku służby wojskowej studentów dużych publicznych uczelni. Wszystkie te działania balansowały na granicy legalności, a nieraz ją przekraczały. Instytucje państwowe przymykały oko na ten proceder. Wszakże one same – „jak wszyscy w tym kraju” – były skorumpowane.

Chociaż takie „zarządzanie kryzysowe” sprawiło, że uniwersytety przetrwały, nie zapewniło ono odpowiedniej jakości kształcenia ani rywalizacji w zdobywaniu wiedzy. Generowany dochód przeznaczany był na opłacanie rachunków za prąd i podstawowych (mizernych) pensji dla nauczycieli akademickich. Korzystały z niego również władze uczelni, które stały się częścią nowej rosyjskiej klasy średniej, zbijając fortunę w momencie pojawienia się wolnego rynku.

Taki model zarządzania uniwersytetem wymagał „oczywiście”, by decyzje podejmowane były przede wszystkim bezpośrednio przez najwyższe władze uczelni. W czasie, gdy rosyjski przemysł był prywatyzowany metodą kuponową, a menedżerowie stawali się właścicielami, rady naukowe, które nigdy nie były zbyt silne, uległy marginalizacji, a **proces decyzyjny został zmonopolizowany przez kadry zarządzające uczelni. W ten sposób paternalizm w kierowaniu uniwersytetem stał się bardziej dotkliwy niż w czasach sowieckich.** Publiczne uczelnie nie zostały nigdy sprywatyzowane *de iure*, ale były (i są) zarządzane jak własność prywatna. Fakt ten rzutuje nie tylko na finanse. Również tak ważna dziedzina, jak rekrutacja personelu, została zawłaszczona przez dziekanów i kierowników katedr. Sprawilo to, że obowiązkowe konkursy na wolne stanowiska, formalnie wymagane nawet w czasach sowieckich, zostały zawieszone.

Ultraliberalny rząd z początku lat 90. uważał, że wyzwolenie ducha przedsiębiorczości i pozwolenie lokalnym władzom na zarządzanie, będą ważnymi czynnikami, które pozwolą rosyjskiemu systemowi edukacji wytwarzać konkurencyjną wiedzę i zapomnieć o wszystkich wadach systemu sowieckiego. Wolny rynek zniszczył jednak zarówno pewność zatrudnienia kadry profesorskiej, jak i jej własny system kontroli jakości. Doprowadziło to do wtórnego utrwalenia struktur sowieckiego uniwersytetu oraz jego bazy naukowej. Jakość nauczania obniżyła się na tradycyjnie silnych

wydziałach nauk przyrodniczych, czemu towarzyszył natężony drenaż mózgow przez światowe potęgi naukowe. Nic dziwnego, że nauki społeczne, rozwijające się po okresie sowieckim, nie były w stanie wypracować przełomu epistemologicznego – nauczyciele akademicy i naukowcy zajęci byli bowiem poszukiwaniem dodatkowych etatów na uniwersytecie i poza nim. Chcieli dorobić do mizernych pensji, destabilizując tym samym jeszcze bardziej własną sytuację ekonomiczną i naukową.

Trudny okres skończył się na początku nowej dekady wraz ze wzrostem publicznych nakładów na edukację ponadpodstawową i wyższą oraz wprowadzeniem wsparcia instytucjonalnego w postaci programów celowych i grantów. Budżet rosyjskich uniwersytetów zasilany był nie tylko coraz szerszym strumieniem publicznych pieniędzy, ale też z rosnących opłat za studia, które oficjalnie wprowadzono już w połowie lat 90. W połowie pierwszej dekady XXI w. płacono 62% studentów pierwszego roku państwowych uczelni. Czesne na głównych uniwersytetach (w Moskwie i Petersburgu) rzadko było niższe niż 3000 dolarów na rok. W przypadku regionalnych uczelni kwota ta była nie niższa niż 1500 dolarów. Rynek usług edukacyjnych znacząco rozwinął się pod wpływem modelu zarządzania charakteryzującego się odejściem od kolegialnego podejmowania decyzji.

Uniwersytet-jako-przedsiębiorstwo, mający do dyspozycji coraz więcej pieniędzy z publicznej kasy i źródeł komercyjnych, pozostaje ważnym graczem czarnej i szarej strefy. Nowy model jest powiązany genetycznie i funkcjonalnie z wcześniejszymi. Trudniąc się w dalszym ciągu nielegalnym handlem dyplomami i sprzedając części z puli 38% wolnych miejsc (tzw. miejsca budżetowe), które zostały już opłacone z budżetu państwa, władze niektórych uczelni podwójnie korzystają na finansowej autonomii.

To wszystko dzieje się pomimo coraz ostrzejszych państwowych regulacji, które wymierzone są w niekoncesjonowany handel i korupcję – pozostałości po „szalonych latach dziewięćdziesiątych”. **Zjawisko odsprzedaży miejsc opłaconych z budżetu państwa było znane już w czasie obowiązywania surowego prawa sowieckiego. Praktyka ta stała się jednak dużo bardziej rozpowszechniona wskutek daleko idącej deregulacji.** Obraz uniwersytetu jako instytucji łamiącej podstawowe zasady sprawiedliwości społecznej nie zmienił się, a wręcz wzmocnił po upadku ZSRR. Niezależność ekonomiczna pozwoliła jednak postsowieckiemu uniwersytetowi utrzymać płynność finansową i była czynnikiem motywującym dla kadry zarządzającej. Prestiżowym uniwersytetom zdarzało się pobierać opłaty w wysokości nawet 50 tys. euro za przyjęcie na wolne „miejsce budżetowe”.

Kolejnym kluczowym elementem tego modelu były obowiązkowe egzaminy wstępne. W 2009 r. w ich miejsce wprowadzono ujednolicone w skali kraju egzaminy

maturalne [model podobny jak w Polsce – przyp. red. „Nowego Obywatela”]. Była to próba uregulowania kwestii dochodów ze źródeł prywatnych, w tym korupcji, które stanowiły fundament finansowej samowystarczalności uczelni.

Państwo dąży do przejścia nieoficjalnych dochodów, które od początku lat 90. były kontrolowane przez różne grupy w ramach uniwersytetów. Rywalizacja między frakcją uczelnianych menedżerów i rządem rosyjskim nie jest jednak konfliktem między dwiema przeciwstawnymi ideami – między autonomią uniwersytetu a silnym państwowym nadzorem. Jest to raczej walka między dwoma antagonistycznymi modelami komercjalizacji sektora edukacji: „czarnym” i prywatnym oraz scentralizowanym i pozornie bardziej transparentnym. **Sytuacja ta przez obserwatorów z zewnątrz jest często postrzegana w sposób błędny – jako rywalizacja między odradzającym się despotyzmem państwa i rozszerzającą swoje wpływy mafią. Jeśli przyjrzymy się tym dwóm modelom dokładniej, zobaczymy, że są one tylko nieznacznie różniącymi się wcieleniami żywiołowego neoliberalizmu.**

Dla zachodnich zwolenników „modernizacji”, obawiających się widma ascetycznego despotyzmu państwa rosyjskiego, musi to być dużą ulgą. Prawicowe rządy w Europie są pełne zrozumienia dla zmian w Rosji. Ekipy Sarkozy’ego i Berlusconi’ego wykazują podobne polityczne i ekonomiczne skłonności, postrzegając państwo rosyjskie jako skuteczne przedsiębiorstwo, które potrafi zarabiać na dobrach publicznych.

Komercjalizacja = hierarchia

Rosyjskie spory o kształt edukacji toczą się w atmosferze swoistego konsensusu – prawie nikt nie kwestionuje komercyjnego i menedżerskiego/korporacyjnego porządku. Ma to kilka wzajemnie powiązanych następstw.

Po pierwsze, ani rząd, ani władze uczelni nie zaprzatają sobie głowy problemem nierówności w dostępie do edukacji i osiąganiu sukcesów w tej dziedzinie. Kwestie sprawiedliwości społecznej są najczęściej przedmiotem zainteresowania lewicy, która w procesie decyzyjnym nie odgrywa znaczącej roli, a jedynie z nostalgią wspomina „wysoką jakość” sowieckiego systemu edukacji.

Po drugie, studenci mogą liczyć na mniejsze publiczne dofinansowanie do czesnego i innych wydatków (np. na mieszkanie). Towarzyszy temu znaczące zmniejszenie się geograficznej mobilności studentów w porównaniu z latami 80. Nie dotyczy to osób z bogatych rodzin, które stać na zapewnienie dzieciom studiów w prestiżowych ośrodkach, również międzynarodowych. Dla większości żaków, zwłaszcza z małych i średnich miejscowości, tani akademik i w ogóle niższe koszty życia są głównymi czynnikami, które biorą pod uwagę. Innymi słowy – przy wyborze uniwersytetu możliwości finansowe studenta mają często większe znaczenie niż poziom kształcenia lub

Proces decyzyjny został zmonopolizowany przez kadry zarządzające uczelni. W ten sposób paternalizm w kierowaniu uniwersytetem stał się bardziej dotkliwy niż w czasach sowieckich.

atrakcyjność danego kierunku. Jak wynika z badań przeprowadzonych w kilku głównych miastach Rosji na początku pierwszej dekady XXI w., od 70 do 95% studentów pochodziło z regionu, w którym mieści się ich uniwersytet.

Trzeci istotny czynnik dotyczy tego, że spora część rodziców (50-60%) płaci oficjalnie za studia swoich dzieci. W rzeczywistości nie kupują oni jednak zaawansowanej wiedzy czy umiejętności przydatnych na rynku pracy. Płacą za dyplom, którego posiadanie jest jedynie warunkiem wstępnym zdobycia zatrudnienia. Uniwersytet stopniowo przestaje być miejscem, gdzie wytwarzana jest wiedza. Przeistacza się w swistą maszynkę do zarabiania na wystawianiu dyplomów - instytucję szczególnie atrakcyjną dla młodych mężczyzn chcących uniknąć służby wojskowej. Post-sowiecki uniwersytet wypadł w ten sposób z domeny światowej kultury, w znacznej mierze odnajdując się następnie w gospodarce „pogoni za zyskiem”, tym samym dobrze wpisując się w krajobraz Nowej Rosji.

Kolejny, czwarty problem, to wzrastające opłaty i niewystarczające wsparcie socjalne. Czynniki te przekształcają uniwersytety w miejsca wymuszonego konsensusu, gdzie nikomu nie zależy na tym, by żądać zbyt wiele. Rodzice nie pytają, za co płacą, profesorowie nie wymagają od studentów wyczerpanej pracy, a ci ostatni boją się czegokolwiek domagać. Konsensus tego rodzaju objawia się na różne sposoby, m.in. bardzo niskim odsetkiem osób powtarzających rok. Na początku nowego wieku stosunek liczby absolwentów do liczby studentów pierwszego roku sprzed pięciu lat wynosił niewiarygodne 102%. Na początku lat 90. było to jedynie 63%. Jak na ironię, ostatnio w Europie z rządową krytyką spotkał się niski odsetek osób kończących studia (20-30% studentów we Włoszech, 40% we Francji). Z rosyjskiego uniwersytetu, „zliberalizowanego” ponad 15 lat temu, student nie zostaje nigdy

wyrzucony. Kończy on studia bez względu na umiejętności i wyniki egzaminów. Finansowa niezależność uniwersytetu sprawiła, że wyższa edukacja przestała być przedsięwzięciem osobistym, a stała się poważną rodzinną inwestycją.

Po piąte, komercjalizacja sama w sobie nie łąta największych dziur w systemach; przykładem mogą być egzaminy wstępne, jedno z głównych źródeł korupcji. Zamiast eliminować słabe strony danego modelu, komercjalizacja sprawia, że stają się one bardziej opłacalne. Organizowane na szczeblu lokalnym, obowiązkowe egzaminy ustne i pisemne (z 3-5 przedmiotów), będące przepustką na studia, do niedawna były ważnym źródłem nielegalnych dochodów kadry uniwersyteckiej. Jak wspomniałem, obowiązkowe pisemne egzaminy państwowe w formie testów, zdawane w szkołach i organizowane przez ministerstwo (a nie przez uniwersytety), dość bezmyślne w swojej konstrukcji, zastąpiły niedawno poprzedni system przyjęć na uczelnie. Procedura oraz podmiot odpowiedzialny uległy wprawdzie zmianie, ale w gruncie rzeczy wszystko zostało po staremu. W obu przypadkach miał miejsce rozwój sektora usług związanych z przygotowywaniem do egzaminów i podział wolnych miejsc na te opłacane z budżetu państwa oraz te, za które płaci rodzina studenta. Podczas długotrwałych sporów, które towarzyszyły wstępnym przymiarkom do wprowadzenia nowego systemu, niektórzy przedstawiciele władz uniwersyteckich przyznawali, że żadna z metod selekcji nie mierzy w sposób efektywny umiejętności kandydatów. Nowa metoda, pomimo zapewnień, że „gwarantuje odpowiedni poziom” przy naborze, daje podobne efekty jak poprzednia - wyciąga, legalnie bądź nie, pieniądze od studentów.

Szósty problem polega na tym, iż rozkład sił między uczelnianymi menedżerami a ciałami kolegialnymi zmienił się mocno na korzyść tych pierwszych, co w efekcie doprowadziło do różnych form prywatyzacji uniwersytetu. Skupienie władzy w rękach kadry kierowniczej, przy jednoczesnym spontanicznym wdrożeniu modelu „efektywnego” uniwersytetu-firmy, odsunęło od podejmowania decyzji rady naukowe, zarówno przy ocenie pracowników, jak i w kwestiach związanych z dydaktyką. Na proces rekrutacji kadry naukowej wpływa nie tylko wspomniana marginalizacja rad naukowych, ale też fakt narzucania przez ministerstwo programów studiów (od czasów ZSRR). Uczelnie ubiegające się o akredytację, muszą postarać się, by wykładowcy prowadzili zajęcia zgodnie z ministerialnymi „standardami”. Ten układ sił raczej nie ulegnie zmianie w warunkach paternalistycznego, nastawionego na zysk uniwersytetu, który odporny jest na krytykę i modyfikacje.

Siódmym negatywnym zjawiskiem, a zarazem jednym z następstw opisanego modelu, jest postępująca destabilizacja sytuacji materialnej nauczycieli akademickich. W latach 90. podejmowali oni pracę na kilku

źle opłacanych etatach. Obecnie, w obliczu kryzysów demograficznego i finansowego, muszą stawić czoła redukcji stanowisk, powiązanej ze zwiększeniem liczby godzin do przepracowania. Ministerstwo edukacji ustaliło normę, zgodnie z którą nauczyciele akademicy muszą przepracować 900 godzin dydaktycznych rocznie. Na uczelniach europejskich jest to natomiast nie więcej niż 200 godzin. W obliczu braku aktywnych związków zawodowych i ciał kolegialnych, nauczyciele akademicy, zwłaszcza młodszy, muszą często podejmować nieodpłatnie dodatkowe zajęcia administracyjne, dydaktyczne czy wręcz czysto biurowe. W tej sytuacji jeszcze trudniej prowadzić badania i publikować. Wiele uniwersytetów nie daje nawet swoim pracownikom naukowym kopii umowy o pracę. Niektóre z nich skonstruowane są zaś tak, by w każdej chwili można było zwolnić pracownika, nie ryzykując przegranej w sądzie. Pozwy w środowisku akademickim należą oczywiście do rzadkości. Warto wspomnieć, że **proletaryzacji kadry nauczycielskiej towarzyszy nie mniej „naturalna” ewolucja władz uczelni, które stały się częścią nowej burżuazji i korzystają z „danin” wpływających do uniwersyteckiej kasy.** Wzrost nierówności społecznych nastąpił nie tylko wśród studentów, ale także w gronie pracowników uniwersytetu.

Po ósme wreszcie, zaburzona struktura władzy na uczelniach przekłada się na niski stopień solidarności pracowników, a także na ich nikłe zaangażowanie w sprawy publiczne. Widać to wyraźnie choćby przy okazji dyskusji dotyczących wyznaczania granic dyscyplin naukowych czy w sporach wokół reform systemu edukacji. I tak - niezadowolenie kadry nauczycielskiej ze zmian wynika przede wszystkim z faktu odsunięcia jej od podejmowania decyzji, co jest na rękę władzom uczelni. Wszystko to oznacza, że niemożliwa jest powtórka „francuskiego scenariusza” (z 2009 r.), gdzie po jednej stronie barykady stanęli nauczyciele akademicy i studenci, a po drugiej - rząd i rektorzy. Nastroje sprzeciwu, które pojawiły się w wielu miejscach Europy, zrodziły się bowiem w łonie samorządnych organizacji pracowników naukowych, rad uniwersytetów lub wydziałów itd. W Rosji to władze uniwersyteckie oraz ministerstwo są głównymi zwolennikami zmian, a ich działania znajdują się poza kontrolą (a nawet debatą) społeczną.

Jajko czy kura?

Żywiołowy „zwrot menedżerski”, który nastąpił na początku lat 90., a także postępująca komercjalizacja uczelni, dostarczyły dowodów, że transformacja w podobnym kierunku nie wpływa pozytywnie na efektywność szkolnictwa wyższego. Zliberalizowany rynek edukacyjny, który ograniczył rolę zbiorowych ciał decyzyjnych, słabych już w czasach ZSRR, doprowadził do sytuacji odwrotnej od tej, której spodziewali się „rosyjscy Chicago Boys”.

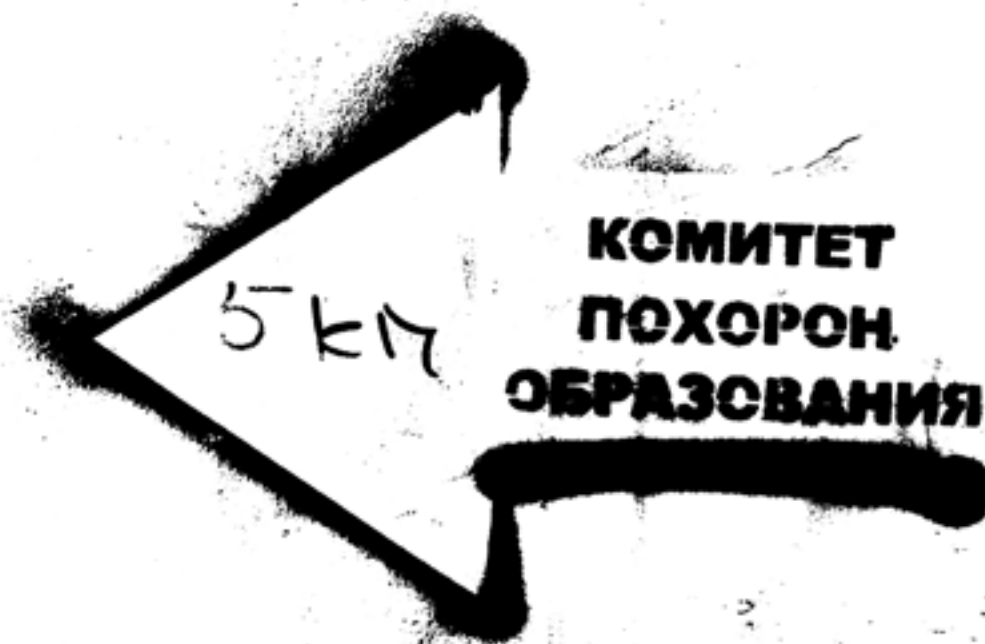
Uniwersytet nie zdołał wyrwać się ze szponów przeorośniętej biurokracji: przy jednoczesnej prywatyzacji władzy, uczelnie doświadczyły przyrostu liczby pracowników oraz zwiększonego wpływu ciał administracyjnych w każdej sferze działań.

Samowystarczalność finansowa rosyjskich uniwersytetów, która pod koniec lat 90. była na poziomie 50% kosztów, ani nie odciążała budżetu państwa, ani nie wpłynęła pozytywnie na jakość kształcenia. Pozyskując fundusze od rodzin studentów, uniwersytet-jako-przedsiębiorstwo tylko w nielicznych przypadkach inwestował w produkcję wiedzy nie przynoszącej zysku (tj. badania), w rozwój długofalowej współpracy między naukowcami lub w motywowanie studentów. Częściej przeznaczano je na remonty lub budowę nowych budynków, przyciąganie nowych studentów, tworzenie kierunków zorientowanych na potrzeby biznesu, płace, utrzymanie biurokracji, wydatki reprezentacyjne itd.

Innymi słowy - komercjalizacja uniwersytetu ani nie doprowadziła do wzrostu konkurencyjności w wytwarzaniu nowoczesnej wiedzy, ani nie przysłużyła się rozwijaniu umiejętności potrzebnych na rynku pracy. Neoliberalne reformy doprowadziły do powstania czegoś zgoła odmiennego od wyzwolonej, dynamicznej i obytej w świecie inteligencji, tak bardzo pożądanej w pierwszych latach po upadku ZSRR. Wytworzyły one nową zaściankową racjonalność, która zdominowała sposób myślenia. To ona sprawia, że uniwersytet chętnie czerpie dochody z dodatkowych źródeł, takich jak dzierżawa budynków, zwolnienia ze służby wojskowej, sprzedaż dyplomów i ocen, tworzenie kierunków na potrzeby polityczne i rynkowe itd. Mimo stanowczego werbalnego nacisku na „efektywność”, wysoce skomercjalizowane i na nowo zhierarchizowane współczesne uniwersytety okazały się jeszcze mniej funkcjonalne pod względem dydaktycznym od „upaństwowionych” uczelni z czasów sowieckich.

Wszystko to przez obserwatorów spoza Rosji jest często postrzegane jako „lokalny specjał”, jak kawior, Teatr Bolszoj, sfałszowane wybory czy Gazprom. Należy oczywiście pamiętać, że marginalizacja ciał kolegialnych - przy wzmocnieniu najwyższych władz uniwersytetu - odbyła się w trakcie kryzysu ekonomiczno-społecznego, którego wymiar był niewyobrażalny w Europie i Ameryce ostatnich dwóch dekad. Komercjalizacja, która nastąpiła po politycznej liberalizacji z końca lat 80., położyła kres nadziejom na system edukacyjny, który zapewniłby dobry poziom nauczania i był sprawiedliwy społecznie. Patrząc na plany aktualnych reform w Europie, które przewidują duży udział państwa w przeprowadzeniu zmian, oraz deregulację dokonaną w Rosji na początku lat 90., można dojść do wniosku, że między doświadczeniami postsowieckimi i europejskimi nie ma żadnego związku. Krajowa specyfika nie jest tu oczywiście bez znaczenia. Nie powinno się jednak ignorować podobieństw między tymi reformami na poziomie strukturalnym.

Wzrastające opłaty i niewystarczające wsparcie socjalne przekształcają uniwersytety w miejsca wymuszonego konsensusu, gdzie nikomu nie zależy na tym, by żądać zbyt wiele.



„Komitet pogrzebów edukacji”. ©© Incandenzafied, <http://www.flickr.com/photos/incandenzafied/2860752403/>

Rosyjska transformacja wyeliminowała słabą opozycję w łonie radzieckich uniwersytetów, zniechęcając tym samym zarówno instytucje, jak i nauczycieli akademickich do współzawodnictwa w dziedzinie nauki. W nowej Rosji marginalizacja kadry nauczycielskiej była spontanicznym działaniem uniwersyteckich menedżerów; we współczesnej Europie jest częścią rządowej polityki. Czy jednak oba przypadki rzeczywiście tak bardzo się różnią? Doświadczenia rosyjskie z lat 90. są tak samo ważne, jak najnowsze europejskie. Pokazują one bowiem, że komercjalizacja, obojętnie czy „liberalna”, czy też prowadzona przez państwo, zmusza uniwersytety do pójścia na trudny kompromis między „starym” a „nowym”. Faworyzuje ona takie rozwiązania, które nie wymagają kolektywnego działania i osobistego zaangażowania.

Nastawiony na zysk, paternalistyczny model zarządzania, niepewna sytuacja pracowników i stopniowe odchodzenie od produkcji wiedzy pojawiły się też na uniwersytetach w innych krajach. Europejska i prawdopodobnie również amerykańska transformacja przebiegały w bardziej ewolucyjny sposób. Obecnie jednak

europejskie rządy (jak wcześniej w USA) starają się odtworzyć taką samą strukturę instytucjonalną, która istniała w Rosji w niespokojnym okresie tuż po upadku ZSRR. Swoisty „stan wyjątkowy”, charakteryzujący się przyznaniem nadzwyczajnych uprawnień najwyższym władzom uczelni, trwa dalej, stając się czymś zupełnie normalnym. Taka sytuacja prowadzi do pewnego paradoksu, który zbyt często postrzegany jest jako kolejna rosyjska „egzotyka”. Wdrażając model zarządzania dostosowany do warunków kryzysu, tworzy się bowiem – nawet pomimo kontroli ze strony władz państwowych, działających przypuszczalnie w dobrej wierze – rozwiązania, które prowadzą ostatecznie do jeszcze większego kryzysu. Stworzenie silnej armii często kończy się przecież wielką wojną.

ALEKSANDER BIKBOW

Tłum. Mateusz Batelt

Powyższy artykuł przedrukowujemy, z niewielkimi skrótami, za „Eurozine” (www.eurozine.com), lipiec 2010.

Prywatyzacja demokracji

DR EDWARD KAROLCZUK

Posiadanie przez dane społeczeństwo rozbudowanej sfery publicznej jest miarą jego swoistej infrastruktury demokratyczności.

August Friedrich von Hayek, uznawany za głównego ideologa neoliberalizmu, rozróżniał gospodarkę pojmowaną jako organizacja, w której ludzie postępują planowo, by osiągać wyznaczone cele, oraz system rynkowy, będący porządkiem spontanicznym, nie pozwalającym realizować celów stojących wyżej w hierarchii przed mniej ważnymi. Wszelka ingerencja w ten spontaniczny porządek może go tylko popsuć. Hayek nie dopuszczał możliwości korekty rynku w imię sprawiedliwości, która w ramach jego koncepcji jest ideą pozbawioną sensu.

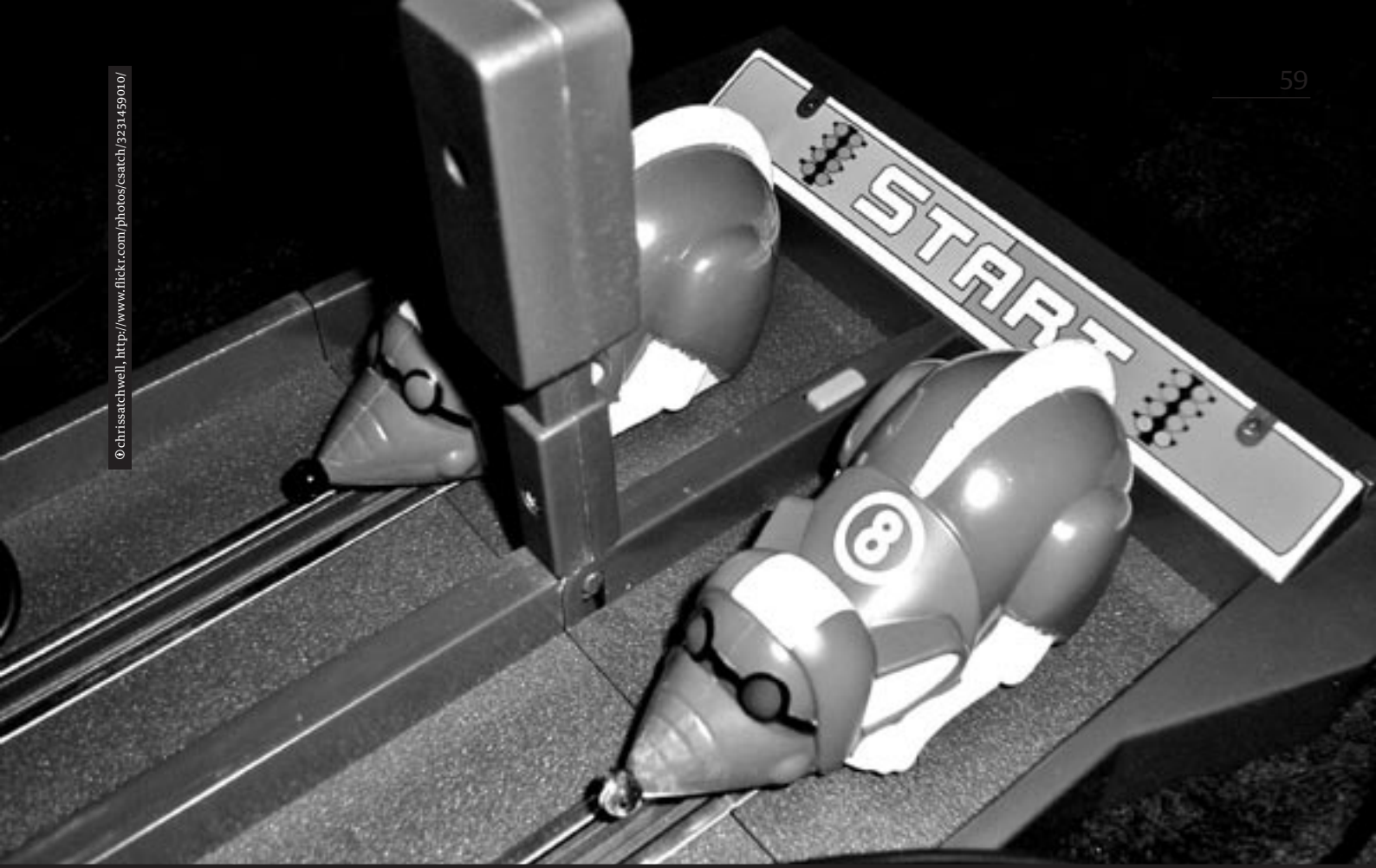
Komentując poglądy Hayeka, Urs Marti pisał, że brak naukowych dowodów jakoby wolny rynek był w stanie zagwarantować dobrobyt większości społeczeństw. Nie da się też wykazać, że *nierówny podział dóbr jest wiernym odbiciem nierównych wysiłków i nierównych zdolności*¹. Na ceny towarów i wartość siły roboczej wpływ ma prawo podaży i popytu, nie mające nic wspólnego z dyspozycjami i osiągnięciami poszczególnych ludzi. **Potrzeby wielu ludzi nie mogą być wyartykułowane na rynku poprzez popyt. Prawo „głosu” ma na nim bowiem tylko ten, kto dysponuje**

godną odnotowania sumą pieniędzy – jedynie potrzeby poparte pieniędzmi mają szansę się ujawnić i zostać zaspokojone.

Celem utowarowienia jest udostępnienie kapitałowi nowych płaszczyzn akumulacji, o których wcześniej sądzono, że ze względu na istotne potrzeby społeczne nie można w nich kierować się zyskiem. Według neoliberalistów, te nowe obszary to przedsiębiorstwa użyteczności publicznej (transport zbiorowy, wodociągi, telekomunikacja, energetyka), świadczenia socjalne (reńciści, emeryci, zakłady opieki zdrowotnej), instytucje publiczne (więzienia, szkoły wyższe, laboratoria badawcze), publiczne złoża surowców. Utowarowienie i komercjalizacja są formą wywłaszczenia szerokich rzesz społecznych. Pozbawiają masy prawa do własności publicznej, rozwiązującej ich problemy.

Sprowadzenie polityki do rynku i urynkowienie stosunków społecznych ma daleko idące konsekwencje dla stylu życia, sposobu myślenia i świadomości społecznej. Przyczynia się także do *infantylizacji debaty publicznej, przede wszystkim dlatego, że za podstawę do podejmowania decyzji uznają tylko taką wiedzę, która da się wycenić*².

Neoliberalowie, dążąc do urynkowienia możliwie największej liczby produktów i stosunków społecznych, robią jeden wyjątek – z rynku pracy wyrzucono miliony ludzi w wyniku „strukturalnych dostosowań”. Powtórne włączanie doń bezrobotnych ma ograniczony charakter i nie odbywa się poprzez tworzenie stanowisk gwarantujących prawa pracownicze, lecz poprzez mnożenie „luźnych” form zatrudnienia (umowy krótkookresowe, na zastępstwo, na zlecenie i chałupnicza).



O tym, jak bezrobotni próbują ponownie wcisnąć się na rynek pracy, świadczy tragedia drogowa koło Nowego Miasta nad Pilicą, w której w przeładowanym busie zginęło 18 osób.

Doświadczenie historyczne pokazuje, że oddzielenie instytucji demokratycznych od ekonomicznych nie służy demokracji. Do mitów neoliberalizmu należy pogląd, że rynek służy wsparciu demokracji oraz że rozwój demokracji ma służyć samodzielności rynków. Zdaniem Artura MacEwana, *Kiedy neoliberalowie opowiadają się za deregulacją, to, w istocie, domagają się innego rodzaju regulacji. Zamiast takiej regulacji, która polega na ograniczaniu przez rządy ram funkcjonowania rynków, neoliberalizm narzuca taką, która gwarantuje wyłączenie rynków spod społecznej kontroli*³. Ma to bardzo negatywny skutek: *nieuregulowany rynek nadaje firmom władzę polityczną, zdolną obezwładnić proces demokratyczny*⁴. Mechanizm „rynkowy” okazuje się mechanizmem organizacji przywilejów dla stosunkowo wąskiej grupy.

Utowarowienie a własność

Istnieją pośrednie i bezpośrednie powiązania między utowarowieniem a własnością prywatną. Utowarowienie albo jest formą prywatyzacji, albo otwiera do niej drogę. *Utowarowienie zakłada istnienie praw własności w odniesieniu do procesów, rzeczy, jak również relacji społecznych; zakłada, że wszystko to może zostać wycenione i stać się przedmiotem transakcji handlowej, uregulowanej prawnym kontraktem. Zakłada się, że rynek we właściwy sposób kieruje wszelkim ludzkim działaniem – innymi słowy spełnia funkcję właściwą etyce*⁵.

Wraz z utowarowieniem znikają wszystkie bezpłatne przestrzenie i ludzie coraz bardziej stają się więźniami pościgu za wzrostem dochodu, bez którego byliby pozbawieni szeregu usług niezbędnych do życia - od ochrony zdrowia poczynając, a kończąc na udziale w kulturze.

Wycofywanie się państwa z zadań pomocy społecznej, wprowadzanie opłat za szereg usług publicznych, zmiany w strukturze zatrudnienia w wyniku postępu technicznego, zaostrzanie polityki imigracyjnej – sprawiają, że siła robocza jest na rynku zdominowana przez kapitał. W tych warunkach nawet osłony socjalne stają się towarami, kupowanymi na rynku przez indywidualnych konsumentów. Już dzisiaj wiele firm ma wykupione dodatkowe ubezpieczenia zdrowotne dla swoich pracowników. Wraz z utowarowieniem znikają wszystkie bezpłatne przestrzenie i ludzie coraz bardziej stają się więźniami pościgu za wzrostem dochodu, bez którego byłoby pozbawieni szeregu usług niezbędnych do życia – od ochrony zdrowia poczynając, a kończąc na udziale w kulturze.

Charakter współczesnych form własności prywatnej prowadzi do kilku zjawisk. Po pierwsze, do niedoceniania utowarowienia i komercjalizacji dla kształtowania stosunków własnościowych. Po drugie, do ignorowania wpływu stosunków własności na dochody i różnicowanie społeczne. Po trzecie, do wysuwania koncepcji teoretycznych o zmierzchu roli własności we współczesnym świecie. Tymczasem, *posiadacz kapitału akcyjnego o takich rozmiarach, który mu zapewnia środki utrzymania i zwalnia od konieczności podjęcia jakiegokolwiek pracy produkcyjnej lub nieprodukcyjnej, korzysta z należących prawnie do danej korporacji środków produkcji w taki sam sposób, jak to czynił niegdyś wielki kapitalista, „kapitan przemysłu”, korzystający z należących do niego, również prawnie, środków produkcji. Posiadacz kilku kopalni węgla czy kilku hut korzystał ze swoich środków produkcji w taki sam sposób, jak współczesny posiadacz akcji korzysta ze środków produkcji będących prawną własnością korporacji. Jednemu i drugiemu własność środków produkcji zapewnia posiadanie tych wszystkich dóbr materialnych i duchowych, które są wymienne na pieniądze. Jeden i drugi, dzięki własności środków produkcji ma zapewnione bez pracy elementarne i luksusowe środki egzystencji* – pisze Stanisław Kozyr-Kowalski⁶.

To poprzez rynek poszczególne klasy i warstwy społeczne realizują swoje interesy. Nie przypadkiem „towa” uczynił Marks kategorią wyjściową do analizy całego kapitalistycznego sposobu produkcji. Jego osobliwością jest właśnie przekształcenie wszystkich czynników procesów produkcyjnych w towar. Tak jak prywatyzacja służy utowarowieniu różnych rzeczy i stosunków społecznych, i utowarowienie otwiera drogę nowym prywatyzacjom, tak też odtowarowienie jest ściśle związane ze zmianą stosunków własności i zniesieniem pewnych form zawłaszczania efektów produkcji. Nie chodzi o całkowitą likwidację rynku, ale o podporządkowanie go potrzebom i interesom społecznym.

Przekształcanie politycznego w niepolityczne

Demokracja, zdaniem Rancière’a, jest walką przeciwko oligarchii, wszechwładzy bogactwa, prywatyzacji – procesem rozszerzania sfery publicznej, ale bez dążenia

państwa do totalitaryzmu. Jest ogólnospołeczną walką o płace i warunki pracy, o systemy ubezpieczeń społecznych, renty i emerytury.

Ludziom pracy chodzi w tej walce o *odprywatyzowanie stosunku płacowego, o to, by przyznano, iż nie jest to ani relacja pana do służącego, ani prosty kontrakt formułowany indywidualnie w oparciu o poszczególne przypadki, między dwiema prywatnymi jednostkami, lecz jest to sprawa publiczna [...]. „Prawo do pracy” [...] oznaczało przede wszystkim nie żądanie pomocy ze strony „państwa opiekuńczego”, ale uznanie pracy za strukturę życia zbiorowego, wyrwanie jej spod panowania samego tylko prawa prywatnych interesów, narzucenie ograniczeń na z natury nieograniczony proces akumulacji bogactwa*⁷. Rancière odrzuca więc ideę liberałów, że w demokracji „każdy troszczy się o siebie, a Pan Bóg o wszystkich”. Demokracja wymaga przeciwstawienia się wysiłkom oligarchii w kierunku prywatyzacji życia publicznego pod hasłem większej jego przejrzystości czy efektywności. Z kolei sprawiedliwa polityka socjalna stanowi podstawę demokracji.

Dlatego, według Rancière’a, **każde państwo, które dąży do przekazania rozwiązywania problemów publicznych w ręce prywatne, staje się oligarchiczne**. Odejście od demokracji nie dokonuje się z dnia na dzień, lecz jest pewnym procesem. Oligarchia, która stanowi zdecydowaną mniejszość społeczeństwa, opanowała sztukę forsowania swoich propozycji w warunkach demokratycznego systemu wyborczego. Wszystkie poglądy niezgodne z neoliberalnym kanonem zostają wyeliminowane z debaty pod zarzutem ignorancji, przywiązania do przeszłości, fanatyzmu rewolucyjnego lub religijnego, otrzymując wspólne miano populizmu.

Granice pomiędzy tym, co polityczne i niepolityczne, co publiczne i prywatne, są zmienne i zależą od układu sił klasowych. Panujące siły społeczne określają więc pole polityki ekonomicznej, jej przedmiot i dopuszczalne kompetencje poszczególnych podmiotów. Obecnie prawica próbuje zmienić stosunki społeczno-ekonomiczne stosownie do swoich interesów, zmierzając do ich odpolitycznienia, czyli do wykluczenia interesów mas pracujących ze sfery publicznej i uznania ich za prywatne. Do uwolnienia rodziny, gospodarki, dochodów, spraw socjalnych czy kultury – od polityki. Ofensywa oligarchii oznacza pozbawienie mas możliwości udziału w sprawowaniu władzy przez mechanizmy rynkowe, kwestionowanie równouprawnień socjalnych i pracowniczych, *grozi przesunięciem granic między tym, co polityczne a tym, co niepolityczne do tego stopnia, że może na tym ucierpieć ludzka wolność*⁸.

Dążenie do odpolitycznienia demokracji w imię „dobrego zarządzania” łączy się z marginalizacją suwerena (ludu, narodu). Odpolitycznione ma być również prawo. Jest to utopia lub polityczna maskarada oligarchii, która pragnie w ten sposób zaprzeczyć istnieniu form ekonomicznej dominacji, które nadają strukturę



Celem utowarowienia jest udostępnienie kapitałowi nowych płaszczyzn akumulacji, o których wcześniej sędzono, że ze względu na istotne potrzeby społeczne nie można w nich kierować się zyskiem.

społeczeństwu. Tymczasem chodzi o to, aby ekonomia stała się rzeczywiście polityczna. Nie chodzi o to, że proces polityczny zawsze oznacza demokrację, tylko o to, że jeśli decyzje poddamy wyłącznie mechanizmowi rynkowemu, to proces demokratyzacji okaże się niemożliwy.

Prywatne jest oligarchiczne

Prywatyzacja odbija się na praktycznym funkcjonowaniu demokracji. Czym innym jest bowiem pięknie brzmiące hasło neoliberalistów, że moje zdrowie zależy od moich osobistych wyborów, a czym innym praktyka funkcjonowania służby zdrowia z wielomiesięcznymi kolejkami do specjalistów, gdzie jedynym sposobem zaspokojenia potrzeb medycznych jest płacenie wygórowanych składek biurokratyzowanym, ale jednocześnie rentownym towarzystwom ubezpieczeniowym. Towarzystwa te mają moc definiowania, na jakie choroby wolno obywatelowi chorować i jak długo oraz z jakich zabiegów terapeutycznych i kiedy korzystać, aby nie narazić ich na straty.

W polskiej polityce ochrony zdrowia ciągle trwa dyskusja nad „koszykiem świadczeń podstawowych”, tak jakby nawet dolegliwość drobna dla jednej osoby, nie mogła być dla innej istotną i nie mogła prowadzić do całego szeregu powikłań. Dla zdrowia oligarchii cała ta dyskusja nie ma żadnego znaczenia, gdyż, z uwagi na znajomości i powiązania, może korzystać z usług służby publicznej, a z uwagi na osiągnięte wysokie dochody stać ją na korzystanie z usług prywatnej służby zdrowia.

Antydemokratyczny i oligarchiczny charakter prywatyzacji polega na tym, że w imię wolności zysków i dysponowania własnością prywatną, większość ludzi zostaje pozbawiona praw do kształtowania ramowych warunków własnego życia i pracy, do wyboru modelu gospodarczego, do równości, do wolności.

W oficjalnym dyskursie mówi się jedynie o konieczności ochrony prawa poszczególnych osób do posiadania własności prywatnej, która daje możliwość zaspokajania indywidualnych potrzeb. Pomija się *prawo do własności społecznej*, która daje możliwości kontroli i kształtowania warunków istotnych dla rozwiązywania problemów publicznych (społecznych). Wolność jest warunkowana przez własność środków produkcji. Urs Marti pisze w związku z tym, że *im więcej prywatnej własności zbierze się w rękach niewielkiej i wciąż malejącej garstki ludzi, tym większym zagrożeniem stanie się dla wolności nieposiadających*⁹. Każdy system demokratyczny ustala własne granice między tym, co publiczne i tym, co niepubliczne, prawem do własności prywatnej i prawem do własności społecznej; określa specyficzny model prawa własności. Oligarchia zainteresowana jest maksymalną prywatyzacją.

DR EDWARD KAROLCZUK

1. Urs Marti, *Niedotrzymana obietnica demokracji*, Warszawa 2010, s. 207.
2. Tamże, s. 241.
3. Artur MacEwan, *Neoliberalizm a demokracja: władza rynku kontra demokratyczna* [w:] *Neoliberalizm przed trybunałem*, pod red. Alfredo Saad-Filho i Deborah Johnston, Warszawa 2009, s. 276.
4. Tamże, s. 278.
5. David Harvey, *Neoliberalizm. Historia katastrofy*, Warszawa 2008, s. 223.
6. Stanisław Kozyr-Kowalski, *Klasy i stany. Max Weber a współczesne teorie stratyfikacji społecznej*, Warszawa 1979, ss. 88–89.
7. Jacques Rancière, *Nienawiść do demokracji*, Warszawa 2008, s. 71.
8. Urs Marti, *Niedotrzymana obietnica...* op.cit., s. 117.
9. Tamże, s. 220; „Tak rozumiane prawo do własności jest tym samym, co prawo do uczestnictwa we władzy politycznej”, tamże, s. 228.

Trzy paradygmaty modernizacji,

czyli o Rzeczypospolitej
unowocześnienie lamentey i prośby

DR TOMASZ JARMUŻEK · DR JOANNA SZALACHA

Modernizacja wyłącznie poprzez rozbudowę infrastruktury to pole do popisu dla „kręcenia lodów”. Postrzeganie jej jedynie w wymiarze obyczajowym sprawia, że i tak już silne grupy społeczne stają się jeszcze silniejsze. Impulsem do autentycznej modernizacji – jest odwaga i jej instytucjonalne zaplecze.

Demony modernizacji

Modernizacja jest demonem współczesności. Jest nam potrzebna, bo czujemy naturalną być może potrzebę zmierzania wciąż przed siebie, pokonywania własnych słabości. Modernizacja jest też niestety ideologiczna w swym rdzeniu, bo daje możliwości manipulacji całymi zbiorowościami. Bywa zbawieniem, bywa też wielką iluzją, która prowadzi do zwiększenia nierówności społecznych. Posiada wiele twarzy – ma być procesem wprowadzania nowych technologii, przejściem od społeczeństwa tradycyjnego do nowoczesnego, ma bazować na industrializacji, urbanizacji, demokracji. Jednak im więcej twarzy modernizacji – tym więcej okazji do manipulacji.

Modernizacja to słowo-wytrych. Zarówno ono, jak i wszelkie jego derywaty użyte być mogą do dokonywania zmian według widzimisię tego, kto wytrycha potrafi użyć. Wszystko może być bowiem zadeklarowane jako nie dość nowoczesne, opóźnione, spetryfikowane, a więc – wymagające modernizacji. Na tym polega w gruncie rzeczy ideologiczność każdej modernizacji: ktoś potrafił kogoś przekonać/zmusić do tego, żeby uznał, iż unowocześnianie na jego modłę to właściwa decyzja, którą trzeba poprzeć czynem.

Modernizacja zawsze oznacza jakąś zmianę, i to zmianę rozumianą przez modernizatorów pozytywnie, chociaż nie każda zmiana jest rozumiana jako modernizacja i nie każda modernizacja jest faktycznie pozytywna. Jakaś forma modernizacji jest więc zawsze konieczna, nie jest przy tym nigdy do końca jasne, na czym lokalnie miałyby ona polegać, ani jak intensywna miałyby być. Te dwie zmienne modernizacji są więc podatne na ideologizację, poddanie woli zewnętrznych grup interesu oraz wszelkiej maści miejscowych grup antyrozwojowych (używając określenia Andrzeja Zybertowicza). To ogólne idee. **Nato miast polskie społeczeństwo wpada niestety wciąż w te same pułapki – są to pułapki dwóch paradygmatów modernizacji.**

Paradygmat pierwszy: budujemy nowy kraj

Stosowane po 1945 r. z różnym nasileniem, ale i różnymi celami, hasło modernizacji było jednym z przewodnich sloganów partii komunistycznej. Zaczęto od odbudowy kraju i od tej chwili postulat modernizacji materialnej, przy braterskiej współpracy ze Związkiem Sowieckim, nigdy kraju nie opuścił. Tak rozumiana modernizacja polegała na nacjonalizacji przedsiębiorstw i dóbr prywatnych oraz na tworzeniu nowych form i zakładów produkcji: kombinatów rolnych i fabryk produkujących zupełnie nowoczesne artykuły. Wszystkie te elementy gospodarki miały być zarządzane z centrali, poddane wyższej sile, która planowała nawet nie w skali Polski, ale całego obozu bratnich państw, ze stolicą w Moskwie.

Modernizacja miała jeszcze jeden wymiar: moralno-społeczny. Zgodnie z komunistycznym paradygmatem, celem zmian było stworzenie nowego społeczeństwa, bezklasowego oraz równego w dostępie do wszelkich dóbr materialnych. Dla realizacji tego zamierzenia należało zniszczyć stare struktury społeczne, a więc „pogonić pana i plebana”. Dokonano wielu zmian o charakterze inżynierii społecznej, zaczynając od przesiedleń ludności, które zniszczyły tradycyjne wspólnoty i więzi zaufania. Prawdą jest, że przesiedlenia były wynikiem pojałtańskiej utraty Kresów przez Polskę, ale przymusowe migracje oraz nowe granice miały służyć zburzeniu starego społecznego porządku, opartego na tradycyjnej wspólnocie, w skali szerszej niż tylko nowa Polska. Więzy społecznych nie udało się już odtworzyć, skazując szereg osób na alienację. Dla przykładu, mieszkańców wiosek z Wileńszczyzny przesiedlano na Mazury, gdzie zasiedlali opuszczone gospodarstwa razem z nowymi przybyszami z Pomorza i centralnej Polski, którzy przyjechali tam zwabieni wizją posiadania gospodarstwa na własność. Nowe społeczności składały się najczęściej z przypadkowych mieszkańców, a wiekowa struktura dawnych wspólnot i zaufania społecznego została na zawsze złamana.

Niszczenie tradycyjnej inteligencji oraz zastępowanie jej na kluczowych pozycjach w państwie ludźmi, u których brak kompetencji rekompensowany był absolutną lojalnością wobec władzy ludowej, to kolejny etap. Wreszcie masowa inwigilacja poprzez tajne służby wszelkich struktur społecznych, które nosić mogłyby znamiona reakcjonizmu, przypieczętowała rozpad społeczeństwa i izolację grup społecznych. Wprawdzie więzi międzyludzkie na poziomie rodzin i kręgów towarzyskich mogły być silniejsze niż dziś, jednak ponad tym poziomem występowała próżnia socjologiczna – brak zaufania do władzy, obcych i innych grup. Był to zresztą kolejny czynnik budujący na długie lata i aż do dzisiaj deficyt zaufania społecznego wśród Polaków.

Warto retorycznie zapytać: czy przy pomocy tego sposobu modernizacji osiągnięto społeczeństwo bezklasowe, z równym dostępem do dóbr? Zaraz po tym, kiedy pognębiono „przedwojennych wyzyskiwaczy”, miejsce dawnych elit zajął „prostak i cham”, polujący w Łańsku, jeżdżący na wczasy do Soczi, palący kubańskie cygara i pijący gruzińskie koniaki. I w tym samym czasie, gdy posyłał on na ulice ZOMO, żeby strzelało do protestujących robotników, robił się coraz bardziej cyniczny, wysyłając swoje dzieci na stypendium Fulbrighta, aby uczyły się zasad zgniłego kapitalizmu, który miał nadejść i w Polsce.

Wiele haseł i działań modernizacyjnych prowadzonych w Polsce po 1989 r. jest dziwnie bliskich temu, co miało miejsce w Afryce w latach 60. i 70. Po demontażu systemu kolonialnego w jego dotychczasowej wersji, nowe państwa afrykańskie weszły na drogę szybkiej modernizacji „indukowanej”. Jej założenia mówiły, że wystarczy wprowadzić do zacofanych regionów pewne

© Magic Madzik, <http://www.flickr.com/photos/cefeida/4526883988/>



Na tym ma bowiem właśnie polegać ostateczny triumf nowoczesności nad tradycją: na nietolerancji wobec tych, którzy nie pasują do postępowej wizji klasy średniej z fundacji na rzecz postępu.

instytucje społeczne i organizacje znane z krajów zachodnich, a reszta społeczeństwa odpowiednio się unowocześni. Impulsem strategicznym dla rozwoju Afryki miały być uniwersytety, powszechne prawo wyborcze, radio i telewizja, które generując znane z Zachodu potrzeby, miały tworzyć naciski modernizacyjne, m.in. rozbudzając ambicje i potrzeby konsumpcyjne. Pewien brytyjski profesor – biolog i psycholog – opowiadał nam, jak w latach 60. w Zambii Brytyjczycy pomagali tworzyć uczelnie wyższe i inicjowali powoływanie na nich takich kierunków, jak medycyna czy budownictwo. Tymczasem większość chętnych pragnęła studiować nauki polityczne i stosunki międzynarodowe, by – jak uważali – zostać ambasadorami i ministrami...

Obok takich zmian szła też ścieżka modernizacji industrialnej. Tyle że tu rzadko kiedy bazowano na własnym potencjale społeczności afrykańskich. **Fabryki budowano więc bardziej pod kątem potrzeb eksportu do Europy i Ameryki, niż wizji rozwoju społecznego. A beneficjentami pozostawali lokalni kacykowie, elity kompradorskie i zagraniczni inwestorzy.** Osiągnięto oczywiście pewną formę modernizacji, bo w wielu krajach Afryki struktura społeczna ulegała zmianie, odchodząc od preindustrialnych modeli działania. Nadal jednak Afryka nie jest klonem Pierwszego Świata, chociaż więc skok cywilizacyjny został dokonany, to łądowanie nastąpiło w innym miejscu, niż zapowiadano.

Polskie społeczeństwo też ma „skakać”. Okazuje się zawsze, że to, co zrobiliśmy do tej pory, nie jest wystarczające. Pierwszy świat znowu nam uciekł: mamy za mało autostrad, za mało lotnisk, za mało nowoczesnych metropolii, hoteli, boisk... Skaczemy więc.

Paradygmat drugi: równość, wolność i siła dla równiejszych

Po tym, jak komunizm został rozmontowany, pozostał spory potencjał ludzi i instytucji o charakterze kulturowym i inteligenckim, niechętnych temu, aby powróciła jakakolwiek forma przedkomunistycznej Polski. Dość szybko zawarli oni sojusz z postępowymi siłami z Zachodu, związanymi m.in. z tzw. tęczową koalicją. Nie wielu przeszkadzało to, że jeszcze dwie dekady temu, w ramach takich akcji jak „Hiacynt”, władze PRL zdobywały „haki” na przedstawicieli mniejszości seksualnych. Wrażliwość starych „towarzyszy” i ich młodych pretorianów na problemy prześladowanych grup nie spotykane bowiem wzrosła po roku 1989.

Dla tych formacji modernizacja jest synonimem definitywnego zwalczania Ciemnogrodu. Realizacja tego postępu może mieć miejsce wyłącznie poprzez wytropienie wszystkich elementów tradycyjnych, narodowych, religijnych (głównie w wydaniu katolickim), ksenofobicznych, uznanych za „faszystowskie”, reakcyjnych i tak dalej, a następnie napiętnowanie i skazanie ich na śmierć publiczną. W ramach tak rozumianej modernizacji daje się wyróżnić dwa postulaty: ośmieszenie i napiętnowanie wszystkiego, co kulturowo

tradycyjne, oraz ręcznie sterowane upodobnienie się do społeczeństw typu *multi-kulti*. Realizacja tych postulatów, zdaniem ideologów owego nurtu, doprowadziłaby do ostatecznego szczęścia w kraju nad Wisłą.

Tzw. postępowcy mają za plecami potężne środki budżetowo-medialne: mnóstwo autorytetów i funduszy przeznaczonych na zwalczanie nietolerancji i dyskryminacji zarówno faktycznej, jak i wyimaginowanej. **Stałe tropienie wroga jest warunkiem koniecznym, żeby korzystać z owych środków. Ponieważ zaś środków jest dużo, to pole kreacji wroga musi być stale utrzymywane i rekonstruowane. Przy czym wróg musi być niezbyt groźny i w miarę biedny.**

Postępowcy wpisują się w nurt tak zwanej nowej lewicy. Nie interesuje ich zatem aspekt ekonomiczny funkcjonowania społeczeństwa, lecz wyłącznie obyczajowy i etniczny. Robotnik z byłego PGR-u nie jest ich wymarzoną *targetem*. Nie jest zatem prawdą, że modernizacja społeczna ma w praktyce dotyczyć wszystkich pokrzywdzonych grup. Postępowcy podążają bowiem za modą i związaną z tym koniunkturą finansową. Tam, gdzie pieniądź, tam serce ich. Nie interesuje ich kwestia mniejszości serbołużyckiej w Niemczech Wschodnich, ani światowe media rozwodzące się o polskich (*sic!*) obozach koncentracyjnych, ani problem nieuznawanej mniejszości polskiej w Niemczech czy zakazy publicznego używania pisanego języka polskiego na Litwie.

Postępowcy boją się nadepnąć na odcisk wielkiemu kapitałowi, zwłaszcza medialnemu, który za nimi bezpośrednio stoi. Dlatego też szczytem odwagi jest dla nich wetknięcie polskiej flagi w zwierzęce odchody (zbiera się wtedy ogromne oklaski za bohaterstwo!), albo zniszczenie Biblii w miejscu publicznym (jakoś nie rwą Koranu czy Tory). Przedstawione motywy walki o lepszy świat, pozbawiony nietolerancji wobec tzw. słabszych, są dla postępowców wystarczającym powodem, by starszych i najczęściej biednych ludzi, o tradycyjnych przekonaniach oraz najgorszych doświadczeniach Polski XX w., nazywać moherami i Ciemnogrodem. Dzieje się to bez najmniejszej nawet refleksji, że jest to jaskrawy wyraz dyskryminacji faktycznie najsłabszych. **Na tym ma bowiem właśnie polegać ostateczny triumf nowoczesności nad tradycją: na nietolerancji wobec tych, którzy nie pasują do postępowej wizji klasy średniej z fundacji na rzecz postępu.**

Konkludując, społeczeństwo nowoczesne to według postępowców takie, gdzie i tak już silne grupy społeczne staną się jeszcze silniejsze dzięki płaszczeni politycznej poprawności, który niczym drut kolczasty razi każdego, kto podejmuje się najmniejszej choćby próby krytyki. W społeczeństwie tym trzeba stale podkreślać, że kogoś się lubi, kocha i szanuje, aby nie narazić się na zarzut jakiejś fobii. Przy czym kochać trzeba tych, którzy posiadają siłę zdolną zmusić do tej miłości.

Oczywiście sam postulat obrony słabszych jest nie tylko wzniosły, ale i konieczny. Jednak sposób jego

1. ©©© D.Clow - Maryland, <http://www.flickr.com/photos/davidclow/3773018396/>
 2. ©© mattbuck4950, <http://www.flickr.com/photos/mattbuck007/3675828865/>
 3. © Nationaal Archief, <http://www.flickr.com/photos/nationaalarchief/4900465673/>



realizacji może tylko zniechęcać. Podmiotem starań nie są bowiem wiejskie gospodynie, biedota z miasta czy dzieci robotników ze „sprywatyzowanych” zakładów. Przedmiotem (i podmiotem) modernizacji są ci, którzy mogą pojawić się w modnych programach telewizyjnych, w topowych fryzurach i ciuchach, by perorować, jak to Ciemnogród ich dyskryminuje.

Paradygmat trzeci: otwartość i odwaga

Trzeci paradygmat modernizacji to póki co jedynie postulat, który szuka aktorów gotowych go poprzeć. Nie bierze się on jednak z próżni, lecz z określonej wizji przeszłości.

Polska wydaje się być krajem wiecznej wręcz zmiany i nigdy przez ostatnie półwiecze nie spełnianych postulatów modernizacyjnych: krajem na ciągłym dorobku, nieustannie reformowanym i nieustannie wymagającym reformy, bez względu na to, kto nim rządzi. Nawet pobieżny przegląd listy wszystkich reform – od czasów powojennych do obecnych „rządów miłości” – skłania do przekonania, że starczyłoby ich, aby zmodernizować nie jeden kraj, lecz cały kontynent.

Każde zjawisko społeczne odbywa się w jakimś kontekście dziejowym i nie sposób rzetelnie o nim rozprawić, pomijając jego historyczne ugruntowanie. Nie sposób więc, zastanawiając się nad problemem modernizacji w Polsce, nie wziąć pod uwagę okresu zaborów i odzyskania niepodległości.

Powszechnie uważa się, że wiek XIX był przełomowy dla procesów unowocześniania Starego Świata. W kłębach pary i stukocie maszyn upadał porządek feudalny, a właściwie reformował się, zaś w tym samym czasie rodziły się nowe grupy rozdające karty, kumulowano

Modernizacja wyłącznie poprzez rozbudowę infrastruktury to pole do popisu dla „kręcenia lodów”.

kapitał, powstawały podstawy późniejszego bogactwa i władzy w Europie. Jako że nie było wtedy suwerennej Polski, procesy te na naszych ziemiach postępowały z intensywnością kontrolowaną przez zaborców. Nie znaczy to, że Polacy pozostawali bierni: w tym okresie powstało wiele odważnych innowacji społeczno-technicznych o całkowicie rodzimym pochodzeniu. Wszystkie one jednak mogły być skonsumowane i upowszechnione tylko w takim zakresie, w jakim nie kolidowały z interesami poszczególnych zaborców. Polska w pewnej mierze została więc zmuszona do hibernacji w kwestii postępu, a stało się to w momencie europejskiej fazy modernizacji.

Próby nadrobienia tego zapóźnienia podjęła się II Rzeczpospolita. I chociaż można mieć do niej wiele różnych zastrzeżeń, to jednak dzięki mądrym posunięciom władz i szerokiemu poparciu społecznemu, nowa Polska rozwijała się gospodarczo, technologicznie i kulturowo. Nie miejsce tu, żeby opisywać udaną reformę waluty, połączenie trzech zaborów, budowę COP-u, Gdyni czy skuteczną obronę przed bolszewizmem w roku 1920. W II RP, mimo ówczesnej globalnej dekonjunkury, pojawił się załazek państwa podmiotowego, lidera nie tylko regionu, ale i przyszłej Europy. Dość wspomnieć, że ówczesna Warszawa miała – zgodnie z planami jej wielkiego prezydenta, Stefana Starzyńskiego – skończyć budowę wszystkich nitek metra w latach 70. Także sektor prywatny rozwijał się prężnie. Polskie firmy przedwojenne reprezentowały niemal każdą branżę ówczesnego świata, dając nadzieję na rzeczywistą gospodarczą konkurencję z innymi państwami. Większość tego dziedzictwa została jednak zaprzepaszczona: II wojna światowa upośledziła Polskę na długie lata.

Trzeci paradygmat odwołuje się do tej tradycji, bazując na przekonaniu o konieczności stworzenia takich warunków społecznych, które dają możliwości samo-realizacji różnym żywotnym grupom społecznym, minimalizując przy tym działania antyrozwojowych grup interesów. Modernizacja w tym ujęciu obejmuje budowę nowych dróg, szpitali, lotnisk czy boisk, a także proces emancypacji słabszych grup społecznych oraz zwiększanie egalitaryzmu. Tyle że żadnego z tych procesów nie stawia na piedestale. Te procesy, ich zakres i kierunek powinny być konsekwencją działań i woli społecznej, a nie efektem ślepego małpowania innych krajów przez elity wątpliwej proveniencji i lojalności.

Punktem wyjścia warto uczynić pytanie: skąd właściwie biorą się impulsy dla unowocześniania, ulepszania, które pozwalają skorzystać z możliwości modernizacji wszystkim zainteresowanym członkom społeczeństwa? Czy impulsem są tylko pobudki szlachetne? Modernizacja pojawia się przecież także z powodu chciwości, ambicji, dążenia do władzy czy ochrony własnych interesów, a każdy z tych impulsów może prowadzić do zejścia na złą drogę. Dlatego wymaga

ramy zabezpieczającej interes innych żywotnych grup społecznych.

Impulsem, który postrzegamy jako pozytywny, jest odwaga. Modernizacja płynąca z odwagi ma miejsce wtedy, gdy różne jednostki, grupy społeczne, grupy interesu nie tylko mają śmiałość podjęcia działań i dostrzegają przestrzeń do realizacji własnych planów unowocześnienia, ale przede wszystkim, gdy ta odwaga nie musi oznaczać konieczności przełamywania zakulisowych działań i ukrytych mechanizmów blokujących.

Społeczeństwo „zmodernizowane” to dla nas społeczeństwo odważne. Plany unowocześnienia Polski w czasie II RP płynęły z odwagi, czasem wręcz szalonej. I nie mamy tu na myśli tylko liderów, którzy realizowali wielkie projekty infrastrukturalne, ale także tych, którzy w małych miastach otwierali zakłady naprawy samochodów czy niewielkie fabryczki; tych, którzy unowocześniali własne gospodarstwa rolne i wracali nieraz z dalekiej Ameryki, by tu pracować. Fundamentem było jednak przekonanie, że aparat państwa i nastawienie większości elit nie wytworzą barier ostatecznie blokujących marzenia. Blokady oczywiście były. Nie było jednak paraliżującego przekonania, że nie warto rozwijać własnej przedsiębiorczości, bo liczba czyhających hien jest zbyt duża, przemożna. Bo i tak ktoś naszą firmę wykończy, doprowadzi do upadłości, a potem przejmie, bo urzędnicy państwowi „siedzą w kieszeni” zagranicznej korporacji, a polskojęzyczna prasa robi grunt społeczny pod kolejny akt niemocy Państwa Polskiego wobec następnej „dziejowej konieczności”, która w dziwny sposób realizuje interesy wszystkich stron, tylko nie Polski.

Modernizacja, którą postulujemy, nie dokonuje się w warunkach anarchii. Odwaga – by prowadzić kontrowersyjne badania, by pomagać grupom społecznie upośledzonym, by założyć spółdzielnię producentów rolnych – bierze się z określonych warunków kulturowych. A te powstają w dużej mierze dzięki działaniom elit. Gdy wykazują one strach, uległość i nielojalność, to czego możemy oczekiwać od reszty społeczeństwa...

Rozwojowe grupy interesów – podobnie zresztą, jak i ich antyrozwojowe odpowiedniki – potrzebują warunków brzegowych oraz impulsów strategicznych, płynących od elit. Aspekty te można z łatwością wymienić. Państwo które chce, aby powstały rozwojowe grupy interesów, musi:

- w gospodarce stosować jasne i przejrzyste zasady, obowiązujące wszystkie podmioty w równym stopniu, oraz bezlitośnie karać wszelkie przejawy korupcji i tzw. kreatywnej księgowości, zaczynając od wielkich firm „dojających” budżet państwa, co skłoni mniejsze podmioty do większej lojalności;
- w kulturze nie szczędzić środków na budowanie dobrego stereotypu i autostereotypu państwa i obywateli oraz popularyzować wszystkie wątki histo-

ryczne i kulturowe, które są budujące dla „szarego obywatela”;

- w prawie i jego stosowaniu kierować się przystępnością, prostotą i nieuchronnością działania;
- w polityce zagranicznej stawiać przede wszystkim na swój własny interes, nawet gdy budzi to sprzeciw silniejszych państw;
- w kwestii szeroko rozumianego bezpieczeństwa zapewnić swoim obywatelom, mniejszości polskiej za granicą, podmiotom prawnym zarejestrowanym w kraju oraz polskim za granicą wszelkie możliwe wsparcie i zabezpieczenie w wypadku, gdy stają się zagrożone lub przysługujące im prawa są łamane lub nie są realizowane;
- w kwestii edukacji dbać o dobrą i szeroką ofertę edukacyjną, z naciskiem na budowanie przekonania, że razem możemy dużo więcej i że jesteśmy częścią większego i starszego projektu niż doraźność;
- w kwestii polityki informacyjnej (mediów) zadbać o to, aby media nigdy nie zostały zmonopolizowane, a ich właścicielami byli przede wszystkim obywatele, których interes jest związany z interesem Państwa Polskiego.

Oczywiście można dyskutować, czy powyższe postulaty wystarczą, aby napędzić działania obywateli odwagą. Bez nich jednak nie ma mowy o żadnej formie kształtowania własnego państwa. Być może już samo wprowadzenie tych postulatów w życie jest modernizacją, jednak według nas, to dopiero pierwszy etap – stworzenie ramy. Etap zasadniczy musi być w rękach suwerenów. To my wspólnie powinniśmy zmienić otaczającą nas rzeczywistość. Aby jednak to się stało, nie możemy bać się, że zachodnia korporacja zniszczy naszą firmę korzystając z pomocy jakiegoś urzędu, albo że nie zostaniemy prawnikiem, bo pochodzimy z rodziny bez prawniczych lub pezetpeerowskich korzeni.

Trzy paradygmaty – trzy problemy

Pierwszy paradygmat dostarcza naszym zdaniem niewystarczających impulsów i stanowi pożywkę dla aktorów społecznych *de facto* spowalniających powstanie społeczeństwa nowoczesnego i otwartego. **Modernizacja wyłącznie poprzez rozbudowę infrastruktury to pole do popisu dla korupcji, konfliktów interesów i „kręcenia lodów”.**

Jednym z powodów, dla których żyjemy ciągle w modernizacyjnym transie, jest nielojalność wielu wpływowych grup społecznych wobec interesów państwa. Grupy te bezboleśnie przeszły z jednego systemu do drugiego. Ich interes nie pokrywał się z interesem wyzwalanych mas społecznych. Nie były one lojalne wobec społeczeństwa w czasach komunistycznych – sprawując władzę na różnych poziomach administracji i społecznej infrastruktury – więc nie są i w III RP. Ich główny cel to zabezpieczenie stanu posiadania i przyszłości.

Grupy te cechuje cynizm i antyspołeczny egoizm (w odróżnieniu od prospołecznego i propaństwa), który zawsze był i będzie skierowany przeciwko wprowadzeniu równych zasad działania dla obywateli, gdyż sukces tych środowisk opiera się właśnie na przewadze w społecznej grze. Co gorsza, skoro ich stary pan, czyli PRL, rzekomo upadł, to jako najemnicy do wynajęcia odrestaurowali stare sieci oraz oddali się na służbę nowych, zewnętrznych panów, o interesach zupełnie innych niż interes Rzeczypospolitej. Modernizacja rozumiana jako rozbudowa infrastruktury tworzy pożywkę dla najemników, ich starych i nowych panów.

To oczywiście każe wspomnieć o kolejnym aspekcie wiecznego przemeblowywania państwa – o konflikcie interesów. Jak się wydaje, wiele zmian proponowanych oficjalnie (przez komisje sejmowe, posłów, ministrów i ich sekretarzy), postulowanych jako modernizacyjne, powstaje w sytuacji konfliktu interesu. Ma to miejsce wtedy, gdy osoby występując w roli urzędników publicznych łamią oficjalnie deklarowaną lojalność wobec państwa i społeczeństwa, bo działają *de facto* na rzecz innych, często niejawnych grup interesu. „Ulepszenia” funkcjonowania różnych branż produkcyjnych czy usługowych, nowe prawa i regulacje mające poprawić ich „zły stan” – bardzo często mają w swoim horyzoncie konkretnych beneficjentów. I niestety, często nie są nimi ci, których interesu obiecali bronić inicjatorzy zmian.

Drugi paradygmat dostarcza z kolei fałszywego dylematu. Prezentując emancypację wybranych grup jako sedno modernizacji, jednocześnie dyskryminuje wiele równoległe funkcjonujących grup społecznych, narzucając im wycinkową wizję lepszego świata. Zwolennicy tego paradygmatu postrzegają modernizację w wymiarze obyczajowym i specyficznie postrzeganej etyki. Dodatkowo w oficjalnej wykładni rzeczywistości traktuje się tu kwestie kulturowe i mentalności jako w pełni wyjaśniające wszystkie problemy. To więc narodowe wady Polaków mają stać na przeszkodzie ich pomyślności – ten właśnie, w gruncie rzeczy antypolski motyw jest podejmowany przez mainstream. Dlatego też hasła zgody, w praktyce promujące serwilizm wobec obcych interesów – bo czy zgoda na wszystko jest właściwą postawą? – stanowią tak atrakcyjny lep dla tych, których wyuczono źle myśleć o możliwościach własnej wspólnoty i własnych.

Trzeci postulowany przez nas paradygmat boryka się z problemem braku silnych aktorów, gotowych do podjęcia się realizacji wypływającej z niego wizji modernizacji. **Wiele organizacji posiadających odpowiednie zasoby i kapitały nie widzi interesu w „odważnym” społeczeństwie. Bo takie społeczeństwo miewa także odwagę powiedzieć „sprawdzam” w grze w politykę czy w gospodarkę.**

DR TOMASZ JARMUŻEK · DR JOANNA SZALACHA

Konsumentom, chroń się



BARTŁOMIEJ GRUBICH

Ruch konsumencki ma w Polsce całkiem długą historię, ale przede wszystkim - przyszłość. Jest bowiem o co walczyć.

Punkt wyjścia dla ochrony praw konsumenta stanowi Konstytucja, która jednoznacznie stwierdza, iż *władze publiczne chronią konsumentów, użytkowników i najemców przed działaniem zagrażającym ich zdrowiu, prywatności i bezpieczeństwu oraz przed nieuczciwymi praktykami rynkowymi*. Konkretnie uprawnienia konsumentów określa przede wszystkim ustawa z 27 lipca 2002 r. o szczególnych warunkach sprzedaży konsumenckiej. Stanowi ona i porządkuje ramy dla regulacji w tej sferze, jednak wszystkie przepisy chroniące interesy konsumenta rozrzucone są po wielu dokumentach prawnych, na ustawie o języku polskim skończywszy¹.

Niemal dla każdej dziedziny usług i wielu kategorii produktów istnieją specyficzne akty prawne, do których niezadowolony konsument może się odwoływać. Osobne ustawy i rozporządzenia regulują świadczenie usług telekomunikacyjnych, turystycznych oraz finansowych; do jednych dokumentów należy dotrzeć w przypadku reklamacji związanych z żywnością, do innych - jeśli sprzedano nam niepełnowartościową odzież. Prawnik Dariusz Krupski, prezes Obywatelskiego Stowarzyszenia Konsumentów i Przedsiębiorców „W Jedności Siła”, jednoznacznie stwierdza, kim powinien być „skuteczny” konsument: *Musi być dobrym szperaczem. Przykładowo, jeśli chcemy skutecznie*

egzekwować nasze prawa związane z zakupem butów, oprócz ustawy o szczególnych warunkach sprzedaży konsumenckiej powinniśmy znać kodeks cywilny, klauzule niedozwolone, ustawy o świadczeniu usług oraz masę innych przepisów, z kodeksem wykroczeń włącznie.

Sprawy nie ułatwia specjalistyczny język - ktoś, kto nie ma doświadczenia w czytaniu aktów normatywnych, po prostu nie zrozumie wspomnianych przepisów. - *Jako pełnomocnik występuję przed sądami i np. ustawy o przeciwdziałaniu nieuczciwym praktykom rynkowym często nie rozumieją do końca nawet sami sędziowie, a co dopiero człowiek, który na co dzień zajmuje się czymś innym. Nawet jeśli się na jakąś ustawę powołuje, to nie zawsze potrafi ją dobrze zinterpretować* - mówi Krupski. Oczywiście problem dotyczy także usługodawców i sprzedawców, którzy nie zawsze są świadomi własnych obowiązków. - *Akty prawne liczy się w tysiącach; to są miliony stron, nie do przeczytania w ciągu całego życia, a niestety jeśli konsument nie zna tych przepisów, to działa to na jego niekorzyść* - komentuje pan Dariusz.

Nieliczne przekrojowe badania polskich konsumentów potwierdzają tę opinię². **Słabo znamy swoje prawa konsumenckie** - tak twierdzi prawie ¾ respondentów (przeciwne zdania jest tylko 14%). Większość pytanym uważa, że polskie prawo jest w tym względzie zbyt skomplikowane (63%), nieprecyzyjne (61%), a w sporze ze sprzedawcą lub producentem uniemożliwia udowodnienie swoich racji (50%). Równocześnie aż 69% obywateli uznaje, że nie trzeba znać swoich praw, bo zawsze można zwrócić się z reklamacją do sprzedawcy.

Wśród ekspertów wydaje się jednak dominować opinia, iż - mimo powyższych wad - rodzime prawo gwarantuje ochronę konsumenta na dobrym poziomie,



również na tle krajów zachodnich. Oczywiście w znacznej mierze wymusza to wymóg zgodności naszych regulacji z polityką konsumencką Unii Europejskiej.

Tyle teorii, ponieważ **praktyka pokazuje, iż konsument w Polsce ma bardziej „pod górkę” niż jego odpowiednik ze Szwecji, Wielkiej Brytanii czy Niemiec.** Doktor Izabela Sowa z Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach twierdzi, że polscy konsumenci są zdezorientowani ze względu na często zmieniające się prawo. Również Dariusz Krupski uważa, że sedno problemu nie tkwi w przepisach: *Są sprzedawcy, którzy bardzo ładnie prowadzą procedury reklamacyjne, jednak to wyjątki. Generalnie u nas zniechęca się konsumenta, wiska mu się, że to jego wina, że kupione buty rozleciały się, gdyż powinny być noszone tylko w muzeum albo w słoneczną pogodę, mimo że nikt o tym podczas zakupu nie informował. Tymczasem jeżeli w Niemczech czy w krajach skandynawskich reklamuje się towar, który posiada widoczne gołym okiem uszkodzenie, to nie powołuje się biegłych czy rzeczoznawców, lecz oddaje pieniądze lub prosi klienta, aby wybrał sobie inny. Wydaje mi się, że to nie przepisy, ale przede wszystkim mentalność jest tam inna: powszechny szacunek dla klienta i wiara w to, że jeśli wyjdzie zadowolony, to firma na tym zyska, bo pocztą pantoflową będzie jej robił dobrą opinię.* Tymczasem polski konsument bardzo często (56% odpowiedzi) jest przekonany, że składając reklamację traktowany będzie jako oszust próbujący coś wyłudzić.

Nie sami sobie

Na szczęście konsument może ubiegać się o wsparcie podmiotów działających na rzecz ochrony jego praw. Należą do nich zarówno organy państwowe, jak i organizacje pozarządowe. Naczelną instytucją jest tutaj Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, który jednak nie

zajmuje się „pojedynczymi” sprawami, z czego wielu Polaków nie zdaje sobie sprawy. Jednak to właśnie UOKiK zleca organizacjom pozarządowym i samorządom terytorialnym wykonywanie określonych zadań, jak prowadzenie bezpłatnego poradnictwa prawnego, badanie towarów i usług, edukowanie i informowanie.

Indywidualnymi przypadkami zajmują się rzecznicy konsumentów - miejscy lub powiatowi. Oferują m.in. poradnictwo, składanie wniosków, występowanie w sprawach. Co warto podkreślić, ich rola w systemie ochrony konsumentów jest bardzo pozytywnie oceniana przez ekspertów. - *Na pewno zdarzają się powiaty, gdzie rzecznik jest beznadziejny, tak samo jak zdarzają się beznadziejni lekarze czy nauczyciele. Natomiast sama idea i jej realizacja, a przede wszystkim to, że coraz więcej konsumentów ma świadomość, iż taki rzecznik istnieje i że mogą się do niego zwrócić o pomoc, a on np. pokieruje ich do właściwej instytucji - myślę, że ten aspekt reformy jak najbardziej się sprawdza* - stwierdza Izabela Sowa.

Dla skutecznej ochrony praw konsumenta niezbędna jest współpraca pomiędzy instytucjami państwowymi i organizacjami pozarządowymi. W Polsce działają dwie podstawowe organizacje pożytku publicznego, których głównym celem jest ochrona interesów konsumentów: Federacja Konsumentów oraz Stowarzyszenie Konsumentów Polskich. Obie realizują zadania finansowane przede wszystkim przez UOKiK, takie jak poradnictwo (np. prowadzenie infolinii) oraz tworzenie i dystrybucja materiałów informacyjnych i edukacyjnych. Doceniając wartość tych działań, należy odnotować, że na tle Europy Zachodniej ich skala jest niewielka. Przykładowo, we Francji czy w Niemczech funkcjonuje około dwudziestu powstałych oddolnie organizacji reprezentujących konsumentów,

posiadających zarówno oddziały lokalne, jak i struktury ogólnokrajowe. Trzeba mieć przy tym na uwadze istotną różnicę: organizacje zachodnie często działają jedynie na rzecz własnych, zarejestrowanych członków, natomiast w Polsce dostęp do wsparcia ze strony nielicznych istniejących organizacji konsumenckich jest zasadniczo nieograniczony.

Federacja Konsumentów jest najstarszą i największą konsumencką organizacją pozarządową w Europie Środkowo-Wschodniej. – *Od lat 50. środowisko naukowe uważało, że należy powołać organizację, która niezależnie od różnych instytucji państwowych zajmowałaby się problemami konsumenckimi: wyłącznie nimi, i to w sposób niebiurokratyczny. Jednak do powołania takiej organizacji doszło dopiero w 1981 r., na fali ówczesnych zmian politycznych* – mówi Elżbieta Połczyńska, prezes oddziału w Poznaniu. Federacja posiada biuro w Warszawie oraz 47 jednostek terenowych. W każdym z oddziałów można otrzymać bezpłatną pomoc prawną, która jest podstawową formą działalności organizacji.

Prawnik ustala, czy roszczenia konsumenta są uzasadnione, a następnie pomaga w podjęciu odpowiednich kroków. Jeśli sprawa tego wymaga, dochodzi do interwencji u producenta lub sprzedawcy. Gdy pozostaje ona bez odzewu, Federacja może wystąpić do sądu i nieodpłatnie prowadzić sprawę w imieniu poszkodowanego. Stowarzyszenie jest najbardziej rozpoznawalną organizacją w dziedzinie ochrony praw konsumenta, kojarzoną przez 31% Polaków. Nie dziwi więc skala zainteresowania jego działalnością. W roku 2008 r. udzieliło 7298 porad pisemnych, 39697 bezpośrednich oraz 54025 porad i interwencji telefonicznych. Elżbieta Połczyńska przyznaje jednocześnie, że działalność mogłaby być szersza i bardziej skuteczna, gdyby nie ograniczenia finansowe.

Z kolei Stowarzyszenie Konsumentów Polskich założone zostało w 1995 r. i działa przy Stowarzyszeniu Porad Konsumenckich, które udziela pomocy prawnej mieszkańcom Warszawy i okolic. Tym, co wyróżnia SKP, jest prowadzenie jedynej w Polsce bezpłatnej infolinii konsumenckiej, dostępnej na terenie całego kraju pod numerem 800 800 008, codziennie od 9 do 17. Maria Beca, prawnik ze Stowarzyszenia, mówi, że **konsumenci dzwonią cały czas**. – *Większość spraw dotyczy typowej sprzedaży konsumenckiej, czyli problemów ze złożeniem reklamacji, tego, jakie mamy uprawnienia, gdy towar się zepsuje itp. Oprócz tego ludzie zwracają się do nas z prośbą o pomoc w wielu innych sprawach, np. dotyczących usług bankowych, telekomunikacyjnych, energetycznych. Zdarzają się też problemy związane z ubezpieczeniami, sprzedażą przez Internet czy akwizytorów* – wylicza.

Zastrzega przy tym, że istnieją problemy, których nie sposób rozwiązać „na odległość”. – *Należy mieć świadomość, że wiele spraw wymaga analizy umowy. Tam, gdzie jest umowa i prawnik nie ma dostępu do jej treści, nie zawsze jest w stanie pomóc* – wyjaśnia pani Beca. – *W ramach porad telefonicznych przede wszystkim*

podpowiadamy, na jakie przepisy konsument może się powołać, co napisać w reklamacji, jakie praktyczne kroki przedsięwziąć.

Wsparcia konsumenci szukają także w Internecie. Sieć umożliwia powstawanie nieformalnych grup, w ramach których użytkownicy (często eksperci w danej dziedzinie lub prawnicy) przekazują fachowe porady. Na jednym z najpopularniejszych forów prawnych codziennie pojawia się kilkanaście pytań konsumentów (<http://forumprawne.org/prawa-konsumenta/>). Choć nie zawsze możliwa jest rzetelna pomoc (np. ze względu na brak wglądu w dokumenty), żadne zapytanie nie pozostaje bez odpowiedzi.

W ten sposób internauci w sposób oddolny promują praktyczną wiedzę na temat praw konsumentów, czego niestety bardzo brakuje w tradycyjnych mediach. – *Nadawane są programy konsumenckie, jednak docierają one do niewielu osób* – twierdzi Dariusz Krupski. – *Są bowiem emitowane albo w godzinach późnowieczornych, albo przedpołudniowych, dlatego mogą je oglądać jedynie bezrobotni czy emeryci. Takich programów jest zresztą bardzo niewiele, a co gorsza mówią głównie o tym, jak wybierać czy kupować towar, natomiast nie ukierunkowują prawnie. A to jest naprawdę ważne – co z tego, że dowiemy się z telewizji, na co zwracać uwagę, gdy okaże się, że już zostaliśmy oszukani? Jak następnie mamy egzekwować swoje prawa? Tutaj poradnictwo się kończy – publiczne media nie dbają, by obywatele otrzymali taką informację. Są zdani tylko na siebie.*

Czy wiesz, co jest?

W krajach zachodnich na straży interesów nabywców stoją różnorodne testy konsumenckie, mające długą tradycję i opinię rzetelnych. Przykładem jest Stiftung Warentest, niemiecka organizacja będąca wydawcą magazynu „Test”. Co roku publikuje około 200 testów, osiągając nakład ponad pół miliona egzemplarzy (!). Pozytywne oceny danego produktu przekładają się na zwiększone zainteresowanie klientów. Natomiast negatywne powodują oburzenie producentów i sprzedawców, a nierzadko procesy sądowe – wydawca twierdzi, że jest ich średnio dziesięć rocznie – jednak od roku 1964 Stiftung Warentest nie przegrało ani jednego z nich.

W Polsce właściwie jedynym medium zajmującym się testami konsumenckimi w ścisłym znaczeniu jest magazyn „Pro-Test”, będący kontynuacją wcześniej istniejącego „Świata Konsumenta”. Zamieszczane są w nim testy porównawcze m.in. żywności, kosmetyków i sprzętu AGD i RTV. „Pro-Test” nie jest jeszcze tak popularny jak jego zachodnie odpowiedniki, z którymi ściśle współpracuje. Tamte czasopisma istnieją już od kilkudziesięciu lat. Być może rozwiązaniem byłoby wsparcie państwa dla tego typu publikacji (jak często dzieje się w krajach „starej” Unii) – obecnie „Pro-Test” przeprowadza testy za pieniądze zarobione na płatnej publikacji ich wyników w Internecie, wydawaniu książek oraz z dotacji Komisji Europejskiej. Piotr Koluch,

redaktor naczelny „Pro-Testu”, z ironią zauważa, iż władze z Brukseli są bardziej niż polski rząd zainteresowane dostępem Polaków do niezależnych testów. I już na poważnie dodaje: *Na początku każda tego typu organizacja musi dostać wsparcie od rządu. Szczególnie, iż testy konsumenckie, takie jak te publikowane przez „Pro-Test”, wymagają nieraz nakładów w wysokości setek tysięcy euro. Warto dodać, że z inicjatywy Federacji Konsumentów w latach 90. powstał w Polsce Konsumencki Instytut Jakości, jednak z powodów finansowych zakończył działalność.*

Dostęp do wyników niezależnych testów konsumenckich pozwala zaoszczędzić pieniądze, zdrowie, a nawet zapewnia bezpieczeństwo – jak w przypadku niedawno opublikowanego raportu na temat opon zimowych albo testu, który ujawnił, jakie zabawki zawierają szkodliwe substancje. Barwnym przykładem, wywracającym potoczne myślenie do góry nogami, jest przeprowadzone przez „Pro-Test”, rzetelnie udokumentowane badanie wód mineralnych i źródlanych. Okazuje się, iż tzw. kranówka w Warszawie bywa lepsza – jeśli chodzi o zawartość minerałów, substancji niepożądanych, jak rad i uran, choć już nie o smak – od wody butelkowanej, natomiast atest Instytutu Matki i Dziecka jest jedynie chwytem marketingowym, nie zaś wyznacznikiem jakości. – *Ja preferuję wodę z kranu – deklaruje redaktor naczelny pisma. – O kwestiach takich jak zapach czy smak się nie dyskutuje. Mnie ta woda smakuje. Na całym świecie pije się „kranówkę”, w restauracjach w Grecji czy Włoszech podaje się ją do posiłków i nie słyszałem jeszcze, żeby komuś zaszkodziła. Czasami woda źródlana w Polsce ma mniej minerałów, niż woda z kranu, która kiedyś była gorszej jakości, a dziś za nią płacimy, więc się o nią dba.*

Niestety, w polskiej prasie częściej niż z tego typu fachowymi testami mamy do czynienia z porównawczymi zestawieniami produktów i usług. Publikowane są przede wszystkim przez czasopisma kobiece i specjalistyczne (np. komputerowe, fotograficzne). Piotr Koluch jednoznacznie stwierdza, iż tego typu zestawienia to wprowadzanie ludzi w błąd. – *Tamte testy nie są robione w laboratoriach, nie są opracowane przez naukowców, lecz przez dziennikarzy. To subiektywna ocena, my robiąc testy bazujemy na kryteriach obiektywnych. Co więcej, pisma popularne stają przed dylematem przypodobania się lub narażenia potencjalnym reklamodawcom. Dodatkowo wiele badań jest przeprowadzanych przez same zainteresowane firmy, co wzbudza uzasadnione wątpliwości.*

Alternatywą byłyby rzetelne kontrole produktów przez instytucje państwowe, np. Państwową Inspekcję Handlową. Niestety między tą instytucją i innymi tego typu, a „Pro-Testem”, występuje jedna różnica, kluczowa dla konsumenta. Piotr Koluch wyjaśnia: *My ujawniamy, oni nie ujawniają nazw badanych marek. To państwo powinno przekazywać informacje, które my przekazujemy. Nie wiem, jaka jest polityka państwa.*

Wydaje ono na badania miliony złotych, po czym dowiadujemy się lakonicznie: 20 produktów okazało się złych, a 80 dobrych. Jakie próbki, czyje, kto „nawala”, jakie kto kary dostaje – tego się nie dowiemy. I tym różnimy się od Zachodu, gdzie konsument otrzymuje takie informacje.

Razem, bracia konsumenci

Zorganizowani konsumenci mogą skuteczniej walczyć o swoje prawa. W Polsce dzieje się to jednak wyjątkowo rzadko. Tymczasem na Zachodzie zorganizowane akcje konsumenckie (np. bojkotowanie produktów określonych firm, lobbing itd.) wpisały się w stały repertuar działań obywatelskich. Ciekawym przykładem jest sytuacja z niemieckiego Kassel, gdzie konsumenci zmusili lokalne władze do wprowadzenia podatku dla sieci fast food od jednorazowych opakowań, wbrew mocnemu sprzeciwowi firm wytwarzających i sprzedających tego typu żywność. Za przykładem Kassel poszły inne miasta, mimo iż *de facto* wiązało się to ze wzrostem cen dla konsumentów.

W Polsce spektakularną walkę o swoje interesy rozpoczęli klienci mBanku i Multibanku, którzy zaciągnęli kredyty hipoteczne we frankach szwajcarskich. Osobom, które podpisały umowy przed 1 września 2006 r., oprocentowanie naliczano w taki sposób, że gdy stopy procentowe w Szwajcarii rosły, ono również wzrastało, natomiast kiedy spadały – bank nie reagował. Zawiedzeni klienci założyli stronę internetową, gdzie dokładnie opisali swoje roszczenia (mstop.pl), oraz forum, liczące ponad 3200 użytkowników, gdzie wymieniają się opiniami, rejestrując przy tym wszelkie medialne wzmianki o swojej inicjatywie (nabiciwmbank.pl).

Skala podjętych działań jest w skali naszego kraju ewenementem. – *W ciągu ponadpółtorarocznej działalności udało nam się wiele osiągnąć* – mówił dla „Przeglądu” B!g!@ck, administrator forum. – *Zorganizowaliśmy pierwszą w kraju konsumencką kampanię billboardową, prowadziliśmy akcje marketingu wirusowego w serwisach takich jak Facebook, Blip i Twitter, oklejailiśmy nasze samochody w przestrodze przed bankiem, udało nam się zmobilizować do działania Komisję Nadzoru Finansowego i UOKiK.*

BRE Bank (właściciel mBanku) początkowo sprawę bagatelizował, później jednak zaproponował zmiany w naliczaniu odsetek. Propozycja została zaakceptowana, lecz jedynie przez część klientów – mówi się o ok. 20% niezadowolonych, którzy nadal dążyli do zmian. Nowy impuls pojawił się latem 2010 r., gdy ustanowiono prawną możliwość składania pozwów zbiorowych. Niezadowoleni klienci BRE, jako „Grupa na bank”, rozpoczęli przygotowania do złożenia wspólnego pozwu. W grudniu aż 776 osób wspólnie złożyło pozew zbiorowy przeciwko BRE Bankowi. Warto dodać, że wcześniej grupa poprosiła o pomoc Miejskiego Rzecznika Konsumentów w Urzędzie Miasta Stołecznego Warszawy – Małgorzata Rothert zgodziła się reprezentować ich przed sądem.

Samoorganizacja poszkodowanych przez mBank zachęca do działania kolejne grupy, np. klientów niezadowolonych z usług banków grupy Santander oraz Raiffeisen. Już sam fakt, że pojawia się powszechna świadomość, iż można walczyć o swoje nawet z takimi molochami, niewątpliwie wzmacnia pozycję polskiego konsumenta.

Pojawia się pytanie, dlaczego taka samoorganizacja możliwa była dotychczas tylko w przypadku konfrontacji z wielkimi instytucjami finansowymi. W następujący sposób tłumaczy to Elżbieta Połczyńska: *Nie zbierze się wszystkich, którzy w różnych porach roku kupują buty – jedni na sezon zimowy, inni na letni. Nie zbierze się ich pod kolejnymi sklepami, bo jest ich wiele, tymczasem mBank jest jeden. Przede wszystkim jednak to kwestia wielkości roszczeń finansowych poszczególnych osób. Tego się nie da porównać.* Należy jednocześnie podkreślić, że w krajach Europy Zachodniej konsumenci potrafią się oddolnie zorganizować nawet w drobnych sprawach, jak zbyt wysokie opłaty za przejazd koleją. Ponownie pojawia się więc kwestia świadomości i edukacji konsumenckiej, nadal słabo u nas rozwiniętych. – *Z jednej strony ludzie z biegiem czasu dowiadują się, gdzie ewentualnie mogą szukać pomocy* – twierdzi Połczyńska. Jednocześnie zauważa, iż Polacy niby słuchają, że należy uważać na taką bądź inną firmę czy praktykę, lecz prawdziwie interesują się swoimi prawami dopiero, gdy problem dotknie ich bezpośrednio. – *„Myślałem, że MNIE coś takiego nie może się przytrafić” – bardzo często słyszymy od konsumentów, którzy do nas docierają.*

Miej świadomość

UOKiK zorganizował lub wsparł finansowo sporo kampanii informacyjnych. W latach 2004–2006 przeprowadzono największą z dotychczasowych, pod hasłem „Moje konsumenckie ABC”. W jej ramach przygotowano wiele publikacji i materiałów edukacyjnych (broшуry, podręczniki, skrypty, wydawnictwa audiowizualne, ulotki, komiksy i kolorowanki dla dzieci), stronę internetową przeznaczoną dla młodych konsumentów (www.konsumentenabc.pl), 30-sekundowy spot emitowany w telewizji, cykle warsztatów szkoleniowych dla rodziców i nauczycieli oraz konferencji regionalnych, happeningi dla studentów uczelni o profilu ekonomicznym, poświęcone etyce prowadzenia działalności gospodarczej. Powstał także program „Konsument”, emitowany w TVP2. Oprócz tego, szereg kampanii edukacyjno-informacyjnych przeprowadzają organizacje pozarządowe, zwłaszcza wspomniane dwie największe.

Gorzej wygląda sprawa z edukacją w szkołach. Mimo iż na samorządzie terytorialnym spoczywa obowiązek wprowadzania do programów nauczania elementów wiedzy konsumenckiej, w praktyce poświęca się temu zagadnieniu jedynie... 1-3 godziny w ramach lekcji przedsiębiorczości. Należy jednocześnie odnotować istnienie takich projektów, jak „Co młody konsument

wiedzieć powinien?”, przeprowadzony we współpracy i przy wsparciu Urzędu przez Polską Zieloną Sieć. Zrealizowano go w latach 2006–2007 na terenie całego kraju. W jego ramach przeszkolono około 14 tysięcy uczniów 480 szkół różnych szczebli. Tego typu projekty powinny jednak uzupełniać, a nie zastępować rzetelne działania państwa na rzecz edukacji konsumenckiej najmłodszych.

Dodatkowo ważne jest, by kampanie informacyjne docierały do obu stron „barykady”, tj. także do sprzedawców i usługodawców. – *W ustawie o ochronie konkurencji i konsumentów jest zapis, że powiat prowadzi bezpłatne poradnictwo poprzez rzecznika konsumentów, natomiast gmina ma zapewnić edukację konsumencką. Ważne jest połączenie tych dwóch sił, nastawienie na lokalne programy edukacyjne, wspierane na szczeblu krajowym przez UOKiK, który powinien przygotowywać materiały i broшуry informacyjne. Powinny być one adresowane nie tyle nawet do konsumentów, co do przedsiębiorców, usługodawców i sprzedawców* – mówi Krupski.

Wyjaśnia on, że przestrzeganie praw konsumentów często opłaca się bardziej niż wielotysięczne wydatki na reklamę. – *Firmy, które potrafią o swoich klientach dbać i solidnie postępują np. przy zgłoszeniach reklamacyjnych i jeszcze dodadzą jakiś prezent, zwiększają obroty, gdyż cieszą się dobrą renomą. Klienci wiedzą, że w danym sklepie można kupować bez ryzyka* – stwierdza. Dodaje, iż w sytuacjach, gdy firmy uchylają się od realizacji obowiązku reklamacji, powinny otrzymywać kary finansowe, co niestety ma miejsce zbyt rzadko.

W dziedzinie ochrony praw polskiego konsumenta nadal pozostaje bardzo dużo do zrobienia. Współpraca pomiędzy państwem a organizacjami pozarządowymi nie zawsze jest efektywna i m.in. dlatego brakuje im środków, przez co wiele projektów pozostaje niezrealizowanych. Jednocześnie konsumenci, choć zagubieni, są coraz bardziej chętni do szukania rozwiązań, porad – i coraz częściej je znajdują. A kiedy firmy naprawdę mocno nadepną im na odcisk, potrafią się zjednoczyć przeciwko nim. W ten sposób stopniowo tworzy się w Polsce fundament pod uznanie konsumenta za realny podmiot życia publicznego. Miejmy nadzieję, że wkrótce bycie konsumentem przestanie stanowić jedynie konieczną, narzuconą rolę społeczną, a stanie się także świadomą postawą obywatelską.

BARTŁOMIEJ GRUBICH

1. Najważniejsze akty prawne dotyczące ochrony konsumentów znaleźć można na stronie: http://www.uokik.gov.pl/ochrona_konsumentow.php
2. Wykorzystałem wyniki badań z następujących publikacji, dostępnych na stronie Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów (<http://www.uokik.gov.pl>): „Znajomość i korzystanie z praw konsumenckich”, „Znajomość praw i organizacji chroniących konsumentów”, „Konsumentów portret własny: świadomość praw, sposoby podejmowania decyzji, bariery utrudniające bezpieczne i satysfakcjonujące uczestnictwo w rynku”.

Poza kontrolą?

NATALIA KRÓLIKOWSKA
MICHAŁ SOBCZYK

Sprawne państwo stoi na straży nie tylko swoich granic. Dbą także, aby zawartość talerzy obywateli była bezpieczna.

- Wydaje się, że system kontroli jakości i bezpieczeństwa żywności działa dość sprawnie. Rozporządzenia nakładają na producentów tyle warunków do spełnienia, że teoretycznie wszystko powinno być w porządku - mówi dr inż. Elżbieta Hać-Szymańczuk z Wydziału Nauk o Żywności SGGW. Przypomina, że w UE wszystkie firmy sektora spożywczego mają obowiązek stosowania systemu HACCP, pozwalającego na identyfikację zagrożeń dla bezpieczeństwa żywności podczas każdego etapu produkcji i dystrybucji.

Czy to jednak wystarczy? - Zakłady Constar w Starchowicach miały wszystkie możliwe certyfikaty jakości i bezpieczeństwa, amerykańskie i unijne. A jednak, jak ujawnił TVN, miało tam miejsce „odświeżanie” wędlin - przypomina Marek Kryda z Międzynarodowego Komitetu Sterującego Inicjatywy Odpowiedzialności Agrobiznesu.

W 2009 r. aż 14,8% partii wyrobów skontrolowanych przez Inspekcję Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych posiadało parametry niezgodne z przepisami o jakości handlowej lub z deklaracją producenta (w 2008 r. znacznie mniej - 9,4%). Co więcej, 35,1% było nieprawidłowo oznakowanych - np. błędna kolejność



© CIAT - International Center for Tropical Agriculture, <http://www.flickr.com/photos/ciat/4526056593/>

składników (powinny być wymieniane zgodnie z procentowym udziałem w gotowym wyrobie) czy brak informacji o występowaniu alergenów.

Zastrzeżenia dotyczą zwłaszcza firm, które produkują dla dużych sieci handlowych, wymuszających maksymalne ograniczanie kosztów. Fałszowane są jednak także wyroby delikatesowe, np. ekskluzywne wędliny marki Krakowski Kredens okazały się zawierać sztuczne dodatki, choć rzekomo produkowane są według starych receptur i nie konserwowane chemicznie.

Dr Zbigniew Hałat, prezes Stowarzyszenia Ochrony Zdrowia Konsumentów, przekonuje, że w pogoni za rynkową konkurencyjnością wielu producentów żywności stosuje „dumping sanitarny”. I podaje przykład: *W cywilizowanych krajach obliczona naukowo norma odpadów zwierzęcych wynosi ok. 25-30% masy żywca, co pozwala ograniczyć rozprzestrzenianie się chorób od zwierzęcych. W Polsce tych odpadów jest ok. 15%. Może to świadczyć o tym, że znaczna ich część trafia na nasze stoły zamiast do utylizacji.* Można się domyślać, że są składnikami pasztetów, parówek czy farszu pierogów.

Pokusa oszukania klienta zawsze będzie istniała, a dostępne ku temu metody są coraz doskonalsze. – *Technologia żywności to dzisiaj jej fałszowanie – zastępowanie składników znanych od tysięcy lat nowymi, które są tańsze* – uważa dr Hałat. Stąd konieczność sprawnego państwowego systemu kontroli.

Na straży talerzy

Zgodnie z ustawą o bezpieczeństwie żywności i żywienia, zadania związane z kontrolą żywności wykonują: Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych, Państwowa Inspekcja Sanitarna, Inspekcja Handlowa, Inspekcja Weterynaryjna oraz Państwowa Inspekcja Ochrony Roślin i Nasiennictwa.

W założeniu mają się one uzupełniać. IJHARS kontroluje producentów żywności, IH – sklepy i produkcję roślinną, IW – produkcję zwierzęcą. – *W każdym przypadku, gdy którykolwiek organ stwierdzi, że nie jest upoważniony do przeprowadzenia kontroli, ma obowiązek poinformować o tym organ kompetentny.* Przykładowo, gdy Wojewódzki Inspektor Inspekcji Handlowej stwierdzi, że sprzedawany w sklepie produkt jest zafałszowany, zawiadamia IJHARS, która ma prawo skontrolować producenta – mówi Agnieszka Majchrzak z Biura Prasowego Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, którego departament stanowi Inspekcja Handlowa. – *Zdarzają się nam wspólne kontrole z inspekcją weterynaryjną* – mówi rzecznik Głównego Inspektoratu Sanitarnego, Jan Bondar.

Prawo daje służbom kontrolnym całkiem mocne instrumenty. Do kompetencji IH należy wstrzymanie sprzedaży produktu do czasu poprawienia jego oznakowania lub wycofanie z obrotu, jeśli to konieczne ze względu na bezpieczeństwo konsumenta. Wojewódzki inspektor IJHARS oraz IH mogą nakładać kary za wprowadzanie do obrotu artykułów nie odpowiadających jakości określonej w przepisach lub deklarowanej przez

producenta. Mogą one wynieść do pięciokrotnej wartości korzyści majątkowej uzyskanej z tego tytułu lub potencjalnej.

Z kolei za wprowadzanie do obrotu tzw. artykułów zafałszowanych grozi kara od 1000 zł do 10% całości przychodu osiągniętego w poprzednim roku rozliczeniowym. W obu przypadkach przyłapanym kolejny raz na tym samym oszustwie grożą mandaty o podwyższonej wysokości. Od 2008 r. istnieje także możliwość nałożenia kary za utrudnianie lub uniemożliwianie kontroli artykułów spożywczych, w wysokości do piętnastokrotnego przeciętnego wynagrodzenia. Co więcej, organy IJHARS mają obowiązek podawania do publicznej wiadomości danych przedsiębiorców, którzy fałszują żywność.

Każdego roku wspomniane instytucje biorą pod lupę ogromną liczbę produktów. Przykładowo, między październikiem a grudniem 2009 r. IJHARS przeprowadziła 17666 kontroli jakości świeżych owoców i warzyw, artykułów mlecznych, przetworów rybnych, zbożowych, przetworów mięsnych, wyrobów cukierniczych i bułki tartej (2513 na rynku krajowym, 15 153 w obrocie z zagranicą).

Tymczasem...

Nic nie ujmując wysiłkom inspektorów, wiele wskazuje na to, że system nie jest szczelny. – *Weźmy wspomnianą aferę Constaru – gdyby nie media, prawdopodobnie w ogóle nie ujrzałyby światła dziennego. Przy prawidłowo funkcjonującym państwowym systemie kontroli takie nadużycia nie mogłyby się wydarzyć* – przekonuje Marek Kryda, określając nadzór nad produkcją żywności jako fatalny.

Jego zdaniem, „dziury” systemu obejmują szczególnie największe podmioty. – *Łatwo ukarać mandatem bar za brak toalety, ale kiedy inspektor ma do czynienia z wielką firmą – woli się nie wychylać.* Dotyczy to choćby korporacji amerykańskich, cieszących się wsparciem swojego kraju i lobbujących na poziomie ministerstw. – *W krajach Zachodu jest z kontrolami dużo łatwiej, bo opinia publiczna jest silniejsza* – dodaje Kryda. Uważa on, że mamy generalny kryzys państwa jako strażnika interesu ogółu. – *Coraz więcej się mówi, że dany inwestor jest tak ważny, bo płaci podatki... Inspekcje nigdy nie alarmują, że jest jakiś problem i trzeba zamknąć duży zakład. O tym można przeczytać na forach internetowych pracowników.*

„Bojaźliwość” służb – strach przed procesami o działanie na szkodę firmy – może być także wytłumaczeniem ich polityki informacyjnej. Inspekcja Handlowa zbadała niedawno jakość artykułów wyprodukowanych dla sieci handlowych, ujawniając takie „kwiatki”, jak ekstrakt kawy naturalnej zawierający 80% „domieszki” kawy zbożowej. Na stronie instytucji umieszczono m.in. informację, w ilu przypadkach skierowano zawiadomienia do organów ścigania. **Nie dowiemy się z niej natomiast, kto okazał się oszustem.** – *Nie mamy zwyczaju, żeby tworzyć czarne listy* – usłyszał



© Piotr Świderek, bardzofajny.net

w wyjaśnieniu dziennikarz „Polityki” od Dariusza Łomowskiego, wicedyrektora Inspekcji.

Innym, tradycyjnym problemem służb publicznych, jest brak pieniędzy. Zapewnienie wystarczających środków na realizację nałożonych zadań było jednym z postulatów pracowników stacji sanitarno-epidemiologicznych podczas protestów trzy lata temu. Podobnie protestowali weterynarze, domagając się m.in. zwiększenia zatrudnienia w inspektoratach weterynaryjnych i zakupu nowego sprzętu, oraz pracownicy PIORiN. Płace w inspekcjach są niskie, co nie sprzyja wydajnej pracy, jest natomiast korupcjogenne. Zatrudnienie jest za małe w stosunku do potrzeb – np. w woj. śląskim kilkunastu kontrolerów IH ma pod nadzorem kilkadziesiąt tysięcy podmiotów branży spożywczej.

Wątpliwości budzi także efektywność uzupełniania się poszczególnych służb. Swego czasu interwencyjny program telewizyjny „UWAGA!” wykazał, że inspektorzy sanitarni i handlowi mają tendencję do „spychologii”. Z kolei przy okazji prac legislacyjnych nad konsolidacją służb dały o sobie znać animozje między nimi. Przewodniczący Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy Weterynarii Inspekcji Weterynaryjnej, Telesfor Walterbach, publicznie stwierdził, że brakuje uzasadnienia dla istnienia IJHARS oraz że instytucja ta *chce się podłączyć do nowej zintegrowanej inspekcji w zakresie bezpieczeństwa żywności, w której zadania dla Inspekcji Weterynaryjnej stanowią ponad 70% wszystkich zadań (po integracji powinny stanowić 100%), a co jest najgroźniejsze dla naszego zawodu, chce w nowej inspekcji przejąć stanowiska organów i rządzić lekarzami weterynarii, nie mając do tego żadnego merytorycznego przygotowania.*

Do myślenia dają także liczby. Średnia wysokość kar nałożonych w pierwszym półroczu 2010 r. przez

organy IJHARS wyniosła zaledwie 3092 zł, przy czym najwyższy mandat opiewał na ok. 60 tys. zł. Oznacza to, że **dużym dostawcom marketów opłaca się ryzykować zaniżanie jakości produktów.**

Wymowna jest historia dwóch mężczyzn, którzy w sklepie sieci Kaufland w Brodnicy (woj. kujawsko-pomorskie) **w ciągu godziny namierzyli 734 przeterminowane produkty**, gdy sklep obiecał specjalną premię tym, którzy w swoich zakupach odnajdą przedatowaną żywność. Tymczasem Wojewódzka Inspekcja Handlowa przez cały poprzedzający rok znalazła 21 przeterminowanych wyrobów w 250 sklepach regionu, a Sanepid kontrolował tę samą placówkę kilka tygodni wcześniej, nie stwierdzając żadnych uchybień.

Podobne przypadki nie muszą jednak świadczyć o winie inspektorów. – *Zgodnie z ustawą o swobodzie działalności gospodarczej, właściciel sklepu albo wyznaczony przez niego pracownik muszą uczestniczyć w kontroli. Dlatego należy powiadamiać przedsiębiorcę o zamiarze jej wszczęcia i ma on określony czas, aby się do tego przygotować* – mówi Katarzyna Kielar, rzeczniczka prasowa katowickiej IH.

Co więcej, przedsiębiorca otrzymuje informację o dokładnym zakresie kontroli – jeśli jej przedmiotem będzie np. stoisko z wędlinami, inspektorzy nie mają prawa badać świeżości nabiału. Katarzyna Kielar podkreśla jednocześnie, że przepisy dopuszczają niezapowiedziane kontrole żywności – i to one stanowią większość. Dzieje się tak, gdy np. na podstawie skargi lub innych informacji zachodzi podejrzenie zagrożenia bezpieczeństwa konsumentów, bądź podejrzenie popełnienia wykroczenia lub przestępstwa. **Część zmian w prawie idzie jednak w kierunku ograniczania prawnych możliwości kontroli przedsiębiorców, co ma unieemożliwić ich „nękanie”, zmniejszać koszty itp.**

Kontrole z przymrużeniem oka?

Kolejny znak zapytania wiąże się z faktem, że państwowe inspekcje łątają budżety komercyjnymi usługami. W tym także dla... nadzorowanych firm i instytucji. – *Często nosi to znamiona wymuszenia. Bo co ma na myśli inspektor, który chce mi zamknąć lokal, mówiąc, że „trzeba było zlecić pomiary naszemu laboratorium”? Że wtedy miałbym spokój?* – skarżył się prasie restaurator z Podhala.

W badaniach Najwyższej Izby Kontroli z 2003 r., na 39 skontrolowanych powiatowych stacji Sanepidu tylko jedna nie prowadziła działalności komercyjnej, a liczba badań laboratoryjnych w ramach usług była znacząco wyższa od przeprowadzonych w ramach nadzoru ustawowego. – *Stacje wykonując badania w ramach dochodów własnych, podpisują umowę z klientem, w której zawarty jest zapis, iż w przypadku naruszenia norm zdrowotnych zostaną podjęte określone działania inspekcyjne* – wyjaśnia Jan Bondar. Mimo wszystko wydaje się, że nie tędy droga – państwowe służby kontrolne powinny być „jak żona Cezara”, a drogą do tego jest jedynie wystarczające finansowanie ze środków publicznych.

Wątpliwości ugruntowuje kontrola NIK z maja 2009 r., dotycząca sprawowania przez Głównego Inspektora Sanitarnego koordynacji i nadzoru w zakresie działań antykorupcyjnych. Chodzi zwłaszcza o prowadzenie przez pracowników inspekcji działalności gospodarczej, np. w charakterze rzeczoznawców. Może to pozostawać w sprzeczności z obowiązkami służbowymi pracownika oraz wywoływać podejrzenie o stronniczość lub interesowność.

Jan Bondar informuje, że istnieją ograniczenia możliwości prowadzenia przez inspektorów dodatkowej pracy, zbieżnej z przedmiotem kontroli instytucji, która ich zatrudnia. – *Między innymi, pracownik powiatowej stacji sanitarno-epidemiologicznej nie może wykonywać dodatkowej pracy na terenie swojego powiatu* – tłumaczy. Jednak w okresie objętym kontrolą Izba stwierdziła *zaniechanie działań sprawdzających przestrzeganie przez pracowników Państwowej Inspekcji Sanitarnej przepisów antykorupcyjnych*.

Z kolei dr Hałat, na początku lat 90. w trzech kolejnych rządach Główny Inspektor Sanitarny i zastępca ministra zdrowia ds. sanitarno-epidemiologicznych, krytykuje niedawne podporządkowanie służb sanitarnych radom powiatów. – *W ich skład wchodzi ludzie porządni, ale wielu z nich ma swoje firmy, np. piekarnię czy import produktów spożywczych. I ta rada będzie decydować, co ma robić inspektor sanitarny. To ostatecznie kompromituje i paraliżuje całą tę służbę* – przekonuje.

Dziury w systemie

Niedomagania państwowego systemu kontroli dobrze obrazują konkretne przypadki.

Weźmy kwestię stosowania składników modyfikowanych genetycznie. – *Już pięć lat temu NIK przygotowała raport na temat nadzoru nad środkami żywienia*

zwierząt. Wyraźnie wytknęła naszym inspekcjom, że nieskutecznie kontrolują je pod kątem zawartości GMO – mówi Kryda. W obrocie jest dużo kukurydzy i soi o niewiadomej domieszcze modyfikowanego surowca. Dlatego producenci pasz, którzy pragną unikać ich stosowania lub choćby tylko zgodnie z prawem znakować wyroby, muszą na własną rękę wykonywać drogie testy.

Co gorsza, choć ciągle słyszy się o dostawach ziarna czy dodatków paszowych z Chin, żadne inspekcje w Polsce nie sprawdzają ich na obecność tzw. nielegalnych odmian GMO. – *Testy nastawia się na konkretne, zarejestrowane w Unii odmiany. Przy takiej metodzie odmiana niezarejestrowana nigdy nie zostanie wykazana, a przecież należałoby zbadać, czy nie jest niebezpieczna. Nasze inspekcje zajmują się głównie kontrolą, czy deklaracja na etykiecie jest zgodna z rzeczywistością. Praktycznie nie są prowadzone szczegółowe badania GMO pojawiających się na rynku* – podkreśla Kryda.

Dodaje też, że różne państwowe laboratoria potrafią wykazać w tej samej partii paszy bardzo różną zawartość GMO. – *Najbardziej martwi mnie to, że inspekcja weterynaryjna, IJHARS czy Sanepid nie alarmują, że istnieją braki w sprzęcie lub metodach badawczych, powodujące, że ich działalność kontrolna może być nieskuteczna. Ustawa mająca uregulować kwestię kontroli organizmów modyfikowanych genetycznie utknęła w sejmowej Komisji Rolnictwa*.

Warto tu przywołać sprawę modyfikowanego ryżu LL601. Uprawiano go na amerykańskich poletkach doświadczalnych i nigdzie nie dopuszczono do obrotu. Tymczasem wykryty został w sklepach m.in. w Polsce. – *W Niemczech sieć handlowa Aldi podała nazwę producenta i markę produktu, gwarantując klientom zwrot pieniędzy. W Polsce rzeczniczka inspekcji sanitarnej stwierdziła w mediach, że nie ujawni ani producenta, ani nazwy produktu, ze względu na to, że ten sobie tego nie życzy* – przypomina Kryda.

W dużej mierze poza nadzorem pozostaje także produkcja zwierzęca. Raport NIK z 2008 r. pokazał, że władze państwowe nawet nie wiedzą, ile działa w kraju ferm chowu wielkoprzemysłowego i gdzie się one znajdują. – *Skoro nie ma wiedzy o tych fermach, to i nadzór nad nimi jest praktycznie żaden. [...] Najgorzej wygląda nadzór weterynaryjny, który się tymi fermami nie interesuje, traktuje je jako zwykłe gospodarstwa hodowlane. Ale co się dziwić, jeśli ujawniono taki na przykład przypadek, że lekarz weterynarii, teoretycznie odpowiedzialny za nadzór nad fermą, jednocześnie wykonywał w tej fermie odpłatne usługi weterynaryjne* – alarmował wówczas Janusz Wojciechowski, wiceprzewodniczący Komisji Rolnictwa i Rozwoju Wsi Parlamentu Europejskiego i b. szef NIK.

Na pytanie, jak ocenia ochronę zdrowia konsumentów przez państwowe służby kontrolne, dr Hałat odpowiada krótko: „Jak najgorzej”. Lekarz zwraca uwagę, że norm nie spełnia nieraz już surowiec wykorzystywany w produkcji żywności: *Żywność składa się w 80-90%*

z wody, dlatego jeżeli mówimy o jakości produktów spożywczych, to musimy też mówić o wodzie. Większość firm stosuje do produkcji zwykłą wodę z kranu, nierzadko o fatalnej jakości.

Niebezpieczne bywają zwłaszcza drogie surowce i produkty gotowe, jak np. miód. Ten krajowy często mieszany jest z chińskim, znacznie tańszym, przy którego produkcji stosowany jest chloramfenikol, jeden z najbardziej toksycznych antybiotyków, powodujący m.in. uszkodzenia szpiku kostnego. *- Kilka lat temu wykryto go w miodzie i wycofano partię z rynku, od tego czasu - cisza. A przecież z literatury wynika jednoznacznie, że w innych krajach służby nadal wykrywają i wycofują z rynku skażony miód - mówi Hałat.*

Widzi on także zagrożenie dla zdrowia konsumentów w bezkrytycznym traktowaniu produktów wprowadzonych do obrotu na obszarze Unii Europejskiej i rezygnacji z ich badania. *- Tymczasem importerzy produktów fałszowanych lub zawierających składniki zagrażające zdrowiu, w sposób beczelny szukają takich miejsc w Europie, gdzie mogą za łapówkę wprowadzić towar do obrotu na terenie całej Wspólnoty.*

O niewydolności systemu może też świadczyć przypadek ptasiej grypy. Dr Hałat przypomina, że mimo pouczeń ze strony państwowych służb, iż temperatura 72 °C jest zabójcza dla drobnoustrojów, w każdym sklepie można było znaleźć wędzone produkty drobiowe, posiadające przy stawach czerwoną krew. Był to jednoznaczny dowód, że w procesie produkcyjnym wspomniana temperatura nie została osiągnięta. *- Opowieści o tym, co należy robić w domu, powinny być lansowane publiczności, gdy służby kontrolne zadbają, by producenci żywności nie łamali prawa sanitarnego - komentuje.*

Inny przykład „widocznej gołym okiem” impotencji systemu, to ignorowanie prawnego obowiązku wywieśzania w handlu informacji o tym, że dany produkt został poddany napromienieniu. Nigdzie się ich nie spotyka, powszechne są natomiast nie kiełkujące nigdy czosnek czy cebula z Chin, ewidentnie poddane temu zabiegowi.

Gdzie inspekcji pić...

Zdaniem Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi, lekarstwem na wiele niedomagań służb kontrolnych byłoby ustanowienie Państwowej Inspekcji Bezpieczeństwa Żywności, która zastąpiłaby Inspekcję Weterynaryjną, PIORiN oraz IJHARS. *- Praktycznie zakończył się już etap ustaleń międzyresortowych, zostały zgłoszone różnego rodzaju uwagi, które aktualnie są rozpatrywane przez ministra. Dlatego można powiedzieć, że ustawa jest nadal w fazie projektowania. Gotowy projekt, zgodnie z planem prac rządu, powinien zostać opracowany do marca tego roku - informuje Jacek Ostapczuk z Departamentu Bezpieczeństwa Żywności i Weterynarii, odpowiedzialny za opracowanie założeń do projektu ustawy.*

System „od pola do stołu” - czyli sprawowanie przez jeden podmiot nadzoru nad obrotem materiałem

siewnym, wytwarzaniem i stosowaniem pasz, jakością handlową artykułów rolno-spożywczych itp. - ma zapewnić zwiększenie bezpieczeństwa i jakości żywności. Ponadto, kompleksowe kontrole mają być szybsze oraz generować mniejsze koszty dla budżetu i przedsiębiorców.

Zdaniem dr Agnieszki Szymeckiej-Wesołowskiej z Centrum Prawa Żywnościowego (www.food-law.pl), do pozytywnych aspektów planowanego modelu należy to, że w dużym stopniu zmniejszałyby rozproszenie obecnych struktur i zwiększały przejrzystość ich działania. Dzisiejszy podział kompetencji pomiędzy poszczególnymi inspekcjami nie zawsze jest jasny, ich działanie regulują różne ustawy, a współpracę - w dużej mierze porozumienia, a nie „twarde” przepisy.

- Jednym z głównych plusów propozycji ministerstwa jest to, że zakłada ona nadanie planowanej inspekcji statusu niezespołonej, tj. niezależność terenowych struktur kontrolnych od wojewodów. Ma to tę podstawową zaletę, że pionizacja i „centralne kierowanie” ułatwia zarządzanie kryzysami, np. gdy choroby zakaźne zwierząt przekraczają granice województw - mówi dr Szymecka-Wesołowska. Dodaje też, że obecnie konsumenci nie wiedzą, która inspekcja czym się dokładnie zajmuje i do której się zwracać, jeśli napotkają na nieprawidłowości. - Na pewno w tym kontekście konsolidacja inspekcji byłaby korzystna.

Zwraca jednocześnie uwagę na słabe punkty projektu. Przykładowo, poza nową strukturą miałyby pozostać zadania powierzone Państwowej Inspekcji Sanitarnej. Tymczasem w założeniach ustawy nie ma ani słowa o koordynacji działań pomiędzy obiema służbami. *- Obecnie zaledwie 11% zadań PIORiN ma związek z działaniami na rzecz bezpieczeństwa żywności. Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych zajmuje się przede wszystkim ochroną ekonomicznych a nie zdrowotnych interesów konsumentów, przez co kompetencyjnie bliżej jej do Inspekcji Handlowej niż Inspekcji Weterynaryjnej. Na tym tle można zatem wysnuć wnioski, że planowana konsolidacja dotyczy nie tyle administracyjnych struktur bezpieczeństwa żywności, ile struktur podległych Ministrowi Rolnictwa i Rozwoju Wsi - komentuje dr Szymecka-Wesołowska na blogu Centrum. Podkreśla ona też, że instytucjonalne umiejscowienie organu odpowiedzialnego za zapewnienie bezpieczeństwa żywności w resorcie rolnictwa może zwiększać ryzyko mieszania się interesów ekonomicznych i interesów ochrony zdrowia.*

Zbigniew Hałat popiera ideę zintegrowanej służby. *- Całkowitym nieporozumieniem jest to, że ledwo zamykają się drzwi za jedną kontrolą, przychodzi następna - zwłaszcza że badają nieraz te same obszary i wydają sprzeczne decyzje. Samą kontrolą znakowania żywności zajmuje się kilka służb: PIH, inspekcja sanitarna i IJHARS. Podkreśla jednocześnie, że dla poprawienia skuteczności działań służb kontrolnych, za zmianami organizacyjnymi musi iść zapewnienie podstaw*

finansowych – obecnie inspekcjom brakuje środków nawet na podstawową działalność. Zwraca też uwagę, że w nowym systemie powinien być konieczny uwzględniony Sanepid. Służba ta musi zapewnić zagrożoną obecnie ciągłość szkolenia kadr oraz opierać się na fachowcach o odpowiednim wykształceniu – dotychczas kierownictwo inspekcji zbyt często pochodziło z nadania politycznego.

Poza planem konsolidacji państwowych inspekcji, pewną nadzieję budzą także regulacje wspólnotowe. I tak np. rolnicy pobierający unijne dopłaty podlegają wyrównowym kontrolom, również w zakresie bezpieczeństwa żywności. Natomiast same organy kontrolne podlegają audytom Komisji Europejskiej, których pokłosiem mogą być sankcje nakładane na państwa członkowskie. Ponadto w związku z harmonizacją polskiego prawa z unijnym, naszym służbom dochodzą nowe obowiązki. Od tego roku inspekcja weterynaryjna zajmuje się m.in. kontrolą przestrzegania zakazu wprowadzania na rynek środków spożywczych i pasz szkodliwych dla zdrowia, nie nadających się do spożycia przez ludzi, zanieczyszczonych substancjami niebezpiecznymi itp.

– Od naszego wejścia do Unii praktyka współpracy służb kontrolnych w zakresie bezpieczeństwa żywności opiera się na obowiązkowym, wspólnotowym systemie RASFF, czyli systemie wczesnego ostrzegania o niebezpiecznej żywności i paszach. Zarówno w Głównym Inspektoracie Weterynarii, jak i w Głównym Inspektoracie Sanitarnym funkcjonują punkty kontaktowe tego systemu, tzn. weterynarze zgłaszają do niego wszelką żywność pochodzenia zwierzęcego, która nie spełnia wymogów bezpieczeństwa, natomiast inspektorzy sanitarni – pochodzenia roślinnego. Takie informacje, zebrane w formie elektronicznej,

łatwo później przekazać „w teren”, np. gdy trzeba wycofać jakiś artykuł z obrotu – wyjaśnia Jan Bondar.

Strzeż się tych mięs

Choć mamy prawo domagać się od państwa kontroli nad bezpieczeństwem i jakością żywności, inspektorzy nigdy nie ochronią nas do końca. Dlatego dużo zależy od nas. Choćby z tego powodu, że skład wielu produktów spożywczych nie jest regulowany i jeśli tylko nie zawierają np. niedopuszczonych środków, inspektor jakości może jedynie sprawdzić, czy są zgodne z deklaracją producenta.

Tymczasem informacji na etykietach poszukuje tylko co piąty Polak, a ponad ¾ badanych odpowiada, że przy wyborze produktu decydującym kryterium jest cena. Nie trzeba być inspektorem, żeby się domyślić, iż kiełbasa w cenie 4 zł za kilogram raczej na zdrowie nam nie wyjdzie...

Należy także pamiętać, że skuteczny nadzór nad żywnością leży w naszym wspólnym interesie nie tylko jako konsumentów. – *Polska traci wiarygodność jako państwo cywilizowane, kontrolujące produkty tak, by konsument mógł być bezpieczny, oraz gwarantujące jakość eksportu* – mówi Kryda. Dr Hałat podsumowuje: *Zamiast wymachiwać szabelką i twierdzić wszem i wobec, że polska żywność jest najlepsza oraz wydawać pieniądze na jej promocję, należałoby te środki przeznaczyć na usprawnienie systemu kontroli. Bo obecnie jeśli jakiegokolwiek państwo czy koncern zechce wykazać, że powinniśmy zostać z żywnością w naszym kraju, wystarczy, że opublikuje wyniki badań zawartości w niej dioksyn czy GMO.*

NATALIA KRÓLIKOWSKA · MICHAŁ SOBCZYK

POLECAMY

Portal www.koniczynka.org

to zebrane w jednym miejscu najważniejsze wydarzenia, inspirująca publicystyka i najciekawsze nowiny naukowe z dziedzin takich, jak:

- ▶ ochrona środowiska
- ▶ ochrona przyrody
- ▶ zrównoważony rozwój
- ▶ ekologiczny styl życia



Spójrz na świat z innej, zielonej strony!

GOSPODARKA SPOŁECZNA

Nr 7
MMX

DODATEK EKONOMICZNY DO KWARTALNIKA „OBYWATEL”

W WYDANIU

NOWA WIEŚ? • Rozmowa z dr Barbarą Fedyszak-Radziejowską	80
WSPÓLNOTY KORZYŚCI • Konrad Malec	86
W POSZUKIWANIU LOGIKI SYSTEMU EMERYTALNEGO • dr hab. Jerzy Żyżyński	92
REFORMA OBOK PROBLEMU? • Janina Petelczyc	100
CZY BIZNES MOŻE MIEĆ SUMIENIE? • Jadwiga Bogdanowicz	105



Nowa wieś?

z dr Barbarą Fedyszak-Radziejowską

rozmawia Rafał Bakalarczyk

- W jakim stopniu poprzedni ustrój przyczynił się do modernizacji polskiej wsi, a w jakim - zakonserwował dysproporcje rozwojowe?

- Barbara Fedyszak-Radziejowska: Krzysztof Gorlach wprowadził do polskiej socjologii wsi termin „polityka represyjnej tolerancji”, doskonale oddający istotę polityki PRL wobec wsi i rolników. Tworzyły ją z jednej strony represje, rozumiane jako ograniczenie prywatnej własności i uzależnienie rolnictwa od państwa, z drugiej - pewien margines tolerancji wobec rodzinnych gospodarstw chłopskich. Władze miały świadomość, że skolektywizowane rolnictwo nie wyżywi „klasy robotniczej”. To oznaczało, że ceną za brak napięć społecznych w miastach musi być tolerancja wobec produktywnych gospodarstw rodzinnych.

Pomysł, by traktować PRL jak państwo, które zmodernizowało wieś, uważam za postkomunistyczny stereotyp. Na swoisty „dorobek PRL” składa się zniszczenie autentycznej reprezentacji wsi, czyli PSL Stanisława Mikołajczyka, zamrożenie struktury agrarnej w wyniku fatalnej reformy PKWN 1944 r. oraz zaprzepaszczenie rodzącej się w II RP spółdzielczości w rolnictwie. Swoistym ukoronowaniem tego „dorobku” stały się głębokie pokłady nieufności mieszkańców wsi wobec polityki państwa, władzy i elit.

Pierwszym ciosem było jednak zniszczenie autentycznego ruchu ludowego, którego początki sięgały końca XIX w., a który odegrał ważną i bardzo pozytywną rolę w odbudowaniu poczucia własnej wartości chłopów i wyłanianiu ich elit. Agraryści, ludowcy stworzyli program zbudowany na wartościach konkurujących z lewicowo-proletariacką wizją świata. Dla agrarystów fundamentem wolności, nie tylko chłopskiej, była własność ziemi i niezależność wynikająca z autonomii

właściciela gospodarstwa. Żadnego pana nad sobą - to była wartość dla ruchu ludowego zasadnicza.

- Czy jednak polityka PRL wobec wsi była błędna głównie w wymiarze politycznym, czy także społeczno-ekonomicznym? I w jakim kierunku ewoluowała?

- W sferze ekonomicznej możemy wyróżnić kilka etapów. Pierwszy to reforma PKWN 1944 r. i polityczne decyzje, w wyniku których powstało ok. 1,5 mln nowych, drobnych (2-5 ha) gospodarstw rolnych, zlikwidowano majątki ziemiańskie oraz powołano do życia na poniemieckich ziemiach Państwowe Gospodarstwa Rolne. Gdyby powstały tam gospodarstwa rodzinne, inaczej wyglądałaby dzisiaj Polska. Po reformie rolnej średnia powierzchnia gospodarstwa rolnego wzrosła z 5,0 ha w II RP do 5,2 ha w PRL. Reforma była raczej polityczną socjotechniką, która miała dać ludowej władzy legitymizację ze strony ludności chłopskiej, niż rozwiązaniem racjonalnym ekonomicznie.

Następny okres, stalinowski, to ogromna skalą represji wymierzonych w działaczy zlikwidowanego PSL, w „kułaków” sprzeciwiających się kolektywizacji i tworzeniu spółdzielni produkcyjnych, a także w rolników, którzy nie wywiązywali się z obowiązkowych kontyngentów. Wyznaczono je na poziomie wyższym, niż za okupacji niemieckiej!

W późniejszym etapie, gomułkowskim, nastąpiła pewna liberalizacja, zmniejszono kontyngenty, odstąpiono od kolektywizacji, a nawet pozwolono na rozpad tych spółdzielni produkcyjnych, które powstały wcześniej. I wreszcie najlepszy z punktu widzenia wsi okres Gierka.

Wielkim problemem, jaki tamten system pozostawił w spadku, okazały się PGR-y. Czy nie można było



na poniemieckich ziemiach osadzić ludzi na własności ziemi? Ale marksistowsko-leninowska ideologia zrównująca „lud pracujący miast i wsi” nie przewidywała prywatnej własności ziemi, lecz tylko państwową – w PGR, i „wspólną” – w spółdzielniach produkcyjnych. Mało kto wie, że dopiero za Gierka rolnicy otrzymali prawo do ubezpieczeń zdrowotnych, czyli np. możliwość bezpłatnych wizyt u lekarza. Dopiero w drugiej połowie lat 70. wprowadzono emerytury dla rolników, przy czym żeby je uzyskać, trzeba było oddać ziemię. Do czasów Gierka chłop nie mógł prywatnie kupić traktora i maszyn rolniczych, tylko musiał wstąpić do kółka rolniczego i wspólnie z innymi dokonywać takich zakupów. Do 1970 r. praktycznie nie istniała także możliwość kupowania i sprzedawania ziemi.

Dlatego najlepszy okres PRL z punktu widzenia wsi to dekada gierkowska. Dopiero wtedy chłopci dostali akty własności ziemi z reformy PKWN, otrzymali prawo do kupowania gruntów i powiększania gospodarstw oraz zakupu maszyn rolniczych. Państwo zaczęło im nawet udzielać kredytów na ten cel. Względna normalność, czyli początki szans na modernizację rolnictwa w PRL, to lata 70.

- Co nowego przyniósł wsi rok 1989?

- Wydarzyła się wtedy bardzo istotna rzecz. Jeszcze rząd Rakowskiego wprowadził wolny rynek na produkty rolne, co sprawiło, że w ciągu kilku miesięcy sytuacja ekonomiczna rolników znacznie się poprawiła. Wynikało to także z tego, że pozostałe ceny nie uległy uwolnieniu, więc były nadal kontrolowane przez państwo i pozostały niskie. Gdy reforma Balcerowicza wprowadziła ceny rynkowe dla wszystkich towarów, dochody rolników gwałtownie spadły. Na początku lat 90. średnie

**Polska transformacja
odbyła się w dużej mierze
poprzez zepchnięcie na
wieś dwóch ważnych
problemów społecznych –
bezrobocie i ubóstwo.**

dochody rolnicze spadły poniżej 70% średnich dochodów w mieście. Nic dziwnego, że Leszek Balcerowicz przez lata źle kojarzył się polskiemu rolnikowi.

Lata 90. zaczęły się dla polskiej wsi brakiem przemysłowej polityki rolnej oraz przyjęciem na siebie konsekwencji upadku „wielkich budów socjalizmu”, w których ukryte było bezrobocie. Redukując zatrudnienie, zwalniano w pierwszej kolejności dwuzawodowców, czyli rolników dorabiających poza gospodarstwem. Wepchnięto tych ludzi ponownie w rolnictwo. Szacuje się, że na polską wieś wróciło wówczas ponad 600 tys. tzw. chłoporobotników. Nie otrzymywali zasiłków, gdyż wracali do swoich gospodarstw. Równolegle Agencja Własności Rolnej Skarbu Państwa przekształcała PGR-y w dzierżawione lub prywatne „gospodarstwa wielkoobszarowe”. Nie parcelowano ich, lecz tworzone duże organizmy, których nowi właściciele masowo zwalniali ludzi, chcąc zredukować nadmierne zatrudnienie. Dotyczyło to kolejnych 600 tys. osób. Zostawiali oni w zasadzie bez niczego, bez własnej ziemi, bez pracy i bez żadnej osłony ze strony państwa, która zwykle towarzyszy masowym redukcjom, jak np. w górnictwie. Dodajmy, że byli to ludzie o bardzo niskich kwalifikacjach. Można powiedzieć, że polska transformacja odbyła się w dużej mierze poprzez zepchnięcie na wieś dwóch ważnych problemów społecznych – bezrobocia i ubóstwa.

Jedyne, co daliśmy rolnikom, to KRUS. Ten mechanizm wprowadził jeszcze rząd Mazowieckiego, z ministrem Balcerowiczem i ministrem Balazsem (minister rozwoju wsi). Chłoporobotnikom, którzy tracili pracę w przemyśle i wracali do swoich małych gospodarstw bez prawa do zasiłku dla bezrobotnych i bez szansy na emeryturę w ZUS, trzeba było dać jakąś perspektywę na starość. Tak powstał KRUS, dzięki któremu powrót do gospodarstwa nie stał się początkiem wielkiej „emerytalnej biedy” dla ponad 600 tys. ludzi. KRUS był jedną z niewielu rzeczy, jakie w III RP uczyniono, aby dramatyczny dla wsi okres pierwszych lat transformacji okazał się nieco mniej brutalny.

- Czy po 1989 r. istniała w ogóle jakaś spójna wizja rozwoju wsi?

- W III RP moim zdaniem – nie. Ale w Europie istniała Wspólna Polityka Rolna, jedna z pierwszych polityk realizowanych na poziomie ponadpaństwowym w powstałej pod koniec lat 50. Europejskiej Wspólnocie Gospodarczej, poprzedniczce UE. Ze składek EWG 70% przeznaczano na wspieranie rolnictwa. Studiując problemy wsi i rolnictwa w Europie, dość szybko zorientowałam się, że bezkrytyczna wiara w wolny rynek jest nową wersją doktrynerstwa ludzi kochających idealne modele, ale bezradnych wobec realiów. Tymczasem, jeśli chcemy mieć tanią i dostępną żywność, to musimy dotować produkcję rolną. W przeciwnym razie dochody rolnicze, które zależą od kosztów produkcji, a te przecież stale rosną, będą zwiększane kosztem wzrostu

cen żywności. Innymi słowy, albo biedna wieś i rolnicy, albo droga żywność i dotowanie jej najbardziej potrzebujących konsumentów z pomocy społecznej. W „starej” Unii wprowadzono mechanizm, który sprawił, że wieś nie jest synonimem biedy, a jej mieszkańcy – marginalizowaną grupą społeczną. W Europie Zachodniej standard życia na wsi nie odbiega od standardu w średniej wielkości mieście.

- Polscy socjologowie ubóstwa, jak prof. Elżbieta Tarkowska, wskazują, że w Polsce bieda ma głównie wiejskie oblicze, a na Zachodzie jest to zjawisko typowe raczej dla miast.

- Relatywnie niskie ubóstwo na wsi w krajach UE jest częściowo efektem wspomnianego mechanizmu. Obecnie na Wspólną Politykę Rolną przeznaczane jest 40% budżetu UE. W 2001 r. było to ponad 60%, więc tendencja jest malejąca. Ale zwiększa się wsparcie tzw. II filaru – czyli rozwoju obszarów wiejskich. Wspólną Politykę Rolną wprowadzono już w Traktatach Rzymskich. Proszę pamiętać, że po wojnie w krajach EWG wspomnienie głodu i braku żywności było bardzo realnym i powszechnym doświadczeniem.

Zdaniem wielu przedstawicieli polskich elit, dopłaty bezpośrednie są złe, gdyż nierynkowe. Zabawne jest to myślenie, ponieważ w gruncie rzeczy są one pro-rynkowe. Bowiem ingerencja nie obejmuje dotowania cen, czyli nie zakłóca mechanizmów rynkowych, lecz wspiera w miarę podobnie dochody rolników, którzy mogą tanio sprzedawać swoją produkcję. Moim zdaniem to dobry mechanizm, dzięki któremu unikamy upokarzania na masową skalę ludzi biednych, których nie stać na żywność, przydzielaniem im „talu na jedzenie”. Tania żywność poprawia zamożność całego społeczeństwa, bo więcej środków pozostaje na konsumpcję innych towarów. Ten mechanizm jest i pragmatyczny, i „godnościowy”.

Nie tylko ropa czy gaz ziemny, ale także żywność jest towarem, o którym powinniśmy mówić w kategoriach racji stanu i bezpieczeństwa narodowego. Bez ropy możemy jakiś, bardzo krótki czas wytrzymać, natomiast bez żywności nie jest to możliwe. Dotuje się dochody rolnicze także poza Unią. Szwajcaria i Norwegia, które nie są jej członkami, dotują swoje rolnictwo na poziomie dwa razy wyższym, niż średni poziom we Wspólnocie. W Norwegii byłam w połowie lat 90., kiedy Norwegowie ponownie odrzucili projekt wstąpienia do Unii Europejskiej. Jednym z argumentów przeciwników integracji było to, że po akcesji trzeba będzie obniżyć poziom dotowania rolnictwa. Ale wiadomo też, że tamtejsze rolnictwo na kiepskich ziemiach i w zimnym, trudnym klimacie nie wytrzyma konkurencji z południem Europy. Dlatego jest dotowane bardziej niż np. we Francji. Podobnie mocno dotuje się rolnictwo w Japonii. We wszystkich krajach, gdzie warunki geograficzne nie pozwalają na działalność farmerską w amerykańskiej skali, dochód gospodarstw rolnych

składa się w większym stopniu z subwencji, niż ze sprzedaży na rynku. Także w UE, w przemysłowych gospodarstwach rolnych Holandii, Danii czy Niemiec, ponad połowa dochodów rolniczych pochodzi z płatności bezpośrednich. W Polsce to jeszcze wciąż mniej niż 50%.

Takie są reguły gry. Nawet w wolnorynkowych Stanach Zjednoczonych dotuje się rolnictwo, ale inaczej. Przykładowo, wspierane są banki, które udzielają specjalnych kredytów rolnych. Subsydiowanie rolnictwa w takim czy innym systemie jest więc praktyką powszechną, poza Nową Zelandią, która może sobie na to pozwolić ze względu na wyjątkowo sprzyjający klimat, trzy sezony rolne w roku oraz potężny, azjatycki rynek zbytu.

- **Patrząc na system dotacji w wymiarze globalnym, pojawia się dylemat: albo nie pomagamy naszym rolnikom, albo pomagamy im, ale koszty tego mogą ponieść producenci z krajów biednego Południa, którzy stają się mało konkurencyjni i nie mają szans na eksport produktów, pogrążając się w jeszcze głębszej nędzy.**
 - Często spotykam się z taką argumentacją. Nie jest jednak do końca prawdą, że producenci z krajów rozwijających się nie mogą znaleźć rynków zbytu. Zapotrzebowanie na część ich produktów, np. owoce cytrusowe, i tak się utrzyma. Ale ważniejsza jest odpowiedź na bardziej ogólnym poziomie. Powiem może nieco brutalnie – czy jesteśmy pewni, że tamte kraje mają nadwyżkę żywności, która nie przyda się im w konsumpcji wewnętrznej? Czy eksport tej żywności jest zawsze korzystny dla społeczeństw, które głodują? Czy więc teza o osłabianiu tych krajów za sprawą dotacji dla rolnictwa w Europie nie jest trochę naciągana?
 - **Na ile z punktu widzenia polskiej wsi akcesja do Unii Europejskiej była przełomem? Jedni mówią o skoku cywilizacyjnym, inni sugerują, że wejście w orbitę Wspólnej Polityki Rolnej – wbrew jej założeniom – przyczynia się do konserwowania niedorozwoju obszarów wiejskich.**
 - Akcesja unijna na pewno była przełomem. W Polsce po raz pierwszy od 1945 r. pojawiła się sensowna, pragmatyczna i modernizacyjna polityka skierowana do rolnictwa i wsi. Po 1989 r. politycy III RP wymyślili tylko przekształcenia PGR – bardzo kosztowne społecznie, i KRUS. To wszystko, bo program osadnictwa się nie sprawdził.
- Polscy politycy nie potrafili zrozumieć, że domaganie się wsparcia dla słabiej rozwiniętych regionów, grup i gospodarstw nie jest wyrazem nieuprawnionej roszczeniowości. Unia uczy nas polityki spójności i solidarności, bo na tych zasadach opiera się projekt europejski. Proszę zauważyć, że oprócz dopłat bezpośrednich, w wysokości 4000-6000 zł rocznie w małych gospodarstwach (co nie jest dużą kwotą, ale dla ludzi żyjących w ubóstwie – znaczącą), jest wiele innych



FEDY SZAK- -RADZIE JOWSKA

Barbara Fedyszak-Radziejowska (ur. 1949) – doktor nauk humanistycznych w zakresie socjologii, etnograf. Specjalista w zakresie socjologii wsi i rolnictwa, pracownik Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa Polskiej Akademii Nauk. Opublikowała lub wydała pod swoją redakcją kilka książek i wiele artykułów poświęconych problemom polskiej wsi, kapitałowi społecznemu, przedsiębiorczości i postawom rolników wobec integracji z Unią Europejską. Współpracuje m.in. z „Rzeczpospolitą”, „Nowym Państwem”, „Arcanami” i „Gościem Niedzielnym”. W latach 1982-1988 kierowała pracami Zespołu socjologów Regionalnego Komitetu Wykonawczego NSZZ „Solidarność” Mazowsze, prowadzących w oparciu o sieć ankietowników analizy nastrojów społecznych środowisk działających w niejawnych strukturach „Solidarności”. Członek Rady ds. Wsi przy Prezydencie śp. Lechu Kaczyńskim. Od września 2007 r. wchodzi w skład Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej z ramienia Prezydenta RP, w kwietniu 2010 r. została wybrana jego przewodniczącą.

programów skierowanych na wieś. Co piąte gospodarstwo rolne korzysta z programów dywersyfikacji dochodów rolniczych, czyli pomocy przy zakładaniu firmy, udziału w szkoleniach, tak aby oprócz prowadzenia działalności typowo rolniczej, gospodarstwo było zdolne do uzyskiwania dodatkowych środków finansowych. Ważny jest też Program LEADER – budujący kapitał społeczny, dzięki któremu społeczności lokalne mogą rozwijać wieś czy gminę, finansując inicjatywy ze środków, które trafiają bezpośrednio do Lokalnych Grup Działania.

Mentalność polskich elit jest tak agrofobiczna, że mam pewność, iż bez akcesji do Unii nie wprowadzono by takich programów. Przesłanką mojej tak ostrej oceny jest pamięć o okresie, kiedy negocjowaliśmy warunki integracji. Wówczas polskie elity polityczne i opiniotwórcze były przeciwne systemowi płatności bezpośrednich. Jedynie obawa przed odrzuceniem w referendum projektu wejścia do UE przez społeczność wiejską, reprezentowaną wówczas przez PSL i Samoobronę, skłoniła polskich negocjatorów do prowadzenia twardych negocjacji, zakończonych sukcesem.

Co ciekawe, obecnie nie tylko eksport naszej żywności do krajów Unii rośnie, ale także zmienia się

perspektywa polityczna polskiej wsi. Samoobrony nie ma, PSL straciło monopol, a ludność wiejska głosuje niemal na wszystkie partie. Widać, że mieszkańcy wsi poczuli się bardziej niż dotąd obywatelami III RP.

- **Zatrudnienie w rolnictwie jednak stale maleje. Powstaje pytanie, czy polityka państwa powinna być nakierowana na mobilizowanie ludzi do opuszczania wsi na rzecz awansu poza nią, czy na stwarzanie bodźców, by ludzie pochodzący ze wsi, po zdobyciu wykształcenia w mieście, wracali w macierzyste środowisko.**

- Tu wracamy do kwestii specyfiki rolnictwa, bo ono źle mieści się w logice mechanizmów rynkowych. Mobilność rolników jest mniejsza, niż każdej innej grupy zawodowej - za sprawą przywiązania do ziemi, tradycji, gwary etc. To nie jest tak, że ziemię można uprawiać gdziekolwiek się chce. Zdarzają się rolnicy w pierwszym pokoleniu, ale bardzo rzadko, zaś dziedziczenie zawodu jest wyjątkowo częste. Jeśli ktoś urodził się na Podhalu, nie będzie szukał ziemi w zachodniopomorskim. Prędzej pojedzie do Ameryki „po dutki” i wróci na Podhale.

To taka specyfika społeczności wiejskich - z jednej strony przywiązanie do regionu, z drugiej tradycja migracji zarobkowych. Tu nie nastąpiła skokowa zmiana w związku z wejściem do Unii Europejskiej - to zjawisko było na dużą skalę obecne w polskiej historii ostatnich dwóch stuleci. Obecnie jest nawet nieco inaczej - istnieją mechanizmy i środki, które pozwalają na mierzenie się z problemem biedy we własnym regionie, bez konieczności emigracji za chlebem.

Należy też rozdzielić dwie rzeczy: zatrudnienie w rolnictwie i zamieszkiwanie terenów wiejskich. Mamy około 1,5 mln gospodarstw, których 20% daje 80% produkcji na rynek. Dla dużej części gospodarzy uprawy i hodowla są tylko jednym z obszarów działalności. Wielu produkuje na tzw. samozaopatrzenie, czyli na konsumpcję domową, a dochody pozyskuje z pracy poza gospodarstwem. Oczywiście ci, którzy mają ziemię, ale pracują na etacie lub mają dochodową, małą firmę, są w ZUS, nie w KRUS.

Czy jednak należy dążyć do wypychania mieszkańców wsi do wielkich miast? Jeśli poważnie traktujemy pluralizm i wolność wyboru, nie powinniśmy wymuszać zaniku wsi; ona musi istnieć, by można było ją wybrać. Jeśli wsie znikną ze społecznego krajobrazu, to nieodwracalnie - już ich, z całą lokalną tradycją, nie odbudujemy. Wyludnianie się wsi to problem, któremu w UE państwa próbują przeciwdziałać różnymi sposobami.

Kolejnym, bardzo cenionym dzisiaj walorem wsi jest jej wkład w ochronę przyrody i krajobrazu. Nie przypadkiem mówi się, że rolnictwo ekologiczne i ochrona bioróżnorodności to nowe zadanie rolników. Zaś mieszkańcy wsi stają się strażnikami krajobrazu. Wiele zmian polityki rolnej zmierza w kierunku traktowania wsi i jej krajobrazu jako dobra publicznego.

- **Chciałem zapytać o elity polityczne, także te lokalne. Na ile wykorzystały one szanse, które dla obszarów wiejskich stworzyło nasze przystąpienie do Unii?**

- W ramach tworzenia programów i planów rozwoju wsi mieliśmy dużą autonomię w wyborze instrumentów, ale w wykorzystywaniu środków z unijnej polityki rolnej obowiązują nas ogólne ramy i szczegółowe wytyczne, np. kwoty mleczne czy ograniczenia interwencji państwa. Wiele rzeczy się jednak udało, jak stopień absorpcji funduszy z Wspólnej Polityki Rolnej. Gdy w przypadku funduszy strukturalnych absorpcja sięga 30%, mówi się o sukcesie. W odniesieniu do dotacji na rolnictwo wynosi ona ponad 90%! Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa okazała się sprawna, łącznie z całą procedurą szkoleń, wspierania, pomocy w wypełnianiu formularzy etc. Były spory na tym tle - pamiętam, jak minister J. Miller chciał likwidować powiatowe oddziały ARiMR, ale szczęśliwie się z tego wycofał. Polacy nawet nie wiedzą, jakim sukcesem jest wejście polskiej wsi i rolnictwa do Wspólnej Polityki Rolnej. Przed akcesją mówiono, że środki dla wsi zostaną przepite albo zmarnowane, tymczasem te czarne scenariusze okazały się tylko obraźliwym stereotypem.

ARiMR, moim zdaniem, wniosła w relacje państwo - wieś prawdziwą zmianę cywilizacyjną. Gdy dawniej chłop przychodził do burmistrza lub do rady gminy, to zdejmował czapkę i czekał stojąc pod drzwiami. Dzisiaj w Agencji na korytarzu są krzesła, a gdy rolnicy wchodzi do pomieszczenia, to siadają przy stolikach a doradcy chodzą wokół nich, informują i pomagają wypełnić formularze. Nastąpiło odwrócenie ról, to urzędnikom „zależy”, bo są rozliczani z tego, czy środki zostały dobrze wykorzystane przez rolników. Jest w tym zasługa Unii, ale także zasługa środowisk wspierających wieś w Polsce. To one wywierały presję. Siedziby placówek są schludne, zadbane - to także ma znaczenie. W niektórych siedzibach gmin, np. na Podlasiu są punkty, do których dojeżdżają doradcy Agencji, żeby rolnicy nie musieli jeździć do powiatu. Tu się dokonała niemal rewolucja.

- **Na wsi wyzwoliły się też aspiracje edukacyjne.**

- Na początku obecnego wieku dwie grupy społeczne radykalnie podniosły swój poziom wykształcenia - rolnicy i mieszkańcy wsi oraz kobiety. Ten wzrost wśród rolników nie był ilościowo zbyt duży, ale jeśli wyższe wykształcenie miało przed 2002 r. niecałe 2% mieszkańców wsi, a w 2007 prawie 8,6% - to jest już sporo. Wspomniany skok zaczął się z końcem lat 90., lecz trwa nadal. Dla wiejskiej młodzieży ten wskaźnik jest jeszcze wyższy i przekracza 10%.

Wzrost średniego poziomu wykształcenia na wsi jest o tyle trudny, że gospodarstwo przejmuje zwykle jedno dziecko, a reszta kształci się, by znaleźć inną pracę i często osiada w mieście. Struktura poziomu wykształcenia na wsi zmienia się wolniej, tym bardziej, że wykształceni młodzi ludzie, którzy wracają do rodzinnego



Bezkrytyczna wiara w wolny rynek jest nową wersją doktrynerstwa ludzi kochających idealne modele, ale bezradnych wobec realiów. Tymczasem, jeśli chcemy mieć tanią i dostępną żywność, to musimy dotować produkcję rolną.

środowiska, nierzadko mają problem ze znalezieniem pracy. Ale często to oni okazują się bardzo aktywni: zakładają małe firmy, tworzą organizacje, które pozyskują środki unijne na rozwój wsi.

- **Czy nie częstsza jest frustracja wynikająca z braku perspektyw w miejscu zamieszkania?**
- Bywa również i tak. Ale jest też inny problem - niemożność zrealizowania wielu zamiarów przez ludzi młodych. Sondaże CBOS pokazały trudności towarzyszące aspiracjom edukacyjnym wiejskich dzieci. Z zajęć dodatkowych i korepetycji korzysta co drugie miejskie dziecko, ale tylko co czwarte mieszkające na wsi oraz ledwie co dziesiąte dziecko rolnika. Warto mieć świadomość tego problemu.

Chciałabym też zwrócić uwagę na ważne zjawisko, jakim jest wzrost kapitału społecznego na wsi w ostatnich latach. Pewien rodzaj kapitału społecznego był tam obecny od zawsze. Myślę o kapitale spajającym, zbudowanym na nieformalnych więziach sąsiedzkich i rodzinnych. W tej chwili powstają tam - co prawda skromniejsze niż w środowisku miejskim, ale coraz liczniejsze - organizacje społeczne i stowarzyszenia, oparte o wolontariat.

Nowością jest kapitał pomostowy, łączący ludzi z różnych środowisk. Wiele wiejskich organizacji pozarządowych korzysta z pracy ekspertów i działaczy z miast, autentycznie zainteresowanych działaniem na rzecz rozwoju wsi. Aktywność tę widać w programie LEADER, ale także w licznych organizacjach i przedsięwzięciach o profilu oświatowym. Jej przejawem była choćby walka o małe wiejskie szkoły, którym po

reformie oświatowej groziła likwidacja, a które uratowali rodzice i nauczyciele wiejscy, wspierani przez Federację Inicjatyw Oświatowych z Warszawy.

Wciąż na wsi żyje się nieco gorzej niż w mieście, ale te różnice zmaleły. Zmienił się także klimat, dawniej pełen nieufności, teraz coraz bliższy postawom wszystkich Polaków. Niegdyś na pytanie CBOS: „czy Pani/Pana zdaniem większości ludzi można ufać”, w miastach pozytywnie odpowiadało jeszcze w 2006 r. 19% respondentów, zaś wśród rolników tylko 5% (!). W 2008 r. większości ludzi ufało już 26% Polaków, 26% mieszkańców wsi oraz 20% rolników. Ta zmiana, w cztery lata po akcesji, jest znacząca.

- **Czyżby znów przyczyniła się do tego nasza obecność w Unii?**

- Sądzę, że tak. Jeśli jest stabilna polityka rolna, wszystko jedno, czy państwa, czy UE, to rośnie poziom zaufania. Ludzie wiedzą ponadto, że mogą coś zaplanować, że mają szansę na zmianę. Dotychczasowa podejrzliwość na wsi wynikała z tego, o czym mówiłam w kontekście PRL. Poczucie niepewności, że oto w majestacie prawa może ktoś przyjąć i odebrać ziemię, sprawiało, że rolnicy stali się jedną z najbardziej nieufnych grup społecznych. Wspólna Polityka Rolna sprawiła, że polityka III RP wobec wsi nie zależy od wyniku krajowych wyborów, lecz ma oparcie w trwałych instytucjach unijnych. Mam nadzieję, że kryzys nie zmieni polityki rolnej UE.

Dziękuję za rozmowę.

Warszawa, 25 października 2010 r.

Wspólnoty korzyści

KONRAD MALEC

Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta. To przysłowie dobrze oddaje realia polskiego rolnictwa. Producenci zboża, warzyw czy mięsa nie potrafią współpracować. Korzystają na tym firmy nie związane z wsią i prowincją, przechwytyjąc znaczną część zysków. Widać już jednak pierwsze jaskółki zmiany. Zamiast się bić, dwóch zaczyna współdziałać, zaś trzeci traci możliwość żerowania na ich pracy. Owe jaskółki nazywają się grupami producentów rolnych.

W rozsypce

Jedna z firm działających na północy Polski zrezygnowała ze skupu gęsi i zaczęła zaopatrywać się na południu kraju. Dlaczego? Hodowcy na północy zaczęli się zrzeszać, natomiast na południu są niezorganizowani i w efekcie nie mają żadnej siły negocjacyjnej. Nie jest to bynajmniej odosobniony przypadek. Przedsiębiorstwa zajmujące się skupem i przetwórstwem zastraszają rolników, by ci nie organizowali się w grupy producentów rolnych (GPR), grożąc im w takim przypadku odmową kupna towaru. Panicznie boją się siły, która tkwi w jedności.

- W Polsce mamy 5-6% zorganizowanych rolników, tymczasem średnia dla „starej” Unii wynosi 65%. Rolnicy-producenci zrzeszają się tam głównie w spółdzielnie, które są na Zachodzie bardzo silne - wyjaśnia Marcin Martynowski z Krajowej Rady Spółdzielczej (KRS). - Podobny procent przetwórstwa i kanałów dystrybucji należy tam do spółdzielczości, tymczasem u nas przetwórstwo jest zorganizowane, ale nie należy do rolników.

W kraju istnieje ok. 1,5 mln gospodarstw rolnych o powierzchni powyżej 1 ha. Wśród nich już tylko ok. 800 tys. ma ponad 5 ha, a w tej grupie ledwie połowa

przekracza powierzchnię 10 hektarów. Taka struktura, choć stanowi podstawę bytu znacznej części społeczeństwa, była anachroniczna już w połowie ubiegłego wieku. Jediną szansą na dalsze utrzymywanie się z rolnictwa tej rzeszy ludzi jest konsolidacja wysiłków. Tym bardziej, że to nie zbyt mała powierzchnia gospodarstw jest najsłabszą stroną naszego rolnictwa, lecz właśnie brak współpracy drobnych producentów.

Polscy właściciele niewielkich i średnich gospodarstw działają w pojedynkę. Osobno kupują maszyny, nawozy i środki ochrony roślin, więc płacą drogo. Gdy sprzedają płody rolne, również są rozproszeni i słabi, czyli skazani na niskie ceny i mało korzystne zasady. Tymczasem łączenie się w zrzeszenia pozwoliłoby rolnikom taniej nabywać środki produkcji, z drugiej zaś strony - przejąć znaczną część marży pośredników w handlu płodami rolnymi. Razem dałoby to poważne wzmocnienie ekonomiczne polskiej wsi.

Raport „Organizowanie się gospodarcze polskich rolników po 1990 roku”, wydany przez KRS, konkluduje: *Polski rynek produktów rolnych jest coraz bardziej zagospodarowywany przez prywatne firmy handlowe, a tworzące się organizacje gospodarcze rolników muszą o to miejsce, już obecnie, toczyć często nierówną walkę. W związku z tym należy podejmować wszelkie możliwe działania pozwalające, w perspektywie 5-10 lat, zwiększyć udział zorganizowanych producentów w rynku do minimum 20-25%, a w niektórych regionach i branżach do około 50%.*

W grupie raźniej

Samoorganizacja wsi stała się o tyle prostsza, że Unia Europejska wspiera - także finansowo - powstawanie



©©© qjberry, <http://www.flickr.com/photos/cj-berry/5104856635/in/photostream/>

grup producentów. Dobrym przykładem zalet tego rozwiązania są sprawnie funkcjonujące zrzeszenia producentów tytoniu. Aż 90% rolników uprawiających tę roślinę jest skupionych w grupach, liczących od 300 do 2,5 tys. osób.

W związku z koniecznością dostosowania polskich przepisów do unijnych norm, zostali oni zmuszeni do zrzeszenia się jeszcze przed akcesją. Choć odbiło się to negatywnie na możliwościach wykorzystania dopłat – wyłącznie na samoorganizację i koszty administracji (po akcesji do UE zmieniono interpretację przepisów i zrzeszający się rolnicy mogą uzyskać środki także na inwestycje) – to jednak wiele zyskali. Głównie dzięki zsumowaniu siły przetargowej podczas zakupów maszyn i środków ochrony roślin oraz negocjacji cen z koncernami tytoniowymi.

Współdziałanie chwalał sobie też producenci owoców i warzyw, których zrzeszyło się już niemal 2 tys. Niestety, tylko te dwie kategorie grup producenckich mają się w Polsce nieźle. W ponad 20 branżach rolno-spożywczych w ogóle nie zaistniały, w innych są słabe lub nieliczne. Dotychczas powstało ponad 600 grup producentów rolnych oraz prawie 200 grup sadowników i warzywników. Najwięcej wśród producentów zbóż i roślin oleistych (119 grup), trzody (97) i drobiu (81). Siły połączyło natomiast niewielu producentów buraków cukrowych, jaj czy szyszek chmielowych. Najsłabiej zrzeszają się pszczelarze, kwiatciarze i hodowcy koni (po jednej grupie). Blisko 80% grup powstało w ostatnich czterech latach, dzięki projektom realizowanym przez KRS.

Pod względem współpracy przodują woj. wielkopolskie (90), dolnośląskie (74) i kujawsko-pomorskie (68).



©© Andrew Stawarz, <http://www.flickr.com/photos/stawarz/2298513475/>

Łączenie się w zrzeszenia pozwoliłoby rolnikom taniej nabywać środki produkcji, z drugiej zaś strony – przejąć znaczną część marży pośredników w handlu płodami rolnymi.

Najslabiej prezentuje się świętokrzyskie (6), łódzkie (9, przy czym skupiają najmniej osób – 83) i małopolskie (10). Zaraz za nimi plasują się województwa wschodnie. Raport KRS stwierdza, że w tych województwach nie ma szans na powstawanie GPR na dotychczasowych zasadach. „Ogon” charakteryzuje się drobnymi gospodarstwami o różnorodnej produkcji, w znacznej mierze na własne potrzeby.

Współpraca przy produkcji i zbycie to nie wszystko. Największy dochód kryje się bowiem w przetwórstwie. – *Musimy utworzyć silne grupy, które wejdą w ten segment. To trudne zadanie, ale nie niemożliwe do zrealizowania* – mówi Martynowski. I wyjaśnia: *Póki co, nasze grupy są jeszcze słabe ekonomicznie, a np. wspól- na ubojnia, w której można by wstępnie rozbierać mię- so, to duże koszta. Widzimy jednak pierwsze jaskółki, np. w Wielkopolsce powstała spółdzielnia grup, mająca uruchomić wspólne przetwórstwo.*

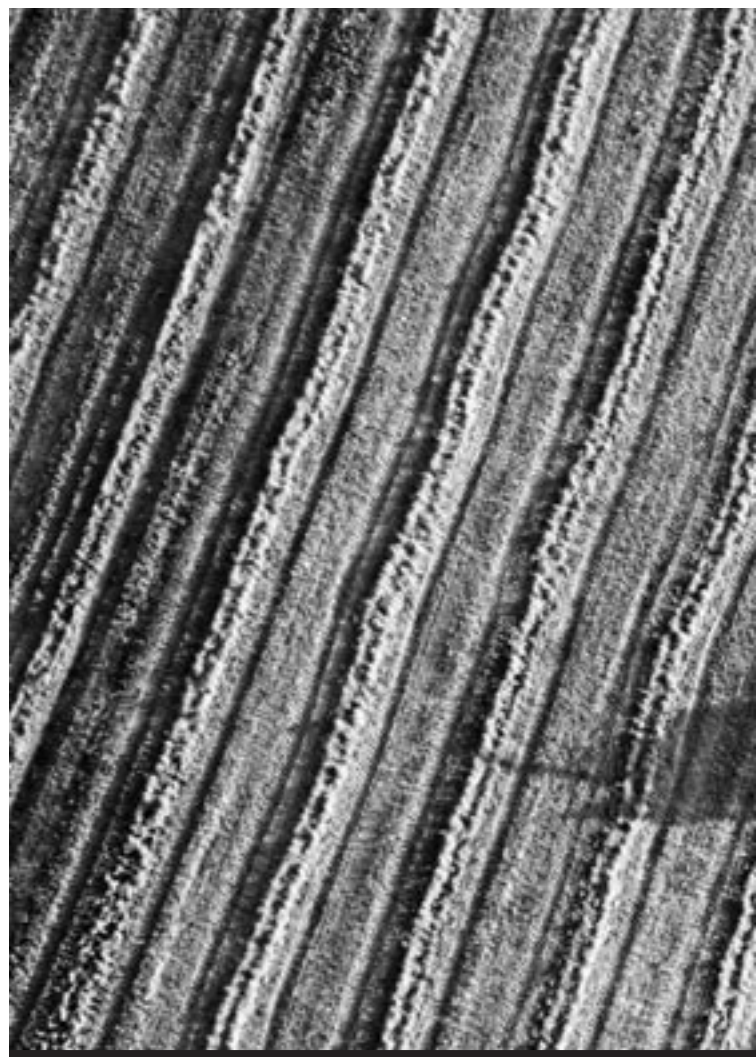
Trend ten popiera Krystyna Ziejewska, prezes Krajowego Związku Grup Producentów Rolnych – Izba Gospodarcza (KZGPR-IG), a ponadto prezes lub wiceprezes trzech GPR i społecznik popularyzujący współdziałanie. Ma jednocześnie pewne zastrzeżenia. – *Kto poprowadzi taką przetwórnictwo? Hodowcy nie mają stosownych kompetencji. Zastanawiałam się, czy nie podjąć tego wyzwania, ale doszłam do wniosku, że najlepiej znam się na hodowli i to właśnie chcę robić. Oczywiście można pozyskać kogoś do zarządzania, ale dobrych menedżerów jest w naszej branży niewiele, a ich pracodawcy dbają o to, by nie odeszli* – mówi.

Tu są pieniądze

Grupy producenckie mogą się starać o pięcioletnie dofinansowanie. Aby je otrzymać, w ciągu pół roku od zarejestrowania grupy przez marszałka województwa należy złożyć wniosek do Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Następnie dyrektor regionalnego oddziału Agencji ma dwa miesiące na jego analizę. Wpłata pierwszych środków następuje po roku, na podstawie wniosku o płatność, przy czym dyrektor ma trzy miesiące na jego rozpatrzenie, a potem potrzeba jeszcze dwóch kolejnych, by pieniądze znalazły się na koncie grupy.

Żeby uzyskać dofinansowanie, grupa musi ułożyć pięcioletni plan działania; wypłata kolejnych transz zależy od jego efektywnej realizacji. – *Jeśli robi się wszystko zgodnie z wytycznymi, to spełnienie warunków nie jest trudne* – zapewnia Tadeusz Zelek z Sadowniczej Spółdzielni Handlowej „Łososina” z Łososiny Dolnej (powiat nowosądecki). Od dobrego zaplanowania celów i działań zależy zatem pomyślność grupy.

W pierwszych dwóch latach wsparcie wynosi równowartość 5% przychodów ze sprzedaży, 4% w trzecim, 3% w czwartym i 2% w ostatnim, jeśli wspomniane wpływy nie przekraczają miliona euro. Jeżeli grupa przekracza ten pułap, w kolejnych latach otrzymuje odpowiednio 2,5%, 2,5%, 2%, 1,5% i 1,5%. Dla grup



sadowniczych i warzywniczych wsparcie jest przewidziane na poziomie dwukrotnie wyższym. Na taką pięcioletnią pomoc grupa producencka może liczyć tylko raz w ciągu istnienia. Przy wsparciu ARiMR grupy mogą się ubiegać także o preferencyjne kredyty inwestycyjne, których część oprocentowania spona Agencja. Pozy- skane w ten sposób pieniądze można przeznaczyć na zakup budynków, silosów, elewatorów czy maszyn.

System wsparcia dla GPR nie kończy się jednak na dotacjach i dogodnych kredytach. Są one zwolnione z podatku dochodowego od sprzedaży wytwarzanych produktów, jeśli uzyskane kwoty zostaną wykorzystane na zakup środków produkcji lub szkolenia. Grupy nie płać również podatków od nieruchomości wykorzystywanych do wytwarzania i sprzedaży produktów. Inna sprawa, że wspomniane ulgi są póki co teoretyczne, ponieważ niewiele grup posiada własne budynki, a niemal żadna nie wypracowuje nadwyżki przycho- dów nad kosztami, która podlegałaby opodatkowaniu. Na pewno jednak takie przepisy pozwalają bardziej optymistycznie patrzeć w przyszłość i planować roz- wój działalności.

Są też inne możliwości, z których grupy mogą sko- rzystać. – *Można otrzymać dotacje na tworzenie lub*



To nie zbyt mała powierzchnia gospodarstw jest najsłabszą stroną naszego rolnictwa, lecz brak współpracy drobnych producentów.

rozwój mikroprzedsiębiorstw, którymi przecież są także grupy. To środki na zwiększanie zatrudnienia - w zależności od liczby zatrudnionych osób można uzyskać nawet do 300 tys. zł - wyjaśnia Martynowski.

Równie ważne są możliwości wynikające nie z systemowego wsparcia, lecz z samej natury spółdzielczości. - Wyobraźmy sobie, że grupa producentów zbóż kupuje kombajn. Dziś rolnicy muszą mieć swój lub płacić za wynajem, a przecież jednym można obsłużyć nawet 50 gospodarzy, rozkładając wydatek na wszystkich - zauważa Martynowski. Jak już wspomniano, duże grupy mogą też negocjować ceny i warunki płatności, oszczędzając dzięki temu lepsze efekty niż rozproszeni rolnicy. Jeżeli grupa ma własne magazyny, to często odbiorcy sami przyjeżdżają po towar, odpadają więc koszty transportu. Jest jeszcze ważniejsza zaleta rolniczej spółdzielczości. - Grupy często podpisują kontrakty długoterminowe, a to zapewnia rolnikom stabilność dochodów - podkreśla p. Marcin.

O podjęciu współpracy często przesądzają jednak dotacje. - O powołaniu grupy zdecydowały, co tu kryć, pieniądze. Chcieliśmy uzyskać dopłaty - mówi Stanisław Wicha, prezes Grupy Producentów „Rolnik” sp. z o.o. z Kostomłotów na Dolnym Śląsku. Z kolei Piotr

Witkowski, młody mazurski rolnik, mówiąc o grupie, którą chce założyć, jako główny powód podaje „dobre pieniądze ze sprzedaży”. Tadeusz Zelek wśród głównych korzyści wymienia wspólne zaopatrzenie i wspólny zbyt. - Po prostu finansowo jest to wszystko opłacalne, ale to nie jedyne korzyści. Dzięki wzajemnemu wsparciu, powiększamy swoją wiedzę - dodaje.

Tam, gdzie są pieniądze, często pojawiają się konflikty. Wielu rolników, obawiając się poróżnienia z sąsiadami „o traktor”, decyduje się nie powoływać grup lub nie wstępuje do istniejących. - To złe nastawienie. Teraz w ogóle nie mają żadnego „traktora”. Jeśli go nabydą z dotacji, nie będą mieli się czym przejmować, w końcu te pieniądze pochodzą z zewnątrz. Obecnie nie mają się o co kłócić, a jeśli później mają się pokłócić, to i tak to zrobią, nawet bez „traktora” - wyjaśnia p. Krystyna.

Razem, czyli z kim?

Powołując grupę producencką, jej członkowie muszą wybrać formę działalności. Grupa może zaistnieć jako spółdzielnia (136 na koniec 2009 r.), sp. z o.o. (315), zrzeszenie (48) lub stowarzyszenie (10). Każdy, kto chce założyć grupę producentów rolnych, może liczyć na wsparcie KRS, KZGPRIG oraz wojewódzkich ośrodków

doradztwa rolniczego. Ze strony www.krs.org.pl można pobrać dobrze przygotowaną instrukcję zakładania grupy spółdzielczej oraz znaleźć szereg informacji o grupach producenckich i ich funkcjonowaniu. Rada prowadzi także punkt konsultacyjny, w którym chętni uzyskają wszelkie informacje niezbędne przy zakładaniu grupy.

- *Kontakt z nowymi osobami, chcącymi założyć GPR, zaczynam od pytania, czy jest ich co najmniej pięcioro* - wyjaśnia Magdalena Kleitz-Osmańska z Warmińsko-Mazurskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego. - *Kiedy mam już przedstawicieli chętnych do zawiązania grupy, pytam, czy mogą zorganizować u siebie spotkanie. Łatwiej nam pojechać do rolników, niż w drugą stronę* - relacjonuje Czesław Elzanowski z Pomorskiego ODR. - *Po jednym z takich szkoleń założyliśmy grupę* - przyznaje p. Zelek. - *To nie jest tak, że ludzie nie chcą się zrzekać, to bardzo płytkie stwierdzenie. Po prostu często nie mają świadomości, że można i warto to zrobić. Właśnie podczas takiego szkolenia rozmawiałem z Grzegorzem Sedleckim, młodym rolnikiem.* - *Wydaje mi się to przyszościowe, razem z kolegami chcę założyć grupę producentów trzody* - podzielił się planami.

Podczas wyboru formuły często decyduje sytuacja majątkowa członków grupy inicjatywnej. Przykładowo, dla powołania spółki założyciele muszą zgromadzić 100 tys. zł kapitału zakładowego. W przypadku spółdzielni wystarczy 5 tys., co przy dziesięciu członkach daje 500 zł na osobę, czyli kwotę bardziej dostosowaną do możliwości większości rolników. Zróżnicowane wymogi finansowe przekładają się na elitarność lub egalitarność grupy. Wprawdzie spółek jest więcej niż spółdzielni, jednak 80% liczy zaledwie 5-6 osób, często spokrewnionych. Wśród spółdzielni organizacje tak nieliczne stanowią zaledwie 2%. Różnice w poziomie egalitaryzmu widać też przy przyjmowaniu nowych członków. W okolicy Grójca funkcjonują dwie, dość zażadne, grupy producenckie: jedna jest spółką, druga spółdzielnią. Pierwsza w ogóle nie przyjmuje nowych członków, do drugiej można przystąpić dosłownie w każdej chwili.

Ustawa o grupach producentów rolnych i ich związkach, z 2000 r., określa, że żaden członek nie może mieć więcej niż 20% udziałów, toteż najmniejsze z nich liczą 5 członków. W przypadku zrzeszenia musi się zebrać 10, natomiast stowarzyszenia - 15 osób, co wynika z ich charakteru, określonego w odrębnych aktach prawnych. Podstawowym celem działania spółki jest zysk, natomiast dla spółdzielni liczą się również cele społeczne. Zrzeszenie łączy oba te cele, mając przy tym charakter zawodowy, zaś stowarzyszenia powinny być nastawione na cele społeczne. Te dwie ostatnie formy są jednak coraz rzadziej rejestrowane jako GPR, ich formuła nie sprawdza się w działalności gospodarczej. Wiele GPR funkcjonowało wcześniej jako stowarzyszenia, zresztą do dziś wiele stowarzyszeń funkcjonuje równolegle do grup, zrzeszając często większą liczbę

© Olgierd Pstrykotwórca, <http://www.flickr.com/photos/olgiard/4945832683/in/photostream/>



osób i będąc m.in. „poczekalnią” dla chętnych do wstąpienia do grupy.

- *Spółki zakłada zwykle niewielka grupa, której łatwiej inwestować, a w razie podziału - uzyskać więcej dla siebie. Tymczasem spółdzielnia jest lepsza, gdy mamy większą liczbę osób* - wyjaśnia p. Czesław. Potwierdza jego słowa p. Tadeusz: *W sąsiedniej wsi jest mniejsza grupa, która zawiązała spółkę. Ma powiązania rodzinno-kapitałowe i inwestuje więcej niż my.* Podobnie widzi to p. Magda: *Spółdzielnie działają bardziej po bratersku, w spółkach zdarzają się licytacje między członkami, kto jest ważniejszy.* Martynowski dodaje: *Im bardziej masywny charakter, tym większa trwałość. Małe grupy łatwo zlikwidować po zakończeniu dotowania.*

Aby lepiej wykorzystać swój potencjał, grupy powołały wspomnianą Izbę Gospodarczą. - *Działamy w dość nowatorski sposób, nie mamy biura, za to mamy dobrze działającą stronę internetową www.kzgpr.pl, na której ma się znaleźć wszystko, co najważniejsze. Każda grupa posiada na niej swój profil - taki Facebook dla producentów* - mówi p. Ziejewska. Statutowymi celami KZGPR-IG jest reprezentowanie grup wobec administracji, tworzenie warunków dogodnych dla ich rozwoju, powołanie platformy wymiany doświadczeń, pomoc w prowadzeniu grup i rozwój współpracy między nimi oraz popularyzowanie i wsparcie tworzenia GPR.

Wiele do zrobienia

- *Niemcy w ogóle sobie nie wyobrażają, że można nie należeć do grupy. Tam jeśli ktoś funkcjonuje samopas, to albo*

*coś poważnego przeszkrobał i go usunięto, albo jest skrajnym indywidu-
alistą, nie potrafiącym współdziałać
z innymi* - wyjaśnia pani Krystyna.

Stosunkowo niewielka liczba grup w Polsce znajduje odbicie w stopniu wykorzystania środków przewidzianych na ich wsparcie. Z 17 mld euro przeznaczonych na lata 2007-2013 na tworzenie GPR w ramach Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich, wykorzystaliśmy jak dotąd... niecały 1%. Udało się co prawda osiągnąć założenia PROW w kwestii liczby grup na koniec 2009 r., tyle że zamiast planowanych 12 tys. rolników zrzeszyło się w nich zaledwie 4,5 tys., głównie o dużych potencjałach produkcyjnych, przy niemal zerowym udziale małych i średnich gospodarstw.

Wpływ na taki stan rzeczy ma m.in. brak kapitału niezbędnego do rozpoczęcia wspólnej działalności przez małych i większość średnich gospodarzy. Raport KRS stwierdza: *Tak mały stopień zorga-*

nizowania rolników wynika przede wszystkim z braku wdrożenia równoległe z uchwaleniem ustawy kompleksowego programu wsparcia procesu gospodarczego organizowania się producentów rolnych. Tworzenie grup wiąże się z rozpoczęciem działalności gospodarczej - utworzeniem firmy, z czym rolnicy nie byli w stanie sobie poradzić. Nie byli również w stanie pomóc im instytucje otoczenia rolnictwa. [...] Poza tym brak jest liderów, którzy na początku chcieliby zająć się społecznie organizowaniem grupy.

Być może grup byłoby więcej, gdyby wraz z ustawą wprowadzono możliwość rejestracji w tej formule już istniejących spółdzielni (po odpowiedniej modyfikacji statutu) i spółek. Niestety, stało się to dopiero w grudniu 2006 r.; od tamtej pory powstało 7 grup wyodrębnionych z istniejących spółdzielni. Ich niewielka liczba wiąże się z tym, że członkami resztek spółdzielni rolniczych są najczęściej właściciele drobnych gospodarstw, którzy samodzielnie nie są w stanie podołać wyzwaniom związanym z prowadzeniem własnej firmy.

Dodatkową barierą dla powstawania GPR jest istnienie minimów produkcyjnych, jakie muszą one osiągnąć, by móc skorzystać z dotacji. W kolejnych latach limity te były obniżane, jednak nadal niewystarczająco. W warunkach dużego rozproszenia polskiego rolnictwa trudno znaleźć wytwórców tego samego produktu, którzy by się znali i wzajemnie ufali, a jednocześnie dysponowali wystarczającym łącznym potencjałem produkcyjnym.

Z pewnością na niechęć rolników do współdziałania innego niż pomoc sąsiedzka wpływają też złe doświadczenia z przeszłości. - *Spotykając się z rolnikami, zaczynam od wyjaśnienia, że grupy producentów to nie to samo, co w czasach PRL, kiedy „spółdzielczość” wiązała się z przymusowością, komasacją gruntów i idącą za tym ich utratą* - wyjaśnia Ziejewska.

Ważnym problemem jest niewystarczająca liczba doradców, głównie ekonomistów i prawników, którzy byłiby w stanie dotrzeć do rolników. Magdalena Kleitz-Osmańska wypracowała ciekawą formułę: *Na spotkanie zapraszam przedstawicieli istniejących grup, bo są żywym przykładem, że „się da”. Co ważne, prezesi grup na ogół chętnie przystają na społeczny udział w takich szkoleniach.*

Po prostu razem

Aby silniej związać ze sobą uczestników grupy, ich liderzy starają się o dodatkowe atrakcje. - *Wyjazdy szkoleniowe i wycieczki znakomicie integrują* - mówi p. Zelek. Pani Krystyna co roku stara się zorganizować wyjazd za granicę, by uczyć się od bardziej doświadczonych kolegów. Organizuje też konferencje i wyjazdy integracyjne dla członków „swoich” grup.

Najdłuższe doświadczenia wspólnej pracy w ramach GPR posiadają plantatorzy tytoniu. Ich przykład potwierdza, że duże grupy są trwałe i wydatnie ułatwiają rolnikom funkcjonowanie. - *Nawet jeśli założyciele myśleli o 5-letnim okresie działalności, zwykle żyjącej się ze sobą, odnotowują korzyści i dalej współpracują* - zauważa p. Elzanowski. Zaznacza jednak, że o rzeczywistej trwałości będziemy mogli mówić za kilka lat, ponieważ skok w kwestii powstawania nowych grup notujemy od 2-3 lat. - *Przed wszystkim przetrwają te, które mają mądrych liderów* - uważa p. Magda.

Chłopi są jedną z grup, które najbardziej straciły podczas transformacji ustrojowej. Jeżeli nie chcemy, by drobni rolnicy w szybkim tempie zasilili grono wykluczonych społecznie, Polska - i w równym stopniu oni sami - musi podjąć niezbędne działania. Dobrym pomysłem byłoby powołanie „Narodowego programu tworzenia i rozwoju struktur gospodarczych rolników - ze szczególnym uwzględnieniem formy spółdzielczej”, postulowanego przez KRS, a więc instytucję o największym dorobku we wspieraniu grup. W jego ramach warto wprowadzić np. powiązanie wysokości świadczeń wypłacanych w ramach innych programów, jak „Modernizacja gospodarstw rolnych” czy „Ułatwienie startu młodym rolnikom”, z udziałem beneficjentów w grupach. Rząd powinien także zabezpieczyć w Brukseli niewykorzystane środki na tworzenie GPR, w budżecie na lata 2013-2020. Ważne, by zmiany wdrożyć jak najszybciej.

KONRAD MALEC
Współpraca Ilona Pietrzak

W poszukiwaniu logiki systemu emerytalnego

DR HAB. JERZY ŻYŻYŃSKI

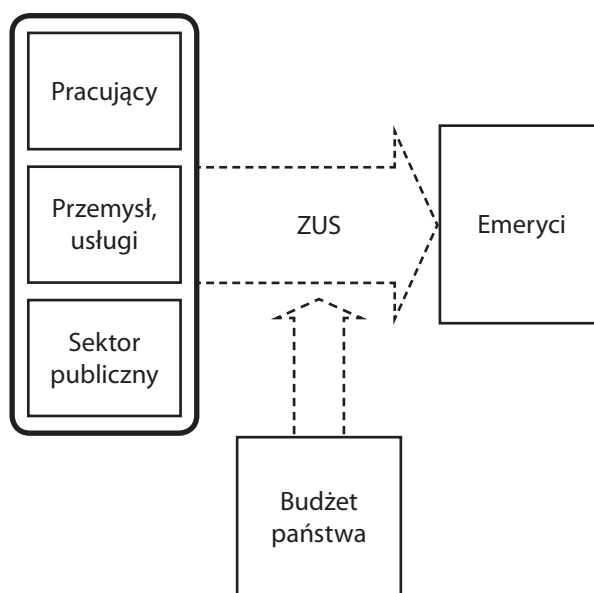
Reforma systemu emerytalnego z 1999 r. głęboko zawiodła. Coraz częściej pojawiają się głosy nawołujące do neutralizacji jej skutków, np. umożliwienia rezygnacji z uczestnictwa w tzw. II filarze. Minister pracy i polityki społecznej w rządzie Donalda Tuska konsekwentnie dąży też, przy wsparciu ministra finansów, do obniżenia składki na Otwarte Fundusze Emerytalne. Na to wszystko bardzo gwałtownie reaguje lobby związane z sektorem ubezpieczeń emerytalnych.

Warto przyrzeć się istocie problemu oraz proponowanym rozwiązaniom z punktu widzenia logiki ekonomicznej. Coś takiego niewątpliwie istnieje, nie tylko jako figura retoryczna. Prof. Elżbieta Mączyńska wiąże ją z racjonalnością proponowanych rozwiązań, wykorzystywaniem wieloaspektowego rachunku ekonomicznego, uwzględnianiem kosztów i efektów zewnętrznych¹. Prof. Ryszard Domański mówi o niej raczej *implicite*, jako spójnym rozumowaniu i umiejętnym posługiwaniu się pojęciami ekonomicznymi w prawidłowym myśleniu ekonomicznym, którego brak zarzuca jednemu z czołowych twórców nowego systemu emerytalnego².

Kluczowym elementem logiki ekonomicznej jest ujmowanie zagadnień w kategoriach strumieni i zasobów – łącznie. Domański słusznie zwraca uwagę, że analizowanie miejsca systemu emerytalnego w gospodarce tylko w kategoriach podziału PKB, a więc strumieniowo, jest błędne. Powinno się bowiem uwzględniać konsekwencje kapitałowe współudziału pracujących w tworzeniu majątku gospodarczego, rozumianego całościowo (np. łącznie z kapitałem ludzkim). To natomiast jest ważnym uzasadnieniem ich partycypacji w podziale dochodu narodowego także po przejściu na emeryturę, gdy już bezpośrednio go nie tworzą.

Wpływy i... wypływy

Na polski system emerytalny składają się: I filar – Fundusz Ubezpieczeń Społecznych obsługiwany przez ZUS, II filar – OFE, III filar – ubezpieczenia dobrowolne, tzw. Indywidualne Konta Emerytalne. Trzeci filar praktycznie nie istnieje, bo wciąż znaczny odsetek Polaków z powodu niskich dochodów nie ma żadnych oszczędności³, zaś ci, którzy posiadają większe



1

Rys. 1. Logika ekonomiczna systemu repartycyjnego.

Rys. 2. Logika ekonomiczna systemu repartycyjno-kapitałowego.

Źródło: opracowanie własne.

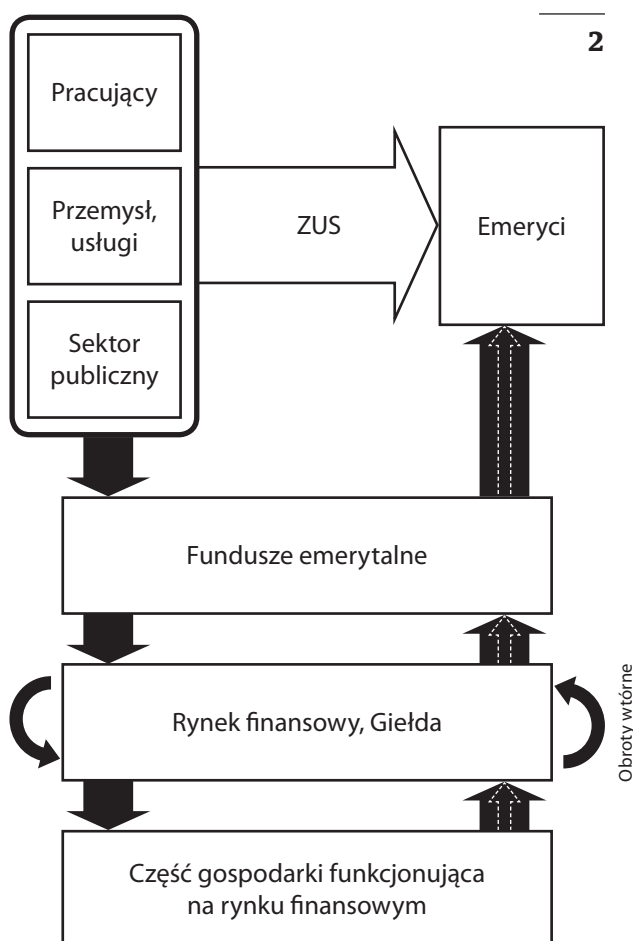
nadwyżki, preferują bardziej efektywne formy zwiększania bogactwa.

Trzonem zmian w systemie jest przesunięcie części siły nabywczej. Uprzednio przekazywano ją bezpośrednio na rzecz ludzi, którzy zakończyli okres aktywności zawodowej, obecnie natomiast trafia do instytucji kumulujących kapitał i operujących nim na rynkach finansowych. **Reforma zasadniczo zmieniła zatem logikę przepływów pieniężnych w gospodarce. W jej efekcie olbrzymi strumień środków został wyrwany i przetransferowany do prywatnych instytucji finansowych dla „wypracowania zysków”.**

Jak pokazuje rys. 1, w systemie repartycyjnym ma miejsce bezpośredni transfer środków od aktualnie pracujących do aktualnych emerytów. Jeśli system ma zdefiniowaną składkę i określone emerytury, staje się oczywiście wrażliwy na stan rynku pracy. Zmniejszenie strumienia środków wypływającego od pracujących, np. w wyniku spowodowanego kryzysem zwiększenia bezrobocia (lub rozrostu szarej strefy), co jest reprezentowane przez odpływ zaznaczony linią przerywaną, powoduje wzrost deficytu systemu, który musi być pokryty przez budżet państwa. **Ten uzupełniający wydatek budżetu generuje jednak dodatkowy popyt, co stabilizuje gospodarkę i pozwala szybciej wyjść z kryzysu – tak realizuje się antycykliczna funkcja systemu emerytalnego.**

Jak widzimy na rys. 2, inna jest logika systemu utworzonego wskutek reformy. Znaczna część środków zostaje przekazana do instytucji finansowych, które inwestują na rynkach finansowych, głównie na giełdzie. Teoretycznie pełnią one rolę pośredników przekazujących środki do gospodarki, gdzie mają „pomnażać swą wartość”. Środki te są uszczuplone o prowizje i „opłaty

2



za zarządzanie”, przez co strumień trafiający na rynki finansowe jest wyraźnie cieńszy od tego, co wpłynęło do funduszy.

Jednak giełda jest przede wszystkim rynkiem wtórnym. Zatem do samej gospodarki – i do tego tylko niewielkiej jej części, która funkcjonuje na rynkach finansowych – trafia część środków: ta inwestowana w papiery wartościowe na rynku pierwotnym. Na rysunku przedstawia to odpływ do gospodarki cieńszy niż to, co wpływa do OFE. Większość środków jest „obracana” na rynkach wtórnych, przyczyniając się do nadymania „baniek spekulacyjnych” itp.

W rezultacie system zostaje narażony na trzy stopnie ryzyka:

- kryzysu w gospodarce realnej;
- kryzysu na rynkach wtórnych („pęknięcie bańki spekulacyjnej”);
- ogólnego ryzyka związanego z wrażliwością cen papierów wartościowych na relacje między popytem a podażą.

W efekcie, rzeczywiste transfery ku zbiorowości emerytów mogą okazać się dużo mniejsze od oczekiwani – reprezentują to strumienie zaznaczone linią przerywaną.

Zauważmy, że skoro do systemu kapitałowego jest przekazywana 1/3 środków, „wyrwana” z szerokiego frontu składek ZUS-owskich wszystkich pracujących, to logiczne byłoby, gdyby były one przekazywane przynajmniej do 1/3 gospodarki – by tam wypracować zysk dla przyszłych emerytów. Tak jednak nie jest, gdyż na rynkach finansowych funkcjonuje znacznie mniej niż 1/3 gospodarki⁴. A skoro tak, to musiałyby zostać wypracowane nadzwyczaj wysokie zyski, aby kapitałowa część systemu emerytalnego dawała realną korzyść. Ta logika niewątpliwie została złamana.

Czarna dziura

Dystrybutorem zbierającym środki i przekazującym część składki emerytalnej do OFE, jest FUS. Tab. 1 przedstawia podstawowe elementy wykonania budżetu FUS w okresie obowiązywania nowego systemu, zaś tab. 2 – bilans Funduszu, szczególnie istotny z punktu widzenia systemu emerytalnego.

Dane te pokazują stopniowe narastanie deficytu funduszu emerytalnego, przy czym największa dynamika jego wzrostu miała miejsce w 2002 r. (o ponad 40%) i w ostatnich latach (w 2008 r. o 28%, w 2009 r. o ponad 29%). Konsekwencją była konieczność znacznego dofinansowania FUS z budżetu, co ukazuje tab. 1. Jak łatwo zauważyć, jedną z podstawowych przyczyn narastania wspomnianego deficytu i ostatecznie obciążeń budżetu, było odprowadzanie znacznej części środków do OFE. Transfery te zwiększyły się z 10 mld zł w 2000 r. do ponad 20 mld zł w 2009 r.

Do OFE przesłano w całym okresie łącznie ponad 130 mld zł, co stanowiło 12% przychodów FUS i 21%

Zgarniając 9% od kapitału emerytalnego, zarządzający OFE poczynają sobie tak, jakby spijali zyski z własnych zainwestowanych środków. Niektórzy mówią wręcz, że pobieranie takiej opłaty za zarządzanie cudzymi środkami nie może być nazwane inaczej jak rabunkiem.

jego wydatków emerytalnych. Można zatem powiedzieć, że 1/3 środków emerytalnych przepłynęła do funduszy kapitałowych. Jednocześnie wydatki FUS były wyższe od przychodów w sumie o 68%, deficyt wyniósł 256 mld zł (średniorocznie 25,7 mld zł); w 2009 r. sięgnął 50 mld zł, współtworząc zasadniczą część długu publicznego.

W wyniku tych transferów i inwestowania środków, aktywa zgromadzone w OFE w 2009 r. osiągnęły poziom 179 mld zł⁵. Od początku funkcjonowania nowego systemu do końca 2008 r. fundusze pobrały w ramach tzw. opłaty za zarządzanie około 10,5 mld zł. Stanowiło to 9% środków im przekazanych⁶ – dużo jak na zapłatę komuś, kto zarządza cudzymi pieniędzmi i nie osiąga nadzwyczajnych wyników (o czym dalej).

Można powiedzieć, że nastąpiło złamanie jednej z podstawowych zasad logiki ekonomicznej. Rentowność kapitału na poziomie 9% jest bowiem akceptowalnym, normalnym wynikiem, ale pod warunkiem, że dotyczy własnych środków. Jak zauważa wybitny amerykański finansista J.C. Bogle, *od roku 1900 do 2007 całkowity średni roczny zwrot na akcjach obliczany na 9,5% składał się w całości z zysków z inwestycji, w tym około 4,5% pochodziło z uśrednionego zysku z dywidend, a 5% ze wzrostu rentowności akcji notowanych na giełdzie przedsiębiorstw [...] w tym samym okresie zysk, który określam mianem zysku spekulacyjnego [...] okazuje się równać zeru*⁷.

Zgarniając 9% od kapitału emerytalnego, zarządzający OFE poczynają sobie tak, jakby spijali zyski z własnych zainwestowanych środków. Niektórzy mówią wręcz, że pobieranie takiej opłaty za zarządzanie cudzymi środkami nie może być nazwane inaczej jak rabunkiem, a politycy, którzy to zaakceptowali, są współwinni tej karygodnej sytuacji. Tak wysoki wskaźnik zysku jest z pewnością nadzwyczajną i bardzo hojną

premią - do tego za bardzo marne efekty, bowiem wiele funduszy nie zdołało nawet osiągnąć realnie dodatniej stopy zwrotu.

Można stwierdzić, że jest to kolejne złamanie zasad logiki ekonomicznej. Ludzie oczekują, że fundusz, któremu powierzane są ich oszczędności na emeryturę, powinien dawać minimalną, gwarantowaną stopę zwrotu - wyższą od tej, jaką uzyskaliby lokując je na zwykłym koncie oszczędnościowym. Dopiero z realnego zysku przekraczającego tę stopę, fundusz powinien mieć prawo pobierać opłatę, która stanowiłaby jego dochód. Wbrew opiniom niektórych finansistów, było to możliwe, jednak silne lobby funduszy zablokowało ustawowe nałożenie takich racjonalnych ram działania. Przecież logiczną ekonomicznie i akceptowalną byłaby zapłata za zarządzanie naszymi kapitałami na poziomie 1% - a gdyby do takiego poziomu ograniczyć mar-

żę funduszy, to i realny wzrost kapitału emerytalnego byłby wyższy.

Składka na hazardzistów

Reforma emerytalna miała logiczne uzasadnienia, czy raczej usprawiedliwienia, albo lepiej: preteksty.

Pierwszym był znaczny zakres ucieczki od płacenia składek. Potęgowała to bardzo ekspansywna propaganda przeciwko funkcjonującemu systemowi, o którym mówiono, że jest elementem wysokiego opodatkowania, że „marnuje nasze ciężko zarobione pieniądze”. Dyskredytowano ZUS za pomocą wyrafinowanego „czarnego PR-u”, określając go jako socjalistyczny przeżytek - podczas gdy w rzeczywistości był to wariant pragmatycznego systemu wymyślonego przez kancleza Bismarcka, którego o związki z socjalizmem posądzać nie sposób.

Tab. 1. Wykonanie budżetu FUS w latach 2000-2009, mld zł

Wyszczególnienie	2000	2001	2002	2003	2004	2005	2006	2007	2008	2009
Przychody	81,3	94,8	99,0	102,3	107,7	112,6	123,9	129,7	137,3	140,5
składki	65,4	71,4	70,4	72,0	73,4	77,4	80,5	88,4	81,6	85,3
z budżetu	15,4	21,2	27,0	28,3	23,0	20,1	24,5	23,9	33,2	30,5
fundusz emerytalny	29,2	33,9	31,5	34,5	34,7	35,9	39,0	45,1	47,0	46,9
fundusz rentowy	29,4	28,6	28,9	28,3	30,0	32,2	31,9	32,9	22,0	22,4
fundusz chorobowy	4,2	4,7	5,0	4,6	5,0	5,2	5,4	6,1	7,7	10,5
fundusz wypadkowy	2,6	2,6	2,3	2,3	3,7	4,1	4,2	4,4	4,9	5,5
Wydatki	89,6	98,9	102,8	104,2	108,7	111,2	119,8	126,0	153,1	170,7
fundusz emerytalny	40,3	46,1	49,0	52,9	58,0	61,0	69,2	75,2	85,7	97,0
fundusz rentowy	31,0	34,3	34,7	32,3	31,6	31,2	37,2	31,3	32,9	34,3
zasiłki chorobowe	3,0	3,2	3,4	3,8	3,8	3,8	5,2	4,0	4,9	6,6
fundusz wypadkowy	3,3	3,6	3,7	3,6	3,6	3,5	4,4	3,6	3,8	3,9
Transfery do OFE	10,3	8,7	9,5	9,9	10,6	12,6	14,9	16,2	19,9	21,1
jako % przychodów FUS	13	9	10	10	10	11	12	13	14	15
jako % przychodów funduszu emerytalnego	35	26	30	29	31	35	38	36	42	45
jako % wydatków funduszu emerytalnego	26	19	19	19	18	21	22	22	23	22

Źródło: Obliczenia własne na podstawie Sprawozdań z wykonania budżetu państwa za kolejne lata, publikowanych na stronie internetowej Ministerstwa Finansów.

Tab. 2. Przychody, wydatki i deficyt funduszu emerytalnego FUS, mld zł

Wyszczególnienie	2000	2001	2002	2003	2004	2005	2006	2007	2008	2009
fundusz emerytalny - przychody	29,2	33,9	31,5	34,5	34,7	35,9	39,0	45,1	47,0	46,9
fundusz emerytalny - wydatki	40,3	46,1	49,0	52,9	58,0	61,0	69,2	75,2	85,7	97,0
Niedobór przychodów	-11,2	-12,2	-17,5	-18,4	-23,3	-25,1	-30,1	-30,1	-38,7	-50,1
jako % przychodów	38	36	56	53	67	70	77	67	82	107

Źródło: Obliczenia własne na podstawie Sprawozdań z wykonania budżetu państwa.

Drugim uzasadnieniem reformy była wrażliwość systemu repartycyjnego na stan rynku pracy. Wzrost bezrobocia i spadek realnych płac oznaczają osłabienie strumienia podatków, co przyczynia się do finansowej słabości państwa oraz powoduje zmniejszenie strumienia składek do systemu emerytalnego.

Po trzecie, w długim okresie, wskutek procesów demograficznych, ma miejsce zwiększenie liczby emerytów przypadających na zatrudnionego. W efekcie, dla utrzymania realnej wartości emerytur, musi rosnąć deficyt systemu repartycyjnego, co z czasem wymusza zwiększanie składek. Koszty utrzymania emerytów przez pracujących zaczynają być dokuczliwe, co staje się argumentem za przekształceniem systemu obciążającego nasze dochody „składką na obcych” – w system „oszczędzania dla siebie”. Skoro poziom składki po reformie się nie zmienił, wydawałoby się, że świadomość płacenia jej na własne konto emerytalne powinna zmniejszyć skłonność do ucieczki w szarą strefę. Fakty jednak temu przeczą – wiele wskazuje wręcz, że skala zjawiska uległa zwiększeniu⁸.

Podstawowym uzasadnieniem reformy była jednak chęć przestawienia strumieni finansowych w gospodarce tak, aby większa część środków została skierowana na giełdę – dla jej ożywienia. I rzeczywiście, OFE stały się tam jednym z ważniejszych graczy – udział zaangażowanych środków w kapitalizacji GPW na poziomie prawie 13%. Mogą na giełdzie inwestować 40% środków, a resztę w obligacje skarbowe i inne instrumenty dłużne. Fundusze jedynie 5% środków mogą inwestować za granicą, co przez niektóre osoby przedstawiane jako eksperci jest mocno krytykowane. Jeremi Mordasewicz z PKPP Lewiatan twierdzi, że powinno się podwyższyć ten próg do co najmniej 30% oszczędności ubezpieczonych. Sugeruje wręcz konieczność tworzenia tzw. funduszy agresywnych, inwestujących nawet 80% środków w akcje, by *emerytury były możliwie wysokie*. Inni przedstawiani jako eksperci idą w swych propozycjach jeszcze dalej⁹.

Takie opinie świadczą o całkowitym niezrozumieniu logiki funkcjonowania systemu finansowego gospodarki, w szczególności giełdy, oraz miejsca, jakie w tym systemie powinien zajmować system emerytalny.

Należy pamiętać, że giełda to tylko rynek wtórny, swego rodzaju targowisko, na którym handluje się specyficznym towarem, jakim są akcje przedsiębiorstw¹⁰. Jako rynek wtórny, bezpośrednio nie przynosi kapitału emitentom akcji, a jedynie stanowi miejsce, gdzie weryfikowana jest wartość walorów i – poprzez sprzedaż – realizowany jest zysk. Rynek ten jest jednak bardzo wrażliwy na relacje między popytem a podażą i na różne czynniki decydujące o stanie rynków finansowych (stan rynków zagranicznych, kursy walutowe, stopy procentowe, nastroje inwestorów, ogólna sytuacja gospodarcza itd.). **Dlatego powierzanie oszczędności emerytalnych swoistej efemerydzie, jaką jest koniunktura na giełdzie, nie wydaje się zbyt**

odpowiedzialne – świadczy raczej o niezrozumieniu natury giełdy. **Nie bez przyczyny po nastaniu kryzysu finansowego pojawiły się informacje, że OFE straciły na niej 800 mln zł¹¹.**

Takie wahnięcia mogą spowodować, że świadczenia dwóch osób gromadzących takie same kapitały emerytalne, w krótkim odstępie czasu przechodzących na emeryturę – jedna przed kryzysem, druga w jego trakcie – będą się radykalnie różnić, bo w międzyczasie znacznie spadnie wartość rynkowa zakumulowanych aktywów. Spowoduje to destabilizację pozycji emerytów i wpłynie na destabilizację gospodarki, gdyż odbierze systemowi emerytalnemu jego antycykliczną funkcję ekonomiczną. Stoi to w sprzeczności z podstawową logiką systemu emerytalnego.

Analitik finansowy przytacza bardzo pouczający przykład: *Japoński indeks Nikkei był na poziomie ponad 40 000 pkt. niemal 20 lat temu, a teraz oscyluje wokół 10 000 pkt. Amerykański Nasdaq dziesięć lat temu sięgał 5100 pkt., teraz połowy tej wartości. Można spojrzeć na lata 1968-1983 w USA. Prawie linia prosta na wykresach, a inflacja szalona. Trudno było też tam zarobić w latach 1999-2010. Można powiedzieć, że to wypadki przy pracy. Być może. Problem w tym, że od wielu lat rynki finansowe zmieniają charakter. Coraz więcej na nich spekulacji i coraz mniej inwestycji w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Uważam, że jesteśmy w okresie wieloletnich turbulencji z nieoczekiwanymi zmianami kierunków indeksów i cen aktywów. Ryzyko inwestycyjne jest bardzo duże, a pieniądze emerytów na takie ryzyko wystawiać nie można¹².*

Ekonomia baniek

Autorzy i propagatorzy systemu OFE zdają się nie rozumieć pewnej bardzo ważnej kwestii. Otóż zgromadzić środki i zamienić je na jakieś walory niepieniężne jest stosunkowo łatwo, i mogą one w wyniku dobrej koniunktury, zwłaszcza „pchanej” przez banki spekulacyjne, osiągnąć dużą wartość rynkową. Jednak zamiana tych aktywów na pieniądze – z zyskiem – może okazać się bardzo trudna. Niemożliwa stanie się, gdy system emerytalny „dojrzeje” i przyjdzie czas na większe wypłaty emerytur, gdyż bardzo prawdopodobna stanie się wtedy przewaga podaży papierów wartościowych – w wyniku skierowania ich na rynek przez OFE – nad popytem na nie. Przede wszystkim z tego powodu rząd powinien podjąć szybkie kroki ograniczające zakres kapitałowej części systemu emerytalnego.

Po drugie, nieprofesjonalni „eksperci” nie dostrzegają niebezpieczeństwa włączenia OFE w sieć powiązań finansowych, w których zaczną one pełnić w coraz większym stopniu¹³ rolę pożyczkodawcy w operacjach tzw. krótkiej sprzedaży. Polegają one na tym, że inna instytucja, np. bank związany z funduszem, pożycza od niego akcje, aby sprzedać je na giełdzie i po spadku wartości odkupić i oddać – oczywiście mające mniejszą wartość niż w momencie brania w pożyczkę¹⁴.



© Piotr Świderek, bardzofajny.net

W manipulacjach takich najpierw spekulacyjnie „pompuje się” rynek, a potem go deprecjonuje, wykorzystując różne metody wpływania na wartość akcji - ogólnie lub wybranych walorów.

Te swoiste „finansowe perpetuum mobile” są manipulacjami, które po ostatnim kryzysie zostają na świecie obejmowane zakazami, bo jest to po prostu mechanizm wysysania oszczędności z rynku poprzez operacje nie przynoszące żadnego wzrostu gospodarki realnej, a destabilizujące rynek. Niestety, zapewne z powodu niezrozumienia, „krótka sprzedaż”, która pod względem formalnym istnieje na naszym rynku od 21 grudnia 1999 r., została szeroko dopuszczona od 1 lipca 2010 r.¹⁵ Operacje takie są swoistymi „pompami kapitału”, które powodują straty dla pożyczających akcje i dla nowo wchodzących na rynek, zwłaszcza wtedy, gdy manipulatorzy doprowadzają do znacznych spadków na giełdzie. Mamy tu zatem kolejne złamanie logiki ekonomicznej. J.C. Bogle mówi wprost: *przedstawienie branży funduszy z długiej perspektywy inwestycyjnej na perspektywę „krótkiej sprzedaży” jest szkodliwe z punktu widzenia inwestorów*¹⁶.

Po trzecie, eksperci, zwłaszcza związani ze środowiskiem rodzimego biznesu, powinni być zainteresowani tym, aby polskie oszczędności „pracowały” w polskiej gospodarce. Sposoby, w jaki mogą to robić, są różne - nawet jeśli przeznaczone są na zakup obligacji

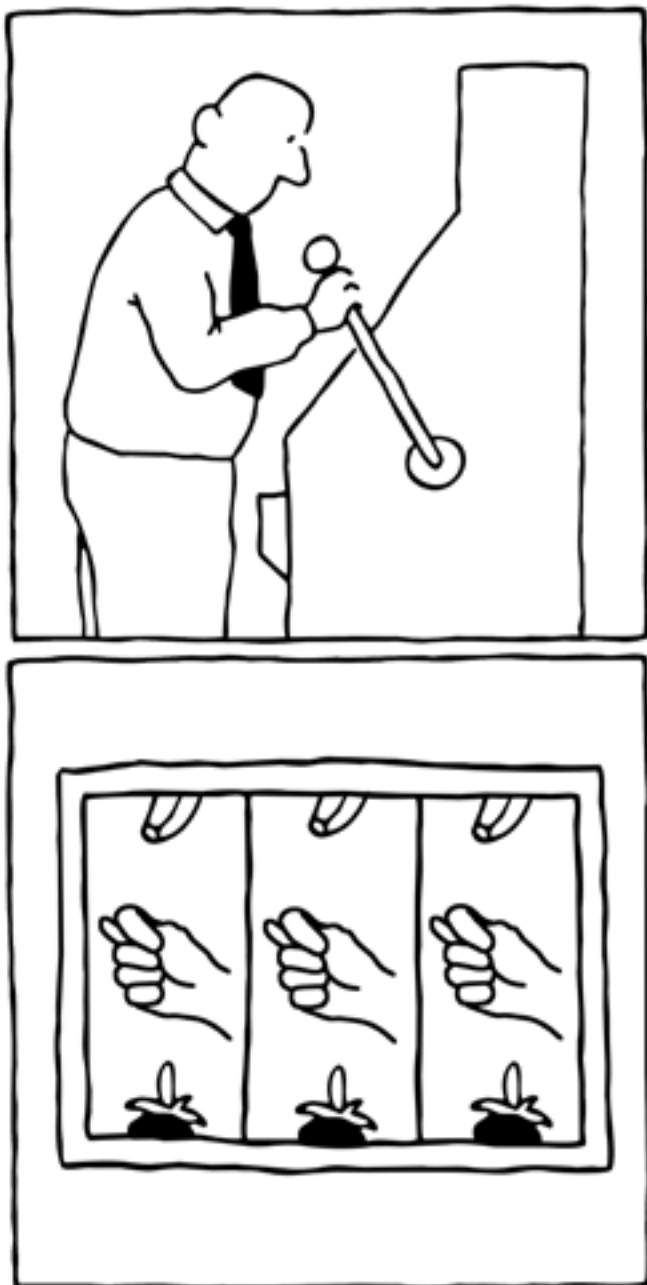
skarbowych, to również pracują dla naszej gospodarki, choćby poprzez stymulowanie popytu wewnętrznego. **Zatrudnieni przez organizacje polskiego biznesu na stanowiskach ekspertów, głoszący, że więcej środków OFE powinno być wyprowadzanych za granicę, działają zatem, z braku profesjonalnego przygotowania, na szkodę swych mocodawców.**

Po czwarte, system emerytalny musi być w możliwie dużej części transferem siły nabywczej, jak w systemie repartycyjnym. Po prostu musimy część naszych dochodów przeznaczać na utrzymanie tych, którzy zakończyli aktywność zawodową¹⁷. W tej części systemu, która nastawiona jest na generowanie „oszczędności na starość”, powinny działać mechanizmy zapewniające, by akumulowane środki były inwestowane w realny wzrost gospodarki, np. tworzenie nowych miejsc pracy. Natomiast w sensie finansowym - aby były lokowane w stabilne instrumenty finansowe: papiery wartościowe o wartości kształtowanej na stabilnych rynkach, nie narażonych na generowanie baniek spekulacyjnych i ich „eksplozje”, a z drugiej strony w obligacje skarbowe, bo wtedy przyczynią się do poprawienia koniunktury, co sprzyja ogólnemu klimatowi inwestycyjnemu. Peter L. Bernstein, wybitny ekspert w dziedzinie inwestycji finansowych, propagował praktyczną regułę inwestowania: 60% w akcje i 40% w obligacje¹⁸.

Rolą tzw. III filaru byłoby otwarcie osobom skłon-
nym do ryzyka możliwości, jakie daje lokowanie nad-
wyżek oszczędności w różne potencjalnie wysoko
rentowne inwestycje. Zauważmy, że szanse na to mają
nieliczne fundusze emerytalne, o elitarnym charakte-
rze, działające na obrzeżach rynku finansowego, w jego
wysoko rentownej części (np. inwestycje typu *venture
capital*). Fundusze o masowym członkostwie, wprowa-
dzające na rynki finansowe gigantyczne kwoty, mogą
jedynie pompować bańki spekulacyjne.

Na nie-wariackich papierach

Dla stabilności kapitału emerytalnego niebagatel-
ne znaczenie mają inwestycje w obligacje skarbowe,
jako najbardziej bezpieczne instrumenty finansowe.
Ich funkcja gospodarcza nie jest jednak rozumiana.



© Piotr Świderek, bardzofajny.net

Zwłaszcza w kryzysie stanowią ważny czynnik anty-
cykliczny, gdyż skierowują poprzez budżet państwa
część niewykorzystanych oszczędności krajowych do
gospodarki, co sprzyja koniunkturze – i powinno być
popierane przez organizacje biznesowe.

Papiery skarbowe kupowane przez obywateli wła-
snego kraju (bezpośrednio lub poprzez fundusze eme-
rytalne) stają się składnikiem ich majątku, a płacone
odsetki stanowią dodatkowy dochód, który poprzez
kapitalizację może powiększać kapitał. Oczywiście
wykup obligacji po osiągnięciu przez nie terminu płat-
ności jest realizowany przez państwo z podatków lub
poprzez tzw. rolowanie długu, czyli zaciąganie następ-
nych pożyczek. Zatem jeśli obligacje są częścią portfela
inwestycyjnego przyszłych emerytów, to oznacza to
tylko tyle, że gdy państwo odkupuje obligacje, emery-
tury *de facto* finansują podatnicy. Jedna forma finan-
sowania (składkami na rzecz systemu repartycyjnego)
zostaje zastąpiona inną (wykupem obligacji); czego nie
chce się zapłacić z lewej kieszeni, płaci się z kieszeni
prawej. Ale przecież twierdzenie, że staje się to obcią-
żeniem społeczeństwa, nie ma sensu, bo jest to tylko
pewna forma redystrybucji dochodów i absorbowania
oszczędności na rzecz nabywców obligacji, którzy są
częścią tego społeczeństwa¹⁹.

W redystrybucji są dwie strony: beneficjenci oraz
obciążeni na ich rzecz, co oczywiście w jakimś stopniu
jest dla tych drugich uciążliwe. Stopień tej uciążliwości
może być zmniejszony, jeśli przesuniemy wiek eme-
rytalny i zmniejszymy tym samym liczbę emerytów,
ale tylko pod warunkiem, że powstają nowe miejsca
pracy dla pokoleń wchodzących na rynek pracy. Za-
sadnicze znaczenie ma zatem realny wzrost i rozwój
gospodarki.

Natomiast gdy fundusze kupują akcje, to z jednej
strony zostają obciążone finanse przedsiębiorstw,
bowiem zysk funduszy częściowo pochodzi z dywi-
dend – jako współwłaściciele przedsiębiorstw zawsze
będą się starały, aby były one wypłacane. Z drugiej
zaś strony, źródłem zysku musi być wzrost rynkowej
wartości akcji, by OFE mogły zarobić na swych „dłu-
gich pozycjach”, czyli z zamiany akcji na gotówkę na
wtórnym rynku. Wtedy jednak społeczeństwo płaci
koniecznością ciągłego pompowania owego rynku,
system musi być wciąż zasilany nowymi środkami –
a te w końcu się wyczerpują, podaż akcji na wtórnym
rynku zaczyna przeważać nad popytem – i nadzieje na
wysokie emerytury z inwestowania przez fundusze
w rynki akcji rozwiewają się z każdą pękającą bańką
spekulacyjną.

Trzeba podkreślić, że zarówno realne skutki inwe-
stycji w kapitałowej części systemu emerytalnego, jak
i efekty działania systemu repartycyjnego, zawsze
będą zależeć od stanu gospodarki. Ten zaś zależy
tak od inwestycji w sferę realną, jak i od stabilności
systemu, zapewnianej przez odpowiednią struktu-
rę wydatków budżetowych i przez wspieranie przez

państwo czynników służących rozwojowi w długim okresie – jak nauka, edukacja, sprawnie funkcjonujący system ochrony zdrowia itd. – z czym nie jest u nas najlepiej²⁰.

Finansowe iluzje

Bezpośrednim skutkiem złamania przez twórców nowego systemu emerytalnego zasad logiki ekonomicznej stały się narastające problemy z „dopięciem” zobowiązań i przychodów FUS. Jak zostało pokazane, w 2009 r. deficyt Funduszu był prawie pięciokrotnie wyższy niż w 2000 r., jego przychody zwiększyły się w tym czasie tylko o 60%, a wydatki – o 140%. Ułudą okazują się obietnice autorów reformy, że niedobory systemu skompensuje się przychodami z prywatyzacji: majątek możliwy do wyprzedania szybko się skończy, a zobowiązania i skutki narastającego od lat niedoboru – pozostaną.

To jednak nie wszystko. Chociaż reforma była działaniem wbrew logice ekonomicznej, to jednak, paradoksalnie, nowy system też ma swoją logikę, której złamanie rodzić będzie poważne problemy. Dlatego propozycja czasowego zmniejszenia transferów do OFE w wyniku arbitralnej decyzji rządu nie jest dobrym rozwiązaniem. Spowoduje przecież zmniejszenie wartości kapitału zgromadzonego w II filarze, co obniży przyszłe emerytury – jakie by one nie były. Dlatego warunkiem musi być skompensowanie obniżenia transferów do OFE odpowiednim zwiększeniem ZUS-owskiej części emerytury, co bardzo komplikuje wszelkie kalkulacje. Dlatego powinno się raczej dać możliwość wyboru zero-jedynkowego: albo system kapitałowy, albo powrót do systemu repartycyjnego – z odpowiednimi gwarancjami państwa.

Najbardziej niepokojące jest to, że w gruncie rzeczy doprowadzono do sytuacji patowej: zarówno podjęta w końcu lat 90. reforma, jak i obecne propozycje podważają zaufanie do państwa, którego jednym z podstawowych zadań jest dbałość o to, by obywatele mieli zabezpieczone godne życie na terenie własnego kraju zarówno w okresie aktywności zawodowej, jak i po przejściu na emeryturę.

DR HAB. JERZY ŻYŻYŃSKI

1. Co by rekomendowała RSSG?, rozmowa z prof. E. Mączyńską, „Biuletyn PTE” nr 4 (38), październik 2008.
2. R. Domański, recenzja książki Marka Góry pt. *System Emerytalny* (Warszawa 2003), „Opere et Studio pro Oeconomia” nr 3, lipiec 2005.
3. 74% Polaków nie ma żadnych oszczędności ([pb.pl](#), 27.10.2010), choć jeszcze dwa lata temu było to ok. 60%.
4. Dla pokazania, jaka część gospodarki funkcjonuje na giełdzie, podaje się stosunek kapitalizacji giełdy do PKB, co jest zasadniczo błędne, albowiem stanowi porównanie wielkości majątkowej ze strumieniową. Oczywiście takie porównanie

- i budowanie wielkości wskaźnikowej jest możliwe i ma pewien walor poznawczy, ale trzeba pamiętać, że nie można mówić, iż kapitalizacja giełdy to część PKB – kapitalizacja to część wartości kapitału produkcyjnego, wykorzystywanego do wytwarzania dóbr i usług, a ten jest wielokrotnie większy niż PKB i dużo trudniejszy do pomiaru.
5. Raporty finansowe OFE, *Biuletyn roczny. Rynek OFE 2009*, Komisja Nadzoru Finansowego.
6. M. Jaworski, B. Marczuk, *Ile płacimy za zarządzanie OFE*, [Infor.pl/Finanse](#), 13.03.2009.
7. J.C. Bogle, *Dość. Prawdziwe miary bogactwa, biznesu i życia*, Warszawa 2009, s. 59.
8. Wielkość szarej strefy szacuje się na 29% (prof. dr Friedrich Schneider, *Szara strefa w Polsce. Jak systemy płatnicze mogą pomóc w zwalczaniu szarej strefy*, Wrocław 29.09.2009).
9. [Interia.pl](#), 3.11.2009.
10. Z tego powodu prywatyzacja giełdy, czyli przekształcenie w spółkę akcyjną dostępną dla szerokiej rzeszy dowolnych inwestorów, jest nieporozumieniem i może być brzemieniem w bardzo poważne konsekwencje. Rolą targowiska nie jest przynoszenie dochodu właścicielowi, lecz ułatwianie handlu. Żle jest, jeśli targowisko jest własnością osób postronnych, które chcą się wzbogacić na swej własności, bo spowoduje to tylko wzrost kosztów handlowania, za co ostatecznie zapłacą klienci. Najlepiej, jeśli targowisko jest własnością publiczną lub osób na nim handlujących, gdyż wtedy prywatny charakter własności sprzyja handlowaniu i obniża koszty – dlatego giełdy na świecie są raczej własnością maklerów lub państw, miast itp.
11. [Money.pl](#), 07.08.2007.
12. P. Kuczyński, *Nasze pieniądze w OFE są naszym długiem*, [Parkiet.com](#), 27.11.2010.
13. Wiele wskazuje, że już pełnią taką rolę; zob. <http://inwestujwsiebie.blogspot.com/2009/02/krotka-sprzedaz-na-gpw-funduszy.html>, 20.02.2009.
14. Oczywiście zysk zawsze uzyskuje się sprzedając drożej, niż się kupiło. Tyle że normalnie najpierw się kupuje, a potem drożej sprzedaje – i to jest nazywane operacją na „długich pozycjach”, bo sprzedaje się to, co ma się na własność w wyniku operacji zakupu, czekając uprzednio (czasami długo), aż rynkowa wartość tego wzrośnie. W operacji „krótkiej sprzedaży” kolejność jest odwrócona: najpierw się sprzedaje, a potem się kupuje, a jest to możliwe tylko dlatego, że operuje się nie swoim walorem.
15. Rozporządzenie Ministra Finansów z dn. 20 listopada 2009 r. ws. trybu i warunków postępowania firm inwestycyjnych, banków, o których mowa w art. 70 ust. 2 ustawy o obrocie instrumentami finansowymi, oraz banków powierniczych.
16. J.C. Bogle, op. cit., s. 173.
17. Pojawiające się ostatnio silne naciski na podniesienie wieku emerytalnego nie biorą pod uwagę tego, że przechodzący na emeryturę zwalniają miejsca pracy, co jest szczególnie ważne w sytuacji wysokiego bezrobocia wśród osób młodych. Te propozycje miałyby uzasadnienie, gdyby na rynku pracy brakowało ludzi, natomiast w obecnej sytuacji nakazywanie ludziom starszym, by dłużej pracowali, ma niewielki sens – świadczy raczej o nieumiejętności szerszego spojrzenia na problem.
18. J.C. Bogle, op. cit., s. 69.
19. K. Łaski słusznie zastrzega, że teza, iż finansowanie deficytu jest „załużaniem na koszt przyszłych pokoleń” jest uprawniona tylko wtedy, gdy obligacje skarbowe są sprzedawane nabywcom zagranicznym – bo to im, a nie naszemu społeczeństwu trzeba będzie w przyszłości płacić za ich wykup (K. Łaski, *Mity i rzeczywistość w polityce gospodarczej i w nauce ekonomii*, Warszawa 2009, s. 61 i nast.).
20. Por. J. Żyżyński, *Budżet i polityka podatkowa*, Warszawa 2009, s. 93 i nast.

Reforma obok problemu?

JANINA PETELCZYC

Rok 2010 zaznaczył się w Europie szczególnie gwałtownymi protestami przeciwko zapowiedziom cięć budżetowych. W jakim kierunku ewoluować będzie polityka społeczna? Rozwiązania francuskie są tu ciekawym przyczynkiem do dyskusji.

Wielkie cięcia

Stary Kontynent stoi przed wielkim wyzwaniem. Państwa Unii Europejskiej, dotknięte kryzysem gospodarczym i coraz większym deficytem, zaczęły skłaniać się ku cięciom budżetowym. Najczęściej polegają one na zmniejszaniu wydatków socjalnych, ograniczaniu świadczeń i zaostrzaniu warunków ich otrzymania.

Ostre cięcia zapowiedziała w ostatnim czasie m.in. Angela Merkel, która zamierza znacznie obniżyć wysokość zasiłków dla bezrobotnych oraz świadczeń rodzinnych. Brytyjski minister finansów, George Osborne, przedstawił parlamentowi rządowy projekt cięć budżetowych. Zakłada on m.in. zmniejszanie wydatków na świadczenia socjalne o 7 mld funtów rocznie oraz podniesienie powszechnego wieku emerytalnego dla kobiet i mężczyzn do 66 lat już w 2024 r., czyli o 4 lata wcześniej niż planowano. W całej Unii tylko trzy państwa - Szwecja, Polska i Malta - nie wprowadziły radykalnych programów oszczędnościowych. Przy czym tylko to pierwsze

zdażyło wdrożyć reformę finansów publicznych przed kryzysem finansowym, dzięki czemu nie stoi obecnie przed problemem równoważenia budżetu¹.

Powstaje pytanie, czy obniżanie świadczeń socjalnych nie spowoduje na dłuższą metę większego rozwarstwienia społecznego i w rezultacie nie będzie wymagało w przyszłości znacznie wyższych nakładów finansowych na programy służące jego zmniejszeniu.

Jednym z państw objętych reformami jest Francja. Rządowe projekty zmierzają do obniżenia deficytu do 3% PKB w 2013 r., czyli oszczędności muszą sięgać 100 mld euro rocznie. Dotyczy to także systemu emerytalnego, który odnotowuje obecnie 13-miliardowy deficyt. Po długich debatach projekt reformy systemu emerytur został ostatecznie przyjęty pod koniec października przez francuski Senat, a następnie przez Zgromadzenie Narodowe. Oznacza to, że ustawa, która m.in. podnosi wiek uprawniający do emerytury z 60 do 62 lat, została ostatecznie przyjęta mimo olbrzymich strajków i dezaprobaty społecznej.



©©© Gueorgui Tcherednitchenko, <http://www.flickr.com/photos/spacelion/2081805169/>

Kryzys na kryzysie

Aby lepiej zrozumieć sytuację we Francji, warto wspomnieć o najważniejszych założeniach reformy.

Tym, co wzbudziło największe kontrowersje, było podwyższenie wieku emerytalnego. Obecny próg 60 lat będzie co roku zwiększany o kolejne 4 miesiące i w 2018 r. osoby urodzone w 1956 r. i młodsze uzyskają prawo do emerytury w wieku 62 lat. Pozostały jednak pewne wyjątki od tej zasady. Prawo do uzyskania świadczenia w pełnym wymiarze w wieku 60 lat zachowały osoby zatrudnione w szczególnych warunkach, tj. gdy skutek wykonywanej pracy stan ich zdrowia znacznie się pogorszył. Również ci, którzy bardzo młodo wkroczyli na rynek pracy (przed 18. rokiem życia), mogą uzyskać świadczenie już jako 60-latkowie, pod warunkiem odpowiedniego stażu pracy.

Przed uchwaleniem reformy prawo do emerytury w pełnym wymiarze, niezależnie od stażu pracy, czyli okresu składkowego, miały osoby, które skończyły 65 lat - teraz wiek podniesiono do 67 lat. Wyjątkiem są kobiety, które wychowały trójkę lub więcej dzieci, przerywając w tym celu karierę zawodową, a także rodzice dzieci niepełnosprawnych, którzy musieli w celu opieki przerwać pracę - otrzymają oni pełne świadczenie w wieku 65 lat.

Rząd zdecydował się przeprowadzić reformę zaalarmowaną przez raport Rady Programowej ds. Emerytur, składającej się z parlamentarzystów, partnerów społecznych i ekspertów. Ukazał on, jak trudna jest sytuacja systemu emerytalnego po okresie kryzysu oraz do czego doprowadzi utrzymanie obecnych trendów. W raporcie zaprezentowano trzy scenariusze, wedle różnych wariantów sytuacji demograficznej i gospodarczej kraju. Obejmowały one zarówno perspektywę średnioterminową (lata 2015-2020), którą określa wpływ kryzysu ekonomicznego, jak i długoterminową (do 2050 r.). Z opracowania wynika, że z uwagi na sytuację demograficzną wpływy ze składek będą malały do 2050 r., natomiast wzrosną wydatki związane z wypłatą emerytur. Kryzys demograficzny dotyka - choć w mniejszym stopniu niż inne kraje Europy - także Francję. Społeczeństwo się starzeje, szeregi osób pobierających emeryturę znacząco wzrosną, natomiast liczba osób opłacających składki, z których finansuje się bieżące wypłaty świadczenia, będzie coraz niższa. Już w 2010 r. konieczność dofinansowania systemu emerytalnego wzrosła o 1,7% PKB w stosunku do roku poprzedniego, osiągając poziom przewidywany w raporcie z 2007 r. dopiero na rok 2030. Sytuację systemu emerytalnego pogorszył kryzys ekonomiczny lat



2008-2009. Wzrost bezrobocia sprawił, że skurczyły się wpływy ze składek².

Za niskie progi?

Nie sposób nie zgodzić się, że system emerytalny we Francji wymagał reform. Jedną z nich powinno być podniesienie wieku emerytalnego, który został obniżony z 65 do 60 lat w 1982 r. przez François Mitterranda. Decyzja ta spowodowała, że coraz więcej osób korzystało z możliwości wcześniejszego przejścia na emeryturę, a ci, którzy nie mieli takiego zamiaru, byli do tego zmuszani, ponieważ pracodawcy mogli zerwać z nimi kontrakt i często tak czynili. Skutkiem tego Francja stała się krajem o najniższej aktywności zawodowej osób pomiędzy 55. a 64. rokiem życia - stopa ich zatrudnienia wynosi tylko 38,2%³.

Przed reformą Francuzi cieszyli się najniższym wiekiem uprawniającym do przejścia na emeryturę w Unii Europejskiej. Z tego powodu spędzali najwięcej lat na emeryturze - mężczyźni średnio 24,5 roku, kobiety 28,1 roku. Sprawiało to, że system był wyjątkowo narażony na wysokie wydatki publiczne.

Na ulicach o emeryturach

Zmiany proponowane przez rząd francuski od początku były kwestionowane przez osiem najważniejszych związków zawodowych. Zorganizowały one „Dni strajków dla emerytur 2010”.

Najważniejsze manifestacje odbyły się w największych miastach Francji 27 maja, 24 czerwca, 7 września, 23 września i 2 października. Ta przedostatnia miała największy zasięg - według obliczeń Powszechnej Konfederacji Pracy (CGT) w 239 miastach na ulice wyszły

1. Ogólnokrajowy protest przeciwko planom reformy emerytalnej, październik 2007. Hasła uwiecznione na zdjęciu brzmią: „Bogaci tego świata mogliby wyżywić wszystkich potrzebujących. Walczmy z ich egoizmem!” oraz „Niektórzy mają dostęp do zasobów, reszta - prawo do grzebania w śmietnikach”.
©©© Gueorgui Tcherednitchenko,
<http://www.flickr.com/photos/spacelion/2082440208/>

2. ©©© Gueorgui Tcherednitchenko,
<http://www.flickr.com/photos/spacelion/2081805153/>

3 mln osób, w tym 300 tys. w stolicy⁴. Był to największy protest społeczny we Francji od ponad 15 lat. Nawet po przyjęciu reformy tłumy demonstrantów wychodziły na ulice. Strajki w przemyśle naftowym spowodowały niedobory benzyny, także podróż publicznymi środkami transportu była utrudniona ze względu na protesty pracowników kolei i komunikacji miejskiej. Zamknięto wiele szkół i urzędów. Do najliczniejszych grup strajkujących należeli licealiści.

Należy dodać, że działalność związków zawodowych nie ograniczała się do organizowania protestów. 7 lipca 2010 r. powstała deklaracja, którą podpisały wszystkie najbardziej liczące się związki zawodowe. W oświadczeniu **zarzucono rządowi, że reforma dokona się głównie kosztem pracowników, którzy mają dłużej pozostawać na rynku pracy i dłużej opłacać składki, natomiast przedsiębiorstwa, które mają najwyższe dochody, są obciążone pięciokrotnie mniejszymi składkami i nie zostaną one podniesione.** Zdaniem związkowców, wymaganie coraz większego wkładu od pracowników znacznie zmniejsza bieżącą siłę nabywczą ich dochodów.

Oprócz tego każda z organizacji zaproponowała swoje rozwiązania, z których część uwzględniono. Ochronie podlegać będą np. najstarsze grupy, czyli osoby, które weszły na rynek pracy najwcześniej i musiałyby pracować ponad 45 lat do otrzymania świadczenia. Ich wiek emerytalny, jak wspomniałam, utrzymano na poziomie 60 lat. Jednak już osoby, które późno weszły na rynek pracy, np. po studiach, mogą nie przepracować odpowiednio wielu lat składkowych, aby móc liczyć na pełną emeryturę w wieku 65 lat i będą musiały pracować do 67. roku życia. Podobne problemy mogą mieć kobiety, częściej zatrudnione w niepełnym wymiarze czasu pracy.

Grunt to rodzina

Warto wspomnieć, że mimo wszystko Francja znajduje się w lepszej sytuacji niż inne państwa unijne. Jednym z największych wyzwań dla współczesnych systemów emerytalnych w Europie są przemiany demograficzne. Dotyczy to także Francji, gdzie emerytury opierają się na metodzie repartycji, czyli obecne pokolenie pracujących finansuje świadczenia dzisiejszym emerytom.

Według najnowszych przewidywań Narodowego Instytutu ds. Badań Statystycznych i Ekonomicznych (INSEE), Francja z bardzo wysokim współczynnikiem zastępowalności pokoleń (1,9 dziecka przypadającego na statystyczną kobietę) i wysokim dodatnim saldem migracji (100 tys. osób rocznie) może liczyć na to, że ilość osób aktywnych zawodowo będzie rosła w najbliższych latach. Współczynnik obciążeń demograficznych, czyli obciążenie ludności w wieku produkcyjnym ludnością w wieku przed- i poprodukcyjnym, który wynosi teraz 40%, w 2050 r. ma wynieść 69%⁵. Tymczasem według szacunków w całej Europie współczynnik ten będzie wówczas wynosił aż 94%⁶.

Wiek emerytalny w wybranych państwach UE

Państwo	Wiek uprawniający do przejścia na emeryturę	
	Mężczyźni	Kobiety
Austria	65	60 (do 2033 r. wzrośnie do 65)
Belgia	65	65
Czechy	65	62-65 (w zależności od liczby posiadanych dzieci)
Dania	65 (wzrośnie do 67 w latach 2024-2027)	65 (wzrośnie do 67 w latach 2024-2027)
Finlandia	65	65
Francja	60 z prawem do emerytury w pełnym wymiarze w wieku 65 (po 2018 r. odpowiednio 62 i 67)	60 z prawem do emerytury w pełnym wymiarze w wieku 65 (po 2018 r. odpowiednio 62 i 67)
Grecja	65	65
Hiszpania	65	65
Holandia	65	65
Luksemburg	65	65
Niemcy	67	67
Polska	65	60
Portugalia	65	65
Słowacja	62	62
Szwecja	61	61
Wielka Brytania	65 (wiek ten będzie systematycznie podnoszony do 66 w 2028 r., 67 w 2036 r. i docelowo do 68 w 2046 r.)	60 (do 2020 r. nastąpi wyrównanie wieku emerytalnego kobiet do 65, następnie wiek ten będzie systematycznie podnoszony do 66 w 2028 r., 67 w 2036 r. i docelowo do 68 w 2046 r.)
Włochy	65	60

Źródło: Opracowanie własne na podstawie: Pensions at a Glance 2009, Retirement-Income Systems in OECD Countries, OECD 2009.

Na tak pozytywne w skali europejskiej wyniki demograficzne z całą pewnością wpływa rozbudowana polityka rodzinna. Jej historia we Francji sięga jeszcze XIX w. Kraj ten, jako pierwszy na świecie, zaczął przewidywać problem starzenia się ludności. Już wskutek Rewolucji Francuskiej wzrosło znaczenie wartości i podstaw indywidualistycznych, skutkiem czego rodziło się mniej dzieci. Dostrzeżono to w latach 1870–1871, kiedy przyczyn porażki w wojnie z Niemcami dopatrywano się w zbyt małej liczbie rekrutów. Zaczęły się wówczas pojawiać pierwsze rozwiązania prawne w celu zwiększenia populacji kraju. Okres międzywojenny przyczynił się do rozwoju polityki rodzinnej, natomiast fundamenty dzisiejszego systemu odnaleźć można w polityce rządu Vichy i w okresie po II wojnie światowej. Były one na tyle skuteczne, że wskaźnik dzietności wzrósł z 1,82 w 1941 do 2,9 w 1965 r.⁷

Na system składały się wypłacane od drugiego dziecka zasiłki dla nowo narodzonych, zasiłek na niepracującą żonę, rodzinny zasiłek mieszkaniowy oraz korzystna dla rodzin z dziećmi polityka fiskalna⁸. W latach 70., 80. i 90. nastąpił odwrót od uniwersalnej polityki rodzinnej i reorientacja na rodziny ubogie oraz wielodzietne. Jednak obecnie, wskutek reform z lat 2001 i 2006 polityka rodzinna ponownie ma charakter uniwersalny, niezależny od dochodów rodziców i opiekunów.

Głównymi celami prowadzonej na szeroką skalę polityki rodzinnej we Francji jest obniżenie kosztów posiadania dziecka oraz umożliwienie rodzicom (zwłaszcza kobietom) łączenia kariery zawodowej z wychowaniem, co w dalszej perspektywie powinno

wpłynąć na wzrost dzietności. Stosowane są różne instrumenty: liczne i wysokie świadczenia rodzinne, z których korzystać może każdy rodzic, szeroka opieka instytucjonalna nad małymi dziećmi, pozytywne bodźce w systemie emerytalnym (podniesienie emerytur z tytułu wychowania co najmniej trojga dzieci, specjalne regulacje dotyczące okresów składkowych, ubezpieczenie dla osób, których zawodem jest wychowywanie dzieci). Bardzo ważny z punktu widzenia polityki rodzinnej państwa jest też podatek dochodowy. Osoby, które wychowują dzieci, mogą odpisać sobie od niego znaczne kwoty. Instrument ten to tzw. iloraz rodzinny (*quotient familial*). Dochód rodziny, który podlega opodatkowaniu, dzielony jest przez odpowiednią liczbę części fiskalnych, w zależności od liczby dzieci i sytuacji matrymonialnej rodziców⁹.

Podkreśla się często, że na tak wysoki współczynnik dzietności ma wpływ wysoka rozrodczość wśród emigrantów. Badania tylko częściowo potwierdzają tę tezę. Wynika z nich, że w ostatnim dziesięcioleciu 81,8% nowo narodzonych dzieci pochodziło ze związku dwojga rodowitych Francuzów (czyli takich, których rodzice także byli Francuzami), 10,9% ze związku mieszanego, a 7,3% ze związku dwojga imigrantów, nie posiadających narodowości francuskiej¹⁰.

Polityka rodzinna znajduje się w centrum francuskiej polityki społecznej. Jest kierowana głównie do rodzin z klasy średniej. Dzięki niej nie tylko rodzi się więcej dzieci, ale też zwiększa się pozytywna korelacja między dzietnością a zamożnością – w miejsce dawnej zależności między dzietnością a ubóstwem.

Nie samym wydłużaniem...

Bardzo popularne stało się ostatnio mówienie o konieczności wydłużenia okresu pracy, ze względu na coraz większe trudności systemów emerytalnych opartych na zasadzie repartycji. Jednak ograniczenie się tylko do podniesienia wieku emerytalnego nie rozwiąże zasadniczych problemów, z którymi boryka się obecnie wiele europejskich systemów.

Chociaż wskaźniki demograficzne są we Francji lepsze niż w innych państwach Unii, to reforma emerytalna jest mimo wszystko konieczna. Wobec rozwiązań rządu pojawia się jednak wiele zastrzeżeń.

Po pierwsze, decyzji takich nie powinno się podejmować na podstawie danych o wzroście średniej długości ludzkiego życia, lecz na podstawie tego, jak długo żyjemy w dobrym zdrowiu, umożliwiającym pracę. Według badań, obecnie jest to we Francji wiek 63,1 lat dla mężczyzn i 64,2 lat dla kobiet. Wiele także zależy od rodzaju wykonywanego zawodu¹¹. Podnoszenie więc wieku emerytalnego do 62 lat wydaje się uzasadnione, lecz granica uprawniająca do świadczenia w pełnym wymiarze od wieku 67 lat jest w tym kontekście zawyżona.

Po drugie, dobrym rozwiązaniem byłoby stopniowe podnoszenie wieku emerytalnego, jednak z uwzględnieniem sytuacji poszczególnych grup. Niektóre z nich

Podczas ulicznego protestu związkowcy z CGT „zdobyli” pomnik „Triumf Republiki”, stojący w centrum paryskiego Place de la Nation.
© @ @ Gueorgui Tchieredniczenko, <http://www.flickr.com/photos/spaceloni/2061643565/in/photostream/>



powinny być uprawnione do wcześniejszej emerytury. Przy dokonywaniu zmian należałoby zachować długi okres *vacatio legis* i przeprowadzić je zgodnie z zasadą ochrony praw nabytych i będących w trakcie nabywania.

Poza tym, co najważniejsze, **ze względu na trudną sytuację na rynku pracy Francja potrzebuje nie tylko reformy emerytalnej, ale także szeroko zakrojonych zmian na innych płaszczyznach życia społeczno-ekonomicznego.** Konieczna jest poprawa stanu edukacji i polityki zatrudnienia, aby efektywniej tworzyć miejsca pracy dla absolwentów oraz osób powyżej 55. roku życia. Niezbędne jest także prowadzenie aktywnej polityki integracji imigrantów. Potwierdza to raport Zgromadzenia Narodowego¹² dotyczący najważniejszych francuskich problemów związanych z rynkiem pracy. Należy do nich właśnie niski stan zatrudnienia młodzieży i osób w wieku powyżej 55 lat oraz nieudolna polityka integracyjna wobec imigrantów. Jak wspomniano, stopa zatrudnienia osób pomiędzy 55. a 64. rokiem życia wynosi zaledwie ok. 38%. Stopa zatrudnienia absolwentów to 77,4%, w porównaniu z 83,1% średniej unijnej.

Ważnym problemem jest kwestia imigracji. Następuje szybka integracja prawna przybyłych, czyli uzyskiwanie przez nich obywatelstwa, a co za tym idzie prawa do opieki społecznej, przy jednoczesnej bardzo słabej integracji gospodarczej. Często dotyka ich bezrobocie, a stopa zatrudnienia imigrantów jest o 20 punktów procentowych niższa od stopy zatrudnienia rodowitych Francuzów. Do tego imigranci charakteryzują się niskim wykształceniem. Około 2/3 z nich ma wykształcenie niższe niż średnie lub nie może się legitymować żadnym, gdy np. w Anglii zjawisko obejmuje tylko 1/3 przybyłych. Wyższe wykształcenie zdobyło tylko 15% imigrantów we Francji, w Anglii jest to aż 40%. To kwestia bardzo ważna również dlatego, że Francja znajduje się na pierwszym miejscu w Europie pod względem ubiegających się o azyl (średnio 65 tys. osób rocznie). Osoby te pozostają zazwyczaj bez prawa do pracy, przez co nie uczestniczą w tworzeniu dochodu narodowego.

Wszystko to sprawia, że mimo dość korzystnej sytuacji demograficznej we Francji, może nastąpić znaczny kryzys systemu emerytalnego. Problemy rynku pracy przekładają się bowiem na system emerytalny. Z tego powodu należy tak kształtować system edukacji, aby ułatwiać absolwentom wejście na rynek pracy. Powinno się również promować zatrudnienie w każdym wieku i tak modernizować prawo, aby tworzyć miejsca pracy dla osób powyżej 55. roku życia oraz prowadzić aktywną politykę integracji imigrantów.

Z *welfare state* do *workfare state*

Obecna reforma systemu emerytalnego we Francji jest przykładem liberalnego przechodzenia od tradycyjnego państwa opiekuńczego do państwa opartego

na pracy (z *welfare* do *workfare state*). W modelu tym świadczenia nie są uniwersalnym prawem każdego obywatela, lecz pozostają uzależnione od jak najdłuższego pozostawania na rynku pracy.

Reformy wydają się uzasadnione, jednak mija się z celem samo podwyższanie wieku emerytalnego bez wprowadzania zmian na innych płaszczyznach życia społeczno-gospodarczego. Może stać się tak, że wiele osób niezdolnych do pracy ze względów zdrowotnych lub nie mogących znaleźć zatrudnienia, znajdzie się po prostu poza systemem i stanie beneficjentami opieki społecznej. Narażeni są na to szczególnie ludzie powyżej 55. roku życia, absolwenci i imigranci.

Warto też zwrócić uwagę na fakt, że **tradycyjne systemy emerytalne są zaprojektowane dla mężczyzn zatrudnionych na pełny etat, bez przerw w karierze. Nie zabezpieczają one zatem potrzeb osób zatrudnionych w trybie nietypowym.** Rozwój współczesnej gospodarki i konieczność kształcenia ustawicznego wymagają rozwiązań, które będą stymulować powrót do nauki po okresie pracy czy ponowne zatrudnienie po przejściu na emeryturę. Obecne programy emerytalne sztywno przyjmują trzy okresy życia człowieka: naukę, pracę i emeryturę. Nie odpowiada to aktualnym realiom i potrzebom rynku pracy.

Obecny francuski rząd powinien przyjrzeć się zatem także innym dziedzinom życia i szerzej spojrzeć na system emerytalny. W przeciwnym razie ulegnie on całkowitej destabilizacji.

JANINA PETELCZYC

1. D. Walewska, *Cięcie wydatków najczęstszym lekiem dla finansów publicznych*, „Rzeczpospolita”, 25.10.2010 r.
2. Conseil d'orientation des retraites, *Retraites: perspectives actualisées à moyen et long terme en vue du rendez-vous de 2010*, <http://www.cor-retraites.fr/IMG/pdf/doc-1327.pdf>, 26.09.2010 r.
3. A. Rémond, *Les retraites en question*, La Documentation française, Paris 2009, s. 185.
4. „Le Parisien”, <http://www.leparisien.fr/economie/retraites/retraites-la-bataille-des-chiffres-23-09-2010-1080059.php>, 29.09.2010 r.
5. A. Rémond, *Retraites...* op. cit., s. 147.
6. ONZ, *World Population Prospects: The 2008 Revision*, Population Division of the Department of Economic and Social Affairs of the United Nations Secretariat, <http://esa.un.org/unpp/>, 04.01.2010 r.
7. K. Starzec, *Polityka rodzinna we Francji: historia, bilans i kierunki rozwoju*, IPiSS, Warszawa 1999, s. 8.
8. Ibidem, s. 11.
9. P. Szukalski, *Publiczne wsparcie dla rodzin we współczesnej Francji*, Ekspertyza przygotowana na zlecenie Ministerstwa Pracy i Polityki Społecznej, http://www.kobieta.gov.pl/zal/f184_1.pdf, s. 23, 07.03.2010 r.
10. Ibidem, s. 4.
11. Philippe Marliere, *Why French Workers Reject Sarkozy's Pension Reform*, <http://www.social-europe.eu/2010/10/why-french-workers-reject-sarkozy's-pension-reform>, 07.10.2010 r.
12. Assemblée nationale, *Les perspectives démographiques de la France et de l'Europe à l'horizon 2030: analyse économique*, <http://www.assemblee-nationale.fr/12/rap-info/i2831.asp>, 03.01.2010 r.

Czy biznes może mieć sumienie?

JADWIGA BOGDANOWICZ

Ideę inwestowania odpowiedzialnego społecznie zapoczątkowali pod koniec XVIII w. kwakrzy z Filadelfii, gdy zabronili członkom swojej wspólnoty handlu żywym towarem. Inwestowanie etyczne pojawiło się na dobre w latach 70. XX w. w Stanach Zjednoczonych; w 1971 r. dwaj metodyści, dr Luther Tyson i dr Jack Corbett, założyli organizację Pax World. Nie chcieli wspierać finansowo wojny w Wietnamie i dlatego Pax World uruchomiła pierwszy fundusz społecznie odpowiedzialny. Zamierzali w ten sposób umożliwić inwestowanie w zgodzie z pewnymi wartościami, takimi jak pokój, ochrona środowiska, promowanie równości.

Rodzina funduszy inwestycyjnych Pax World obejmuje dzisiaj Balanced Fund, Growth Fund, Small Cap Fund, International Fund, High Yield Bond Fund, Global Women's Equality Fund oraz Global Green Fund.

Taki sposób prowadzenia i pojmowania biznesu szybko stał się popularny również w Kanadzie. W Europie etyczne produkty finansowe pojawiły się nieco później. W 1983 r. swoją pionierską działalność we Francji rozpoczął Luc Meeschaert, menedżer prywatnego banku Financière Meeschaert, założonego w 1935 r. Odwiedziły go przedstawicielki trzech zgromadzeń zakonnych i poprosiły o zarządzanie pieniędzmi tych zgromadzeń „w sposób użyteczny dla ludzi”. Zrodziło to wiele pytań, bo jakie kryteria należy przyjąć, aby zaaprobować lub odrzucić propozycje inwestycyjne? Przykładem może być przemysł farmaceutyczny: nie inwestować, ponieważ produkuje środki aborcyjne, czy inwestować, bo produkuje tak potrzebne leki?

W końcu wytypowano rodzaje działalności bezsprzecznie szkodliwe dla ludzi: przemysł tytoniowy, produkcja mocnego alkoholu, gry hazardowe. Z czasem opracowano 20 pozytywnych kryteriów oceny, które według Luca Meeschaerta można streścić jednym zdaniem: „wszystko, co przyczynia się do wzrostu człowieka w firmie i poprzez firmę”.

Firmy, których akcje kupują fundusze etyczne, są oceniane przez pryzmat wielu kryteriów. Pozytywne z nich to m.in. dbanie o rozwój pracowników, działania na rzecz oddłużenia Trzeciego Świata. Negatywne to np. inwestowanie w przemysł zbrojeniowy, popieranie działań zbrojnych i zbrodniczych reżimów, produkcja tytoniu, alkoholu, technologie nieekologiczne.

Warto zaznaczyć, że wiele z tych organizacji wyrosło na fali kampanii sprzeciwu wobec apartheidu w RPA, wojny w Wietnamie i dyskryminacji robotników katolickich w Irlandii.

Brak etyki to wymierne straty

Inwestowanie w zgodzie z etyką to nie tylko kwestia działania według pozytywnych wzorców moralnych. To także unikanie możliwych do przewidzenia strat finansowych. Przykładem bezmyślnej pogoni za zyskiem mogą być kredyty typu subprime, które w istotny sposób przyczyniły się do kryzysu finansowego, na początku w USA, a następnie na całym świecie. Część instytucji finansowych doszła do wniosku, że nie oglądając się na poziom zabezpieczeń, nie przyglądając się dokładnie zdolności kredytowej klientów, należy im pożyczać jak

najwięcej. Jakie są tego efekty, obserwujemy do dzisiaj. Idea *inwestowania odpowiedzialnego społecznie* (IOS; ang. *socially responsible investing*, SRI) może w pewnym sensie stanowić antidotum na takie sytuacje.

Bogactwo samo w sobie nie jest ani etyczne, ani nie-etyczne. O etyce możemy natomiast mówić w odniesieniu do sposobu wytwarzania i pomnażania bogactwa oraz do celów realizowanych przy jego wykorzystaniu. Dlatego tak istotne są zasady, wedle których prowadzona jest działalność gospodarcza (np. uczciwość w interesach lub to, jak pracodawca traktuje osoby zatrudnione). Ważne jest także, w kontekście rynku kapitałowego, gdzie kierowane są strumienie pieniędzy i jakie branże wspierają.

W jaki sposób można zdobyć tego typu wiedzę i co z niej wynika dla portfeli inwestorów? Najlepiej prześledzić to na przykładzie konkretnych działań. W 1997 r. powstała firma E. Capital Partners, która zajmuje się m.in. opiniowaniem działalności emitentów papierów wartościowych właśnie pod kątem tego, czy prowadzą biznes w sposób etyczny. Badana jest zarówno część finansowa, jak i rzetelność prowadzenia księgowości czy relacje pracownicze. Sprawdza się, czy nie dochodzi do przypadków łapownictwa, czy zawierane kontrakty są klarowne itd. Klientami firmy są Credit Suisse, Union Investment, Sal. Oppenheim, UPS, Merrill Lynch i wiele innych.

Zarządzający, którzy korzystali z informacji i wsparcia firmy E. Capital Partners, z dużym wyprzedzeniem wycofali z portfeli swoich klientów akcje takich firm, jak Morgan Stanley, który został wykluczony ze spektrum inwestycyjnego już w czerwcu 2005 r., a w wyniku kryzysu subprime w grudniu 2007 r. poniósł bardzo wysokie straty w związku z potrzebą tworzenia potężnych rezerw. Już w kwietniu 2006 r. wykluczono Bear Stearns - wtedy w tej firmie stwierdzono przypadki korupcji, a w marcu 2008 r. groziła jej niewypłacalność.

Inne przykłady: Enron wykluczony ze spektrum inwestycyjnego w maju 2001 r. - zbankrutował w grudniu tego samego roku. Powody wykluczenia: złe zarządzanie firmą, konflikt interesów, ekspozycja na ryzyko niewypłacalności kontrahentów. WorldCom, wykluczony w sierpniu 2001 r., zbankrutował w lipcu 2002 r. Gdyby papiery tych właśnie firm pozostały w portfelach inwestycyjnych klientów, ponieśliby oni wymierne straty. **Powyższe przykłady jasno pokazują, że monitorowanie działalności emitentów pod kątem etycznym jest w stanie skutecznie bronić interesów inwestorów.** Oczywiście nie jest idealnym lekarstwem na wszystko, ale takich lekarstw nie ma.

Innym sposobem realizowania strategii IOS jest kierowanie się w zarządzaniu inwestycjami gotowymi indeksami giełdowymi. Pierwszy powstał 20 lat temu w USA, to Domini 400 Social Index. Działają również: Dow Jones Sustainability Indexes (międzynarodowe), FTSE4Good (Wielka Brytania), DAX (Niemcy), BOVESPA ISE (Brazylia), ECI - Ethical Canadian Index (Kanada)

Obligacji rządowych

- wypełnianie postanowień najważniejszych porozumień dotyczących praw człowieka (np. ONZ); z tego względu ze spektrum inwestycyjnego wykluczone są m.in. obligacje rządu amerykańskiego, ponieważ w Stanach Zjednoczonych stosuje się karę śmierci;
- ochrona praw pracowniczych (konwencja Międzynarodowej Organizacji Pracy);
- kontrola poziomu zanieczyszczania środowiska (protokół z Kioto, konwencja bazylejska).

Współpracujących organizacji pozarządowych i ponadnarodowych

- lobbowanie na rzecz zaprowadzenia dobrobytu w krajach Trzeciego Świata oraz rozwoju społeczności lokalnych.

Papierów korporacyjnych

Kryteria pozytywne

- ochrona środowiska (recykling, zarządzanie odpadami, energia odnawialna);
- otwartość w działaniu (innowacyjność, elastyczność, nowe wyzwania);
- misja (zasady etyczne, wyznawane wartości);
- zasady współżycia społecznego (dialog społeczny, prawa człowieka);
- dostawcy (jakość, źródła finansowania, warunki umów);
- jakość zarządzania (wynagrodzenia, płatności specjalne, polityka księgowa);
- pracownicy (relacje interpersonalne, współudział w rozwoju firmy, polityka szkoleń);
- konkurenci (wykorzystujący np. korupcję lub zмовы kartelowe);
- udziałowcy (współdecydowanie, przejrzystość, sposoby komunikacji);
- klienci i produkty (zaufanie, satysfakcja, innowacyjność, bezpieczeństwo).

Kryteria negatywne

- przemysł tytoniowy,
- przemysł wojskowy i obronny,
- produkcja alkoholu,
- gry hazardowe,
- pornografia,
- produkcja i wykorzystanie energii nuklearnej,
- środki antykoncepcyjne.



© Piotr Świderek, bardzofajny.net

czy FTSE KLD 400 Social Index (akcje amerykańskie). Pierwszy w Polsce giełdowy indeks spółek odpowiedzialnych - RESPECT Index - pojawił się na Giełdzie Papierów Wartościowych w Warszawie jesienią 2009 r.

Organizacje wspierające

Inwestowanie odpowiedzialne społecznie to nie tylko budowanie portfela w zgodzie z etyką. To również łączenie działalności ekonomicznej z próbami rozwiązywania kwestii społecznych.

W Belgii w 2001 r. powstała Europejska Federacja Banków Etycznych i Alternatywnych (FEBEA), która zrzesza instytucje finansowe oraz banki. **Nie jest to działalność charytatywna, bo inwestorzy poszukują zysków, ale celem członków FEBEA jest nie tylko zysk.** Wspierają oni inicjatywy ekonomiczne dotyczące m.in. wzrostu liczby miejsc pracy (szczególnie zatrudnienie socjalne) oraz zrównoważonego rozwoju (odnawialne źródła energii, rolnictwo ekologiczne, różnorodność biologiczna). FEBEA dba o etyczną i kulturową różnorodność, promuje międzynarodową solidarność i sprawiedliwy handel. Organizacja ta wspiera podmioty, które miałyby problem z pozyskiwaniem funduszy od „zwykłych banków”, np. rolników, którzy rozpoczynają

produkcję ekologiczną, finansuje też kampanie społeczne. W ramach FEBEA działają fundusze inwestycyjne i fundusz gwarancyjny. W kwietniu 2006 r. członkiem Federacji stał się BISE - Bank Inicjatyw Społeczno-Ekonomicznych, który od listopada 2007 r. jest częścią banku DnB NORD.

Na Starym Kontynencie działa również Eurosif (European Sustainable Investment Forum) - paneuropejska grupa propagująca zasady zrównoważonego rozwoju poprzez rynki finansowe. To organizacja typu non profit, zrzeszająca ok. 80 funduszy emerytalnych, dostawców usług finansowych, ośrodków akademickich, instytucji badawczych i organizacji pozarządowych, dysponujących bądź zarządzających aktywami o wartości kilkuset miliardów euro.

W Stanach Zjednoczonych funkcjonuje Social Investment Forum, zrzeszające 500 członków. To finansiści, analitycy, firmy zarządzające aktywami, banki, fundusze inwestycyjne, ośrodki badawcze, fundacje, uczelnie i organizacje działające na rzecz lokalnych społeczności. Celem SIF jest rozwój idei i tworzenie narzędzi służących IOS. Członkowie w swojej działalności inwestycyjnej uwzględniają czynniki ekonomiczne, społeczne, z zakresu ochrony środowiska i zarządzania, a SIF wykorzystując zgromadzoną wiedzę i prowadząc specjalne programy, stara się im to ułatwić.

W Kanadzie działa Social Investment Organization. To ponad 400 członków obsługujących ponad 500 000 kanadyjskich deponentów i inwestorów. Celem SIO jest podnoszenie świadomości społecznej w zakresie idei IOS. Stanowi ona forum wymiany opinii oraz źródło informacji o inwestowaniu społecznie odpowiedzialnym.

W Azji funkcjonuje Association for Sustainable & Responsible Investment in Asia. Skupia 50 członków. Propaguje wspólną odpowiedzialność i społeczną troskę wśród inwestorów regionu Azji i Pacyfiku, dostarcza informacji o rozwoju IOS w Azji i na świecie. Organizuje również konferencje, seminaria i warsztaty, prowadzi liczne programy badawcze i wydaje publikacje dotyczące szeroko rozumianej kwestii inwestowania społecznie odpowiedzialnego.

Etycznie - zysk przez lata

Potocznie uważa się, że etyczne i społecznie odpowiedzialne fundusze inwestycyjne osiągają gorsze wyniki niż fundusze tradycyjne. Tymczasem tego typu inwestycje mają dobre wyniki pod warunkiem inwestowania w długim horyzoncie czasowym. Dlaczego? Choćby dlatego, że inwestowanie w pracowników (np. w szkolenia) prowadzi do wzrostu wydajności pracy.

Według organizacji badawczej Ethical Investment Research Service, aż 80% spółek notowanych na FTSE All-World Developed Index ma problemy ze złe zarządzanym ryzykiem środowiskowym, społecznym i dotyczącym ładu korporacyjnego. Trudno uznać, że nie będzie to miało wpływu na ich wyniki. W etycznym

inwestowaniu chodzi, wbrew pozorom, nie tylko o moralne kryteria oceny firm, ale również o zysk – fundusze inwestycyjne nie są przecież organizacjami charytatywnymi. Rozumie to rosnąca liczba inwestorów, którzy mają coraz większe zaufanie do tego typu inwestycji. Według raportu włoskiej agencji ratingowej Vigeo, liczba europejskich funduszy inwestujących w firmy odpowiedzialne społecznie wzrosła ze 159 w 1999 r. do 537 w 2008 r., gromadząc ponad 48 mld euro. Największymi środkami zarządzają francuski Société Générale, szwajcarski Julius Baer i włoski Pioneer.

W Stanach Zjednoczonych w funduszach typu SRI ulokowanych jest już ponad 2,7 bln dolarów. Według badania Eurosif, całkowity poziom etycznie zarządzanych aktywów (*assets under management* – AUM) wynosi w Europie prawie 2,7 bln euro (stan na 31 grudnia 2007 r.), co oznacza wzrost o 102% w ciągu dwóch lat. Dla porównania, w tym samym czasie indeks MSCI Europe wzrósł tylko o 16,16%. Aktywa SRI w całości zarządzanych aktywów w Europie stanowią 17,6%. Eurosif szacuje globalny rynek SRI na 5 bln euro. Z kolei badanie przeprowadzone przez Social Investment Forum pokazuje, że aktywa SRI w USA wzrosły o ok. 18% pomiędzy 2005 a 2007 r., w porównaniu do 3-procentowego wzrostu ogółu aktywów w tym czasie. Aktywa zainwestowane zgodnie z koncepcją SRI reprezentują obecnie 11% wszystkich aktywów zarządzanych w USA – innymi słowy, 1 na każdych 9 dolarów trafiających do różnego rodzaju funduszy jest inwestowany w sposób odpowiedzialny społecznie.

IOS w Polsce

Pierwszy etyczny fundusz inwestycyjny w Polsce uruchomiło TFI SKOK SA. Pierwsza wycena SKOK SFIO Etyczny 1 miała miejsce 23 grudnia 2008 r. TFI SKOK wprowadzając taki fundusz dało inwestorom możliwość lokowania środków w oparciu o względy etyczne, takie jak ochrona życia ludzkiego, zdrowia i środowiska naturalnego, obrona praw człowieka i pokoju, odpowiedzialność społeczna przedsiębiorstw.

Środki funduszu SKOK SFIO Etyczny 1 inwestowane są w tytuły uczestnictwa emitowane przez fundusz zagraniczny Oppenheim Ethik Bond Opportunities. Mogą one stanowić od 80 do 100% aktywów funduszu. Pozostałe środki mogą być lokowane w depozyty w bankach krajowych lub instytucjach kredytowych. Ponieważ fundusz wyceniany jest w złotych, stosuje się również narzędzia dla zabezpieczenia ryzyka kursowego.

Oppenheim Ethik Bond Opportunities Fund jest austriackim funduszem inwestycyjnym, zarządzanym przez firmę Sal. Oppenheim Asset Management. Działała ona od 1971 r., zatrudniając ponad 300 pracowników i zarządzając aktywami o wartości 30 mld euro. Polityka inwestycyjna austriackiego funduszu oprócz tradycyjnych kryteriów ekonomicznych opiera się na kryteriach etycznych, bazujących na nauce społecznej Kościoła katolickiego.

Fundusz obligacyjny Oppenheim Ethik Bond Opportunities, z którym współpracuje SKOK SFIO Etyczny 1, nie kupuje np. papierów dłużnych rządu amerykańskiego, ponieważ USA nie zniosły kary śmierci, ani chińskich, ponieważ tam z kolei wykorzystuje się pracę dzieci w fabrykach. Jednak zarządzający tym funduszem sami nie decydują o tym, czy dany emitent papierów wartościowych prowadzi etyczną działalność gospodarczą. Zajmują się tym dwie inne instytucje. Jedną z nich jest Osservatorio FINETICA – grono naukowców z Uniwersytetu Laterańskiego i Uniwersytetu Bocconi, jednej z najlepszych uczelni ekonomicznych we Włoszech. Osservatorio opracowało metodologię klasyfikacji emitentów pod względem etycznym. Selekcja prowadzona jest zarówno według kryteriów negatywnych, jak i pozytywnych. ECPI, stosując w praktyce metodologię opracowaną przez Osservatorio, wybiera firmy najlepsze według kryteriów etycznych. Dodatkowo współpracuje w tym względzie z takimi organizacjami, jak Greenpeace, Human Rights Watch czy ONZ.

Żyjemy w kraju w znakomitej większości katolickim, a dopiero TFI SKOK SA – jako pierwsze w Polsce – uruchomiło w pełni etyczny fundusz. Dlaczego? – *Ta „jedyńska” w nazwie funduszu nie jest przypadkowa. To pierwszy utworzony i zarejestrowany w Polsce fundusz etyczny, chociaż na świecie produkty tego rodzaju cieszą się rosnącą popularnością – przypomina Rafał Matusiak, prezes TFI SKOK SA. – Możemy je znaleźć w Europie Zachodniej, USA czy Kanadzie. Dlaczego w Polsce wcześniej nie pojawił się taki fundusz? Społeczeństwo musi najpierw osiągnąć pewien stopień zamożności, by myślenie w obszarze ekonomicznym i gospodarczym nie było ukierunkowane tylko i wyłącznie na zysk. Jeżeli chcemy budować społeczeństwo na zdrowych podstawach i myślimy o rozwoju długofalowo, a nie na krótką metę, to działalności gospodarczej powinny towarzyszyć wartości etyczne. Kryzys, który ogarnął cały świat, w mojej opinii wziął się właśnie z krótkoterminowego myślenia, ukierunkowanego wyłącznie na zysk. W pogoni za zyskiem przekroczone granicę bezpieczeństwa. Budując instrument finansowy należy analizować, jakie skutki przyniesie jego zastosowanie. Tutaj patrząc wyłącznie w horyzoncie krótkoterminowym stwierdzono, że skoro jest to instrument, który jest w stanie w krótkim czasie wygenerować znaczący zysk, to znaczy, że jest on dobry. Nie zastanawiano się, że za chwilę funkcjonowanie tego mechanizmu spowoduje jakiś problem w innym miejscu. A wystarczyło wcześniej do kryteriów ekonomicznych dodać kryteria etyczne i zdroworozsądkowe.*

JADWIGA BOGDANOWICZ

Tekst w nieco zmienionej formie pierwotnie ukazał się w „Biuletynie Instytutu Stefczyka” nr 4, 2010 r. Przedruk za zgodą redakcji.

Ekonomia dobra wspólnego

Tradycja i problemy
chrześcijańskiego
socjalizmu

GARY DORRIEN

Od ponad stu lat jednym z marzeń teologów chrześcijańskich było stworzenie nowego ładu ekonomicznego, opartego na silnej demokracji i poszanowaniu dobra wspólnego. Wiek temu w Stanach Zjednoczonych narodził się ruch Ewangelii Społecznej (ang. *Social Gospel*), głoszący postulat demokracji gospodarczej. Po spektakularnej klęsce systemu kapitalistycznego na początku lat 30., teologowie podkreślali konieczność poszukiwania alternatywy. Z kolei w latach 70. dążenie do nowego, sprawiedliwego porządku gospodarczego znalazło wyraz w teologii wyzwolenia.

Jednak tych szlachetnych dążeń nie udało się zrealizować, a kapitalizm ostał się i przyjął globalne, bezwzględne oblicze. Wskutek tego, wszelkie propozycje stworzenia fundamentalnie nowej struktury ekonomicznej wydają się obecnie co najwyżej mrzonką, i to nawet pomimo tego, że niedawno kapitalizm po raz kolejny zachwiał się w posadach. Idea alternatywy systemowej nie wydaje się przekonująca w obliczu obiegających glob w mgnieniu oka potężnych sum pieniędzy, najczęściej istniejących jedynie w komputerach, odezwanych od jakiegokolwiek działalności produkcyjnej. W efekcie, nie istnieje dzisiaj żaden liczący się ruch społeczny, który byłby w stanie przeciwstawić się żarłoczniemu kapitalizmowi. Jednak poczucie konieczności budowania takiego ruchu dzielą tysiączne, często działające całkowicie niezależnie od siebie, organizacje i wspólnoty. Wynika to z prostej przyczyny: problemy, które dały początek ruchom socjalistycznym, wciąż nie zostały rozwiązane. Na domiar złego, kapitalizm rodzi ciągle nowe zagrożenia dla przetrwania naszej planety.

W zasadzie każda z ważniejszych doktryn teologicznych, które powstały na przestrzeni ostatniego stulecia, przedstawiała inną wizję przyszłości. Wśród głównych myśli wyróżnić należy teologię liberalną, ruch Ewangelii Społecznej, teologię dialektyczną Karla Bartha, katolicką naukę społeczną, wczesny realizm Reinholda Niebuhra, ekumeniczną etykę społeczną, teologię wyzwolenia, ewangelicyzm postępowy oraz radykalną ortodoksję. Ruch Ewangelii Społecznej zaproponował wizję zdecentralizowanej demokracji gospodarczej, zwanej nieraz demokratycznym socjalizmem. Z kolei zwolennicy Bartha otwarcie deklarowali się jako socjaliści, choć jednocześnie starali się unikać mieszania teologii i polityki. W encyklice *Rerum novarum* z 1891 r., po raz pierwszy wprowadzono koncepcję opartą o solidaryzm i społeczną naukę Kościoła „trzeciej drogi”, mającej stanowić alternatywę zarówno dla kapitalizmu, jak i socjalizmu; została ona w pełni rozwinięta w encyklice *Quadragesimo anno* (1941). Przez dziesięciolecia ruchy ekumeniczne podtrzymywały głoszoną przez Ewangelię Społeczną nadzieję na socjalno-demokratyczną transformację

kapitalizmu. Trwało to do momentu, gdy teologia wyzwolenia popchnęła Światową Radę Kościołów jeszcze bardziej „na lewo” pod względem gospodarczym. Teologia wyzwolenia opowiedziała się za rewolucyjnie marksistowską, a w niektórych przypadkach za demokratycznie socjalistyczną drogą wyzwolenia ze struktur ucisku i zależności. Wreszcie nie tak dawno, grupa „radykalnych ortodoksów”, związana z Johnem Milbankiem, połączyła silnie lewicowy program społeczny z tradycjonalistyczną teologią. **Dwudziestowieczni teologowie i etycy społeczni bardzo często snuli wizję systemu gospodarczego opartego na zaspokojeniu potrzeb społecznych i poszanowaniu dobra wspólnego.**

W każdym z tych przypadków społeczną misją chrześcijaństwa miała być w większym lub mniejszym zakresie zamiana kapitalistycznego samolubstwa i systemowych nierówności na coś lepszego. W Erze Postępu¹ właściwie wszyscy przedstawiciele szerokiego i różnorodnego nurtu Ewangelii Społecznej używali przepełnionego optymizmem języka postępu i ewolucji społecznej, nawet jeśli reprezentowali środowiska radykalnie socjalistyczne. Im częściej chrześcijańscy radykałowie społeczni używali języka „trzeciej drogi”, tym mniej niepokojące zdawały się opinie publicznej ich postulaty. Nawołujący do reform postępowcy w rodzaju Washingtona Gladdena, Francisca G. Peabody’ego, Shailera Mathewsa czy etyka katolickiego ks. Johna A. Ryana, byli zwolennikami drogi pomiędzy kapitalizmem i socjalizmem, opartej o związki branżowe i spółdzielnie. Z kolei działacze tacy jak związany z Kościołem Baptystów Walter Rauschenbusch czy Harry F. Ward zabiegali o to, by zdjąć z chrześcijańskiego socjalizmu odium ekstremizmu.

Wielki Kryzys doprowadził do wykształcenia się chrześcijańskiego nurtu radykalnego, który nie uznawał „trzecich dróg”, operując opozycją „rewolucja albo barbarzyństwo”. Dla Reinholda Niebuhra i jego zwolenników, demokracja gospodarcza mogła być traktowana poważnie jedynie wtedy, gdy w ślad za nią szło przejście przez państwo kontroli nad gospodarką. Pod sztandarem politycznego realizmu, środowisko skupione wokół Niebuhra, podobnie jak inne grupy radykalnych socjalistów, nawoływało w latach 30. do wprowadzenia w życie szeregu chybionych koncepcji. Należały do nich całkowite odrzucenie rynku i produkcji dla zysku, w przekonaniu o kompetencjach centralnych planistów w zakresie wyznaczania cen, a także utożsamienie uspołecznienia środków produkcji z ich upaństwowieniem.

Na tym tle poglądy prezentowane przez Rauschenbuscha wydają się całkiem rozsądnymi, mimo że przez radykałów był on określany mianem nadmiernego idealisty. Przyznawał on podstawowe znaczenie

demokratycznej kontroli pracowników nad środkami produkcji oraz zgadzał się z tezą, że w wolnym społeczeństwie nie jest możliwe zniesienie wymiany rynkowej. Był on głęboko przekonany o istnieniu zła w odniesieniu do jednostki, jak również zła zbiorowego, wierząc jednocześnie w zbawczą moc nadchodzącego socjalizmu. Z drugiej jednak strony, również Rauschenbusch nie był wolny od totalitarnej w swoim charakterze retoryki państwowego socjalizmu, przejął marksowską teorię wartości dodanej, dowodził, że w socjalizmie ceny powinny wynosić dokładnie tyle, ile kosztuje wytworzenie poszczególnych dóbr, zbyt wielkie nadzieje pokładał również w triumfalnym pochodzie socjalistycznej rewolucji moralnej.

Dla większości myślicieli chrześcijańskich w czasach Ery Postępu i Wielkiego Kryzysu, **kapitalistyczne skupienie się na zaspokajaniu jedynie własnych potrzeb stało w jaskrawej sprzeczności z nauczaniem Chrystusa. Niektórzy z nich, lokujący się nawet bardzo daleko od marksizmu, poddawali bezwzględnej krytyce drażniącą amoralność kapitalizmu.** Chrześcijańscy socjaliści przyznawali zwykle, podobnie jak Marks, że w rozwoju ludzkości kapitalizm stanowił ogromnym krok we właściwym kierunku, a odbywająca się w jego ramach akumulacja kapitału i uprzemysłowienie są niezbędnymi punktami wyjścia do budowy sprawiedliwego porządku społecznego. Z kolei dla teologa nawiązującego do myśli Bartha, Emila Brunnera, kapitalizm stanowił jedynie preludium do społecznej i moralnej katastrofy. W swojej pracy „The Divine Imperative” (Boski nakaz) opisywał on **kapitalizm jako system, który zaprzecza wszystkiemu, co może się kojarzyć z porządkiem gospodarczym tworzonym na fundamencie wiary, w związku z tym praktycznie uniemożliwia on służbę Bogu i bliźniemu poprzez jakąkolwiek aktywność gospodarczą. Jest zaprzeczeniem ducha posługi, jest zepsuty i nieodpowiedzialny, można wręcz posunąć się do stwierdzenia, że jest nieodpowiedzialnością wyniesioną do rangi ustroju.**

Anglikański biskup William Temple włączył podobne opinie na temat kapitalizmu do teorii systemu opartego na związkach branżowych - socjalizmu gildyjnego (*guild socialism*). W roku 1941, na krótko przed konsekrowaniem go na Arcybiskupa Canterbury, Temple wezwał do wprowadzenia podatku od ponadnormatywnych zysków, z którego dochód miałby zostać przeznaczony na tworzenie przedsiębiorstw zarządzanych przez robotników i lokalne społeczności. Rok później w książce „Christianity and the Social Order” (Chrześcijaństwo a porządek społeczny) zaprezentował pogląd, że duch i logika kapitalizmu stoją w sprzeczności z prawem naturalnym. Wskazywał, że chociaż produkcja w sposób naturalny służy konsumpcji, to kapitalizm odwrócił tę relację, czyniąc konsumpcję zależną od produkcji, a tę z kolei zależną od kapitału. Proponowana przez Temple’a alternatywa kładła znacznie większy nacisk na współpracę niż na zysk. Nawoływał on do osłabienia znaczenia

inwestycji kapitałowych, wprowadzenia równoprawnego handlu międzynarodowego, demokracji gospodarczej i uspołecznionego systemu monetarnego, a także do wspólnotowego gospodarowania ziemią. Jak zauważył: **Trzeba wciąż przypominać, że walka klas nie została proklamowana przez Marksa i Engelsa, lecz odkrył ją Adam Smith. Jedynym trwałym zakończeniem tej wojny będzie przejście przez Pracę częściowej kontroli nad przemysłem. Świat kapitału dostaje dywidendy, świat pracy otrzymuje płace; nie istnieje żaden fundamentalny powód, dla którego Kapitał miałby dodatkowo posiadać kontrolę nad środkami produkcji, a Praca być jej zupełnie pozbawiona.**

Jedną z największych ironii współczesnej teologii jest to, że do uczestników ruchu Ewangelii Społecznej z lat 30. i 40. przylgnęła łatka naiwnych idealistów, głównie dlatego, że wielu z nich było jednocześnie paucyfistami. Tymczasem to Niebuhr, uważany za przenikliwego myśliciela, mylił się w ocenie Nowego Ładu, w przeciwieństwie do postępowych reformistów spod znaku Ewangelii Społecznej. Przykładowo, ruch ten popierał przyjętą w 1933 r. Ustawę o polityce kryzysowej wobec banków (Emergency Banking Act), zezwalającą nowo powstałemu Narodowemu Funduszu Odbudowy² na skupowanie aktywów bankowych. W ciągu pierwszego roku działalności udało się zgromadzić akcje banków warte ponad 1 miliard dolarów, co stanowiło około jednej trzeciej całego kapitału zainwestowanego w amerykański sektor bankowy. Reformiści, poprzez Federalną Radę Kościołów, wzywali do ograniczenia spekulacji i porzucenia filozofii opartej na żądzy zysku, na rzecz modelu zakładającego twórcze współdziałanie, a także do wprowadzenia społecznego planowania i kontroli systemów: kredytowego i monetarnego, tak aby działały one na rzecz dobra wspólnego. Podczas gdy wspierali oni restrukturyzację kredytów hipotecznych, rozbudowę systemu zabezpieczeń społecznych, zatrudnienie w ramach interwencyjnych robót publicznych czy częściową nacjonalizację gospodarki, Niebuhr stał na stanowisku, że wszystkie te posunięcia są jedynie plastrem mającym poprawić samopoczucie moralnie wrażliwszych członków klasy średniej oraz porównywał cały Nowy Ład do znachorstwa.

Ruch Ewangelii Społecznej głosił konieczność stopniowej demokratyzacji stosunków społecznych, podczas gdy wizja Niebuhra była dwubiegunowa i nieledwie dramatyczna: świat wejdzie na drogę socjalizmu lub cofnie się do czasów barbarzyńskich. Zniszczenie się radykalnego socjalizmu, komunizmu czy faszyzmu miało być rzekomo bardziej prawdopodobne niż wyważonych prospołecznych idei socjaldemokratów, zwolenników Ewangelii Społecznej czy Nowego Ładu. Jednak po tym, jak radykalne projekty ostatecznie legły w gruzach, Niebuhr wycofał się do idei państwa opiekuńczego i głównego nurtu postępowego reformizmu.



Kapitalistyczne skupienie się na zaspokajaniu jedynie własnych potrzeb stało w jaskrawej sprzeczności z nauczaniem Chrystusa.

W latach 50. ekumeniczna etyka społeczna, podobnie jak Niebuhr, zdecydowanie skorygowała kurs, z istotnymi wyjątkami w osobach m.in. Waltera Mueldera i Martina Luthera Kinga. Jednak w latach 60. i 70. socjalistyczny idealizm powrócił do etyki społecznej i teologii, dzięki powstałej w Niemczech teologii politycznej, stworzonej w krajach Trzeciego Świata teologii wyzwolenia, tzw. czarnej teologii i feminizmowi. Niemiecki teolog Jürgen Moltmann opisywał socjalizm demokratyczny jako ustrój idealnie spełniający chrześcijańskie nadzieje *w obliczu bieżącej nędzy zarówno kapitalizmu i jego demokracji, jak i socjalizmu z jego dyktaturami*. Zwolennik teologii wyzwolenia, Peruwianczyk Gustavo Gutiérrez, ogłosił, że teologia chrześcijańska powinna mówić *o rewolucji społecznej, nie o reformie; o wyzwoleniu, nie o rozwoju; o socjalizmie, nie o modernizacji istniejącego porządku*. Przedstawiciel tego samego nurtu z Argentyny, José Míguez Bonino, posunął się do stwierdzenia, że dla niego prywatnie walka o transformację socjalistyczną *jednoznacznie definiuje chrześcijańską powinność wobec świata*.

Afroamerykański krytyk społeczny Cornel West usytuował się na lewo od demokratycznego socjalizmu, przyjmując neomarksistowski model reprezentowany przez Różę Luksemburg i Karla Korsch, podczas gdy teolożka feministyczna Rosemary Radford Ruether przekonywała do wizji *społeczeństwa demokracji socjalistycznej, w którym możliwe będzie zniesienie hierarchii klasowych i płciowych oraz przywrócenie własności środków produkcji i możliwości zarządzania swoją pracą wspólnotom pracowniczym, które następnie utworzą sieci relacji gospodarczych i politycznych*.

Podobne idee pojawiały się bardzo często w kręgach teologów w latach 70. i 80. Wielu z nich wprost wychwalało socjalizm demokratyczny, wśród nich Harvey Cox, Gregory Baum, Leonardo Boff, Robert McAfee Brown, Beverly W. Harrison, Kenneth Leech, Johann Metz, Arthur McGovern, Delores Williams, Ronald Preston, Dorothee Sölle, Franklin Gamwell, Phillip Wogaman, Gibson Winter, Daniel Maguire czy Joe Holland. **Bodaj bez wyjątku podkreślali oni, że prawdziwy socjalizm nie ma nic wspólnego z komunizmem.** Przedstawiciel nurtu Ewangelii Społecznej, Harry Ward, wraz z angikańskim duchownym Hewlettem Johnsonem stanowili

tu ostrzegawcze przykłady, pogrzebawszy swoją reputację wskutek zauroczenia czerwoną gwiazdą radzieckiego komunizmu. W swoich najlepszych wydaniach, socjalizm chrześcijański odcinał się również od ideologii socjalizmu państwowego.

Rozwijanym i głoszonym przez dziesięciolecia kluczowym elementem programów większości zachodnich partii socjalistycznych było skupienie w rękach silnej władzy najważniejszych gałęzi produkcji przemysłowej. „Socjalizm” oznaczał dla nich odgórne planowanie, nacjonalizację przemysłu oraz to, co Fabianie³ określali mianem racjonalizacji społeczeństwa: przekonanie, że każdy akt kolektywizacji przyczynia się do postępu racjonalnego planowania gospodarczego. Najbardziej godne uwagi odmiany chrześcijańskiego socjalizmu odrzucały siłę państwa jako fundament nowego ustroju. Anglikański socjalizm, prezentowany przez Temple’a, Charlesa Ravena, R.H. Tawneya oraz Charlesa Gore’a, miał korzenie w poprzedzającym marksizm anglikańskim kooperatywnym F.D. Maurice’a, Charlesa Kingsleya i Johna Ludlowa, tak jak amerykański zdecentralizowany socjalizm reprezentowany przez W.D.P. Bliss’a, Justina Wroe Nixona oraz Waltera Mueldera czerpał garściami z założeń demokracji gospodarczej, opracowanych przez Ewangelię Społeczną. Wybitny teolog Paul Tillich podzielał wyrażaną przez chrześcijańskich socjalistów niechęć do kolektywizmu państwowego. Ostrzegając przed zbiurokratyzowaniem gospodarki, uznawał za oczywiste, że niezbędne jest zachowanie dyscypliny rynkowej oraz utrzymywał, że jedynie rynek jest w stanie właściwie ustalać poziom cen.

Deбата, do której zawsze dążyli zwolennicy zdecentralizowanej demokracji gospodarczej, stawiała ich poglądy przeciw sympatykom socjalizmu państwowego, jako że komunizm był przez nich uznawany za wypaczenie niegodne miejsca w dyskusji na temat socjalizmu. Jednak po upadku Związku Radzieckiego nie udało się doprowadzić do takiej debaty. Różnice dzielące rozliczne ruchy odwołujące się do tradycji socjalizmu demokratycznego wydawały się pozbawione wszelkiego znaczenia w świecie zdominowanym przez obłąkańczą logikę kapitalizmu. Globalizacja gospodarcza zepchnęła na margines egalitaryzm i wartości wspólnotowe, będące przedmiotem troski socjalistów. Narody dawnego bloku wschodniego, które przez dziesięciolecia tkwiły w objęciach rządów komunistycznych, nie wykazywały żadnego zainteresowania budową systemów demokratycznych choćby w najmniejszym stopniu odwołujących się do socjalizmu. Skłaniało to do pytania, czy doktryna chrześcijańskiego socjalizmu ma w ogóle jeszcze coś wartościowego do zaoferowania. Jak wiele z wizji autentycznie demokratycznego porządku społecznego może zostać zachowane lub wprowadzone do kultury politycznej w krajach, w których „socjalizm” kojarzy się nieodłącznie z odpychającymi obrazami

autorytaryzmu państwowego? Czy istniała jakaś możliwość odrodzenia chrześcijańskiego programu społecznego, opartego o demokratyzację gospodarki, w czasie, gdy korporacyjny kapitalizm przekształcał naszą planetę w jeden wielki rynek?

Niektórzy etycy chrześcijańscy uznali marzenie o demokracji gospodarczej za wypalone i skompromitowane. Luterkański neokonserwatysta Robert Benne dopominał się od etyków społecznych przyznania, że ich myśli i tradycja były błędne w swoim poparciu dla demokratycznego socjalizmu. Zgadzali się z nim neoliberalni realiści, Max Stackhouse i Dennis McCann, którzy przekonywali, że upadek komunizmu niósł ze sobą bezpośrednie konsekwencje dla chrześcijańskiej etyki społecznej. Zwracali uwagę, że *protestancka Ewangelia Społeczna, wczesny chrześcijański realizm, znaczna część ruchów neo-ortodoksyjnych, wiele nurtów katolickiego modernizmu, ruchy ekumeniczne dążące do likwidacji wykluczenia społecznego i rasowego, wreszcie teorie wyzwolenia, przekonywały, że demokracja, prawa człowieka i socjalizm są fundamentem nadchodzącego królestwa*. Jednak, ich zdaniem, liberalne chrześcijaństwo myliło się w kwestii socjalizmu: *Przyszłość nie przyniesie nam tego, co obiecywała współczesna teologia*. Według Stackhouse’a i McCanna, werdykt historii był jednoznaczny nie tylko dla komunizmu, ale i dla wszelkich form demokratycznego socjalizmu, także tych, które przez wiele lat radykalnie sprzeciwiały się komunizmowi. Innymi słowy, socjalizm się skończył, co powinno być tożsame z kresem wysiłków liberalnych chrześcijan, by nadać mu ludzką twarz.

Według neokonserwatystów i części kontynuatorów myśli Niebuhra, jedynym zadaniem, które pozostało chrześcijańskiej etyce społecznej, było zastosowanie nauczek niebuhriańskiego realizmu w odniesieniu do porządku gospodarczego. Neokonserwatywny krytyk społeczny Michael Novak bezwzględnie sprzeciwiał się rozpraszaniu silnie skoncentrowanej potęgi gospodarczej. Zauważając, że Niebuhrowi nie udało się rozciągnąć politycznego realizmu w stronę krytyki socjaldemokratycznej wizji gospodarki, Novak ogłosił przejście pałeczki przez neokonserwatywny i wypełnienie niedokończonego dzieła poprzez wyprężenie z tradycji postępowego chrześcijaństwa idei demokracji gospodarczej. Pisał on: *Niebuhr nie przykładął właściwej wagi do kwestii ekonomicznych. I to właśnie obszar przez niego zaniedbany stał się inspiracją dla moich poglądów. Doszedłem do wniosku, że kolejne pokolenie jego uczniów powinno skupić się na wprowadzeniu przenikliwych intuicji Niebuhra do jedyne go z kluczowych obszarów ludzkiej aktywności, który on w swoich rozważaniach zwykle pomijał*.

Przyjęte przez Novaka założenia usytuowały go daleko na prawicy, skąd w latach 80. aktywnie wspierał Reagana jako główny ideolog amerykańskiego kapitalizmu. Zastosowanie idei Niebuhra do rzeczywistości ekonomicznej wymaga, zdaniem Novaka, odrzucenia



Czy istniała jakaś możliwość odrodzenia chrześcijańskiego programu społecznego opartego o demokratyzację gospodarki w czasie, gdy korporacyjny kapitalizm przekształcił naszą planetę w jeden wielki rynek?

raz na zawsze marzenia postępowych chrześcijan o stworzeniu demokratycznej gospodarki. Wartości i zasady ustanawiające porządek demokratyczny odnoszą się bowiem jedynie do sfery politycznej. Wymogiem modernizacji jest odrzucenie przykładania demokratycznych kryteriów – jak równość czy odpowiedzialność – do gospodarki. Realizm kładzie nacisk na generowanie bogactwa i pozwala rynkowi decydować o jego dystrybucji. Sprzeciwia się jednocześnie objęciu sektora finansowego rządowymi regulacjami i zarzeka się, że przyrastający dobrobyt elit gospodarczych spłynie z czasem również na klasę średnią i robotników. Wreszcie, realizm według Novaka akceptuje i świętuje triumf kapitalizmu korporacyjnego. Neokonserwatyzm rozwinął się w bardzo silny ruch polityczny poprzez przyjęcie linii programowej bazującej na ideologii wolnorynkowej, podsycaniu konfliktów kulturowych i wizji ładu globalnego opartego o amerykańską dominację.

Jak jednak przekonywałem w swoich dwóch książkach, „Reconstructing the Common Good” (Nowe spojrzenie na dobro wspólne”) z 1992 r. i „Soul in Society: The Making and Renewal of Social Christianity” (Duch w społeczeństwie: powstanie i odnowa chrześcijaństwa społecznego) wydanej trzy lata później, **twierdzenie, że upadek komunizmu bezwzględnie dyskredytuje**

wizję demokracji społecznej i gospodarczej, jest przerażająco dziwaczne. Demokratyczni socjaliści byli z przekonania antykomunistami. Przez siedemdziesiąt lat nic ich bardziej nie irytowało niż wrzucanie do jednego worka z ich komunistycznymi adwersarzami. Przez wszystkie te lata z uporem, zaciekleścią i bez względu na polityczną koniunkturę, socjalistyczni demokraci ostrzegali, że komunizm jest systemem dławiącym jednostkę i w ostatecznej perspektywie niezdolnym do przetrwania.

Dlatego niedorzeczna była dla nich teza, że wraz z upadkiem komunizmu również i oni mieliby przejść do historii. W końcu „błędy i wypaczenia” nieposkromionego kapitalizmu, które w pierwszym rządzie przyczyniły się do powstania ruchów o charakterze socjalistycznym, nie zniknęły w obliczu triumfu korporacyjnej, jeszcze bardziej zglobalizowanej jego wersji. Nazywanie błędem całego ogromnego dorobku intelektualnego poszukiwań alternatywy dla systemu kapitalistycznego oznaczało nic innego niż oczekiwanie, by etyka chrześcijańska zaakceptowała *status quo*, zabezpieczając przywileje dobrze urodzonych i tych, którym się powiodło. Niż udawanie, że skupianie władzy gospodarczej w rękach nielicznych nie musi prowadzić do ograniczenia zakresu demokracji politycznej i pogorszenia położenia ubogich i wykluczonych. Wreszcie, niż przyjęcie równie błędnego założenia, że ziemski ekosystem, będący układem zamkniętym o fizycznych granicach, jest w stanie wytrzymać jeszcze kolejne stulecie „modernizacji” i nieograniczonego wzrostu gospodarczego, nie mówiąc o obłędnej logice kapitalistycznej globalizacji, która zapanowała po zakończeniu zimnej wojny.

William Temple jest kolejną po Rauschenbuschu postacią, której poglądy z perspektywy czasu okazały się całkiem sensowne. Chociaż „dobre urodzenie” i sentymentalna tradycja brytyjskiego imperializmu odcisnęły piętno na jego myśli, stworzył on jedną z najbardziej twórczych wizji chrześcijańskiego socjalizmu swoich czasów. Temple obawiał się, że słowo „socjalizm” zostało w permanentny sposób utożsamione z autorytarną lewicą. Argumentami potwierdzającymi to przekonanie były komunizm oraz występujące w państwach socjaldemokratycznych tendencje centralistyczne. Chociaż sam sprzeciwiał się państwowemu modelowi socjalizmu, doskonale zdawał sobie sprawę, że dla większości ludzi socjalizm oznacza nacjonalizację przemysłu. Dlatego unikał języka socjalizmu w swojej agitacji za zdecentralizowaną demokracją gospodarczą. Wyjaśnił to w książce „Christianity and the Social Order”, w której wyraził nadzieję, że wszyscy chrześcijanie przyjmą jego argumentację wspierającą demokrację gospodarczą, nawet jeśli tylko niewielka część wierzących nie związanych z ruchem związkowym i lewicą wyznaje poglądy socjalistyczne.

Temple nie był zainteresowany wspieraniem podejrzanej ideologii autorytetem religii chrześcijańskiej. Dla

niego znaczenie miało włączenie – na jej zasadach – religijnej części społeczeństwa do walki o sprawiedliwość społeczną. Ideę tworzenia socjalistycznych w istocie związków branżowych uważał za rozszerzenie refleksji chrześcijańskiej, nie zapominając o praktycznym wymiarze wypływającej z niej etyki społecznej. Z jego punktu widzenia, ideologia socjalistyczna stanowiła barierę dla etycznego celu chrześcijan – demokratyzacji społecznej i gospodarczej. Temple prezentował demokrację gospodarczą jako projekt etyczny wypływający z ducha chrześcijaństwa, wystrzegając się występujących w postępowych środowiskach religijnych tendencji do „uświęcania” ideologii socjalistycznej.

Różnica jest zupełnie zasadnicza. Postępowe chrześcijaństwo musi opowiadać się za sprawiedliwością społeczną, jednak ideologia socjalizmu budzi rozmaite wątpliwości oraz uderza w niej dogmatyzm, nawet po uwzględnieniu w jej ramach demokracji, różnic kulturowych i pluralizmu. Tak jak obawiał się Temple, radykalne ruchy teologiczne poczyniły wielkie szkody dla siły moralnego rażenia postępowego chrześcijaństwa wskutek łączenia go z ideologią socjalistyczną. Postępowe chrześcijaństwo powinno być dzisiaj bardziej pluralistyczne oraz pragmatyczne. Musi mieć na sztandarach radykalną demokrację polityczną i zdecentralizowaną demokrację gospodarczą, które będą dopasowane do konkretnych uwarunkowań społecznych i kulturowych.

Demokracja gospodarcza nie może zostać odgórnie narzucona, ani przeszczepiona. Jedyna droga do lepszego społeczeństwa prowadzi przez długoletnią walkę o kolejne zdobycze społeczne oraz pielęgnację i rozwój tradycji współdziałania. Projekt tego typu nie wymaga żadnych ogromnych inwestycji. Nie opiera się on też na złudzeniach na temat natury ludzkiej. Nie wieszczy ani nie wymaga powstania żadnego „nowego człowieka”. Wystarczającym uzasadnieniem dla demokracji gospodarczej mogą być słowa Reinholda Niebuhra odnoszące się do demokracji jako takiej: *Nasze wrodzone poczucie sprawiedliwości czyni demokrację możliwą, zaś skłonność do niesprawiedliwości – niezbędną*.

Niebuhr nie zaprzeczał, że pragnienie sprawiedliwości napędzane jest u wielu ludzi przez autentyczne współczucie i odruchy solidarności. Nie miał jednak wątpliwości, że nasza natura nie jest również wolna od bardziej egoistycznych motywacji. Konkluzją tego rozumowania powinno być uświadomienie sobie, że demokracja jest koniecznością właśnie dlatego, iż na dobrą sprawę każdy człowiek jest egoistą. Ponieważ ludzie, którzy uzyskają jakiś rodzaj władzy, bardzo łatwo ulegają zepsuciu, demokracja musi istnieć po to, by tłumić zachłanność i nieodłączną od natury ludzkiej inklinację do górowania nad innymi.

W momencie rozwijania tego toku rozumowania w opublikowanej w 1944 r. książce „The Children of

Light and the Children of Darkness” (Dzieci Światła i Dzieci Mroku), Niebuhr nie wykorzystywał go już jako argumentu za wprowadzeniem demokracji gospodarczej. Definitywnie zerwawszy w końcu z marksizmem, kilka lat później odszedł także od chrześcijańskiego socjalizmu. We wczesnych latach 40. nie zajmował się już możliwością stworzenia ustroju politycznego, który miałby zdemokratyzować i rozproszyć władzę gospodarczą. Dla Niebuhra istniały tylko trzy realne modele gospodarcze: kapitalizm wolnorynkowy, socjalizm oraz kapitalizm oparty na założeniach Nowego Ładu, przy czym socjalizm nieodłącznie wiązał się dla niego z nacjonalizacją oraz centralnym planowaniem. Wspierał on co prawda inicjatywę Delta Farm Cooperative⁴, jednak tego rodzaju eksperymentalne projekty były zbyt nieliczne, aby na ich podstawie budować poważne prototypy alternatywnych systemów społeczno-gospodarczych. W ramach swojej wizji realizmu porównywał zatem liberalny kapitalizm z realnie istniejącymi alternatywami historycznymi, nie zaś z projektowanymi wizjami demokracji gospodarczej.

Ten wniosek także dziś wydaje się całkiem rozsądny. Czy pozostaje jedynym możliwym, zależy głównie od tego, czy pominięte przez Niebuhra alternatywy, oparte o decentralizację i wrażliwy społecznie rynek, będą w stanie realnie konkurować z obecnym systemem. Niezłomność w wysiłkach zmierzających do demokratyzacji władzy, tak politycznej jak i gospodarczej, jest tożsama z trwaniem przy poobijanej, zmarginalizowanej i w coraz większym stopniu kontrkulturowej idei dobra wspólnego, głęboko zakorzenionej w historii amerykańskiego ruchu postępowego i postępowego chrześcijaństwa, które, pozostaje mieć nadzieję, nie powiedziały jeszcze ostatniego słowa.

GARY DORRIEN

Tłum. Sebastian Maćkowski

Tekst pierwotnie ukazał się w czasopiśmie „Tikkun”, w numerze styczniowo-lutowym 2010. Strona periodyku: www.tikkun.org

Przypisy tłumacza:

1. Progressive Era – okres od 1890 do 1920 r. w USA, związany z obnażaniem korupcji w kręgach przemysłowo-politycznych; jednym z przedstawicieli tego ruchu był Theodore Roosevelt.
2. Niezależna agencja rządu USA, powstała w 1932 r. Gromadzone w jej ramach środki przeznaczane były m.in. na pomoc dla rządów stanowych i samorządów terytorialnych, pożyczki dla instytucji finansowych, rozbudowę infrastruktury i wspieranie przedsiębiorczości.
3. Członkowie Towarzystwa Fabiańskiego, organizacji społecznej powstałej w Wielkiej Brytanii pod koniec XIX w., której celem było stopniowe, pokojowe wprowadzanie w życie idei socjalizmu; obecnie centrolewicowy *think tank* zrzeszający ok. 6000 członków.
4. Utworzona w 1936 r. przez ewangelickich misjonarzy w stanie Mississippi farma, która opierała się na współpracy i równości rasowej.

NASZE TRADYCJE

DŁUGIE I MOCNE KORZENIE NASZYCH IDEI

Spółeczna organizacja ochrony przyrody

Jan Gwalbert Pawlikowski

Ochrona przyrody, której idea początek swój bierze zazwyczaj w sferach uczonych przyrodników i w tych też sferach miewa swą najsilniejszą ostoję, uważaną bywa przez szerszy ogół za jakąś specjalność zawodową. Zwyczajny obywatel, który nią się zajmuje, stawianym bywa w jednym rzędzie z filatelistą – jest to sport, jeśli nie maniactwo. Taki pogląd stanowi ważną przeszkodę dla rozwoju idei i trzeba mu usilnie przeciwdziałać.

Pewna jednostronność przyrodniczego poglądu na tę sprawę nie jest tutaj bez winy. Przyroda jako źródło poznania, więc jako przedmiot badania naukowego, ma wartość niczym nie zastąpioną i olbrzymią, ale nie jest to (nie mówiąc oczywiście o wartościach materialnych) między idealnymi wartościami jej wartość jedyną; a co nie mniej jest ważnym, nie jest to wartość, która by przez szeroki ogół mogła być łatwo zrozumianą i przez którą można by

go dla sprawy ochrony pozyskać. Ochrona przyrody zacieśniana do przyrodniczego wyłącznie punktu widzenia byłaby więc nie tylko niewystarczającą, gdyż pomijałaby inne ważne kulturalne cele, ale nadto przez takie zacieśnienie osłabiałaby swą siłę ekspansji. Inne, poza naukowo-przyrodniczym stojące cele ochrony, są dla ogółu daleko zrozumialsze i stanowią wdzięczniejszy materiał dla propagandy. Trzeba je sobie przypomnieć.

Przyroda jest dla nas wszystkich – dla wszystkich bez względu na zawód i stanowisko społeczne – wspólnym mieszkaniem, i to mieszkaniem, z którego wyprowadzić się nie można, chyba [że] na drugi świat. Oczywiście jest przeto w interesie wszystkich, aby to mieszkanie było jak najpiękniejsze i jak najmilsze. Jeżeli z tego nie wszyscy zdają sobie sprawę, to dla tego samego, dlaczego nawet w sferach materialnie uposażonych znajdujemy mieszkania niechlujne albo barbarzyńskie. Jest to brak kultury.

A więc z szerzeniem się prawdziwej kultury duchowej powstaje poczucie potrzeby doskonalszej i szlachetniejszej kultury przedmiotowej, zatem wszystkiego, co nas otacza. I z tym uszlachetnieniem duchowym przychodzi poczucie, że w skład tej kultury przedmiotowej, która stanowi o obliczu ziemi, wchodzi nie tylko dzieła ręki ludzkiej, ale przede wszystkim wyższa ponad nie i nie zastąpiona niczym przyroda. Odróżnić w niej możemy dwie formy: przyrodę przeistoczoną przez pracę ludzką i przyrodę dziką, pierwotną. Obie te formy mają swoje idealne wartości i obie winny być pielęgnowane, sprawa jednak „ochrony przyrody” odnosi się przede wszystkim do tej drugiej. Ona posiada wartości idealne szczególne: oprócz wartości poznawczej, która dla dzisiejszego kulturalnego człowieka i poza sferą zawodowców nie jest obojętną, także szczególną wartość estetyczną i uczuciową, która właśnie przez kontrast ze wzmagającą się ciągle artyfikacją [„usztucznieniem”] życia nabiera ceny. W skład tego sentymentu wchodzi także uczucie umiłowania cech swojskich, zatem pewien rys tradycjonalizmu i nacjonalizmu, bez którego żadna w ogóle kultura nie ma fizjonomii [własnego oblicza] i podobną jest do fabrycznej tandety, tudzież – również z tym rysem związane – pragnienie zachowania historycznych lub choćby legendowych pamiątek.

Z takiego rozszerzenia zadań ochrony przyrody wynikają bardzo doniosłe następstwa: zmieniają się postulaty stawiane w tej dziedzinie ustawodawstwu, zmienia się charakter organizacji.

Co do ustawodawstwa ochronnego, to rysem jego zasadniczym jest wyjęcie z obiegu, względnie ograniczenie swobodnego rozporządzania rzeczami, które bez tego byłyby przedmiotem własności nieograniczonej, a to w imię „interesu publicznego”, z tymi rzeczami związanego. Z rozszerzeniem pojęcia ochrony, rozszerzają się granice tego interesu publicznego, a zatem i sfera ograniczeń. Ustawa musi przeto wyraźnie określić, jakie motywy ochrony uważa za związane z interesem publicznym. Pod tym względem różne ustawodawstwa mają różny charakter, różne zajmując stanowisko wobec czterech motywów naczelných, którymi są: motyw przyrodniczo-naukowy, estetyczny, pamiątkowo-historyczny, wreszcie wzgląd na charakter swoisty krajobrazu. W Prusach rozporządzenie ustanawiające Państwowy Urząd Ochrony Przyrody (z r. 1906) stoi na stanowisku naukowo-przyrodniczym i chce ochronić przede wszystkim te twory przyrody, które zachowały się tylko w resztkach i którym grozi zupełne wyginięcie; jest to ochrona „zabytków” przyrody. Życie jednak sprostowało tę jednostronność. Ochrona przyrody zostaje bowiem tutaj przeważnie w rękach towarzystw „ochrony swojszczyzny” (*Heimatschutzvereine*), które obok opieki nad cechami etnograficznymi pewnych okolic zajmują się zachowaniem wartości historyczno-pamiątkowych i estetycznych, a przede wszystkim zachowaniem swoistych cech krajobrazu. Ustawa francuska z r. 1906 nosi tytuł „prawa o ochronie pomników przyrody i okolic **mających charakter**

KOMENTARZ

EKOLOGIA – STARA POLSKA TRADYCJA

Są tacy, dla których ochrona środowiska oznacza przede wszystkim worek z unijną forszą. Dla innych jest ona „lewactwem”, winnym wszelkiemu złu tego świata. Dla niektórych – sposobem zaistnienia w polityce.

Do pierwszej kategorii należy zaliczyć urzędników różnego szczebla i organizacje pozarządowe. Ich podejście ma również zalety, bowiem z rodzimego budżetu gotówka na „zielone” cele płynie bardzo cienkim strumieniem. Do drugiej grupy należą prawnicy politycy i publicyści, lubujący się w pomstowaniu na ekologów, którzy jakoby zawiazali spisek w celu sabotowania rozwoju Polski. Ostatnią grupę tworzą liderzy kanapowych partijek, z których

najpopularniejsza dokonała syntezy ochrony przyrody oraz wspierania gejów i lesbijek.

Dla wszystkich tych grup ekologia jest pewną nowością, która przyszła z Zachodu wraz z obaleniem komuny lub wręcz akcesją do UE. Tymczasem ma ona u nas bardzo długą tradycję – niestety, niemal zapomnianą. Bywało w dziejach tak, że Polska pod względem ochrony przyrody była światowym prekursorem lub liderem.

Pierwszy na świecie akt świadomej ochrony ginącego gatunku wyszedł spod ręki Zygmunta III Wazy w 1597 r.! Polski król wprowadził ochronę tura, którego ostatnie osobniki żyły w dzisiejszej Puszczy Bolimowskiej, *by turowie [...] mieli swe dawne stanowiska*. Władysław Taczanowski w 1860 r. opublikował „O ptakach drapieżnych w Królestwie Polskim pod względem wpływu jaki wywierają na gospodarstwo w ogóle”, gdzie jako jeden z pierwszych na świecie wykazał, że ptaki drapieżne, dotąd uznawane za szkodniki, czynią szkody nieznaczne w porównaniu z działalnością człowieka, a zarazem spełniają w ekosystemie bardzo pożyteczną rolę;

artystyczny” i uwzględnia wyłącznie motyw estetyczny. Ustawa norweska z r. 1910 wymienia wszystkie motywy oprócz estetycznego; berneńska (z r. 1912) opuszcza motyw historyczny; heska (z roku 1902) i oldenburska (z r. 1911) uwzględniają wszystkie cztery motywy.

U nas pierwotne projekty rządowe stały na ciastym stanowisku ochrony „zabytków” przyrody; pewien zwrot jednego z tych projektów wyrażał się nawet, że należy to chronić wśród wolnej przyrody, co się nie da schować w muzeum. Równocześnie jednak Ministerstwo Kultury i Sztuki podjęło inicjatywę ochrony krajobrazu z punktu widzenia estetycznego. Opinia rzeczoznawców wypowiedziała się wtedy w tym kierunku, że ustawa powinna być jedna i obejmować wszystkie motywy, zajmowanie się bowiem tym samym nieraz przedmiotem przez różne organa, z różnych punktów widzenia i na podstawie różnych przepisów prawnych, prowadziłoby do nieskończonych bałamuctw i zatruwałoby życie wszystkim działaczom, którzy woleliby się raczej od tego zamętu usunąć. Opinia ta ostatecznie zwyciężyła, a Tymczasowa Komisja Ochrony Przyrody w projekcie swych przepisów organizacyjnych wymienia jako przedmiot ochrony wszelkie twory przyrody, bądź pojedyncze, bądź ich zbiorowiska, a także całe krajobrazy i okolice, których zachowanie czy to ze względów przyrodniczo-naukowych, czy estetycznych, czy historyczno-pamiętkowych, czy ze względu na cechy swoiste – leży w interesie publicznym. [...]



Hugo Pfendsack, ilustracja do publikacji Emanuela Riggembacha „Jak może i należy chronić przyrodę”, Kraków 1929 r.

książka wywołała duże poruszenie. Po raz kolejny pierwsi byliśmy w działaniu, które dziś nazywamy ochroną gatunkową zwierząt: w 1869 r. Sejm Krajowy Galicji uchwalił ustawę zakazującą zabijania i łapania kozic i świstaków. Jako pierwsi objęliśmy ochroną gatunkową grzyby (1983 r.). „Oskalpowana Ziemia” Antoniny Leńkowej, wydana w 1961 r., w przystępny sposób ukazała zniszczenia, które człowiek czyni w środowisku naturalnym. Jej fenomen polegał na wyprzedzeniu o 8 lat tez zawartych w słynnym „Raporcie U Thanta”, który wstrząsnął „światowym sumieniem ekologicznym”. Książka Leńkowej doczekała się przekładów na kilkanaście języków.

Gdy wybuchła I wojna światowa, polscy patrioci zaczęli układać plany... ochrony przyrody w niepodległej ojczyźnie. U progu odzyskania wolności Rada Regencyjna wydała dekret „O opiece nad zabytkami sztuki i kultury”, w którym pojawiły się zapisy chroniące dziedzictwo naturalne. Rada włączyła również ochronę przyrody w kompetencje Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W kolejnym

roku, pomimo walk zbrojnych na niemal wszystkich granicach, uchwalono pierwsze ustawy poświęcone *stricte* tej problematyce oraz powołano Tymczasową Państwową Radę Ochrony Przyrody. Przyrodnicy, z wielkim zapalem i przy wsparciu władz państwowych, przystąpili do tworzenia rezerwatów i parków narodowych. W tym samym czasie z inicjatywy Jana Sztolcmana rozpoczął się pierwszy proces restytucji gatunku, który całkowicie wyginął na wolności. Dzięki temu w ogrodach zoologicznych całego świata informują, że żubra uratowali Polacy. W międzywojniu Polska zabiegała o utworzenie międzynarodowej organizacji chroniącej przyrodę. Została ona powołana dopiero w 1948 r., gdy utworzono Światową Unię Ochrony Przyrody; oczywiście uczestniczyła w tym dziele delegacja naszego kraju.

Pierwszą polską ustawę o ochronie przyrody uchwalono w 1934 r. Należała do najnowocześniejszych na świecie. Wybuch II wojny światowej przyniósł kres staraniom na tym polu. Jednak wraz z umilknięciem dział, naukowcy i działacze, którzy

Drugi wynik faktu, że postulat ochrony przyrody nie zamyka się wyłącznie w granicach interesu naukowo-przyrodniczego, jest jeszcze ważniejszy: dla sprawy pozyskuje się zainteresowanie szerokich warstw społecznych, można powiedzieć, że staje się ona „sprawą społeczną”. Z punktu widzenia przyrodnika jest to dlatego tak ważnym, że on postulaty swoje łatwiej urzeczywistnić może, związując je z tym szerokim prądem. Stawiam bowiem tezę, że **żadne ustawodawstwo, żadna organizacja państwowa nie zdołają skutecznie spełnić zadań ochrony przyrody – bez oparcia się o szeroką podstawę społeczną**. Od przejścia się tym przekonaniem zależy, moim zdaniem, skuteczność wszelkiej pracy w dziedzinie ochrony przyrody. Ażeby udowodnić tę tezę, muszę naprzód ustalić pogląd na to, czym właściwie jest ustawodawstwo ochronne i na czym polegać może działalność państwa w tej dziedzinie.

Przed kimże to broni ustawa dany twór przyrody? Czy przed złodziejem i rabusiem lub przed szkodnikiem, którego czyn podpada pod przepis karny o złośliwym uszkodzeniu cudzej własności? Nie; do tego wystarczyłyby przepisy powszechnego prawa karnego lub przepisy karne innych ustaw, jak leśnej, rybackiej, łowieckiej, wodnej, o ochronie własności polnej itp. Co najwyżej można by tu podnieść szacunek wartości pewnych przedmiotów, jako szczególnie cennych, aby w ten sposób podnieść ich kwalifikację karną. Ale właściwe ustawodawstwo ochronne nie ma do czynienia z takimi tylko szkodnikami,

zaczyna się ono dopiero tam, gdzie chodzi o ochronę danego przedmiotu przed jego prawnym właścicielem lub użytkownikiem. Własność jest prawem dowolnego rozrządzania rzeczą, jej użycia, przeistoczenia, zużycia i zniszczenia; ograniczenie właściciela w którymkolwiek z tych uprawnień jest częściowo odjęciem mu jego własności, jeżeli nie zupełnym to częściowym wywłaszczeniem.

Ograniczenie takie może być dwojakiego rodzaju: może to być ograniczenie przedmiotowego prawa własności, ścieśnienia niejako zakresu ustawowego pojęcia tego prawa, tak że z zakresu pojęcia własności wyłączone zostają pewne atrybuty, albo też może to być ograniczenie pewnego tylko podmiotowego, tj. indywidualnego prawa własności, którego źródłem jest w każdym wypadku specjalny akt prawny. Z reguły jest ten akt umową, gdyż właściciel tak jak może zbyć całą swą własność, tak też może zbyć albo jej część, albo poszczególny jej atrybut; w ten sposób powstaje np. służebność na rzeczy cudzej. Niekiedy jednak ma ten akt charakter jednostronny, zostaje on narzucony właścicielowi przez państwo; jest to naruszenie prawa własności. Ażeby ono było prawnie uzasadnione, muszą zaistnieć pewne szczególne warunki, określone w państwach cywilizowanych i praworządnych klauzulami konstytucyjnymi; w szczególności motywem musi być niewątpliwy i przeważający interes dobra publicznego, stwierdzony przez organ kompetentny i bezstronny, a nadto za odjęte prawo przysługiwałoby właścicielowi odpowiedni ekwiwalent pieniężny. [...]

uniknęli śmierci, przystąpili do pracy. Prof. Władysław Szafer odtworzył PROP i już we wrześniu 1945 r. odbyło się jej pierwsze od 8 lat posiedzenie. W tym czasie dzięki staraniom polskich przyrodników udało się zapobiec wywiezieniu ocalałych żubrów do ZSRR (ostatecznie Sowietzi zadowolili się połową populacji).

W PRL tworzone nowe formy ochrony przyrody, nawet zanim pojawiły się stosowne możliwości prawne. Suwalski Park Krajobrazowy powstał w 1976 r., choć formalnie tę kategorię ochronną wprowadziła dopiero ustawa z 1991 r. Pomimo odrzucenia zapisu mówiącego o „interesie publicznym ochrony przyrody” (określenie wprowadzone przez Jana Gualberta Pawlikowskiego, przedwojennego działacza endecji – posłom strony „solidarnościowej” kojarzyło się z... PRL), po raz kolejny mieliśmy wówczas do czynienia z bardzo nowoczesnym aktem prawnym. Podobnie jak po poprzednich „wyzwoleniach”, tak i tym razem pomyślny wiatr uwolnił wiele energii wśród miłośników przyrody. W szkołach wszelkich szczebli pojawiły się elementy ochrony

środowiska, przyspieszył proces tworzenia parków narodowych i krajobrazowych, rezerwatów i innych form ochrony.

Niestety, od połowy lat 90. klimat się zmienił, czego efektem było m.in. zatrzymanie procesu powstawania nowych obszarów chronionych. Co gorsza, wskutek manipulacji przy ustawie o planowaniu przestrzennym zlikwidowano większość tzw. małych form ochrony przyrody. Zmian dokonano pod hasłami zniesienia przeszkód dla przedsiębiorców i uwolnienia od „ekotyranii”. Pomstowanie na ochronę przyrody łączy zazwyczaj wszelkie opcje polityczne (w głośnej sprawie obrony Doliny Rospudy PiS popierał projekt forsowany uprzednio przez SLD), a podawane jest w sosie sugestii, że ekologia to nowoczesny, dziwaczny wymysł, narzucony przez Zachód i sprzeczny z interesami Polski.

Postawa liberałów, którzy dążą do celu po trupie przyrody, nie zaskakuje. Jeszcze przed powrotem Polski na mapy, obrońcy przyrody piętnowali ich za usuwanie wszelkich przeszkód dla bogacenia się. Zdumiewa natomiast postawa ugrupowań

Prócz tego jednak samo faktyczne wykonanie ochrony, ażeby było skuteczne, musi szukać oparcia w społeczeństwie. Najlepszą żandarmerią są uświadomienie ogółu i opinia publiczna. Nie trzeba sądzić, że to jest cel zbyt odległy – na razie wystarczy bowiem założenie np. w gminie skromnego towarzystwa „przyjaciół drzew” lub coś podobnego, albo zainteresowanie choćby jednej osoby i powierzenie jej honorowej funkcji delegata itp.

Sprawa ochrony przyrody leżała zwykle w ręku stowarzyszeń; kiedy zajęło się nią państwo, pociągnęło ono do współdziałania również żywioły obywatelskie. Żywioł urzędniczy nie tylko nie wystarcza, ale z wielu względów do tej pracy się nie nadaje.

Najdalej w kierunku autonomii społecznej poszła była Bawaria; państwo zorganizowało tu tylko wydział centralny stowarzyszeń, który to wydział



Hugo Pfendsack, ilustracja do publikacji „Jak może...”

deklarujących konserwatyzm lub lewicowość, które to opcje ideowe tradycyjnie stały w Polsce po stronie ochrony przyrody. Najlepszymi przykładami są endeckie Paulikowski oraz lewicujący Stefan Żeromski, m.in. propagator powołania Świętokrzyskiego Parku Narodowego. Niezależnie od różnic politycznych, łączyło ich hasło „Chrońmy przyrodę ojczystą!”. To zawołanie chyba najlepiej wskazuje na patriotyczne korzenie ruchu ochrony przyrody. Jego uczestnicy już w czasach zaborów łączyli konieczność ochrony rodzimej natury z dążeniami narodowowyzwoleńczymi. Działaniom na rzecz utworzenia parku narodowego w Tatrach, podejmowanym od połowy XIX w., towarzyszyło przekonanie o czynieniu tego dla Polski i rodaków. Ono też towarzyszyło pracom po odzyskaniu niepodległości. Zupełnie inaczej wygląda początek XXI w., z jednym z ministrów apelującym do organizacji przyrodniczych, by o nieprawidłowościach przy tworzeniu sieci obszarów chronionych Natura 2000 nie powiadamiać Brukseli. Odiwoływał się przy tym do... uczuć patriotycznych i powinności wobec własnego kraju.

Jeśli zestawimy dawne organizacje z dzisiejszym stanem ruchu ekologicznego, to otrzymamy obraz nadzwyczaj smutny. Wówczas o sprawę walczyła armia ochotników, wsparta przez nielicznych „za wodowców”, za to zazwyczaj popierała ich opinia publiczna. Dziś mamy rzeszę urzędników, pracowników nauki i organizacji pozarządowych, przy minimalnej liczbie społeczników-wolontariuszy. Jeszcze nigdy na ochronę przyrody nie mieliśmy tak olbrzymich środków – a jednocześnie dyskusja na ten temat nigdy nie była tak „milcząca”, nawet w PRL-u. Duże, pokazowe akcje, prowadzone w ostatnich latach przez niektóre organizacje, są zauważalne w popkulturze, ale nie przekładają się na autentyczną debatę publiczną wokół istotnych kwestii dotyczących środowiska naturalnego. Jeszcze nigdy tak wielu, za tak wiele, nie znaczyło tak niewiele.

Prezentowane obok teksty to niewielka część olbrzymiego dorobku polskiej myśli ochrony przyrody. Autorem pierwszego jest **Jan Gwałbert Paulikowski** (1860–1939), swoisty człowiek-instytucja:



Hugo Pfendsack, ilustracja do publikacji „Jak może...”

działacz niepodległościowy, jeden z liderów Narodowej Demokracji, naukowiec, ekonomista, pionier nowoczesnego taternictwa, animator kultury, badacz twórczości Juliusza Słowackiego. A przede wszystkim – jeden z rodzimych prekursorów ochrony przyrody, bardzo zasłużony w tej dziedzinie, autor pierwszej w Polsce i oryginalnej w skali świata rozprawy filozoficzno-etycznej, poświęconej ochronie dziedzictwa przyrodniczego „Kultura a natura” (pierwsze wydanie w roku 1913, niedawno wznowione przez „Obywatela”). Publikowany tekst Pawlikowskiego, mimo upływu niemal 90 lat, niewiele stracił na aktualności, a i to głównie w sferze aktów prawnych, nie zaś samych problemów i rozwiązań. Jego autor szczególną wagę przywiązywał do popularyzowania idei, wskazywał na powody, dla których ochrona przyrody jest celem i zadaniem szerokich rzesz.

Pawlikowski, choć był aktywnym działaczem, przeszedł do historii głównie jako ideolog ochrony przyrody. Jako człowiek zaś, który ową *myśl* przekuł

wzmocniło dodanymi urzędnikami. W nowszych czasach w podobnym kierunku poszła ustawa saska z 15 I 1934 r., która za organ centralny (odpowiadający naszej Radzie Ochrony Przyrody) uznała Saskie Krajoowe Towarzystwo Ochrony Swojszczyzny. We Francji komisje departamentalne, utworzone na podstawie ustawy z 1906 r., składają się w większej części z żywiołów obywatelskich, więc z delegatów rad departamentalnych, z uczonych, artystów i literatów. W Prusach utworzono komitety prowincjonalne, do których wchodziły osoby powołane ze sfer obywatelskich, a w szczególności przewodniczący stowarzyszeń; centralny organ stanowi jednostka, uczony, profesor Conwentz. Periodyczne zjazdy reprezentantów stowarzyszeń i komitetów prowincjonalnych mają charakter informacyjny i dyskusyjny. Gdzie indziej, np. w Oldenburgu, doradczym organem rządu są konserwatorzy, instytucja podobna do znanych u nas konserwatorów zabytków sztuki; istnieją też rady kolegalne, tzw. rady pomników przyrody. Takie są rozmaite typy organizacji z udziałem żywiołu obywatelskiego. [...]

U nas przy tworzeniu pierwszej organizacji ustalono następujące zasady: Tymczasowa Komisja Ochrony Przyrody składa się z żywiołów obywatelskich, przeważnie uczonych przyrodników, ale także artystów i innych działaczy, tudzież z urzędników delegowanych przez poszczególne ministerstwa. W prezydium i w wydziale wykonawczym nie zasiadają wcale urzędnicy zawodowi. Z żywiołów obywatelskich, podobnie jak Komisja Główna, złożone są organy prowincjonalne: kuratoria ochrony

na konkretne dzieło, tworząc *system* ochrony przyrody, zapisał się w dziejach prof. **Władysław Szafer** (1886–1970). Był on m.in. żołnierzem Legionów, a później wybitnym naukowcem, dyrektorem krakowskiego Ogrodu Botanicznego, twórcą polskiej szkoły paleobotanicznej, rektorem Uniw. Jagiellońskiego (także jego tajnych struktur w czasie okupacji hitlerowskiej), współtwórcą wielu parków narodowych i rezerwatów. On też spełnił zamiysł „ojca-założyciela” – Pawlikowskiego. To dzięki zabiegom Szafera powstała w 1926 r. Liga Ochrony Przyrody, pierwsza w Polsce masowa organizacja o takich celach. W publikowanym tutaj tekście prof. Szafer wyłuszcza motywy ochrony przyrody i przypomina pokrótce historię działań w jej obronie.

Ostatni z prezentowanych artykułów powstał tuż po zakończeniu II wojny światowej, kiedy przystępowano do odbudowy kraju. Jego autor, prof. **Jerzy Hryniewicz** (1908–1989), był grafikiem, inżynierem, pracownikiem Politechniki Warszawskiej, wykładał architekturę w wielu krajach, od Chin po USA.

przyrody. Tu rozszerza się jeszcze zakres udziału żywiolu obywatelskiego w radach kuratorskich, organie doradczym kuratoriów, do którego powoływane będą w szerokim zakresie osoby odpowiednio wykwalifikowane, rzeczoznawcy i działacze, między tymi zaś reprezentanci stowarzyszeń. W ten sposób inicjatywa i praca stowarzyszeń zostanie skoordynowana i uzyska większą skuteczność, wchodząc w bezpośredni stosunek z organizacją państwową. Ale organizacja ta dalszymi jeszcze niemi stara się wniknąć w społeczeństwo: na najbardziej nawet zaopadłej prowincji, gdy tylko znajdzie osoby wykwalifikowane, mianuje „delegatów”, jako swych urzędowych reprezentantów, powierzając im funkcję przedstawiania sobie wniosków ochronnych, czuwania w porozumieniu z władzami administracyjnymi nad wziętymi w ochronę pomnikami przyrody, a nadto propagandy i inicjowania stowarzyszeń i wszelkiej samorządnej akcji społecznej w dziedzinie ochrony przyrody. Prócz delegatów mianowani bywają jeszcze „korespondenci”, którzy nie mając charakteru urzędowego, pozostają z komisją lub kuratoriami w stosunkach jako informatorzy, a nabierając zainteresowania dla sprawy ochrony i zapoznając się z jej metodami, mogą się stać bardzo cennymi inicjatorami samorządnej akcji społecznej w tej dziedzinie.

Przepisy organizujące Państwową Komisję Ochrony Przyrody nakazują jej zresztą inicjowanie stowarzyszeń, tudzież zachęcanie rozmaitych stowarzyszeń już istniejących (jak np. przyrodniczych, krajoznawczych, turystycznych, upiększania



Hugo Pfendsack, ilustracja do publikacji „Jak może...”

Przed wojną kierował jednym z oddziałów Biura Planowania Miasta Warszawy, walczył w kampanii wrześniowej, został odznaczony Krzyżem Walecznych za obronę stolicy, po wojnie był współtwórcą odbudowy zakładów Cegielskiego, budowy FSO na Żeraniu i Stadionu Dziesięciolecia. W 1928 r. zaprojektował logo Ligi Ochrony Przyrody, używane przez tę organizację do dziś. Zawodowo niewiele mający wspólnego z ochroną przyrody – wedle dzisiejszych trendów powinien raczej ją lekceważyć – postulował harmonizację terenów zabudowanych z otaczającym je krajobrazem. Wskazywał też, jak ingerencja techniki w świat naturalny może prowadzić do jego oszpeceń. Warto o tym pamiętać także dziś, gdy kolejne „ułatwienia dla inwestycji” nie ominęły gospodarki przestrzennej; zniesiono niemal wszystkie miejscowe plany zagospodarowania, dając tym samym zielone światło dla budowania według widzimisię inwestora. Tymczasem mądre planowanie może zarazem podnieść jakość życia ludzi i służyć ochronie przyrody.

Obecnie ochrona środowiska to jedno z kluczowych zagadnień polityki państw wysokorozwiniętych. Tymczasem nasz kraj coraz bardziej zaczyna przypominać w tej dziedzinie trzeci świat. Używamy nawet podobnej retoryki: „Wy u siebie zniszczyliście przyrodę, a nam każecie żyć w zaoferowaniu, by ją chronić”. W tej sytuacji przypominamy korzenie myśli ekologicznej w Polsce – aby pokazać, że ochrona przyrody ojczystej to długa i piękna tradycja, że to nasz patriotyczny i społeczny obowiązek.

(kon)



Hugo Pfendsack, ilustracja do publikacji „Jak może...”



kraju etc.) do przyjęcia w zakres swych zadań także i ochrony przyrody. Towarzystwom takim mogą być powierzane delegacje PKOP, przez co akcja ich kierowana przez Komisję, zyskuje na wytrwałości i konsolidacji. W ten to sposób organizacja ochrony przyrody wnika w społeczeństwo. [...]

Niezależnie od udziału społeczeństwa w akcji państwowej na polu ochrony przyrody, powstała w Polsce w r. 1928 społeczna organizacja ochrony przyrody pod nazwą Liga Ochrony Przyrody. Siedzibą Ligi jest Warszawa, koła i oddziały zakładane być mogą na obszarze całego państwa. Celem Ligi jest propaganda idei ochrony przyrody, gromadzenie funduszy na cele ochrony, organizowanie stowarzyszeń podejmujących zadania Ligi i współpraca w tym kierunku z innymi stowarzyszeniami, które poza tym mają cele specjalne (jako to towarzystwa krajoznawcze, leśne, rolnicze, łowieckie, rybackie, nauczycielskie, turystyczne itp.) oraz skupianie działalności tych stowarzyszeń i nadawanie jej wspólnego kierunku. Sądzę, że byłoby wskazane, aby do celów Ligi wciągnięta została oprócz ochrony przyrody, także ochrona swojszczyzny w szerszym znaczeniu, tak jak to ma miejsce u Heimatschutz niemieckich. W tym typie stowarzyszeń łączy się w doskonały sposób ideę ochrony cech etnograficznych pewnej okolicy, obyczaju, pamiątek historycznych, z ideą „upiększania” okolicy przy zachowaniu jej cech swoistych i z ideą ochrony przyrody, uważaną głównie jako dążenie do zachowania charakterystycznych cech lokalnych krajobrazu. Ochrona swojszczyzny jest ideą pokrewną patriotyzmowi,

można też powiedzieć, że jest jego wychowawczynią; z tego powodu wnika ona łatwo do serc i ma w sobie wielką siłę propagandy. Pomijając wielką swoistą wartość, dla której winna być u nas zaszczytną, z punktu widzenia ochrony przyrody jest ona kokoszą, która to jajko podłożone jej – doskonale wygrzać potrafi. W Niemczech Heimatschutz są najsilniejszą ostoją idei ochrony przyrody.

Spopularyzowanie idei ochrony przyrody, a zwłaszcza spopularyzowanie jej w łączności z ochroną swojszczyzny, przynosi z sobą jeden skutek, z którym trzeba się liczyć. Jest nim wielkie rozszerzenie zakresu przedmiotów chronionych, nie tylko ze względu na ich kategorie, ale także ze względu na ich ważność, a więc i na ich ilość w obrębie kategorii poszczególnych. Występują przedmioty mające ważność tylko lokalną, różne niby „wielkości prowincjonalne”, drzewa uważane za olbrzymy tylko w Koziej Wólce, zwierzęta o kilkanaście mil dalej pospolite, głązy wzbudzające uśmiech politowania mieszkańca gór itp. Oczywiście państwowa organizacja ochrony przyrody nie ma żadnego powodu takimi osobliwościami się zajmować – z wyjątkiem, gdyby była pytana o opinię. Ale prądu tego rodzaju bynajmniej nie należy lekceważyć. Idzie on na rękę ochronie także prawdziwych i ważnych pomników przyrody; a oprócz tego ma też wartość swoistą. Każdy urządza sobie mieszkanie środkami na jakie go stać, a dobrze jest zawsze, jeśli robi co może i ubóstwem środków się nie zraża. Jest to sprawa odmiennej kategorii jak ochrona przyrody w ścisłym słownym znaczeniu, sprawa, która

Nie pozwalam!

Przyszła znowu na swe miejsce Polska. Nie zamienili Moskale klasztoru Świętej Katarzyny na koszary konnicy, jak to było w ich planie, i nie przyłożył Austriak siekiery do korzenia lasów. Stoi oto wciąż dom boży. Widać ze wszech stron białą jego wieżę w dolinie, fiołkowej od lasów, co z dala i z bliska ciągną ku niemu wielkimi pasmami. Jest jakoby zwornikiem, w jedność ujmującym wielorakie pustkowię. Oko przybiega z obszarów i spoczywa na jego białym kształcie, a wyrzeźbiony w żrenicy – zachowuje w sercu na zawsze.

Żyj wiecznie, świątńco, ogrodzie lilij, serce lasów! Przeminały nad tobą czasy złe, złane ludzką krwią. Ciągną inne, inne... Lecz ktoś może wiedzieć, czy z plemienia ludzi, gdzie wszystko jest zmienne i niewiadome, nie wyjdą znowu drwale z siekierami, ażeby ściąć do korzenia macierz jodłową na podstawie nowego prawa, w interesie jakiegoś handlu lub czyjegoś niezbędnego zysku.

Jakie bądź byłoby prawo, czyjekolwiek by było, do tych przyszłych barbarzyńców poprzez wszystkie czasy wołam z krzykiem: Nie pozwalam! Puszcza królewska, książęca, biskupia, świętokrzyska, chłopska ma zostać na wieki wieków, jako las nietykalny, siedlisko bożyszczyń starych, po którym Święty Jeleń chodzi – jako ucieczka anachoretów, wielki oddech ziemi i żywa pieśń wieczności!

Puszcza jest niczyja – nie moja ani twoja, ani nasza,
jeno boża, święta!

Stefan Żeromski

Fragment „Puszczy jodłowej” (1925), ostatniego ukończonego utworu pisarza, poświęconego terenowi obecnego Świętokrzyskiego Parku Narodowego.

powinna być kierowaną raczej przez jakąś centralę towarzystw ochrony swojszczyzny, ale przecież dla celów ochrony przyrody nie obojętna. Podobny wypadek przedstawia sprawa tak zwanego upiększania okolic. Kiedy się o tym mówi, nie trzeba konieczności mieć na myśli owych chińskich altanek stawianych na szczytach skał albo terakotowych gnomików wyzierających z paproci leśnych... Tego rodzaju wybryki głupoty i złego gustu, w których specjalistami są – a przynajmniej byli – zwłaszcza Niemcy, były powodem istnienia pewnego rodzaju stanu wojny pomiędzy ideą „upiększania” a ideą ochrony przyrody. W zapale walki padały zdania,

że przyrody w ogóle upiększać nie można i trzeba ją zasadniczo pozostawiać taką jak jest. Takie hasło, bardzo trafne w odniesieniu do przyrody pierwotnej, zdaje się zupełnie zapominać, że większa część ziemi została zmieniona przez kulturę i sztukę ludzką. Czy jest jakiś powód te zmiany, jeśli były kierowane niedbalstwem, nieświadomością, wyłącznie materialnymi względami lub złym gustem, uważać za nietykalne? Przeciwnie! Gdzie chodzi o przyrodę zartyfikowaną, sprawa jej ukształtowania, więc „upiększania”, jest sprawą bardzo dużego kulturalnego znaczenia. I jest to znowu odmienna kategoria od ochrony przyrody, ale i z tego prądu sprawa jej

ochrony może i powinna korzystać. [...] Dlatego nie leży żadna sprzeczność w zaleceniu nawiązywania stosunków pomiędzy organizacją ochrony przyrody a towarzystwami „upiększania kraju”; należy je przeciwnie wprost nakłaniać do przyjęcia w statuty swoje wyraźnie także zasady ochrony przyrody.

Idea ochrony przyrody może więc, jak widzimy, przybierać różne modyfikacje i wsiąkać różnymi strumieniami w społeczeństwo. Ma ona związek z bardzo żywotnymi interesami tego społeczeństwa. Nie może być uważaną za jakąś ezoteryczną ideę pielęgowaną w zamkniętych konwentykłach, bo wtedy minęłaby się ze swoim powołaniem, tak jak etyka, gdyby chciała być pielęgowaną tylko w kołach specjalnych etyków. W ogóle idea ochrony przyrody ma z etyką dużo podobieństwa... Nie jest to gałąź wiedzy albo rzecz zawodu, ale jest to norma postępowania, która powinna być normą ogólną. Jest ona do norm etycznych jeszcze w tym podobną, że rozszerza pojęcie obowiązku i odpowiedzialności, tudzież uczucie solidarności i miłości,

także poza sferę stosunków z ludźmi, na całe – jak to nazywał Mickiewicz – „królestwo nieme”. Tylko kierownictwo należy tu do specjalistów, działanie – do wszystkich. Każde zamiłowanie, każde uzdolnienie, może tu (zwłaszcza w organizacjach ochrony swojszczyzny) znaleźć dla siebie odpowiednie pole. Na pierwszy plan wysuwa się więc na razie sprawa inicjatywy i propagandy, celem zaszczepienia idei ochrony przyrody w szerokie masy społeczeństwa, tej idei, która tyloma niemi związana jest z kulturą ogólną i obywatelską.

Jan Gwałbert Pawlikowski

Powyższy tekst pierwotnie ukazał się w piśmie „Ochrona Przyrody”, zeszyt III, 1922. Następnie wersję nieco zmienioną przez autora zamieszczono w „O lice ziemi. Wybór pism Jana Gwałberta Pawlikowskiego”, wydawnictwo Państwowej Rady Ochrony Przyrody, Skład główny – Kasa im. Mianowskiego, Warszawa 1938. Przedruk za tym ostatnim źródłem, dokonano skrótów i poprawiono pisownię wedle obecnych reguł.

POLECAMY

BIBLIOTEKA
OBYWATELA

4

Jan Gwałbert Pawlikowski

Kultura a natura i inne manifesty ekologiczne

Pierwsze w historii wznowienie całości unikatowego tekstu pierwotnej edycji książki „Kultura a natura” z roku 1913 – pionierskiego w Polsce manifestu ochrony przyrody. Oprócz niego książka zawiera dwa inne ważne teksty tego autora – „Tatry parkiem narodowym” (1923) i „W obronie idei parku narodowego” (1936), a także obszerną przedmowę Remigiusza Okraski.

„Kultura a natura” była pierwszym w Polsce całościowym i tak dobitnym głosem wskazującym na konieczność ochrony dziedzictwa przyrodniczego, głosem przenikliwym, ponadczasowym i odważnym, o wiele lat wyprzedzającym „modę” na ekologię i powstanie ruchu „zielonych”. Do dziś aktualne, dalekowzroczne przesłanie, łączące ochronę przyrody z dbałością o rozwój kulturalny i wartości humanistyczne.

150 stron, cena: 19 zł w księgarni
17 zł u wydawcy (koszt przesyłki wliczony)

Wpłaty na zakup książki:
Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”,
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź,
Nr konta: 78 8784 0003 2001 0000 1544 0001
(Prosimy o dopisek „Pawlikowski”
w tytule wpłaty)

Kontakt: Łukasz Walczuk
tel.: 42 630 22 18
e-mail: walczuk@obywatel.org.pl

Więcej o książce:
www.obywatel.org.pl/pawlikowski



Wydawca **OBYWATEL**

Patronat
medialny

**DZIKIE
ŻYCIE**
miesięcznik



AURA
e!stilo

TERAPIA EKOSOCJALNA
EKO i MY

poznaj swój kraj
miesięcznik krajoznawczo-turystyczny

Z dziejów ochrony przyrody

Władysław Szafer

Utarło się zdanie, że idea ochrony przyrody jest wytworem kultury końca XIX i początku XX wieku. Zdanie to jest o tyle słuszne, że istotnie dopiero w tym czasie stała się ochrona przyrody jednym z twórczych czynników współczesnej kultury narodów i państw całego niemal świata. Niesłuszne natomiast jest takie zapatrywanie, gdy chodzi o jej początki, gdyż te sięgają historycznie daleko w przeszłość. [...]

WIERZENIA RELIGIJNE ŹRÓDŁEM OCHRONY PRZYRODY

Najdawniejszym źródłem ochrony przyrody były niewątpliwie wierzenia religijne. Tak, jak dziś jeszcze Pars modli się u stóp potężnych drzew, uważając je za święte i nietykalne, tak, jak Hindus nie dotknie nawet źdźbła trawy w świętych dolinach Himalajów, jak Japończyk utrzymuje przy życiu swą sztuką hodowlaną przy świątyniach rosnące, tysiącletnie sosny i kryptomerie, lub jak Arab nie dotknie na brzegu oazy stojącego okazu drzewa lotosowego – tak dawniej zawsze i od wieków odnosiły się do przyrody różne szczepy i narody. Z tradycji o naszych pogańskich przodkach wiemy, że mieli oni również swe drzewa święte przy gontynach, zaś źródła, gaje, niedostępne uroczyska i dymiące oparzeliska zaludniali w swej fantazji światem bogów i boginek, przez co były one dla nich nietykalne. [...]

MOTYWY GOSPODARCZE

Drugim źródłem, z którego brały początek postanowienia ochronne w stosunku do przyrody, były motywy gospodarcze. Każdy kraj ma pod tym względem

własną historię. Tak np. pierwsze zarządzenie, dotyczące się ochrony ptaków śpiewających w Europie, wydane zostało w Zurychu w 1335 r., gdy uświadomiono sobie jasno pożyteczną rolę ptaków jako tępi-cieli szkodników w sadach i lasach. Król Władysław Jagiełło wydał w r. 1423 prawo chroniące „drzewa, które znajdują się być wielkiej ceny, jako jest cis”, aby zapobiec nadmiernemu wycinaniu i wywożeniu z Polski cisa, z którego wyrabiano podówcza kusze i łuki. Podobne pobudki kierowały królem duńskim Chrystianem V, gdy w r. 1671 wydał zakaz wycinania lasów w południowej Danii; zakaz ten był jednym z pierwszych tego rodzaju zakazów w Europie.

Dawne ustawodawstwo łowieckie chroniło w wielu krajach rzadkie gatunki zwierząt łownych bądź dlatego, aby nie pozbawiać kraju okazów fauny szczególnie cennej (np. bobrów), bądź też dlatego, aby polowanie na nie uczynić przywilejem głowy panującej. U nas król Władysław Jagiełło (1443) wydał daleko idące ograniczenia polowania na dzikie konie, łosie i tury, bóbr zaś chroniony był w Polsce już za czasów Bolesława Chrobrego, a król Zygmunt I w Statucie Litewskim ochronę tę wydatnie zwiększył odpowiednimi surowymi przepisami.

W dawnych ustawach ochronnych, wydawanych głównie z motywów gospodarczych, zjawiał się nie-rzadko także czynnik idealny [idealistyczny]. I tak np. wspomniane rozporządzenie z r. 1335, chroniące ptactwo pożyteczne w Szwajcarii, uzasadnione było nie tylko względem na ich użyteczność dla człowieka, ale również tym, że „swoim miłym śpiewem radują one serce ludzkie”. Podobnymi względami natury idealnej uzasadniano w końcu XV wieku zakazy zabijania skowronków w Norymberdze, lub w księstwie Münster w połowie XVII wieku zakazy

masowego niszczenia kwiatów wiosennych w okresie świąt Wielkanocnych. [...]

PRZEJŚCIE KU MOTYWOM IDEALNYM

Na przełomie w. XVIII pojawiły się w Niemczech pierwsze zarządzenia chroniące ptaki, wobec klęsk elementarnych, wywołanych przez szkodliwe owady. I tak np. w r. 1796 władze hrabstwa Schmalkalden wydały zakaz zabijania i chwytania „prawie wszystkich” gatunków ptaków z powodu katastrofalnego rozmnożenia się w tym roku mniszki. Później zakazy te ponawiano i rozszerzano ich zasięg na coraz większe przestrzenie, w miarę, jak coraz powszechniej uznawaną była pożyteczność ptaków wobec nadmiernie rozmnożonych szkodników w sadach i lasach. [...] Niemal równocześnie występuje w czasopiśmie „Diana” Jan Mateusz Bechstein z hasłem ochrony wszystkich gatunków zwierząt i wypowiada tezę, iż „wyniszczenie jakiegokolwiek gatunku zwierzęcia nie jest godne człowieka kulturalnego”. To hasło Bechsteina, przenosząc punkt ciężkości ochrony ptaków z platformy ściśle użytkowej na moralną, znajduje licznych zwolenników, propagujących albo zupełną ochronę pewnych gatunków ptaków, albo też ich ochronę okresową, np. żądając zupełnego ich oszczędzania co czwarty lub siódmy rok. Jako rezultat pewnego kompromisu pomiędzy tymi dwoma kierunkami, propagującymi ochronę ptaków z motywów praktycznych i idealnych, uciiera się w tym czasie po raz pierwszy w Niemczech podział na ptaki szkodliwe i pożyteczne, który do dnia dzisiejszego utrzymał się zwłaszcza wśród kół gospodarczych, nie mających głębszego wykształcenia biologicznego. Jest rzeczą interesującą, że bardzo wcześnie pojawiły się ze strony zoologów sprzeciwu co do tak szablonowego podziału ptaków i że np. przeciw uznawaniu tzw. ptaków drapieżnych za szkodliwe wystąpił po raz pierwszy już w r. 1826 profesor zoologii w Zurychu, Henryk Rudolf Schinz, podnosząc rolę ptaków drapieżnych w całokształcie fauny i groźbę naruszenia równowagi biologicznej w przyrodzie przez ich gwałtowne tępienie. W r. 1873 wypowiedział zdecydowaną walkę podziałowi ptaków na pożyteczne i szkodliwe znany ornitolog Otto Schmiedeknecht, a niedługo potem w r. 1875 powstał w Niemczech pierwszy Niemiecki Związek dla Ochrony Ptaków [...].

Przytoczony przykład przemiany pojęć w dziedzinie ochrony przyrody ptaków w Niemczech można zastosować *mutatis mutandis* do innych dziedzin ochrony przyrody, nie tylko w Niemczech, ale również i w innych krajach. Podejmowana najpierw z motywów wskazanych przez życie praktyczne, przeistaczała się zawsze ochrona przyrody w problem natury ogólniejszej, ważny ze stanowiska nauki lub etyki.

POMNIKI NATURY

Dla podniesienia idealnych wartości tzw. pomników lub zabytków przyrody najwięcej zasłużył się Aleksander Humboldt. Ten wielki uczony i podróżnik, którego nazwisko należało do najpopularniejszych na świecie na przełomie XVIII i XIX wieku, był właściwym twórcą pojęcia „pomnika”, czyli „zabytku przyrody”, tak jak je dziś pojmujemy. W latach 1799–1804 odbył on podróż do Wenezueli. W sprawozdaniu ogłoszonym w r. 1819 opisał olbrzymie drzewo, zwane Zamang, najstarsze i najpotężniejsze w tym kraju, nazywając je „pomnikiem przyrody” i porównując ze słynnym olbrzymem świata roślinnego, tzw. drzewem smoczym (*Dracena draco*) z okolicy Orotawy. Trafne porównanie wartości tego rodzaju pomnika z pomnikami sztuki, których wartość powszechnie jest znaną i uznaną, poparte autorytetem Humboldta, przyczyniło się w znacznym stopniu do spopularyzowania ochrony przyrody w jej okazach, szczególnie osobliwych lub pamiątkowych. [...]

Nie ulega też wątpliwości, że dzieła Humboldta były gorliwie czytane przez młodzież Uniwersytetu Wileńskiego, a odbicie jego zapatrywań na znaczenie ochrony przyrody znajdujemy u Adama Mickiewicza, który, przejąwszy od Humboldta pojęcie „pomnika przyrody”, wprowadził je do naszej literatury i zastosował do zabytkowych drzew polskich, pisząc w „Panu Tadeuszu” te pamiętne wiersze:

*Pomniki nasze! Ileż co rok was pożera
Kupiecka, lub rządowna, moskiewska siekiera!
Nie zostawia przytułku ni leśnym śpiewakom,
Ni wieszczom, którym cień wasz tak miły,
jak ptakom.*

ROMANTYZM

[...] Hasło powrotu do natury, głoszone przez tego wielkiego myśliciela [Jana Jakuba Rousseau], a płynące z jego zwątpienia o wartości kultury w ogóle, przyjęte zostało przez romantyków z entuzjazmem, było bowiem pożądaną przez nich ucieczką od kultury małostkowej i przewrotnej. Wartość realna idei nie leżała jednakże w samej negacji, lecz raczej w pozytywnym ustaleniu stosunku uczuciowego człowieka do natury. Toteż swoiste nawrócenie romantyzmu do przyrody, choć z czasem zmieniło swój wyraz z platoniczno-sentymentalnego na bardziej realny, pozostawiło w spuściźnie pokoleniom późniejszym swój głęboki ślad w dziedzinie estetyki i etyki. Ślad ten był tak silny, że nie usunął go z trwałego dorobku kultury żaden ruch późniejszy, z materializmem i pozytywizmem XIX wieku na czele.

Któż zaprzeczy, że i w naszym pokoleniu, umiającym chronić przyrodę przed głupotą i wandalizmem



Artur Grottiger, „Puszcza”, z cyklu „Lithuania” (1864-1866)

jej niszczycieli argumentami naukowymi i ekonomicznymi, nie ma pierwiastków romantycznych? Czy w szeregach ochraniarzy całego świata nie spotykamy ciągle jeszcze idealistów typu czysto romantycznego, dla których przyroda pierwotna jest przede wszystkim błogosławioną ucieczką przed zgiełkliwą, natrętną i nużącą cywilizacją?

Niewątpliwie tak jest i tak będzie zawsze. Z tego nieważkiego źródła sentymentu wypłynęło już wiele siły realnej, pracującej na rzecz idei ochrony przyrody. Nie można też wątpić, że i nadal tak będzie. [...]

OCHRONA „OSOBLIWOŚCI”

Dalszym momentem, ważnym dla rozwoju historycznego ochrony przyrody, była wrodzona człowiekowi ciekawość, jaką ma dla wyjątkowych jej osobliwości. [...] Tak np. w Stanach Zjednoczonych został utworzony już w roku 1832 pierwszy rezerwat dla ochrony źródeł gorących w Arkansas, gdyż źródła te jako osobliwość wzbudzały powszechne zainteresowanie ludności. Góra Smocza pod miastem Bonn w Niemczech została uznana za nietykalną

zarządzeniem rządu pruskiego z podobnych pobudek już w roku 1829, a „mur diabelski” w Górach Harcu w roku 1852. Podobne pobudki kierowały inicjatorami ochrony „olbrzymich” drzew w Niemczech (w latach 1859 i 1869), a także w Polsce, gdzie już w roku 1829 pisano w obronie najgrubszego dębu w Bartkowie oraz słynnego „Baublisa”. [...]

Każdy, kto zna lepiej przyrodę i stosunek do niej ludzi prostych, wie dobrze, że i dziś jeszcze czynnik ten, który zwykłe (zbyt pochopnie) nazywamy przesądem, działa na rzecz ochrony przyrody. Źródła „świętego” lub „cudownego” nie zasypie przecież nikt z ludu, tak jak nie tknie „diabiego” kamienia (głazu narzutowego), nie zabije padalca napotkanego na ścieżce leśnej i nie straci gniazda bociana ze swej strzechy. [...] Nie wolno nam wszakże zapomnieć o tym, że czynnik omawiany działa także w sferach oświeconych, choć w innej formie aniżeli u ludu i że każde pokolenie uświęca i chroni pewną ilość osobliwości swej ojczystej przyrody, nadając drzewom, skałom, jeziorom, wodospadom itd. nazwy swych bohaterów narodowych, królów lub poetów. Nie sięgając do obcych przykładów, wystarczy tu wspomnieć o licznych w Polsce „alejach króla Sobieskiego”, lipie mistrza z Czarnolasu, altanie dumania Mickiewicza w Tuhanowiczach, dębach królewskich w resztkach Puszczy Niepołomickiej, igle Deotymy w Dolinie Ojcowskiej, wodospadach Mickiewicza lub Bramie Kraszewskiego w Tatrach itd. – nie mówiąc już o setkach drzew, uświęconych zawieszeniem na nich kapliczek lub krzyży. [...]

MOTYW NAUKOWY

Świetny rozwój nauk przyrodniczych w połowie wieku XIX dał początek temu motywowi, którego znaczenie z biegiem czasu nie tylko nie słabło, ale coraz to bardziej potęgniało, tak że stopniowo stał się on najważniejszym czynnikiem działającym na rzecz ochrony przyrody na całym świecie. Motyw naukowy przyczynił się też najwłaściwiej do tego, że problem ochrony przyrody stał się z czasem problemem międzynarodowym. [...]

Pomijając wcześniejsze i odosobnione usiłowania jednostek, które w Polsce występowały w obronie przyrody w imię postulatów naukowych, stwierdzić należy, że pierwsza silna inicjatywa w tym względzie wyszła z ośrodka krakowskiego. Związana ona jest z nazwiskami trzech wybitnych przyrodników: Ludwika Zeisnera, Maksymiliana Nowickiego i Eugeniusza Janoty, była zaś wynikiem ówczesnego zainteresowania się nauki polskiej przyrodą Tatr, a zwłaszcza losem tępionych bezkarnie rzadkich zwierząt górskich – kozicy i świstaka. Po pierwszej inicjatywie w tym kierunku, danej przez L. Zeisnera w r. 1851, zajęli się tą sprawą bardzo gorliwie M. Nowicki i E. Janota (1865) i po licznych zabiegach

doprowadzili do uchwalenia przez Sejm Krajowy we Lwowie w dniu 5 października 1868 roku ustawy „względem zakazu łapania, wytępienia i sprzedawania zwierząt alpejskich, właściwych Tatom, świstaka i dzikich kóz”, która w rok później (19 lipca 1869 r.) uzyskała moc obowiązującą.

Ustawa ta, którą wyprzedziliśmy inne narody i państwa, przeprowadzona w Sejmie z motywów czysto naukowych, pozostanie zawsze chlubą polskiej kultury.

Mało znanym jest fakt, że równocześnie (w tym samym dniu) z uchwaleniem ustawy o ochronie kozicy i świstaka w Tatrach, przyjął Sejm lwowski drugą, analogiczną ustawę ochronną „o ochronie pożytecznych ptaków i innych zwierząt”. [...] Niestety, ustawa ta, tak chlubnie nowa w swym duchu i tak daleko sięgająca zwłaszcza w dziedzinę ochrony ptaków, napotkała u władz centralnych w Wiedniu na opór i mimo bardzo usilnych i długich starań, nie uzyskała nigdy sankcji cesarskiej i nigdy nie weszła w życie ku największej szkodzie kraju i nauki. [...]

Na rozpoczęcie nowego okresu pracy trzeba było czekać trzydzieści lat. Okres ten rozpoczął się dopiero w r. 1900. Związany on jest z nazwiskami przede wszystkim dwóch wybitnych przyrodników: Hugo Conwentza i Mariana Raciborskiego.

HUGO CONWENTZ

Hugo Conwentz, którego słusznie nazwano twórcą nowoczesnej ochrony przyrody, zanim zyskał szeroko znane imię na całym świecie, jako pionier tej idei w wielu krajach, pracował w Gdańsku i na Pomorzu. [...] Dla nas rozpoczyna się główny okres pracy Conwentza od r. 1900, tj. od daty wydania przez niego książki pt. „Forstbotanisches Merkbuch für Westpreussen”, która dzięki instrukcji pruskiego ministra rolnictwa stała się wzorem dla analogicznych wydawnictw w innych dzielnicach niemieckich. W r. 1904 wydaje poznański nauczyciel gimnazjalny i kustosz niemieckiego muzeum, Pfuhl, takiż „Pamiętnik drzew i lasów Ks. Poznańskiego”, a w r. 1906 T. Schube swój „Pamiętnik lasów śląskich”. W wydawnictwach naukowych towarzystw, rozrzuconych po zniemczonych miastach b. zaboru pruskiego (Toruń, Bydgoszcz, Grudziądz i in.), w pismach periodycznych i codziennych, zjawia się teraz cały szereg luźnych wiadomości i artykułów. [...] Centralny organ rządu pruskiego dla ochrony przyrody w Berlinie (Staatliche Stelle für Naturdenkmalpflege), na czele którego staje doświadczony w pracy Conwentz, obejmuje od r. 1906 kierownictwo tego potężnego ruchu. Dziesiątki tysięcy odezw i z niemiecką pedanterią ułożonych kwestionariuszy (samo Księstwo Poznańskie wypełnia ich w krótkim czasie 12000 egzemplarzy!) krąży po całym kraju, zgarniając skrzętnie wiadomości

o wszystkim, co dla ochrony przyrody mieć może jakiegokolwiek znaczenie. [...] Szczegółowy inwentarz przedmiotów ustawowo chronionych w byłej dzielnicy pruskiej dochodzi z pewnością do kilku tysięcy pozycji.

Równoważnikiem tego wielkiego ruchu, wzniesionego w dzielnicach zachodnich ziem Rzeczypospolitej przez H. Conwentza, był analogiczny i równoczesny ruch, uszczęty w południowej dzielnicy Polski, tj. w Małopolsce, przez wielkiego biologa polskiego, Mariana Raciborskiego.

MARIAN RACIBORSKI I FERDYNAND WILKOSZ

Po powrocie z Jawy w r. 1900 aż do przedwczesnej swej śmierci w r. 1917, był Raciborski duszą wszelkich w tym kierunku poczynań, nie tylko we Lwowie i w Krakowie, lecz także na prowincji małopolskiej, gdzie niestrudzenie wygłaszał odczyty, popularyzujące nową ideę.

W r. 1903, pod wpływem Conwentza, który w swych zagranicznych podróżach agitacyjnych dotarł także do Ministerstwa Oświaty w Wiedniu, wydało Ministerstwo Oświaty b. Austrii reskrypt (z dnia 30 listopada 1903 r.) polecający czynnikom rządowym zajęcie się tą sprawą. Wskutek tego reskryptu wydało Namiestnictwo we Lwowie w lutym 1904 r. wezwanie do instytucji i osób prywatnych, aby donosiły mu o wszelkich zabytkach przyrody w kraju, zasługujących na ochronę. [...] Toteż natychmiast na wezwanie Namiestnictwa odpowiadano ze strony społeczeństwa nadesłaniem spisów rozmaitych pomników natury. Uczyniło to najpierw Towarzystwo Przyrodników im. Kopernika, przedstawiając szczegółowy spis kilkudziesięciu osobliwości przyrody zasługujących na ochronę i proponując utworzenie większych rezerwatów górskich w Karpatach (Tatry, Pieniny, Karpaty wschodnie) i stepowych na Podolu, w okolicy Borszczowa. Podobne żądania wysunął wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego. Z osób prywatnych, zajmujących się gorliwie sprawą ochrony przyrody, odpowiedział na wezwanie Namiestnictwa dłuższym memoriałem w r. 1906 Ferdynand Wilkosz, zasłużony długoletni prezes Towarzystwa Rybackiego w Krakowie, który odtąd niestrudzenie czynnym był dla ukochanej przez siebie idei. Uparcie i bez przerwy wysyłał on do Namiestnictwa lwowskiego liczne pisma, w których podawał coraz to nowe spisy ochrony godnych przedmiotów przyrody martwej i żywej. Do roku 1913 zdążył on w 15 wykazach przedłożyć Namiestnictwu spis 226 osobliwości przyrodniczych.

Niestety cała akcja, wywołana wspomnianym reskryptem wiedeńskiego Ministerstwa, okazała się bezcelową. Zmieniający się sezonowo ministrowie austriaccy zapomnieli o reskrypcie swego kolegi z r. 1903, Namiestnictwo zaś b. Galicji okazało się

godne swej władzy przełożonej. Memoriały, plany i fragmenty inwentarza, wypracowywane gorliwie przez społeczeństwo, szły *ad acta* bezdusznej maszyny biurokratycznej. [...]

INICJATYWA TOWARZYSTW I INSTYTUCJI

Na szczęście znalazło się w b. zaborze austriackim dosyć energii, ażeby akcję tak haniebnie zaniedbaną przez rząd centralny, samodzielnie dalej przeprowadzić. Przodujące w tym względzie Towarzystwo Przyrodników imienia Kopernika, za staraniem Mariana Raciborskiego, opracowało w ciągu lat 1906 i 1907 plan swego działania na tym polu, do którego dołączył się jednomyślną uchwałą X zjazd lekarzy i przyrodników polskich we Lwowie w dniu 22 lipca 1907 r. Rozpoczęto teraz pracę nad zestawieniem pierwszego „inwentarza zabytków przyrody”, zbierając doń materiały przez rozesłane w dużej ilości kwestionariusze. Druki te rozesłano po ziemiach całej Polski, a więc także do innych byłych zaborów. Znaczną ilość odpowiedzi, jakie nadesłano, zużytkował Raciborski częściowo (o ile chodziło o osobliwości florystyczne) w publikacji pt. „Ochrony godne drzewa i zbiorowiska roślin” (Lwów, „Kosmos” 1910 r.), stanowiącej pierwszy załączek „inwentarza zabytków przyrody” całej Polski. Przez ukazanie się w druku wspomnianej publikacji, stworzony został wzór dla dalszej pracy w tym kierunku.

Obok przyrodników stanęli też do pracy leśnicy polscy. Na corocznych zjazdach Galicyjskiego Towarzystwa Leśnego zajmują się oni żywo sprawą ochrony przyrody. Rezolucje przyjęte przez zjazdy w r. 1912 i 1913, dowodzą należytego zrozumienia wśród nich hasła ochrony ginącej przyrody, zwłaszcza rzadkich gatunków drzew leśnych i wymierającej fauny pierwotnej. „Kółko przyrodnicze słuchaczy Wyższej Szkoły Lasowej” we Lwowie zbiera cenne materiały, odnoszące się do pierwotnych zbiorowisk leśnych, drogą rozesłania własnych kwestionariuszy. „Sylwan”, poczytny organ leśników małopolskich, ogłasza na łamach swoich artykuły, rozprawy i notatki dotyczące zabytków przyrody leśnej.

Widowym dowodem owocności tego ruchu wśród przyrodników i leśników były starania podejmowane wspólnymi siłami dla uzyskania większych rezerwatów leśnych w obszarach lasów państwowych, które tylko dlatego nie doprowadziły do celu, że przeszkodził temu wybuch wojny. [...]

Tym, czym była działalność Mariana Raciborskiego w kołach naukowych Małopolski, tym stała się w kołach literatów i artystów polskich działalność Jana Gwałberta Paulikowskiego. Wraz z Tadeuszem Kornilowiczem i Mieczysławem Limanowskim stworzył on Sekcję Ochrony Tatr w łonie Towarzystwa Tatrańskiego, a przez swą rozprawę pt. „Kultura a natura” (w czasopiśmie „Lamus” z r. 1913) dał

naszej literaturze ochroniarskiej jedną z najcenniejszych i najbardziej wpływowych publikacji.

Wspomnieć jeszcze muszę o podjętej próbie zainteresowania sprawą ochrony przyrody polskich władz autonomicznych byłego zaboru austriackiego, w pierwszej zaś linii Sejmu Krajowego. Rzecznikiem sprawy tej był przed forum sejmowym poseł Julian Brunicki, znany przyrodnik i badacz krajowej fauny motyli. Mowa jego wygłoszona w Sejmie dnia 15 listopada 1910 r., w której w sposób wymowny, a pod względem rzeczowej argumentacji doskonały, wystąpił z ideą ochrony przyrody, propagował myśl stworzenia, wzorem innych narodów, „rezerwacji”, czyli parków natury, oraz domagał się od Wydziału Krajowego przedłożenia Sejmowi „projektu ustawy o ochronie szarotki, limby, cisa i ewentualnie innych roślin na wymarcu będących”, przeszła niestety bez echa. Wydział Krajowy mimo uchwały Sejmu i mimo skierowanego doń w tej sprawie w rok później (1911) pisma F. Wilkosa, nie przystąpił do zorganizowania władz autonomicznych do pracy na tym polu. [...]

Warto wspomnieć na koniec krótko o prywatnej inicjatywie światłych jednostek z kół ziemiańskich na polu ochrony przyrody w tej części Polski. Na pierwszym miejscu wymienić tutaj trzeba stworzenie przez hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego w latach 90. ubiegłego wieku tzw. Pamiątki Pieniackiej, 40-morgowego rezerwatu leśnego, oraz utworzenie podobnych rezerwatów leśnych przez Adama hr. Stadnickiego w Nawojowej, przechowujących w sobie nieskalane piękno pierwotnej przyrody puszczy karpackiej. [...]

OŚRODEK WARSZAWSKI

Wobec braku jakiegokolwiek planowego ruchu, popieranego przez czynniki rządowe w kwestii ochrony przyrody w dawnym państwie rosyjskim, była działalność podjęta na ziemiach polskich byłego zaboru rosyjskiego aktem samopomocy społeczeństwa. Po przygotowaniu gruntu przez przyrodników grupujących się około warszawskiego „Pamiętnika Fizjograficznego”, a częściowo też koło „Wszechświata”, rozpoczęło ją samorządnie Polskie Towarzystwo Krajoznawcze, organizując w swym łonie na wiosnę r. 1908 Komisję Ochrony Osobliwości Przyrody. Niestety, w tym czasie brakło już na terenie b. Królestwa Kongresowego dostatecznej ilości przyrodników, pracujących na polu fizjografii krajowej, także hasło rzucone przez pionierów młodego, lecz bujnego ruchu krajoznawczego (Kazimierza Kulwiecia i Aleksandra Janowskiego), nie znalazło niestety oddźwięku. [...] Nie mogąc obudzić ruchu na zewnątrz, zwróciło się Towarzystwo Krajoznawcze do pracy wewnętrznej, przygotowawczej, oddając na usługi idei ochrony przyrody łamy swego doskonałego redagowanego tygodnika „Ziemia”. Pod stałym

tytułem „Ze skarbów naszej przyrody” stworzono w nim miejsce dla publikacji licznych artykułów i notatek, odnoszących się do polskich osobliwości przyrody. Owocem pracy wewnętrznej osobnej Komisji było zgromadzenie cennego zbioru fotografii, przeźrocy i map oraz dwie rozprawy popularyzujące ideę ochrony przyrody, K. Kulwiecia „Osobliwości i zabytki przyrody oraz ich ochrona” (1908) i Januarego Kołodziejczyka „Zabytki przyrody” (1917). Liczne fotografie i opisy pamiątkowych lub osobliwych drzew, rzadkich zwierząt i roślin, skał, źródeł i krajobrazów, zgromadzone w rocznikach „Ziemi”, tworzą znakomitą podstawę dla mającego powstać „inwentarza polskich pomników natury”.

Poza Towarzystwem Krajoznawczym zajmował się dużo sprawą osobliwości przyrodniczych znany i zasłużony statystyk lubelski [Henryk] Wiercieński, w którego zbiorach rękopiśmiennych (w Lublinie) znajdują się cenne zapiski, dotychczas jeszcze nie zużytkowane. Dla rozpowszechnienia idei ochrony przyrody nie małe też miało znaczenie wydawnictwo Zygmunta Wojcieckiego „Obrazy roślinności Królestwa Polskiego i krajów ościennych”, wychodzące w Warszawie od r. 1911, w którym umiejętnie spopularyzowano znajomość wielu polskich osobliwości florystycznych, przede wszystkim zaś zwrócono uwagę ogółu na wymierający w Polsce cis i modrzew polski.

Na koniec, podobnie jak w innych dzielnicach Polski, nie brakło i w zaborze rosyjskim także prywatnej, często bezimiennej inicjatywy w społeczeństwie, dzięki której ocalały zarówno liczne pojedyncze drzewa okazałe, rozrzucone po całym kraju, jak nie mniej liczne pamiątkowe aleje i stare parki dworskie, kryjące w sobie niejednego cenny pomnik natury. Z rezerwatów prywatnych, zawdzięczających swe powstanie jednostkom światłym i miłującym ojczystą przyrodę, wspomnę tutaj o rezerwacie leśnym w Złotym Potoku, gdzie pod nazwą „dzielniczy parkowej” wydzielił właściciel (hr. Raczyński) sporym szmat pięknego lasu mieszanego z grodziskiem przedhistorycznym pośrodku.

Tak przedstawia się w krótkim zarysie historia ochrony przyrody w Polsce podległej. [...]

Władysław Szafer

Powyższy tekst to fragmenty rozprawy Władysława Szafera, która ukazała się pod tym samym tytułem, jako rozdział drugiej pracy zbiorowej „Skarby przyrody i ich ochrona” pod redakcją W. Szafera, nakładem Państwowej Rady Ochrony Przyrody, Warszawa 1932. Ponadto w tym samym roku tekst ukazał się jako oddzielna odbitka (broшура), również nakładem PROP. Od tamtej pory nie była wznawiana. Poprawiono pisownię wedle obecnych reguł, oprócz zaznaczonych większych skrótów poczyniono także niewielkie (usunięcie nazw obcojęzycznych itp.), których nie zaznaczano.

Urbanistyka i krajobraz

Jerzy Hryniewiecki

Minęły czasy, gdy nazwą **urbanistyka** określano wyłącznie naukę o miastach. Dziś pod nazwą tą kryje się pojęcie o wiele szersze, urbanistyka dzisiejsza urosła bowiem do nauki ładu przestrzennego, stała się metodą planowania przestrzeni, kształtującą krajobraz ze wszystkich dostępnych jej elementów.

Urbanistyka XIX wieku była przede wszystkim chirurgią, która przeprowadzała radykalne operacje na chorych organizmach miast. Było to usuwanie objawów choroby bez niszczenia jej źródeł. Urbanistyka leczyła miasta, ale nie leczyła zdrowia ich ludności, dbając tylko o estetykę zewnętrzną i rozwój techniki.

Tymczasem ludność miast wymierała, degenerowała się. Trzeba było w urbanistyce, podobnie jak w medycynie, sięgnąć w głębokiej trosce o zdrowie, życie i szczęście mieszkańców po ratunek do przyrody. Rozpoczął się w stosunku do chorych miast okres **przyrodolecznictwa**.

Dziś wiedza o mieście uważa miasto za **organizm**, który jak każdy organizm podlega prawom przyrody. Dziś badamy wyroki natury ciężące nad miastami jako wielkimi skupiskami ludzkimi. Od razu rzuca się tu w oczy pierwsza oczywistość: człowiek nie może żyć dobrze tam, gdzie źle żyje drzewo lub inna roślina, z czego wypływa wniosek, że dla człowieka należy stworzyć przynajmniej takie warunki życia, jakie obowiązują dla świata roślinnego.

Urbanistyki dzisiejszej nie możemy zwięzić do kształtowania domów, ulic i placów. Dzisiejsze miasto jest tylko węzłowym punktem terenu, na który oddziałuje; miasto – to tylko punkt ciężkości okręgu czy regionu. To wreszcie tylko punkt zbiegu sieci dróg, wzdłuż których rozciąga się miasto coraz dalej, w miarę wzrastania szybkości komunikacji. Dlatego urbanistyka staje się dziś **architekturą krajobrazu** i główną nauką świadomego kształtowania tego krajobrazu.



Hugo Pfendsack, ilustracja do publikacji Emanuela Riggenbacha „Jak może młodzież chronić przyrodę?”, Kraków 1929 r.

Urbanistyka zajmuje postawę czynną w stosunku do krajobrazu [...] nie znaczy to jednak, aby chętnie widziała przypadkową ingerencję ludzką, działającą dla doraźnych celów a wnoszącą w przyrodę dewastację, która narusza przyrodzoną jej harmonię. W krajobrazowych wartościach widzi ona energię potencjalną i olbrzymie jej wartości, które mogą być dane życiu ludzkiemu, a za utratę których zapłacili mieszkańcy skupisk ludzkich degeneracją, chorobami, śmiertelnością i brakiem radości życia i radości

pracy. Krajobraz przyrodzony jest bowiem wartością analogiczną do wartości skarbów mineralnych lub wód leczniczych. Krajobraz trzeba eksploatować, a eksploatacja powinna wyglądać jak każda eksploatacja współczesna – musi być racjonalna i musi opierać się na zdobycach naukowych.

Problem dzisiejszego miasta nie ogranicza się do niewielkiej przestrzeni zabudowanej. Dziś granice miasta to granice obszaru objętego wpływami bezpośrednimi wielkiego skupiska ludności. Obszar ten musi zamknąć w swych granicach nie tylko mieszkanie i pracę człowieka, ale także odpoczynek oraz regenerację jego sił fizycznych i duchowych.

Obszar tych okręgów, czyli tzw. **regionów miejskich**, rośnie dzięki czynnikowi komunikacji, który jest funkcją czasu. Dziś promień miasta urasta do długości 50–70 km, co równa się ogólnie rzecz biorąc godzinnej odległości. Olbrzymie te przestrzenie muszą być zorganizowane funkcjonalnie, a przy tym człowiek miasta musi znaleźć na nich niezbędny dla jego normalnego życia kontakt z naturą. Dlatego to stoimy dziś w obliczu hasła: „parki natury w pobliżu miast”.

Hasło to brzmi w obecnej rzeczywistości paradoksalnie. Wystarczy spojrzeć na obecny stan terenów podmiejskich, na potworną dewastację okolic każdego większego skupiska (u nas zwłaszcza Warszawy). Musimy stwierdzić, że w promieniu działania miasta nie ma zwykle ani jednego skrawka natury ocalałej przed skutkami pogromu, kierowanego dziką i bezplanową ekspansją skupisk ludzkich. Czasem w martwych komunikacyjnie i gospodarczo sektorach zachowują się jakieś kalekie strzępki pierwotnego krajobrazu, które w tym stanie, w jakim się znajdują, nie mogą wszakże zaspokoić masowych potrzeb ludności kontaktu z naturą. [...]

Powrót do dawnych form jest często niemożliwy. Wielkie przemiany techniczne, które oczekują nasz kraj, zmieniają jego oblicze. Mam poważne obawy, że dzieła takie, jak regulacja Wisły, tamy na jej górskich dopływach, jazy wzdłuż jej biegu, kanały, nowoczesna sieć drogowa itp. wywołają radykalne zmiany w krajobrazie. Obawiam się, że zmiany te stworzą formy przypadkowe i nieprzemysłane. Co się np. stanie po regulacji Wisły z krajobrazem Kazimierza lub Sandomierza? Już dziś problemy te muszą być wzięte pod uwagę, już dziś powinna się rozpocząć nad tym dyskusja, już dziś powinna się rozwinąć pełna współpraca między przyrodnikami i Głównym Urzędem Planowania Przestrzennego Kraju.

Musimy przeprowadzić wyraźny podział funkcjonalny terenów. Życie miast i ich rozwój musimy ograniczyć do terenów na to przeznaczonych. Nie stać nas dziś na rozpraszanie wysiłków technicznych i ekonomicznych na nie ograniczonych ściśle przestrzeniach. Pozostałe tereny muszą się stać

programowo i bezwzględnie terenami niebudowlanymi, terenami przyrody. [...]

Dawniejsze wizerunki miast wskazują, do jakiego stopnia kompozycje architektoniczne wiązały się ściśle z formami krajobrazu. Miasta dawne zmieniały krajobraz, ale go jednocześnie podkreślały. Może ówczesna technika nie była na tyle silna, aby móc przechodzić do porządku nad układami terenowymi, a może kultura dawnych czasów więcej rozumiała życie natury. Obecnie możliwości techniczne są prawie nieograniczone w stosunku do sił natury, ale dziś też, tak jak nigdy przedtem, nie możemy pozwolić sobie na marnotrawstwo – największym marnotrawstwem jest bowiem nie branie pod uwagę warunków przyrodniczych. [...]

Wielką rolę w dzisiejszej urbanistyce gra las. Dla miast zieleń ma wartość jedynie w formie drzew, a drzewa przedstawiają wartość głównie w skupieniach. Zdrowie mieszkańców miast oceniamy ilością lasów miejskich i podmiejskich. Las musi wchodzić do miasta wzdłuż szlaków komunikacyjnych, musi otaczać je jako izolacyjna bariera przeciw wiatrom i dymom oraz jako ochrona szlaków drogowych. A więc zadrzewianie i zalesianie – oto hasła aktualne! Drzew mamy w miastach mało, większych skupisk drzew jeszcze mniej. Musimy stworzyć wielką akcję zadrzewiania i to wszystkich terenów miejskich. Mobilizacja szkółek drzew, miliony nowo zasadzonych drzew dopiero z trudem wyrównają kiedyś w naszym pokoleniu straty wojenne, a przecież i stan przedwojenny był daleki od doskonałości. Środki lokomocji rozrzuciły ludzi na szerokich przestrzeniach regionów czy okręgów miejskich. Człowiek jeździ do pracy, spędza moc czasu w środkach transportu: stwórzmy mu drogę piękną krajobrazowo, aby jego droga do pracy i z pracy była rekompensowana wartościami estetycznymi i higienicznymi.

Krajobraz drogi i droga w krajobrazie są to dwa zagadnienia. Trasy dróg muszą przebiegać zgodnie z warunkami natury. Trzeba wreszcie zrozumieć, że droga nie jest wyłącznie zagadnieniem linearnym. Musi być komponowana jako cała przestrzeń widoczna z drogi i przestrzeń, z której ta droga jest widoczna. Znamy wiele tras kolejowych o pięknych widokach z okna wagonu, ale krajobraz jest zszpecony właśnie tą samą linią kolejową. Trasy dróg muszą być projektowane jako zagadnienie kompozycji przestrzennej i to wszędzie, a nie tylko na terenach o specjalnych wartościach turystyczno-krajobrazowych. [...]

Krajobraz pierwotny występuje tylko w niewielu punktach kraju. Pozostałe połączy to krajobraz urobiony ręką ludzką. Nie pozbawia go wszakże piękna fakt, że ręka ludzka go kształtowała. Krajobraz rolniczy – to natura zrytmizowana. Człowiek poznał prawa natury, poznał rytmy przyrody i rytmy te

zrealizował w krajobrazie. Rytm pól, szachownice sadów owocowych, tarasy stoków z winnicami.

Człowiek wprowadził do przyrody linie proste i powierzchnie geometryczne. W tych rytmach krajobrazu musimy odszukać wymiary istotnie właściwe, zastosowane w skali do wielkości życia, do wysokości drzew, do nachylenia stoków. W dobie przebudowy ustroju rolnego, w dobie planowej przebudowy osiedli wiejskich, gdy w oczach naszych zmienia się krajobraz, musimy zapanować nad bezmyślnym krajaniem przestrzeni w martwe, bezsensowne, schematyczne figury, będące wynikiem bezmyślnych ocen wartości gruntów, musimy z powrotem zorganizować osiedla wiejskie, zbierając rozpędzone przez geometrów domy z różnych miejsc nie nadających się do mieszkania, musimy otoczyć osiedla wiejskie zwartymi przestrzeniami sadów. Jeśli zaniedbamy teraz to uczynić, to nasz krajobraz wiejski zmieni się w jeden wielki poligon przypadku. Musimy znaleźć jak najprędzej dla sprawy tej pomoc fizjografów i przyrodników, bo każdy dzień przynosi nam fakty dokonane i każdy dzień przekreśla bezcenne wartości żywe naszego krajobrazu.

Następną ważną sprawą jest zagadnienie architektury w krajobrazie, a zwłaszcza skali architektonicznej – pojęcia zasadniczego, jeśli chodzi o określenie wartości, jakie architektura wnosi z sobą do natury. Architektura dobra przedstawia w pejzażu wymiar człowieka. Architekturą mierzymy wielkość natury i dlatego naszą główną troską powinno być, aby ta skala ludzka nie zatraciła się w gigantycznych wymiarach budynków. Tylko bezmiar morza lub pustyni może pozwolić sobie na skalę Manhatanu lub piramid, ale стоимy wówczas przed faktem świadomego zgubienia skali.

Aby utrzymać skalę budownictwa, natura sama dyktuje wymiary i dlatego zawsze bezpieczniej jest, gdy architektura powstaje z podłoża, na którym stoi, lub z materiału, jakim jest otoczona. Na przykład podolska chata glinobitna, podhalański dom drewniano-kamienny lub wreszcie kamienne miasteczka włoskie czy hiszpańskie są integralną częścią krajobrazu. Budownictwo takie nie jest niczym innym, jak ułożeniem w inny sposób składników krajobrazu, ułożeniem ich w pewnym porządku, zgodnie z prawami fizycznymi materiału. Jest to tylko jakby wyzwolenie praw statyki i rytymizowanie ich w postaci budynku. Gdy budynki powstają z podłoża, wielkość ich jest zawsze w określonych proporcjach do wymiarów dyktowanych przez naturę, jak wymiary drzew, wielkość okruchów skalnych, długość trzciny lub słomy. Dlatego budownictwo ludowe jest zawsze pełnowartościowym składnikiem krajobrazu, „wypowiadając” go językiem architektury. [...]

Dotychczas przyzwyczailiśmy się, że kopalnie, fabryki, koleje lub drogi były dysonansem w ogólnej harmonii natury, elementem obcym w krajobrazie.

Hugo Pfendsack, ilustracja do publikacji „Jak może...”



Rzeczywiście, „wiek pary i elektryczności”, okres racjonalistycznej wiary we wszechmoc techniki porzucił niedoskonałe technicznie i ohydne w swych czysto merkantylnych formach fabryki, mosty i inne urządzenia techniczne w najbardziej przypadkowo wybranych miejscach. O wyborze miejsca na fabrykę lub o trasie drogi albo kolei decydowały wyłącznie względy pieniężne. Sam teren, czyli krajobraz, tworzył tylko białe plamy na mapach podziałów własnościowych, zaś cena gruntów była jedynym kryterium w wyborze miejsca. Nic dziwnego, że w dziedzictwie po tym okresie otrzymaliśmy naruszenie ładu przestrzennego i przekonanie, że technika i natura to najzawziętsi wrogowie.

A przecież dawniej było inaczej. Gdy dziś spojrzymy na dzieła techniki przeszłości, gdy oglądamy dawne zamki obronne, mosty, młyny, drogi górskie, to musimy stwierdzić, że chociaż są to inwestycje czysto techniczne, pomimo to stanowią nieraz uspaniałe uzupełnienie i podkreślenie wartości krajobrazowych. Z tego wypływa wniosek, że na rolę techniki w krajobrazie wpływa przede wszystkim wybór miejsca, zaś miejsce dyktuje sama natura. [...]

Prawdziwa, wielka inżynieria to współpraca z naturą, to wyzyskanie praw rządzących zjawiskami natury i danie człowiekowi nowych ram życia przez stworzenie form, które są tej natury dopełnieniem i wyjaśnieniem.

„Człowiek uwielokrotniony” przez technikę i przemysł wtedy tylko może żyć pełnią życia i szczęścia, jeśli technika, którą się posilkuje, jest zdrowa, jeśli jej sens nie gubi się w walce z naturą, jeśli to, co daje technika, nie było zapłacone tym, co straciła przyroda. Wielkie, szczytowe osiągnięcia techniki zawsze są uspaniałym dopełnieniem krajobrazu. Są to bowiem te same prawa natury przedstawione w swej najczystszej, prawie matematycznie czystej



formie. Są skalą przyrody. Wielkie mosty określają rozpiętość dolin i szerokości rzek, potężne tamy swoją masą i profilem uzmysławiają nam potęgę i ilość wód przeciekających normalnie niepozornymi często strumykami. Drogi górskie swymi serpentykami podkreślają stromizny na pozór łagodnych stoków.

Lecz aby powstał ten efekt, musi być zachowany jeden warunek: proporcja wysiłku do celu. Ciężkie i wielkie konstrukcje stalowe, niosące mizerny wagonik kolejki linowej lub palisada prześel mostowych, przykrytych ciężką kratownicą po to, aby od czasu do czasu dźwignąć na sobie parę samochodów lub wagonów, są zaprzeczeniem sił przyrody, są intruzem w krajobrazie, są ohydne jak objaw nadmiernego wysiłku, są tym, czym są krople potu na czole chorego człowieka. Pod pozorami ciężaru i mocy ukrywają one swą słabość, zaś słabością główną dzieł techniki jest jej niezgodność z krajobrazem i z warunkami natury. Na pewno most o zbyt gęstych, grubych i ciężkich filarach stoi w złym miejscu, na pewno linia kolejowa otoczona szeregiem płotków ochronnych, podparta szeregiem przepustów i murków, jest źle wytrasowana. [...]

Gdy myślimy o ochronie krajobrazu lub gdy chcemy zachować głębokie jego wartości w czasach wielkich przemian, musimy sobie zdawać sprawę z tego, do jakiego stopnia ingerencja czynników technicznych jest dopuszczalna i jakie dzieła techniki i architektury wejdą w skład nowego oblicza naszej ziemi. Od dzieł techniki musimy wymagać doskonałości technicznej i słusznego wyboru miejsca – od dzieł architektury musimy wymagać przede wszystkim skali. Skali człowieka i skali krajobrazu. Sprawa architektury w krajobrazie to nie sprawa tych czy innych form regionalnych czy ornamentów miejscowych. Sprawa architektury to głównie sprawa wymiarów i materiału, z którego architektura powstaje w danym terenie, a przy tym doskonałości technicznej. Bowiem techniczna doskonałość – to

wyczucie zarówno podłoża, jak i klimatu, wyzyskanie właściwości materiału, jak i wypowiedzenie fizycznych praw w formie jasnej i zrozumiałej – to wreszcie podkreślenie romantyzmu przyrody przez proste linie i rytmy form architektonicznych.

Dlatego chroniąc krajobraz ojczysty nie powinno się wydawać nakazów budowania w tym czy innym „stylu” regionalnym, nie można definiować w tych nakazach, jakie powinny powstawać formy architektoniczne czy techniczne, bo to prowadzi do zwyrodnienia form (liczne przykłady nieszczęśliwego stosowania „stylu zakopiańskiego”, tyrolszczyzny lub innych eksperymentów w rodzaju stylu „dworcowatego” na kolei itp.). [...]

Aby tworzyć krajobraz, nie można narzucać inwestycjom tych lub innych nakazów czy dezyderatów, lecz w ciągłej współpracy przyrodników i urbanistów tworzyć wspólne dzieło.

Żyjemy w czasach, gdy bezwodne pustynie zmieniają się we wspaniałe ogrody, dzikie rzeki stają się spokojnymi taflami jezior – tworzy się nowy krajobraz, inny od zadymionego śmietnika dziewiętnastowiecza, inny od pompacyjnych lub sentymentalnych perspektyw parkowych XVII i XVIII wieku, inny wreszcie od odwiecznych puszczy i stepów dawnych czasów. Powstaje krajobraz XX wieku, wieku powrotu do natury, ale nie w jej najpierwotniejszej formie, lecz w formie wyzwolenia i uznania jej praw.

Planowanie przestrzenne tworzy dziś ramy nowego krajobrazu Polski.

Jerzy Hryniewicz

Powyższy tekst to skrócony zapis referatu wygłoszonego przez autora 21 września 1945 r. w Krakowie podczas pierwszego dnia zjazdu reaktywowanej Państwowej Rady Ochrony Przyrody. Drukiem ukazał się w „Pamiętniku XIX Zjazdu Państwowej Rady Ochrony Przyrody”, Kraków 1945. Od tamtej pory nie był wznawiany, wprowadzono zaznaczone skróty.

Gigant Czynu – ksiądz Piotr Wawrzyniak

dr hab. Rafał Łętocha

W drugiej połowie XIX w. wzmożły się w Wielkopolsce naciski germanizacyjne przy zastosowaniu nowych metod. Zmagania odbywały się na kilku płaszczyznach, zarówno duchowej, jak tzw. walka o duszę, kulturę i język, jak i materialnej – o ziemię czy miasta. Sprawy religijne ściśle spletały się tutaj z narodowościowymi, choćby z tego powodu, iż antyrelijne i antypolskie zarządzenia władz zaborczych szły w parze. Stąd też duże zaangażowanie duchowieństwa we wspomniane kwestie i czołowa pozycja, jaką odgrywało ono na froncie tej walki.

Jednym z pionierów i liderów zmagania na tym odcinku, ale i działalności społecznej duchowieństwa na ziemiach polskich, był niewątpliwie ks. Piotr Wawrzyniak. Można wręcz powiedzieć, iż stanowił punkt odniesienia i wzór kapłana-społecznika. Liczba różnego rodzaju inicjatyw, w które się zaangażował, a najczęściej je współtworzył, jest imponująca. Sama lista funkcji pełnionych przez niego społecznie, może przyprawić o zawrót głowy: prezes Towarzystwa Przemysłowego św. Wojciecha w Śremie, dyrektor Banku Ludowego w Śremie, patron Związku Towarzystw Przemysłowych, patron Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych, prezes Związku Kapłanów „Unitas”, prezes Związku Fabrykantów na Rzeszę Niemiecką, i kilkanaście innych.

Był osobą, która realizowała się przede wszystkim w konkretnej „robocie”. Nie zostawił po sobie w zasadzie żadnych pism (oprócz tekstów wykładów, zazwyczaj o charakterze stricte instruktażowym), nie tworzył rozwiniętych koncepcji teoretycznych, skupiając się na codziennej, mozolnej pracy. Jak sam podkreślał, praca społeczna w warunkach, z jakimi miano wówczas do czynienia, stanowiła wręcz obowiązek kapłana. Pisał, iż księża *muszą naśladować onych mężów izraelskich, którzy*



© Kłapi (http://pl.wikipedia.org/wiki/Wikipedyista:Kłapi), http://upload.wikimedia.org/wikipedia/commons/c/Cb/Piotr_Wawrzyniak_tablica_%C5%99Arem.jpg

obleżoną Jerozolimę fortyfikowali, dzierżąc w jednej ręce miecz, a w drugiej kielnie dla wznoszenia murów. Tym mieczem jest dla nas praca około społeczeństwa w jednej ręce, podczas gdy drugą trzymamy się ołtarza i krzyża. Kto by z nas zadania swego nie rozumiejąc, obydwu rękami trzymał się ołtarza, ten święty zostanie, ale obowiązków całego człowieka nie wykona.

Piotr Wawrzyniak urodził się w zamożnej rodzinie chłopskiej w Wyrzece (powiat kościański) 30 stycznia 1849 r. Jako dziecko podjął naukę

w wiejskiej szkole elementarnej, w 1858 r. natomiast w gimnazjum w Śremie, którą wkrótce musiał przerwać w związku z brakami w wykształceniu. Dopiero po ich uzupełnieniu w domu, wrócił po pół roku do szkoły.

Drugi raz przerwał naukę w 1863 r., gdy na wieść o wybuchu powstania styczniowego udał się do lasów, gdzie przez kilka tygodni bez powodzenia szukał jakiegoś oddziału zmierzającego do Królestwa Polskiego. W czasie nauki w śremskim gimnazjum zetknął się z organizacją konspiracyjną „Marianie”, której program zakładał samokształcenie w dziedzinie historii i języka polskiego. Wawrzyniak został członkiem organizacji w 1865 r., a już w 1866 r. wybrano go prezesem.

Po ukończeniu gimnazjum, w 1867 r. rozpoczął studia filozoficzno-teologiczne w Poznaniu, które od 1870 r. kontynuował w seminarium w Gnieźnie. Bardzo dobre wyniki na egzaminach sprawiły, iż zainteresował się jego osobą ks. abp Mieczysław Ledóchowski, który doprowadził do przyznania Wawrzyniakowi stypendium i wysłania go na studia teologiczne do Monastyrzu. Uniwersytetu w Monastyrze jednak nie ukończył, w lipcu 1872 r. wrócił na studia w gnieźnieńskim seminarium, które wkrótce sfinalizował, po czym 11 sierpnia otrzymał święcenia kapłańskie z rąk ks. bpa Józefa Cybichowskiego.

Po przyjęciu święceń, władze kościelne skierowały ks. Wawrzyniaka na stanowisko wikariusza w parafii pw. Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Śremie, gdzie początkowo pracował z innym znanym społecznikiem, późniejszym prymasem Polski, ks. Florianem Stablewskim. **On właśnie zaszczerpił w ks. Wawrzyniaku zainteresowanie sprawami społecznymi wciągając go do pracy w funkcjonującej w Śremie Kasie Oszczędności i Pożyczek.**

Wawrzyniak dość szybko, mimo iż nigdy wcześniej nie zajmował się systematycznie ekonomią, mocno zaangażował się w działalność placówki. Robił to na tyle skutecznie, iż wkrótce zaczął pełnić funkcję opiekuna Kasy, która w 1873 r. z jego inicjatywy została przekształcona w Bank Ludowy. Ksiądz Wawrzyniak wszedł w skład jego zarządu w charakterze wicedyrektora, natomiast od 1876 r. przez następne 20 lat pełnił obowiązki dyrektora śremskiego banku, po rezygnacji z tego stanowiska objął natomiast funkcję prezesa jego rady nadzorczej, którą sprawował aż do śmierci. Bez żadnej przesady można powiedzieć, że **to właśnie on przekształcił wegetującą instytucję w dynamiczną placówkę, dysponującą pokaźnym kapitałem – liczba członków i wysokość udziałów pieniężnych za czasów jego rządów zwiększyły się ponad trzydziestokrotnie.** W sprawozdaniu spółdzielni

z 1883 r. dano temu wyraz, pisząc, iż *Jemu zawdzięczamy owo powszechne zaufanie, jemu rozwój i wzrost naszego banku.*

Od początku działalności w banku, ks. Wawrzyniak dążył do powiązania go z innymi inicjatywami. Dlatego już w 1873 r. wziął udział w zjeździe Związku Spółek Zarobkowych i Gospodarczych, pierwszego zrzeszenia polskich spółdzielni, powołanego w 1871 r. przez Mieczysława Łyskowskiego, Franciszka Rakowicza i ks. Augustyna Szamarzewskiego. Stanowiło ono centralę koordynującą działalność rodzimych banków i spółdzielni oszczędnościowo-kredytowych. Kierowany przez niego bank przystąpił do Związku 5 lat później. Sam ks. Wawrzyniak w 1883 r. został wybrany do zarządu ZSZiG, od 1887 r. pełnił w nim obowiązki wicepatrona. Po śmierci w 1891 r. kierującego Związkiem ks. Szamarzewskiego, to właśnie Piotr Wawrzyniak został jednogłośnie wybrany na stanowisko patrona – funkcję tę pełnił do końca życia.

O roli patrona tak pisał dr Józef Kusztelan: *Czuwa nad porządkiem w Spółkach, daje rady i wskazówki, służy pomocą w trudnych okolicznościach, bada niedomagania i poucza, jak je usunąć, wytyka błędy, wskazuje drogę do poprawy, gdzie potrzeba gani i karci, to znowu staje w obronie, gdy niepowołani szarpią dobre imię spółek. W spółkach samych jest tym, który dogląda dobra wszystkich tych, którzy składają w kasach spółkowych swe oszczędności i swe mienie – wobec społeczeństwa przejmuje odpowiedzialność za prawidłowe i sumienne wykonywanie tych funkcji, które zarządy i władze kontrolujące wypełniać powinny w administracji Spółek.*

Sprawując funkcje kierownicze w spółdzielczości, ks. Wawrzyniak skupiał się na propagowaniu wśród ludności polskiej nawyku oszczędzania oraz lokowania nadwyżek pieniężnych w bankach. Na zebraniach, spotkaniach, wiecach, ale i podczas kółekowania głosił, iż przyzwyczajenie oszczędzania należy w sobie wykształcić. Jednocześnie po powstaniu pierwszych polskich spółek kredytowych apelował o pobieranie z nich pożyczek. Przyniosło to pożądany skutek, tak iż **po latach mógł z satysfakcją skonstatować usunięcie lichwiarstwa, które – jak stwierdzał – należy u nas już do legendy i wspomnień minionych czasów.**

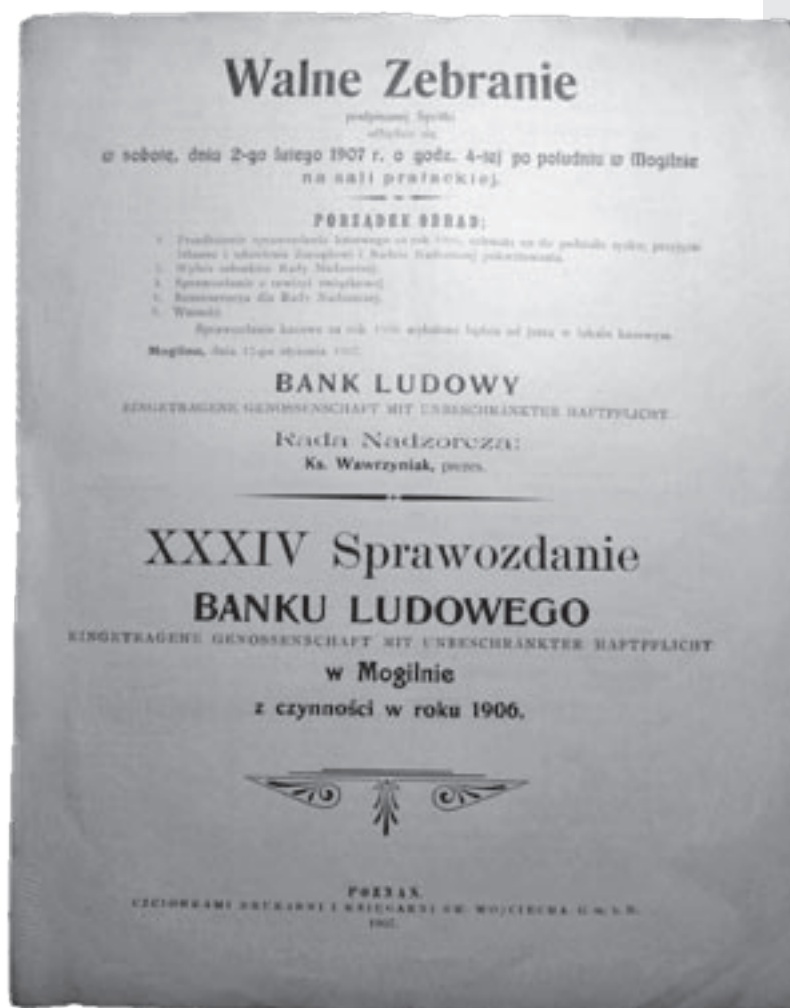
Obserwując działalność poszczególnych spółdzielni, ks. Wawrzyniak zauważył, że **jedne z nich mają nadwyżki pieniędzy, inne cierpią na niedobór środków.** W związku z tym zrodziła się w jego głowie idea powołania banku spółdzielczego, w którym jedne ze spółek mogłyby deponować niewykorzystywane zasoby pieniężne, drugie zaś zaciągać kredyty. W ten sposób powstał w 1886 r. Bank Związku Spółek

Zarobkowych. Pomysłodawca zasiadał w jego pierwszej radzie nadzorczej, a później aż do śmierci pełnił funkcję kuratora.

Spółdzielczość odgrywała istotną rolę, jeśli chodzi o utrzymanie polskiego stanu posiadania w gospodarce w Wielkopolsce i Prusach Zachodnich. Stanowiła skuteczne narzędzie walki z polityką realizowaną przez pruską Komisję Kolonizacyjną, dążącą do wykupienia ziemi z rąk polskich i przekazania niemieckim osadnikom. Ksiądz Wawrzyniak, aby być skutecznym, musiał działać na tym polu bardzo ostrożnie. Pilnował bardzo skrupulatnie, aby nie dać władzom zaborczym żadnego pretekstu do działań wymierzonych w polskie spółki. W związku z tym musiały one powstrzymywać się od jakiejkolwiek działalności politycznej. Jak podkreślał, spółki przede wszystkim mają na celu podnoszenie dobrobytu i muszą stać ponad wszelkimi walkami stronnictw, różnicami wyznaniowymi i narodowościowymi. Wyrazem takiej polityki ks. Wawrzyniaka była jego reakcja na zarządzenie władz pruskich z 1904 r., nakazujące wycofanie przez niemieckich urzędników i członków ich rodzin depozytów z polskich banków. Część polskich spółdzielni w odpowiedzi miała zamiar zażądać od Niemców natychmiastowego zwrotu udzielonych pożyczek. Wawrzyniak jednak skutecznie odwiódł je od tego typu rewanżystowskich działań, zdając sobie sprawę, iż mogłyby one w perspektywie długofalowej wyjść im samym na szkodę.

Zasługą ks. Wawrzyniaka było również uporządkowanie spraw wewnętrznoorganizacyjnych w Związku. Z jego inicjatywy powstał w 1891 r. statut Związku, a w 1892 r. regulamin patronatu. Określiły one obowiązki i uprawnienia poszczególnych funkcjonariuszy i ciał kolegialnych organizacji, jej zakres terytorialny, najwyższą i najniższą liczbę spółek związkowych, warunki przynależności do zrzeszenia, zasady rewizji itp. W pracy organizacyjnej Związku ważną rolę odgrywało jego walne zebranie, zwane sejmikiem – ks. Wawrzyniak zwiększył częstotliwość zebrań: zamiast raz na trzy lata, miały obradować rokrocznie. Zmiana ta okazała się niezwykle doniosła w skutkach, bowiem częstsze spotkania pozwoliły na szybsze reagowanie w przypadku nieprawidłowości, a także na lepsze koordynowanie działalności i sprawną wymianę członków poszczególnych komisji, którzy nie sprawdzali się w pracy.

Z inicjatywy Wawrzyniaka zaczął się ukazywać w 1892 r. oficjalny organ Związku – „Poradnik dla Spółek”. Na jego łamach informowano o przepisach dotyczących pracy związkowej, podatkach, sposobie prowadzenia dokumentacji oraz o sukcesach ruchu spółdzielczego. Dla tych samych celów ks. Wawrzyniak napisał swoisty podręcznik spółdzielcy pt. „Wskazówki dla członków rady nadzorczej



w spółkach”, stąd też mówi się czasami nawet o „szkole” Wawrzyniaka, jeśli chodzi o kształcenie administracji spółdzielczej. Dzięki tego rodzaju działaniom, a także organizowanym z jego inicjatywy wykładom i kursom doszło bowiem do wykształcenia odpowiednio licznej i kompetentnej kadry spółdzielczej, z czym wcześniej były poważne problemy.

Wielką uwagę przykładął również do kontroli poszczególnych spółdzielni, zwanej rewizją – przez lata sprawowania urzędu patrona dokonał ich osobiście ponad 500. W związku z tym, iż chciał mieć pieczę nad wszystkim, osobiście wielu rzeczy dopilnować, ciągle był w rozjazdach. Niezwykłą aktywność ks. Wawrzyniaka dobrze ilustruje fragment listu, w którym przedstawia najbliższe plany: *We wtorek dnia 19 VI 1897 roku będę w Berlinie, w piątek w Raszkowie, w poniedziałek w Brodowie, w środę w Krakowie. Tam myślę trochę pobobrować po Galicji, zwłaszcza u Huculów za Kołomyją. Nie wiem, czy się to uda, jeżeli będę musiał być około 20 VII w Berlinie. Zamierzam wpaść na parę dni do Sztokholmu. W liście zaś pisanym trzy lata później, czytamy: *Dziś wyjeżdżam do Śremu,**

a wracam w piątek; we wtorek po Wielkiej Nocy będę w Węgiecach, a w środę w Hrabsku na rewizji gospodarczej, czwartek w Pakości, w niedzielę w Gębicach, w poniedziałek 23 mamy wielki wiec w Gnieźnie od godz. drugiej. Wieczorem wyjadę o godz. 8.22 z Gniezna i przybędę do Bydgoszczy o godz. 10.44. We wtorek dnia 24 wyjadę rano o godz. 8, skąd wrócę tak, iż w Mogilnie będę na 9 wieczorem. Nazajutrz mam tutaj procesję św. Marka.

W latach sprawowania przezeń funkcji patrona Związku **organizacja przeżyła niezwykle rozkwit. Liczba spółdzielni w nim zrzeszonych wzrosła z 76 w 1891 r. do 248 w 1910 r., liczba członków z 26 553 do 116 849, zaś aktywa spółdzielni przyrosły z 18 mln marek do 234 mln.**

Wawrzyniak utrzymywał ścisłą współpracę ze spółdzielniami z ziem polskich z innych zaborów, pozostawał w przyjaźni z czołowym ich działaczem w Małopolsce, dr. Franciszkiem Stefczykiem, również w Królestwie Polskim wygłaszał odczyty nt. spółdzielczości czy wizytował tamtejsze kooperatywy kredytowe. Za sprawą ks. Wawrzyniaka Związek rozwinął kontakty międzynarodowe, na jego zaproszenie przybył w 1893 r. do Wielkopolski działacz spółdzielczości angielskiej, Henry W. Wolff, na którym duże wrażenie zrobiły dokonania polskiego kooperatywnego pod panowaniem pruskim. Na skutek tego Związek Spółek Zarobkowych i Gospodarczych został przyjęty do powstałego dwa lata później International Co-operative Alliance, na czele którego stał właśnie Wolff.

Obok spółdzielczości kredytowej, ważnym polem działalności ks. Wawrzyniaka było rolnictwo, a przede wszystkim kółka rolnicze, z którymi współpracował od początku kapłaństwa. Już w 1872 r. uczestniczył w charakterze obserwatora w zebraniach pierwszego w Wielkopolsce Kółka Rolniczego w Dolsku, wkrótce potem został wybrany prezesem Kółka w Zbrudzewku Śremskim, następnie zaś, w 1878 r. – w Śremie. Temu ostatniemu prezesował aż do 1898 r., kiedy to objął probostwo w Mogilnie, w nowej parafii od razu zresztą wszedł do zarządu Towarzystwa Kółek Rolniczych na powiat mogileński. Brał również aktywny udział w zebraniach Związku Kółek Rolniczych prowincji poznańskiej.

To wszystko natchnęło go do **utworzenia polskich spółdzielni handlowych, zajmujących się skupem produktów rolnych i zaopatrywaniem wsi w nawozy oraz inne artykuły.** Pierwsza tego rodzaju spółdzielnia powstała w Poznaniu w 1901 r. pod nazwą „Rolnik”, następne zostały zorganizowane przez niego w Żninie, Wrześni, Śremie, Pakości, Kcyni, Barcinie. „Rolniki” stanowiły niezwykle ważny instrument w walce handlu polskiego z ekonomicznie silniejszymi i dyktującymi

w związku z tym wyższe ceny przedsiębiorstwami niemieckimi i żydowskimi.

Na tym nie koniec jego zaangażowania społecznego. Innym polem aktywności księdza stały się inicjatywy edukacyjne. W 1873 r. wybrany został prezesem Towarzystwa Przemysłowego, skupiającego głównie rzemieślników – jego zasadniczym celem było podniesienie kultury zawodowej i osobistej członków. Podczas spotkań Towarzystwa ks. Wawrzyniak wygłaszał liczne wykłady z zakresu religii, historii, ekonomii, techniki, organizował zabawy, wieczornice, obchody rocznic narodowych, wycieczki. Z jego inspiracji powołano także szkołę wieczorową dla rzemieślników, w której nauczał arytmetyki, geografii gospodarczej i korespondencji kupieckiej – niestety placówka po pół roku została zamknięta przez władze pruskie. Po przeniesieniu na parafię w Mogilnie, zrezygnował z funkcji prezesa Towarzystwa Przemysłowego w Śremie, wszedł jednak natychmiast do zarządu Towarzystwa Przemysłowego w Mogilnie. W 1876 r. założył w Śremie pierwszą czytelną ludową, która przekształcona została w ogień Towarzystwa Czytelni Ludowych, którego zresztą ks. Wawrzyniak był aktywnym działaczem. Również z jego inicjatywy rok później powołano stowarzyszenie czeladzi katolickiej, mające sprawować opiekę nad młodzieżą rzemieślniczą.

Pomimo fiaszka „szkoły wieczorowej dla rzemieślników”, ks. Wawrzyniak nie porzucił idei stworzenia polskiego szkolnictwa zawodowego. W 1896 r. założył w Śremie Szkołę Gospodarstwa Kobięcego i Pracy Domowej, która w ciągu 14 lat istnienia wychowała 1000 uczennic z Wielkopolski, Prus Zachodnich, Śląska, ale i Królestwa Polskiego. Również jako członek Towarzystwa Pomocy Naukowej im. Karola Marcinkowskiego wspierał Wawrzyniak, także materialnie – w 1897 r. przekazał z własnych oszczędności na jej „fundusz żelazny” 10 000 marek – polską młodzież pobierającą nauki w szkołach zawodowych, średnich i na uniwersytetach. W latach 1893–1898 pomagał finansowo i służył wsparciem również Towarzystwu Naukowemu i Bratniej Pomocy oraz polskim organizacjom studenckim w Berlinie.

W 1893 r. kandyduje do sejmu pruskiego i wygrywa wybory w okręgu Śrem, Środa, Września. Mandat poselski pełnił do 1898 r., wykazując dużą aktywność w działalności sejmowego Koła Polskiego. Po wygaśnięciu mandatu ubiegał się o reelekcję, jednak bezskutecznie. W 1902 r. objął natomiast szefostwo w Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu. Pod jego wodzą nabrała rozmachu, drukując coraz więcej książek i czasopism o tematyce religijnej i narodowej. Jedną z cenniejszych inicjatyw tamtego

okresu było powołanie do życia dwutygodnika „Ruch Chrześcijańsko-Społeczny”, będącego pismem o profilu społeczno-ekonomicznym, które spełniło nieocenioną rolę w propagowaniu na ziemiach polskich społecznego nauczania Kościoła.

Nowatorskie i pomysłowe były też jego inicjatywy na rzecz poprawy doli księży. W 1907 r. założył Związek Kapłanów „Unitas”, będący swego rodzaju związkiem zawodowym duchowieństwa. Organizacja zajmowała się ubezpieczeniami od nieszczęśliwych wypadków, chorób, śmierci, odpowiedzialności prawnej, ognia czy włamań, a także emeryturami, organizowaniem życia naukowego i towarzyskiego. „Unitas” promował polskie towarzystwa ubezpieczeniowe, z których wcześniej księża często nie korzystali m.in. wskutek braku informacji. W 1909 r. zaangażował się zaś w ideę powołania do życia domu wypoczynkowego dla kapłanów, organizując Towarzystwo Domu Zdrowia dla Kapłanów Katolickich i samemu przeznaczając na ten cel 10 000 koron. „Księżówkę” otwarto w Zakopanem wiosną 1910 r.; w pensjonacie mogli wypoczywać duchowni z całej Polski.

Ks. Piotr Wawrzyniak zmarł 9 listopada 1910 r. wieczorem (urzędowe stwierdzenie śmierci nastąpiło po północy, stąd czasem podaje się datę 10 listopada). Uroczystości żałobne rozpoczęły się 12 listopada w Domu Katolickim w Poznaniu, stamtąd kondukt przeszedł do świątyni farnej w tym mieście. Homilię wygłosił ks. Jan Kłos, który nazywał ks. Wawrzyniaka „królem czynu”. Przy tym wszystkim, jak zauważył, ks. Wawrzyniak nie po to **rozsiewał zasady spółkowego gospodarstwa i zakładał spółki na dobrodziejstwo i na dźwignię maluczkich i wyzyskiwanych, aby społeczeństwo zbogacone zawodziło taniec bałwochwalny około złotego cielca, lecz aby wzmógł dobrobyt stał się stopniem, z którego łatwiej sięgnie po dobra wyższej natury. Za to, że Spółkom Zarobkowym taki dał rozmach, że zbudził przez nie cnotę rozumnej oszczędności, że wywiódł niewolników z jarzma**

lichwiarzy, że granitowe kładł fundamenty pod rozwój zdrowego stanu średniego, za to błogosławił dziś naród cały jego dzieło.

Trumna z ciałem ks. Wawrzyniaka przewieziona została do Mogilna, gdzie został pochowany następnego dnia. Spełniając prośbę zmarłego, na grobie nie składano kwiatów, a zaoszczędzone pieniądze przekazano Towarzystwu Czytelni Ludowych. Na łamach niemieckiego czasopisma „Die Ostmark” mimo woli uhonorowano ks. Wawrzyniaka, pisząc, iż **śmierć mogileńskiego proboszcza wyrwała ze społeczności najniebezpieczniejszego, ale zarazem i najsukuteczniejszego przeciwnika wschodnich marchii Niemiec. Był on rzeczywistym przywódcą polskiego społeczeństwa. Jako finansista oraz mężczyzna z żelazną wolą i niewyczerpaną energią musiał mądrze łączyć zagorzałą nienawiść wobec niemieczyzny ze zdrowym rozsądkiem; był on nie tylko polskim ministrem finansów, ale w wyniku równoczesnego pełnienia wielu różnych ważnych funkcji społecznych również osobą wywierającą decydujący wpływ na wszystkie duże polskie organizacje. W każdym razie jego śmierć spowodowała w wojującej społeczności polskiej w Wielkopolsce dużą lukę, którą nielato będzie wypełnić.**

dr hab. Rafał Łętocha

Bibliografia:

- M. Banaszak, *Pokolenie księdza Piotra Wawrzyniaka*, [w:] *Na okazanie drogi. Praca zbiorowa poświęcona pokoleniu księdza Piotra Wawrzyniaka*, Poznań 1975.
- R. Dzwonkowski, *Ksiądz Piotr Wawrzyniak jako działacz społeczny*, [w:] *Na okazanie drogi* op. cit.
- Historia katolicyzmu społecznego w Polsce 1832–1939*, Warszawa 1981.
- Ksiądz Piotr Wawrzyniak – król czynu*, Poznań 1936.
- Cz. Łuczak, *Ks. Piotr Wawrzyniak (1849–1910)*, Poznań 2000.
- A. Poszwiński, *Pamięci Księdza Piotra Wawrzyniaka*, Poznań 1935.
- M. Rezler, *Piotr Wawrzyniak 1849–1910*, Poznań 1985.
- K. Śmigiel, *Ks. Piotr Wawrzyniak. Człowiek, kapłan, społecznik*, Poznań 1985.
- G. Wrońska, *Śladami ks. Piotra Wawrzyniaka*, Poznań 2008.
- K. Zimmermann, *Ks. Patron Wawrzyniak*, Kraków 1911.

Antykwa Półtawskiego

Tekst główny dzieła „Nasze tradycje” i „Z Polski Rodem” został złożony Antykwą Półtawskiego – krojem pisma zaprojektowanym w latach 1923–1928 przez polskiego grafika i typografa Adama Półtawskiego. Jest to pierwszy polski krój zaprojektowany od podstaw, bywa nazywany „polskim krojem narodowym”.

Informacje o tradycjach polskiej typografii oraz elektroniczne wersje czcionki można znaleźć na stronie internetowej: nowacki.strefa.pl



A jednak istniała

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Nie sposób dobrze zrozumieć rozczarowanych III Rzeczpospolitą bez poznania losów wielu ludzi Pierwszej „Solidarności” – faktycznych pozytywnych bohaterów naszych przemian. Choć opowieść o nich często rodzi smutek, jest także pełna dumy i stanowi świadectwo godności człowieka.

Jedną z tych osób była Anna Walentynowicz. Książka „Anna Solidarność. Życie i działalność Anny Walentynowicz na tle epoki (1929-2010)” pióra Sławomira Cenckiewicza, ukazała się już po katastrofie smoleńskiej, w której zginęła także jej bohaterka. To najbardziej szczegółowa praca poświęcona legendarnej suwnicowej ze Stoczni Gdańskiej.

Już na wstępie autor podejmuje istotny problem: zapomnienia Walentynowicz w dzisiejszej Polsce. Cytuje artykuł z „Gazety Wyborczej” (sic!) z 1990 r.: *Czy istniała Anna Walentynowicz? [...] W piątkowym koncercie „Solidarności”, transmitowanym z Gdańska, Anna Walentynowicz tylko mignęła na ekranie w Operze Leśnej, i to nie przy okazji „stoczniowej”, lecz w filmie z Mszy odprawianej przez księdza Popiełuszkę. Andrzej*



Gwiazda, też z ekranu, zadał pytanie Jagielskiemu. Żadne z tych nazwisk w czasie uroczystości nie padło. [...] „Solidarność” faktycznie tworzy historię. Czy nie nazbyt orwellowską?

W odautorskim komentarzu Cenckiewicz przypomina wątpliwe zasługi również środowiska „Gazety” w zamilczeniu Walentynowicz i manipulowanie wspominkami o niej, gdy było to użyteczne. Jednak dziś

z całym przekonaniem można stwierdzić, że Walentynowicz, owszem, istniała. Że nie zostanie zapomniana za sprawą wielu ludzi, także autora biografii. Jego blisko 800-stronicowa książka daje możliwość lepszego poznania i zrozumienia kobiety, która już za życia była postacią historyczną, ze wszystkimi tego konsekwencjami.

Publikacja składa się z dwóch części: pierwsza o charakterze biograficzno-wspomnieniowym, druga to bogaty zbiór materiałów poświęconych Walentynowicz, z archiwów Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej, zebranych od października 1978 do grudnia 1988 r.

Szczególnego przyspieszenia nabiera życie Walentynowicz w momencie wybuchu „Solidarności”. Jest to jednak konsekwencja jej wcześniejszych wyborów – etycznych, społecznych i politycznych. Bohaterka rozprawy Cenckiewicz nie była bowiem „człowiekiem znikąd”. Jest faktem dobrze oddającym cechy tamtego systemu, że pierwsze kontakty z bezpieczeńką, w pierwszej połowie lat 50., zawdzięczała aktywności na niwie społecznej, nie stricte politycznej: *Miała autentyczny autorytet i mandat załogi. Będąc wzorowym pracownikiem, w 1953 roku otrzymała Srebrny Krzyż Zasługi i została nawet matką chrzestną statku. [...] To właśnie Anna Lubczyk [panieńskie nazwisko] odważnie zwracała uwagę na niesprawiedliwy sposób dysponowania funduszem socjalnym, kasą zapomogową i pożyczkową. Upominała się o należytą higienę i bezpieczeństwo pracy. Krytykowała nawet kierownictwo zakładu i zakładowych sekretarzy PZPR.*

W efekcie, jesienią 1953 r. po raz pierwszy trafiła na przesłuchanie do stoczniowej komórki UB. Jak wspominała później: *Jak na ironię, ciągle byłam tą robotnicą uśmiechającą się do świata z gazet i plakatów.* Konflikt ten, co pieczołowicie ukazuje Cenckiewicz, narastał. Walentynowicz ledwo dorosła do roli pupila „władzy ludowej”, już przerodziła się we „wroga ludu”, choć jej działalność wciąż miała ten sam charakter: walki o bardziej ludzkie stosunki pracy i zgodność praktyki z hasłami widniejącymi na sztandarach.

Z czasem zainteresowanie policji politycznej osobą Walentynowicz uległo nasileniu. Oto przykładowa analiza jej osoby i działań, „arkusz ewidencyjny przeznaczony do internowania A. Walentynowicz, Gdańsk, 28 XI 1980”: *Dotychczasowa działalność A. Walentynowicz przy jej predyspozycjach do tworzenia dużych grup wskazują na liczne inklinacje w zakresie stworzenia niezależnego od władz ośrodka decyzyjnego posiadającego możliwość sabotowania zarządzeń i decyzji władz polityczno-administracyjnych. [...] Odnotowano liczne przypadki sprowokowania zbiegowiska zarówno w miejscu pracy, jak i zamieszkania, w trakcie których w sposób tendencyjny i wrogi wypowiadała się na temat sytuacji w kraju. [...] Bierze udział w spotkaniach z załogami zakładów pracy w różnych regionach kraju, w czasie których zabiera głos w sposób szczególnie wrogi pod adresem władz partyjno-administracyjnych.*

Warto zwrócić uwagę, jak duże zagrożenie widziano w skromnej robotnicy. Cenckiewicz zauważa: *...podczas*

ogólnokrajowej narady sekretarzy partyjnych [...] I sekretarz KW PZPR w Gdańsku Tadeusz Fiszbach [...] ubolewał nad publikacjami prasowymi niepotrzebnie „afirmującymi sylwetkę Walentynowicz”. Nieco później nie popełniono już takiego błędu i w tygodniku „Polityka” zdjęto artykuł Hanny Krall o Annie Walentynowicz. Już jesienią 1980 r. ludzie obozu władzy na tyle negatywnie postrzegali suwnicową ze Stoczni Gdańskiej, że podczas spotkań z delegatami „Solidarności” sugerowali, iż nie powinna ona uczestniczyć w dwustronnych rozmowach, gdyż przeszkadza to w porozumieniu. Można zatem stwierdzić z usprawiedliwionym sarkazmem, że zamilczanie Walentynowicz „zaczęło się w Gdańsku”, przetrwało przełom ustrojowy i stało się „dobrym obyczajem” mediów w wolnej Polsce.

Jakiej „Solidarności” chciała Walentynowicz? Jak ją rozumiała? Autor biografii stwierdza, że pojmowała związek jako szeroki, ogólnospołeczny ruch „integrujący i wyzwalający aktywność Polaków”. Ruch nie scentralizowany (i poddany dyktatorskim ciągotom Lecha Wałęsy), lecz wspólnotowy: *koncepcja jednościowa wyrażała całą istotę jej wizji walki o dobro społeczne przeciw totalitarnemu państwu.* Nie była w tym marzeniu odosobniona. Józef Śreniowski, działacz KOR-u, wspomina: *Chcieliśmy takiej „Solidarności” jak stoczniowa, jak ta z kart „Robotnika Wybrzeża” czy deklaracji, którą sam zredagowałem (Karta Praw Robotniczych). „Solidarności” jak z tekstu Anny Walentynowicz „Wolna dyskusja nad antrykotem”.*

Jej postawę ideową i działalność można określić mianem radykalnych. Nie szukała kompromisu z władzą: zaangażowała się m.in. w ogólnopolski strajk ostrzegawczy 3 października 1980 r., *przeciwko niewypełnianiu treści Porozumień Sierpniowych [...]. Zdaniem Kuroń, Wałęsa zgodził się na strajk pod presją manifestacji zorganizowanej przez Walentynowicz.* Z kolei w listopadzie tamtego roku przybyła osobiście wesprzeć strajk okupacyjny środowisk oświatowych, kulturalnych i służby zdrowia w Urzędzie Wojewódzkim w Gdańsku. Jej obecność legitymizowała opór i przydawała mu znaczenia – już to poświadcza faktyczną rolę Walentynowicz w ówczesnej opozycji. Tu należy dodać, że Cenckiewicz, opisując działalność swojej bohaterki i jej wagę, czyni to w dużej mierze przez pryzmat jej sporu z Lechem Wałęsą. Konflikt ten z czasem stawał się [...] *coraz bardziej publiczny i coraz bardziej wykraczał poza Trójmiasto. Sprawie cały czas przyglądała się SB.*

Duża aktywność Walentynowicz (częste wyjazdy), a także jej ówczesna bliska współpraca z Jackiem Kuroniem, człowiekiem KOR-u, spowodowały, że traciła zaplecze we własnym miejscu pracy. Co więcej jeszcze, to ludzie „Solidarności” zgłaszali do bezpieki pretensje i żądania, by „ukrócić przywileje” Walentynowicz. Oto fragment notatki, zapisanej przez por. Łacha z Wydziału III „A” w Gdańsku po rozmowie z Tomaszem Moszczakiem i Alojzym Szablewskim z Komisji Zakładowej NSZZ „Solidarność” Stoczni Gdańskiej: *...uwagę*

przykuwa fakt utraty zaufania wśród dawnych wielbicieli Jacka Kuronia oraz pogłębianie się konfliktu pomiędzy organizacją zakładową i Anną Walentynowicz. Ten ostatni akcent proponuję do wykorzystania operacyjnego w celu dalszej neutralizacji figurantki. Tymczasem wciąż aktywna Walentynowicz otwarcie mówiła o kuchni działalności związkowej, intrygach, walce o władzę, zdradzie ideałów Sierpnia '80.

O ile działalność Walentynowicz z czasów „karnawału” „Solidarności” czy lat 80. jest przynajmniej w zarysie znana, o tyle bardzo mało mówi się o jej aktywności w latach transformacji ustrojowej. Tymczasem w roku 1988 zrodziła się idea cyklu sympozjów „W trosce o Dom Ojczysty”, którego inicjatorką była m.in. „pani Ania”. Andrzej Gwiazda wspominał: *Ania Walentynowicz zamartwiała się, kto wygłosi referaty, no bo jeśli o zdrowiu – to oczywiście musi być pani Kuratowska, jeśli o bezprawiu – oczywiście Romaszewscy itd. Gdy okazało się, że ci ludzie nas bojkotują, zapanowała czarna rozpacz. Tymczasem [...] sympozjum bez wylansowanych nazwisk okazało się bardzo dobre merytorycznie. Jak stwierdza Cenckiewicz: Choć konferencja „W trosce o Dom Ojczysty” okazała się trafnym pomysłem i szybko zyskała rezonans w całym kraju, to jednocześnie w dobitny sposób ukazywała słabnącą pozycję polityczną środowiska, w którym od lat funkcjonowała Anna Walentynowicz. Gdy pod koniec lat 80. było już jasne, że o kształcie przemian w Polsce wespół z nomenklaturą PRL zadecyduje tzw. koncesjonowana opozycja, dla „radykałów” nie mogło być miejsca w głównym nurcie wydarzeń.*

W lutym 1989 r. Walentynowicz została wyproszona przez Wałęsę z obrad Komitetu Obywatelskiego przy Przewodniczącym NSZZ „Solidarność”: *jeśli pani będzie się upierać, to zawołam służbę i każę panią wyrzucić. Trudno oprzeć się refleksji, że faktycznie coś się już wtedy w Polsce zmieniło: dawny robotnik chciał wezwać „goryli”, by wyrzucić starą, jakże zasłużoną robotnicę...* Notabene, jej pojawienie się wywołało konsternację wśród obecnych, m.in. Henryka Wujca, Jacka Kuronia, Tadeusza Mazowieckiego, Zofii Kuratowskiej, Adama Michnika, Bronisława Geremka, Andrzeja Stelmachowskiego.

Jednak środowisko „Gwiazdzbioru”, z którym utożsamiała się Walentynowicz, nie zamierzało poddać się bez walki. W styczniu 1989 r. znów ruszyło pismo „Poza Układem”. Cenckiewicz nieco miejsca poświęca także próbie reaktywowania Wolnych Związków Zawodowych. W skład Komitetu Założycielskiego weszli m.in. Joanna i Andrzej Gwiazdowie, Henryka Krzywonos – i Anna Walentynowicz.

Polem jej działalności było wówczas także powołane do życia Konwersatorium Sierpień '80 na Uniwersytecie Gdańskim. W październiku 1990 r. w kościele parafialnym w Suchowoli odsłonięto pomnik ks. Jerzego Popiełuszki, który powstał w znacznej mierze dzięki wytrwałym zabiegom Anny Walentynowicz. Dwa

miesiące później – przypomina Cenckiewicz – *Polska Rzeczpospolita Ludowa oficjalnie przestała istnieć, a wybranym w wolnych wyborach prezydentem Rzeczypospolitej Polskiej został Lech Wałęsa.*

Walentynowicz, by posłużyć się nomenklaturą z czasów PRL, na początku lat 90., w III RP, wciąż była „warchołem”: brała udział w strajku organizowanym w Stoczni w marcu 1991 r., negocjowała warunki ugody i parafowała porozumienia płacowe. Prezydent Wałęsa chciał ją przeciągnąć na swoją stronę, proponując współpracę w walce „z Michnikami i Kuroniami”. Ona jednak odmawia, opowiada się po stronie reaktywowanych Wolnych Związków Zawodowych. Ich idea głosi: *Musi skończyć się bezkarność polityków, którzy za zdradę przy Okrągłym Stole zażądali dla siebie władzy, przywilejów i pieniędzy, z jednej strony od komunistów, z drugiej – od kół finansowych Zachodu. Ci sami ludzie od społeczeństwa zażądali wyrzeczeń. WZZ-y wezwały do bojkotu wyborów z 5 października 1991 r.*

Gdzie było wtedy miejsce dla Walentynowicz w życiu publicznym? Cenckiewicz przypomina: *Nadziei na jakieś głębsze zmiany Walentynowicz nie wiązała również z rządem Jana Olszewskiego. Później bywała na kongresach Ruchu III Rzeczypospolitej (Jana Parysa) i Ruchu dla Rzeczypospolitej (Jana Olszewskiego), ale z żadnym ze stronnictw nie chciała się wiązać na stałe.*

Rozdział poświęcony życiu Walentynowicz w III RP jest w książce Cenckiewicza najbardziej skrótowy, fragmentaryczny. Tymczasem wydaje się, że dogłębne zrozumienie jej aktywności właśnie w tym okresie, szczegółowa analiza postaw i wyborów ideowych rzuciłyby szersze światło na fenomen współczesnej Polski. Być może potrzeba jeszcze czasu, dystansu, może następnego pokolenia historyków, uwolnionych także od brzemienia „tu i teraz”, by lepiej uchwycić poznawczo sylwetkę Anny Walentynowicz po roku 1990. Brakuje w pracy historyka również pogłębionego tła historycznego i politycznego w opisie ostatnich dwudziestu lat życia Walentynowicz, co w porównaniu z zawartością poprzednich rozdziałów książki stanowi znaczny mankament. Bo choć zepchnięta w cień, Walentynowicz swoją postacią poświadczała prosty i przykry fakt, że czegoś we współczesnej Polsce zabrakło, skoro ludzie jej pokroju, choć różni od niej, dziwnym trafem podobnie nie mogli zająć godnego siebie miejsca, że – często zarówno w sensie ekonomicznym, jak i etycznym i symbolicznym – oni również zostali „ofiarami transformacji”.

Z pewnością Cenckiewicz uprzytomnia czytelnikom ważną rzecz: lata 90. i początki XXI wieku to dla jego bohaterki czas podwójnie trudny. Z jednej strony kłopoty finansowe, z drugiej zrozumiałe poczucie krzywdy i niesprawiedliwości, jaka stała się udziałem nie tylko jej, ale również wielu innych osób, których wysiłki zmagania o lepszą Polskę został zapoznany i zmarnotrawiony nie bez udziału dawnych „towarzyszy walki”. Kwestią otwartą pozostaje pytanie, dlaczego

Walentynowicz, ikona robotniczej „Solidarności”, stała się postacią kojarzoną przede wszystkim z rodzimą prawicą.

Ogromne wrażenie robi jej nieustanna działalność społeczna, zaświadczająca o potężnej energii życiowej tej kobiety; działalność praktycznie przemilczana przez środki przekazu. Cenckiewicz relacjonuje: ...*odwiedzała Polaków w dalekim Kazachstanie i Uzbekistanie. Angażowała się w remont domu, w którym mieszkała w Wilnie św. Faustyna Kowalska. Inicjowała wystawy i konferencje poświęcone Sybirakom i „dzieciom tułaczom”.* [...] *Zaangażowanie w sprawy kresowe było zresztą charakterystyczne dla całej drogi życiowej Anny Walentynowicz.* [...] *Nie zapominała o najsłabszych, o tych, którzy tracili pracę.* [...] *W ciągu ostatnich 20 lat zorganizowała kilkanaście kolejnych sympozjów z cyklu „W trosce o Dom Ojczysty”.*

Czy Walentynowicz nie znalazła dla siebie miejsca w III RP? Inaczej: nie było tu dla niej miejsca w głównym nurcie wydarzeń i mediów. Niewykluczone, że przyczynił się do tego, obok wyborów politycznych, jakich dokonała, jej charakter, przez wielu określany jako niełatwy. Przez dobór przyjaciół i towarzyszy, przez swój bardzo mocno podkreślany katolicyzm i patriotyzm, stała się osobą dobrze widzianą przede

wszystkim w środowiskach, które opisuje się z reguły jako „skrajnie prawicowe” i „oszołomskie”. A przy tym, czy racji nie ma Joanna Gwiazda, cytowana w książce Cenckiewicza: *Los Anny jest typowy dla wielu polskich robotników i niezwykły ze względu na Jej siłę charakteru, mądrość i uczciwość.*

Do kogo zatem należałoby moralne prawo negowania jej wyborów? Można je przyjąć lub nie, lecz trudno z czystym sumieniem dokonać ich deprecjacji. Tak wiele z polskich dziejów i ich paradoksów, z narodowych nieszczęść i powodów do dumy mieści się w życiu tej kobiety. Książka Sławomira Cenckiewicza pozwala lepiej to zrozumieć i zaakceptować także jej słabości.

Była prawdziwym człowiekiem, pełną emocji i temperamentu kobietą. Nie można jej życiu zarzucić letniości, tej letniości, która stała się kamieniem węgielnym pod dzisiejszą polską bylejakość i marazm. Pewnie dlatego kłamstwa i przemilczenie nie mogły zwyciężyć w bitwie o pamięć o tej postaci.

KRZYSZTOF WOŁODŹKO

Sławomir Cenckiewicz, *Anna Solidarność. Życie i działalność Anny Walentynowicz na tle epoki (1929-2010)*, Wydawnictwo Zysk i S-ka, Poznań 2010.

**TA INWESTYCJA
NIC CIĘ NIE KOSZTUJE!**



**1% TWOJEGO PODATKU MOŻE
WESPRZEĆ BUDOWANIE ŚWIATA
OPARTEGO NA WARTOŚCIACH
Z NASZEGO MANIFESTU.**

Dołóż cegiełkę do „Nowego Obywatela”
i przekaz 1% swojego podatku wydawcy:
Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”, KRS 0000248901
Szczegóły: www.obywatel.org.pl/1procent



Wychowanie do życia w kapitalizmie

DR KRZYSZTOF POSŁAJKO

„W zeszłym roku reforma, w tym roku reforma, więc ludzie są już oswojeni, obyci z żywiołem” – nieco złośliwie można by podsumować potoczne refleksje o przemianach systemu oświaty. Chyba wszyscy – uczniowie, rodzice, nauczyciele, wykładowcy akademicki – są z nich niezadowoleni. Jednak narzekaniu na bliżej niezidentyfikowane „władze” najczęściej nie towarzyszy próba refleksji, czemu służą ich działania.

Książka Eugenii Potulickiej i Joanny Rutkowiak „Neoliberalne uwikłania edukacji” wyłamuje się z tego schematu. Stara się ona udzielić odpowiedzi na pytanie, jaka intencja kryje się za zmianami wprowadzanymi w polskim szkolnictwie co najmniej od 1999 r., czyli od tzw. reform Handkego. Zdaniem autorek, przemiany te nie są serią nieskoordynowanych, chaotycznych działań, wynikających z „widzimisię” władz oświatowych, lecz stanowią element szerszego planu, wpisującego się w krajobraz globalnych zmian edukacyjnych. Stawiają tezę o istnieniu „edukacyjnego programu ekonomii korporacyjnej”, który miałby stanowić „ukryty program” polskich – i nie tylko – reform systemu oświaty.

Jeśli hipoteza jest trafna, oznacza to, że **podejmowane są celowe działania**. Mają one prowadzić do tego, aby szkoły stały się miejscem, w którym uczniów przygotowuje się do sprawnego funkcjonowania w rzeczywistości zdominowanej przez neoliberalny kapitalizm. Zdaniem autorek, w systemie gospodarczym, którego charakter wyznaczają wielkie korporacje, można wyróżnić trzy główne role społeczne, jakie może pełnić



jednostka i do których - w ukrytym zamierzeniu twórców reformy - przygotowywać ma szkoła:

1. **Nierefleksyjni producenci**, wśród których można wyróżnić niewielką elitę wysoko kwalifikowanych pracowników oraz resztę, którą będą stanowić ludzie o niskich kwalifikacjach, nieustannie zagrożeni wizją bezrobocia;
2. **Nienasyceni konsumenci**, poddawani wyrafinowanemu naciskom marketingowym i w ten sposób napędzający korporacyjne obroty;
3. **Ludzkie „odpady”**, przeznaczone na społeczny przebieg. Autorki akcentują, że istnienie licznych grup, które są wykluczone z głównego nurtu życia społecznego jest, wbrew pozorom, niezwykle istotne dla funkcjonowania systemu. Ludzie tacy stanowią sygnał ostrzegawczy. Pokazują, co grozi tym, którzy nie będą w stanie się dostosować - nonkonformizm lub brak umiejętności przyjęcia roli elastycznego pracownika mogą skutkować nędzą i degradacją.

Realizacji tego zamiaru służą następujące środki:

1. *Programowe niedookreślenie celów reformy*, które kryje się pod płaszczykiem „neutralności światopoglądowej”. Brak jednoznacznego określenia celów reformy nie służy pluralizmowi wychowawczemu, lecz uniemożliwieniu refleksji nad celami kształcenia i ukryciu właściwego sensu zmian.
2. *Przesylenie programu nauczania informacjami o charakterze zero-jedynkowym*, co prowadzi do ograniczenia roli refleksji, krytycznego myślenia i interpretacji. **Prosty producent i niepohamowany konsument mają odbierać rzeczywistość w sposób uproszczony.**
3. *Podkreślanie w toku nauczania roli umiejętności*, co jest przejawem przystosowywania ucznia do statusu prostego producenta i prowadzi do dalszego zmniejszania zdolności refleksji.
4. *Eksponowanie zabawowych, konkretno-zmysłowo-ruchowych elementów w metodach nauczania*, co prowadzi do ograniczenia umiejętności posługiwania się kodem abstrakcyjnym i do problemów w przyswajaniu trudniejszych treści.
5. *„Ucieczka w nauczanie”*, przejawiająca się w zaniebdywaniu wychowawczej roli szkoły, a także, co ważne, w stosowaniu *wystandaryzowanych, testowych sprawdzianów wyników nauczania*. Ogólnokrajowe testy są przedstawiane jako obiektywny miernik wiedzy uczniów, jednak ich rola jest nieco inna, o czym dalej.
6. *Publiczne, nawet w Internecie, udostępnianie wyników egzaminacyjnych*, co prowadzi do **rozbudzania nastrojów rywalizacji wśród uczniów, nauczycieli, rodziców i ludzi zarządzających szkołami.**
7. *Działanie obecnych, ustawowych zasad zawodowego awansowania nauczycieli na podstawie spełniania kryteriów formalnych*, co wedle autorek skutkuje uwikłaniem pedagogów w działania fikcyjne i „pracę papierkową”, kosztem aktywności wychowawczej.

Na pierwszy plan wybija się kwestia standaryzacji pomiaru wyników nauczania, czyli cieszących się popularnością słów „testów”, sprawdzanych według „klucza”. Testy pełnią w systemie edukacji neoliberalnej podwójną rolę: wprowadzają w rzeczywistość szkolną silną konkurencję oraz stanowią narzędzie selekcji.

Temu drugiemu zagadnieniu autorki poświęcają wiele uwagi. Z niepokojem obserwują fakt rosnącej selektywności szkół zarówno w kontekście globalnym, jak i w Polsce. Selekcja ma dwie formy. *Doszkolna* to tworzenie szkół dla dzieci „lepszyc” i „gorszych”. *Wewnątrzszkolna* zaś polega na tym, że w obrębie tej samej szkoły powstają klasy, a nawet grupy dla „zdolniejszych” i „mniej zdolnych”. W Polsce selekcja doszkolna odbywa się głównie na poziomie ponadgimnazjalnym, gdzie wyróżnia się: *placówki elitarne (w szczególności wybrane licea ogólnokształcące, gdzie uczą się dzieci z wyżyn społecznych)*, *tw. szkoły środka (z dominującą przeciętnością) i zasadnicze szkoły zawodowe (będące miejscem faktycznej degradacji społecznej)*. *Szkoły „alternatywne” i „społeczne”, które miały być zwiastunami pozytywnych zmian w polskiej oświacie, stały się jeszcze jednym narzędziem, za pomocą którego dobrze sytuowani rodzice mogą oddzielać swoje pociechy od reszty.*

Autorki krytykują model edukacji oparty na selekcji, wskazując, iż jest on narzędziem reprodukcji różnic społecznych. W zamian promują model szkoły rozszerzonej, do której przyjmuje się wszystkich uczniów z danego rejonu i w której wszyscy uczniowie realizują ten sam program, niezależnie od wyników osiąganych na wcześniejszych stopniach edukacji.

Rodzą się jednak pewne wątpliwości - czy rzeczywiście model ów sprzyja większej równości szans edukacyjnych? W Wielkiej Brytanii, gdzie jest do pewnego stopnia stosowany - choć działa tam system selekcji wewnątrzszkolnej pod postacią tzw. *streamingu* - zwrócono uwagę, że formalne zrównanie szkół nie spowodowało zaniku rozwarstwienia edukacyjnego. Selekcja do „dobrych” szkół odbywa się obecnie na podstawie miejsca zamieszkania (zjawisko zwane *postcode lottery*): poziom nauczania w szkołach na przedmieściach zasiedlanych przez wyższą klasę średnią jest zdecydowanie lepszy niż w placówkach z obszarów zamieszkałych przez wieloetniczną biedotę. Świadczy o tym choćby duża różnica odsetka absolwentów kontynuujących naukę na prestiżowych uczelniach¹.

Na poziomie ogólnym problem ten przedstawia się następująco - czy w elitarnym społeczeństwie, w którym bariera między elitami a masą stale rośnie, jest możliwe stworzenie egalitarnego szkolnictwa? Czy w społeczeństwie indywidualistycznym i nastawionym na konkurencję dobrze sytuowani rodzice nie będą za wszelką cenę szukać sposobu, by zapewnić potomkom takie wykształcenie, które zapewni im start lepszy niż innym dzieciom? Ostateczną „linią oporu” przed edukacyjnym egalitaryzmem są zawsze szkoły

prywatne, które – przynajmniej w Wielkiej Brytanii – zapewniają doskonałą edukację, z góry zarezerwowaną dla klas wyższych.

Autorki deklarują, iż są zwolenniczkami możliwie najszerszego dostępu do edukacji. Z drugiej jednak strony, gdy piszą o problemach uniwersytetu w zdominowanym przez neoliberalizm świecie, dostrzegają *obecny polski boom edukacyjny, do którego garną się rzesze młodych ludzi, traktujących studia wyższe jako dobro dla nich osiągalne, a jednocześnie mało sprawnych w spełnianiu wymagań i opanowywaniu obowiązujących programów kształcenia. Stanowi to swoiste zderzenie napierającej egalitarności i tradycyjnej elitarności wyższego wykształcenia [...]*.

Rozwiązaniem byłoby podejmowanie działań umożliwiających dzieciom i młodzieży z rodzin o niskim kapitale kulturowym rzeczywiste, a nie tylko formalne uczestnictwo w procesach edukacyjnych. Ważniejsze od liczbowych współczynników skolaryzacji staje się tworzenie *systemu rozwiązań dla ludzi edukacyjnie poszkodowanych*, czyli np. szerokie spektrum zajęć pozaszkolnych i wyrównawczych. Bez takiego systemu, odgórne zwiększanie liczby uczniów uczęszczających np. do liceów ogólnokształcących zamiast do szkół zawodowych jest i będzie, w moim odczuciu, działaniem pozornym, sugerującym, że następuje zmniejszanie się nierówności edukacyjnych, podczas gdy mamy do czynienia raczej z ich ukrywaniem.

Kolejnym efektem oparcia edukacji na systemie zewnętrznych, „obiektywnych” testów, jest zmiana pozycji nauczyciela. Ideałem nie jest już profesjonalista-społecznik, łączący wysokie przygotowanie merytoryczne z zaangażowaniem wychowawczym. Wzorem staje się „technik edukacyjny”, rozliczany ze sprawnego przekazywania informacji, które następnie będą poddane testowaniu. Skutkuje to obniżeniem prestiżu zawodu i zablokowaniem indywidualnego rozwoju. Kolejną przyczyną pogarszania się sytuacji pedagogów jest system tzw. awansu zawodowego, który zmusza do przechodzenia wręcz upokarzających procedur biurokratycznych.

Niezwykle wartościowym aspektem książki są przytaczane wyniki badań – zarówno przeprowadzonych przez autorki, jak i innych naukowców – nad świadomością polskich nauczycieli. Wyłania się z nich przegnąbający obraz. **Jednym ze skutków obecnej sytuacji jest upowszechnienie postaw konkurencyjnych wśród nauczycieli. Indywidualistyczne kryteria awansu, które wedle oficjalnych założeń reformy miały zachęcać do bardziej wydajnej pracy, wprowadzają rywalizację. Skutkuje ona tym, że nauczyciele stają się coraz bardziej osamotnieni w zmaganiu z problemami edukacyjnymi, których zawsze w pracy pedagogicznej jest sporo.**

Ciekawe jest również to, jak sami nauczyciele definiują swoje problemy. Okazuje się, że największym są dla nich uczniowie sprawiający kłopoty wychowawcze, zaś źródła tych trudności należy upatrywać w utracie



przez nauczyciela prestiżu, który miałby wynikać z samej jego pozycji. Innymi słowy, nauczyciele przyczyn problemów wychowawczych upatrują w „upadku dyscypliny”. Tymczasem z przytoczonych powyżej rozważań wynika, że źródeł owych kłopotów należy dopatrywać się gdzie indziej. Być może antyspołeczne zachowania niektórych uczniów wynikają z tego, iż nie widzą oni żadnych powodów do tego, aby wykazywać konformizm wobec zasad szkolnych, skoro i tak pisany jest im los ludzi-odpadów. Jeśli duża część społeczeństwa czeka nieuchronna pauperyzacja, to nie można się dziwić niechęci wobec systemu szkolnego, który nie oferuje im realnej szansy na polepszenie losu.

Tu dochodzimy do niezwykle trudnego tematu, jakim jest nieumiejętność interpretowania przez pracowników oświaty rzeczywistości szkolnej i warunkującego ją szerszego kontekstu społecznego. Choć są oni niezadowoleni z przemian edukacyjnych, to nie potrafią się skutecznie przeciwstawiać – jako że system awansu premiuje indywidualistyczne sposoby radzenia sobie z rzeczywistością, oraz ponieważ brak im kompetencji kulturowych, by zrozumieć, skąd się te przemiany biorą i do czego prowadzą. Nauczyciele oczekują od teoretyków pedagogiki gotowych scenariuszy rozwiązań trudnych sytuacji oraz „bryków” ułatwiających tworzenie takiej dokumentacji, która spodoba się władzom oświatowym i będzie podstawą awansu. Nie są zainteresowani pogłębianiem wiedzy teoretycznej i umiejętności interpretacji. W efekcie stają się intelektualnie bezradni wobec przemian rzeczywistości kulturowej i edukacyjnej.



©dcJohn, http://www.flickr.com/photos/dcjohn/74907741/

Sytuację tę wyjaśnia fakt, że – jak pokazują zapisy pamiętnikarskie nauczycieli – *w toku socjalizacji uzyskiwali oni na ogół słabe „wyprawki” kulturowe i że pochodzili ze skromnych rodzin, w których usilne zabiegi o zaspokojenie podstawowych potrzeb wyprzedzały zapewnianie dzieciom bodźców stymulujących rozwój, a związki z tradycyjnymi, konserwatywnymi wartościami hamowały zwrot ku myśleniu niestereotypowemu. Na drodze do upragnionych studiów wyższych, do których zachęcali ich rodzice, nierzadko miewali niepowodzenia, co skłaniało ich do podjęcia mniej ambitnych kierunków, prowadzących także do pracy nauczycielskiej. [...] Ciężkie życie, ukierunkowane na uzyskanie podstawowej stabilizacji rodzinno-zawodowej, nie sprzyjało wzlotom intelektualnym, koncentracji na pogłębianiu wiedzy i uprawianiu bardziej wyrafinowanych praktyk pracy umysłowej.* Autorki nie przeczą, że ciągle mamy do czynienia z przypadkami etosu nauczycielskiego i da się znaleźć przykłady współczesnych „Siłaczek”, jednak brak zaplecza intelektualnego uniemożliwia nauczycielom zrozumienie przyczyn zmian zachodzących w oświacie i wyartykułowanie postulatów zmiany niekorzystnej sytuacji.

Niektóre z prezentowanych badań sugerują wręcz, iż nauczyciele bezwiednie wpajają uczniom wartości konsumpcyjne. *Objawia się to motywowaniem młodzieży do nauki przez prostą argumentację: uzyskiwanie lepszych ocen szkolnych przekłada się na perspektywy bardziej opłacalnej przyszłej pracy zawodowca-konsumenta.* Wydaje się, że obserwację można uogólnić: nasiąkanie treści edukacyjnych wartościami charakterystycznymi

dla kultury neoliberalnej, jak nastawienie na osiąganie policzalnych rezultatów, konkurencja itp., dokonuje się w sposób bezwiedny. Zarówno praktycy edukacji, jak i ludzie odpowiedzialni za wdrażanie konkretnych reform, często bezrefleksyjnie akceptują komunały o konieczności „stosowania obiektywnych standardów”, „adaptacji do wymogów rynku pracy” etc. Znacząco ułatwia to wprowadzanie rozwiązań służących ukształtowaniu oświaty wedle oczekiwań korporacji.

W książce postulowany jest alternatywny model postawy nauczycielskiej: typ edukatora-prowokatora. Rola nauczyciela w tej wizji nie byłaby już socjalizacja, rozumiana jako przystosowanie ucznia do funkcjonowania w dominującej kulturze, lecz dostarczenie mu narzędzi umożliwiających krytyczne nastawienie do rzeczywistości. Z lektury książki można wysnuć wniosek, że w obecnej sytuacji działaniem „rewolucyjnym”, jakie może podjąć nauczyciel, byłaby próba przekazania uczniom takich prawd jak te, że konsumpcja nie jest jedyną wartością w życiu, że wiedzę można zdobywać dla niej samej, nie zaś dla potencjalnych korzyści zawodowych, a zrozumienie może być bardziej wartościowe od wyniku testu.

Należy w tym miejscu zwrócić uwagę na pewne wady książki. Formuła zbioru esejów, na którą zdecydowały się autorki, niestety jest niezbyt przyjazna dla czytelnika – wiele treści się powtarza, zaś interesujące kwestie przedstawiono w rozproszeniu. Wydaje się, że zbyt wiele miejsca poświęcono omówieniu ideologii neoliberalizmu. Sądzę, że dla czytelników o wiele bardziej interesująca byłaby zwarta książka, która w sposób systematyczny przedstawiłaby zmiany w polskiej oświacie wynikające z wprowadzania neoliberalnych porządków. Bowiem to właśnie te części publikacji, w których ukazano, jak ogólne i abstrakcyjne idee przekładają się na edukacyjne „mięso”, są najbardziej interesujące.

Pomimo pewnych niedociągnięć książka jest jednak niezwykle cenna. Dostarcza nowej perspektywy interpretacji zmian zachodzących w naszym szkolnictwie, co pozwala dostrzec w nich pewien porządek, kryjący się pod pozorem chaosu. Wypada mieć tylko nadzieję, że badania prezentowane w „Neoliberalnych uwikłaniach...” znajdą kontynuację i doczekamy się ze strony ludzi zatroskanych stanem polskiej oświaty zarówno jej kompleksowej diagnozy, jak i realnych propozycji zmian.

DR KRZYSZTOF POSŁAJKO

Eugenia Potulicka, Joanna Rutkowiak, *Neoliberalne uwikłania edukacji*, Oficyna Wydawnicza IMPULS, Kraków 2010.

1. Richard Garner, *Postcode lottery still determines degree achievement*, „The Independent”, 19 XI 2009 r.

Normalne jest wywrotowe?

REMIGIUSZ OKRASKA

Prawie wszyscy znamy taki publicystyczny obrazek: w skali globu niepodzielnie panuje wszechmocny system, który przy użyciu reklam zamienił nas w bezwolnych konsumentów produktów wielkich koncernów. Gigantyczne korporacje są silniejsze niż demokratycznie wybrane władze polityczne. Jedynym bastionem oporu pozostała sfera kulturowa, a ściślej mówiąc – „kultura alternatywna”. Tylko kontrkulturowa rebelia przeciw quasi-niewolniczemu konsumpcjonizmowi oraz „alternatywne style życia”, odrzucające dominujące normy i wartości, stanowią światelko w tunelu. Niczego nie zmienimy, dopóki nie wyrwimy do góry nogami „systemu” oraz nie wyrwiemy z letargu rzesz konformistów.

Joseph Heath i Andrew Potter w niedawno wydanej po polsku książce „Bunt na sprzedaż” twierdzą, że jest niemal dokładnie odwrotnie. Kanadyjscy naukowcy o poglądach centrolewicowych, dawniej sympatyzujący z grupami kontrkulturowymi, przekonują, iż to, co określa się mianem „kultury alternatywnej”, nie osłabia, lecz wzmacnia kapitalizm i etos komercyjny. Nadaje im mocy oddziaływania i pozwala dokonywać ekspansji w nowe sfery. Co gorsza, rośnie popularność tych „alternatywnych” idei, które przekonują, że nie ma sensu walczyć o realne, stopniowe przeobrażenia na lepsze w sferze polityki i rozwiązań instytucjonalnych. W zamian kierują one energię ku zmianom „stylu życia” oraz rojeniom o „ostatecznym krachu systemu korporacji”. „Wywrotowcy”, choć operują bardzo radykalnymi hasłami, pełnią rolę reakcyjną.



„Bunt na sprzedaż” jest po prostu świetny. Celnie, logicznie i w oparciu o liczne fakty rozbija mity kontrkultury. Dla mnie, jako osoby, która sporą część życia spędziła na kultywowaniu postaw krytykowanych w książce, stanowi strzał w dziesiątkę. Na pochwałę zasługuje też forma. Te ponad 450 stron czyta się znakomicie: wywód skrzy się aforystycznymi stwierdzeniami, kąśliwą ironią, celnymi aluzjami i dobrze dobranymi przykładami. Znakomity pamflet, a zarazem solidna naukowa analiza.

We wstępie opisano znamienne historię. Wydawcy pisma „Adbusters”, znanego na całym świecie z krytyki kultury komercyjnej, ze szczególnym uwzględnieniem sprzedawania nie tyle produktów, ile marek (logo), postanowili wypuścić na rynek obuwie sportowe Black Spot. Niczym nie różni się od butów wielkich koncertów, jest produkowane w Chinach i nachalnie reklamowane, tyle że wśród odbiorców bardziej niszowych. *Czyżby magazyn „Adbusters” zaprzedał się systemowi? [...] „Adbusters” się nie sprzedał, ponieważ nie było nic do sprzedania. „Adbusters” nigdy nie głosił rewolucyjnej doktryny, a jedynie odgrzewaną wersję myśli kontrkulturowej, która od lat sześćdziesiątych dominowała na lewicy. Ten rodzaj polityki kontrkultury [...] należy do głównych sił napędzających od czterdziestu lat konsumpcyjny kapitalizm* – piszą Heath i Potter.

Nie roztrząsają oni bynajmniej dylematu, czy kontrkultura się „sprzedała”. Po pierwsze, nie widzą niczego złego w tym, że ktoś oferuje produkty, które ktoś inny chce nabyć, niezależnie, czy są to wyroby „zwyčajne”, czy „oryginalne”, a nabywcę stanowi człowiek przeciętny czy „krytyczny”. Interesuje ich to, że rozmaite „buntownicze” postawy i trendy znacznie wzmocniły „konsumpcyjny wyścig szczurów”. Po drugie, i ważniejsze, poddają krytyce proces, w którym **kontrkulturowa fiksjacja na punkcie tego, co się ubiera, jada, co ogląda i czego słucha, gdzie bywa i robi zakupy, skutecznie odwróciła uwagę od zagadnień daleko ważniejszych**. Mianowicie od polityki i udziału obywateli w podejmowaniu decyzji, od kształtowania sfery publicznej, od reform socjalnych i ładu instytucjonalnego.

Zajęci krytykowaniem jednych, a kultywowaniem innych wyborów konsumenckich i stylów życia, daliśmy się podzielić na skonfliktowane grupki, niezdolne do wspólnego działania. Ci zaś, którzy powinni być aktywnymi liderami społeczeństwa obywatelskiego, dążącymi do ograniczenia negatywnych zjawisk, stali się aspołecznymi i egocentrycznymi dziwakami, przywódcami komicznych sekt kulturowych lub prorokami wielkiej, lecz zupełnie nierealnej zmiany „systemu”.

U źródła „kultury alternatywnej” leżała na wskroś fałszywa koncepcja. Mówi ona, że warunkiem *sine qua non* funkcjonowania „systemu”, swoistym smarem jego mechanizmów, są konformizm i ujednoliceenie. „System” na różne sposoby – od edukacji, przez reklamę, po nakazy i zakazy – wytwarza masy jednakowych ludzi, myślących tak samo, żyjących tak

samo, konsumujących to samo itd. „Systemowi” może zatem zaszkodzić jedynie wszelka oryginalność, łamanie reguł, kultywowanie indywidualizmu itp. Kilkadziesiąt lat doświadczeń kontrkultury pokazuje jednak, że „bunt” wyrażający się w ekscentrycznych stylach życia i nieszablonowych formach konsumpcji, bez trudu włączono w krwioobieg konsumeryzmu. „System” lepiej niż „jednakowością” żywi się właśnie „oryginalnością”.

W dodatku, przekonanie o totalności „systemu” odwróciło uwagę od stopniowych reform. Kontrkulturowcy uznali, że wszystko, co nie jest wystarczająco „buntownicze”, oznacza kolaborację z wrogiem; wszystko, co nie kwestionuje całości istniejącego ładu, jest konformistyczne. Dawny radykalizm, mimo ogromnego krytycyzmu wobec zastanego porządku, akceptował jego „warunki brzegowe”. Nawet Marks, przez autorów książki traktowany jako jeden z prekursorów kontrkulturowych aberracji, choć zjadł atakował kapitalizm, to uważał, że socjalizm powstanie na jego materialnej i organizacyjnej bazie, że choć znacznie poszerzy zakres wolności, to nie poprzez ufundowanie stanu powszechnego łamania reguł oraz promocji dziwactw. Ci zaś z jego następców, którzy odrzucili ideę rewolucji, uznawali wręcz, że możliwe są zmiany stopniowe, na drodze tak prozaicznej, jak udział w wyborach, sprawowanie władzy, reformowanie instytucji publicznych i reguł prawa.

Zasadnicza część prospołecznych zdobyczy dokonała się w drodze nierzadko drobnych i „nudnych” poczynań w łonie istniejącego porządku. Całościowy efekt wcale nie był jednak nieznaczący. Łatwo zapominać, że zaledwie 150 lat temu na porządku dziennym były niewolnictwo, brak praw wyborczych czy obywatelskich dla ogromnych grup (np. kobiety), harówka w urągających godności i niebezpiecznych warunkach po 14 godzin na dobę oraz wegetacja na granicy biologicznego przetrwania. Twierdzenie, że „system” się nie zmienił, a wręcz „umocnił”, jest okrutną kpina z milionów ludzi, którzy znosili takie upokorzenia.

Zmian na lepsze dokonano pod naciskiem mas społecznych – ludzie nierzadko jednakowych pod względem nawyków konsumpcyjnych i zamiłowań kulturowych. **Zamiast kontynuować ten proces, wyzwalać ich z wielu wciąż istniejących upokorzeń, kontrkultura zrobiła coś odmiennego. Zamiast traktować masy jako sojusznika, zaczęto coraz bardziej podejrzliwie patrzeć na lud. Wkrótce lud – czyli społeczeństwo „głównego nurtu” – zaczął być postrzegany jako problem, a nie rozwiązanie** – piszą Heath i Potter.

Czy były to eskapistyczne pomysły Rousseau, czy marksowska koncepcja „fałszywej świadomości”, czy wywody Freuda o „kulturze jako źródle cierpień”, czy teoria „hegemonii kulturowej” Gramsciego, ta część myśli postępowej przygotowała wedle autorów „Buntu na sprzedaż” grunt pod późniejsze ślepe uliczki kontrkultury. Jej mętne wizje krytykowały kapitalizm głównie za niezbyt jasne „zło systemowe”, niemożliwe

jakoby do wykorzenienia bez totalnej rewolucji w każdej dziedzinie życia. A zatem system pozostawał do głębi zły, nawet jeśli okazywał się plastyczny i podatny na daleko posunięte reformy. Robotnik nie miał prawa do satysfakcji, że jego poziom życia i bezpieczeństwo socjalne wzrosły niepomrotnie, gdyż dokonało się to w ramach „systemu”. Następcy wspomnianych myślicieli, głównie spod znaku „Nowej Lewicy” (Marcuse, Charles Reich, Roszak i in.), znaleźli poręczne wyjaśnienie owego zadowolenia plebejuszy i towarzyszącego mu spadku radykalizmu. Odpowiada za to swoiste „pranie mózgu” przy pomocy propagandy i przekazów reklamowych. Ludzie są nadal wyzyskiwani i zniewoleni, ale „system” skutecznie wmawia im, że „jest super, jest super, więc o co ci chodzi”.

Radykalnym teoretykom nie przyszło do głowy, że masy buntują się rzadziej i mniej bojowo, ponieważ osiągnęły część celów i są zadowolone z poprawy sytuacji. Wedle światoburczych teorii, zostały one zmanipulowane i nie potrafią dostrzec „prawdziwych” potrzeb i interesów. Jak piszą Heath i Potter, kontrkultura uznała, że *Ludzi trzeba wyzwolić, ale nie od ucisku ze strony określonej klasy ani systemu wyzysku, który narzuca im nędzę. Znaleźli się w połączanej klatce, nauczono ich kochać niewolę. „Społeczeństwo” sprawuje nad nimi kontrolę, ograniczając wyobraźnię i tłumiąc najgłębsze potrzeby. Potrzebują ucieczki od konformizmu. Żeby od niego uciec, muszą w całości odrzucić istniejącą kulturę i stworzyć kontrkulturę, opartą na wolności i indywidualności.*

Takie postawienie sprawy miało bardzo poważne implikacje: *Sprawy, którymi tradycyjnie zajmowała się lewica – nędza, poziom życia, dostęp do opieki zdrowotnej – uznano za „powierzchowne”, chodzi tu bowiem tylko o reformę instytucji.* Autorzy celnie drwią, że o ile kiedyś przeciwnicy kapitalizmu zarzucali mu, iż niedostatecznie „karmi i ubiera” robotników, o tyle obecnie mają pretensje, że oferuje im zbyt wiele dóbr, tak jakby było coś złego w tym, że wreszcie można się uwolnić od elementarnych trosk materialnych. George Orwell już w latach 30. trafnie pisał, że tym, co czyni socjalizm popularnym wśród społecznych „dołów”, nie są mało konkretna „wolność” i wizje nowatorskich stylów życia. Plebejuszy przyciągają doń całkiem „drobnomieszczańskie” marzenia oraz przekonanie, że socjalizm oznacza pełny żołądek, stabilizację materialną i brak prześladowań politycznych plus to, co jest im bliskie już w kapitalizmie: picie piwa z kolegami, chodzenie na mecze i cieszenie się życiem rodzinnym.

Już od kilku pokoleń bojownicy kontrkultury zalewają świat „wywrotową” muzyką, „wywrotową” sztuką, „wywrotową” literaturą, „wywrotowymi” strojami, a na uniwersytetach pełno jest profesorów rozpowszechniających [...] „wywrotowe” idee. Tyle wywrotowej działalności, a system całkiem nieźle ją toleruje – szydzą Heath i Potter. Autorzy „Buntu...” podważają mit założycielski kontrkultury – że rozwinięty kapitalizm bazuje na

uniformizacji i dlatego narzuca konsumentom ograniczone możliwości wyboru, „urabiając” ich do jednakich postaw. W rzeczywistości „system” żywi się różnorodnością; świetną pożywką staje się dla niego również to, co „buntownikom” wydaje się wymierzone w same jego fundamenty. Heath i Potter piszą złośliwie: *Oto pobieżne zestawienie rzeczy, które w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat uchodziły za nadzwyczaj wywrotowe: palenie papierosów, długie włosy u mężczyzn, krótkie włosy u kobiet, brody, minispódniczki, bikini, heroina, jazz, rock, punk, reggae, rap, tatuaże, włosy pod pachami, graffiti, skutery, kolczyki w różnych częściach ciała, wąskie krawaty, nie-noszenie biustonosza, homoseksualizm, marihuana, podarte ubrania, żel do włosów, irokezy, afro, antykoncepcja, postmodernizm, spodnie w kratkę, ekologiczne uprawy warzyw, buty wojskowe, seks między przedstawicielami różnych ras. Dzisiaj każdą pozycję z tej listy można znaleźć w typowym wideoklipie Britney Spears (może z wyjątkiem włosów pod pachami i ekologicznych warzyw).*

Wedle adeptów kontrkultury, „system” za pomocą sektora reklamowego „programuje” konsumentów, aby nabywali wciąż więcej i więcej jednakowej oferty. Kontrkulturowa teoria konsumpcji mówi, że napędzana jest ona przez dążenie, aby „być jak inni”, przez konformistyczną chęć posiadania tego, co znajduje się w powszechnym użyciu. Jednak faktyczny powód udziału w „zakupowym wyścigu szczurów”, a zarazem przyczyna tego, że rozmaite „buntownicze” postawy i trendy zostały bez trudu wchłonięte przez „system”, są dokładnie odwrotne. Ludzie gros pieniędzy przeznaczają na takie dobra i usługi, które nie dostosowują ich do „tłumu”, lecz z niego wyróżniają. Czy będą to „luksusowe marki”, czy „najświeższe nowości”, czy „tradycyjne receptury”, czy „alternatywne trendy”, czy „wyroby ekologiczne” – większość z nas kupuje je po to, aby manifestować swoją oryginalność, nie zaś utożsamiać się z „szarą masą”. Kiedyś „cykl życia” produktów wyznaczała ich trwałość. Natomiast w epoce „buntu” całkiem dobre przedmioty wyrzuca się tylko dlatego, że przestają być „świeże” i odkrywcze, na ich miejsce kupując „topowe”. Współczesna kultura konsumpcyjna jest swego rodzaju nieustanną „pogonią za cool”, za modą, nowością i odmiennością.

Ma to jednak niewiele wspólnego z przebiegłością „systemu”, z „terrorem” reklamy, z „wszechwładzą” wielkich koncernów. Heath i Potter przywołują Thorsteina Veblena, który już u schyłku XIX w. sformułował teorię, wedle której po zaspokojeniu podstawowych potrzeb społeczeństwo zaczyna pożądać bardziej wyszukanych dóbr. O ile jednak wzrost dostępu do prostych produktów powszechnie wzmacnia zadowolenie z własnej sytuacji (po prostu żyje się lepiej i łatwiej), o tyle konsumowanie dóbr luksusowych ma z natury działanie przeciwne. Stanowi bowiem grę o sumie zerowej – jeśli część z nas bierze udział w nowej modzie i zyskuje prestiż, to adepci mody poprzedniej „wypadają z obiegu” i tracą „blask”; gdy dobro elitarnie staje

się dostępne wielu jednostkom, znika jego symboliczny status, a posiadacze tracą poczucie zadowolenia. Stąd nieustanny, samoreprodukujący się i powszechny wyścig w dziedzinie mód i trendów, stąd też popyt na „oryginalne” i „buntownicze” postawy i style życia, a przy tym brak zadowolenia mimo wciąż rosnącego poziomu życia. Takie są skutki „rywalizacyjnej konsumpcji”, której głównym motorem napędowym nie jest marketing, lecz cechy ludzkiej psychiki.

Jednym z kluczowych mitów, jakie spopularyzowała kontrkultura, jest przekonanie, że ostoję kapitalizmu stanowią „straszni mieszczanie”, czyli konformiści, którzy grzecznie spędzają życie w biurach, jednakowych barach szybkiej obsługi i z rodziną. W tej narracji, „buntownicy” mają zagrażać kapitalizmowi, destabilizować go, poddawać krytyce i „wykolejać”. Jak przekonują autorzy książki, staromodne postawy nie są jednak wcale tym, czego nowoczesny kapitalizm pożąda najbardziej. To raczej „buntownicy” są solą tej ziemi, podporą dzisiejszego porządku gospodarczego. „Dziki” kapitalizm potrzebuje „dzikich” ludzi – i to nie tylko jako konsumentów „oryginalnych” trendów, lecz także jako ich twórców. [...] *stateczna i nieruchawa elita burżuazyjna, której styl życia i obyczaje były wzorowane na starej angielskiej arystokracji, została już dawno przeznaczona do unicestwienia przez siły kapitalizmu. Niespokojny wolny duch, indywidualista i cygan, pod wieloma względami bardziej pasuje do prawdziwego ducha kapitalizmu – gdzie fortuny zbija się i traci w ciągu jednego popołudnia, gdzie jedno kliknięcie myszki uruchamia przepływ kapitału po całym świecie, gdzie handel zmienia miejsce zbyt szybko, żeby ktokolwiek mógł zapuścić korzenie* – piszą Heath i Potter.

Podobnie celnie autorzy „Buntu...” rozprawiają się z innym pewnikiem kontrkulturowych teorii, czyli ubolewaniami nad spadkiem różnorodności. Nawet jeśli dokonuje się koncentracja własności, to przeciętny konsument ma dzisiaj nie mniejsze, lecz znacznie większe możliwości wyboru. Dzieje się tak m.in. wskutek ogromnego rozwoju transportu, przenikania się trendów z różnych części świata, medialnego „zbliżenia” kulturowego, umasowienia niegdyś elitarnych produktów czy powstania nowych, niemiasowych technologii. Możemy narzekać, że sieciowe hipermarkety rugują rodzinne sklepy, a franczyzowe knajpy i punkty usługowe zastępują lokalne podmioty, jednak przeciętny konsument ma dziś w niemal każdej dziedzinie dostęp do znacznie bogatszej oferty niż kilkadziesiąt lat temu.

Heath i Potter przywołują zresztą fakt, że w USA, kraju stanowiącym symbol uniformizacji, inicjatywy sieciowe stanowią 1/3 podmiotów handlowych i usługowych – cała reszta oferuje niepowtarzalne formy konsumpcji dóbr i usług. Wyśmiewają też teorię, wedle której konsumenci „dostają to samo” – na przykładzie rynku budowlanego wykazują, że amerykańskie przedmieścia, często przywoływany przykład standaryzacji, są dziś znacznie bardziej zróżnicowane jeśli chodzi

© robotson, <http://www.flickr.com/photos/robotson/248119598/>



o możliwości wyboru cech domów i ich wyposażenia, niż kilkadziesiąt lat temu, czyli w epoce, w której ponoć panowała większa różnorodność.

Nawet tam, gdzie ma miejsce pewne ujednolicenie, wynika to często nie z „urabiania” konsumentów, lecz z całkiem naturalnych procesów. W społeczeństwie masowym, w którym w ciągu zaledwie stulecia przybyło kilka miliardów osób na nierosnącym terytorium, nie jest możliwa powszechna produkcja „lokalna” i „oryginalna”. Ludzie oczekujący, że restauracja mająca dziesiątki klientów będzie oferowała im potrawy „domowe”, zapominają, ile czasu i wysiłku wymaga przygotowanie faktycznie domowego posiłku dla choćby 4 osób; to samo dotyczy całego sektora produkcji spożywczej. Dzisiejszy rynek konsumencki oferuje zresztą znacznie większą niż kilka dekad temu liczbę produktów „oryginalnych” czy „dopieszczonych”. Owszem, są one droższe niż te standardowe, co jednak jest oczywiste, skoro ich wytwarzanie i sprzedaż wymaga większego zachodu. Pytanie tylko, ilu miłośników różnorodności chciałoby przeznaczać nie 10 czy nawet 30, lecz 80-90% dochodów na niepowtarzalne i „naprawdę swojskie” produkty żywnościowe, kosztem rezygnacji z zakupu wielu innych dóbr. Pewna standaryzacja, a nawet „bylejakość” w wybranych dziedzinach są ceną, którą płacimy za możliwość większego wyboru ogólnego.

W samej konsumpcji nie ma zazwyczaj niczego złego – narzekają na „społeczeństwo (nad)obfitości” głównie ci, którzy tkwią w nim po uszy, nie zaś tacy, których zeń wykluczono lub nigdy nie mieli możliwości w nim uczestniczyć. Natomiast w przypadku szkodliwych rodzajów konsumpcji wyjściem z sytuacji nie jest „bunt kulturowy” i „alternatywne style życia”, lecz swoiste moratorium na „konsumpcyjny wyścig zbrojeń”, wybierające postać regulacji prawnych. Jednak kontrkultura, ze swoją teorią „systemu” skażonego do cna złem, okazuje się nie być zainteresowana reformami i prostymi rozwiązaniami.

Heath i Potter podają dwa znamienne przykłady takich ślepych uliczek. Pierwszy to konsumpcjonizm

wśród młodzieży, szczególnie podatnej na epatowanie modnymi strojami, gadżetami itp. Nie tylko drastycznie napędza to wydatki rodziców, ale i skazuje uboższych uczniów na środowiskowe wykluczenie. Jak wskazują autorzy „Buntu...”, kontrkultura – ze swą obsesyjną wiarą w „system” jako rozsądnik konformizmu i uniformizacji – odrzuca najprostszy na szkolnym gruncie sposób ograniczenia tego „wyścigu zbrojeń” i zwiększenia równości, jakim byłoby... wprowadzenie mundurków. Wedle „buntowników”, byłoby to ukłonem wobec „faszystowskiego porządku”, do którego rzekomo dąży kapitalizm, a poza tym szkoła to instytucja sama w sobie represyjna i zabijająca indywidualność, więc jej reformowanie byłoby zdradą ideałów i uwikłaniem się w zgniłe kompromisy. Drugi przykład dotyczy broni palnej. Heath i Potter przypominają, że związany ze środowiskiem kontrkultury reżyser Michael Moore przedstawił w swoim filmie „Zabawy z bronią” fatalne skutki łatwego dostępu do broni w USA, a mimo to opowiedział się przeciwko zaostrzeniu kontroli tego sektora. Zgodnie bowiem z „radykalnymi” teoriami, nadużywanie broni nie jest problemem, który można rozwiązać regulacjami prawnymi. Świadczy ono o dogłębnym zepsuciu współczesnej kultury i społeczeństwa, zatem nowe przepisy byłyby jedynie półśrodkami, które nie wykończą „systemowego zła” – zatem lepiej nie robić nic...

Krytyce takich aberracji towarzyszy w „Buncie na sprzedaż” ukazanie słabości tego, co kontrkultura uważa za faktyczne alternatywy. Jednym z przykładów jest idea „Dnia bez Kupowania”, mającego zwrócić uwagę na „nadkonsumpcję”. Tymczasem w dzisiejszych realiach to, że my konsumujemy mniej, nie oznacza, iż zmniejsza się skala konsumpcji ogólnej. Pieniądze, których nie wydaliśmy na zakupy, nasz bank pożyczył komuś innemu, kto otrzymał upragniony kredyt konsumpcyjny. Faktyczne zmniejszenie udziału w konsumpcji może się dokonać jedynie poprzez zmniejszenie siły nabywczej. O ile jednak „Dzień bez Kupowania” cieszy się wśród kontrkulturowców dużą popularnością, to chyba niewielu z nich chciałoby się przyłączyć do „Dnia bez Zarobku”, jak celnie drwią autorzy książki.

Zamiast czekać na „upadek systemu” lub wierzyć, że świat zmieni się, gdy mozolnie zgromadzimy wystarczająco dużo konsumentów wybierających produkty „alternatywne”, wiele problemów można rozwiązać już dziś za pomocą przepisów administracyjnych, regulacji podatkowych itp. Heath i Potter pytają, dlaczego te same środowiska, które na szczęście wciąż bronią systemu powszechnych ubezpieczeń społecznych i publicznej służby zdrowia, zarazem wierzą, że problemy z innych dziedzin, np. ochrony środowiska, można rozwiązać jedynie lub głównie poprzez indywidualne „zmiany stylu życia”.

Choć nie piszą tego wprost, wydaje się, że kluczowym problemem „radykalnych” środowisk i ich koncepcji jest przerost indywidualizmu. Dawniej inicjatywy oddolne były formą zbiorowego nacisku na rządy i instytucje,

aby wprowadziły rozwiązania systemowe, korzystne dla szerokich rzesz lub ogółu społeczeństwa, albo stanowiły – jak ruch spółdzielczy – opartą na masach awangardową formę nowego ustroju. Dziś natomiast niewielkie, rozproszone grupy są przekonane, że dzięki indywidualnym wyborom i działaniom ich członków dokona się epokowa zmiana – taka potęga miałaby tkwić w decyzjach i postawach „oświeconych”. W praktyce jednak nic takiego się nie dzieje. Trudno przecież oczekiwać, że konsumpcja produktów tzw. sprawiedliwego handlu czy żywności ekologicznej albo „nielegalne” sadzenie roślinności w miastach (guerilla gardening) staną się kiedykolwiek na tyle masowe, iż wywołają zmianę ogólnospołeczną w skali globu, kraju czy choćby aglomeracji. Dużo więcej dobrego w tych kwestiach zrobiłby skuteczny nacisk na ekologizację przepisów dotyczących ogółu upraw rolnych, wprowadzenie bardziej „przyjaznych” krajom Trzeciego Świata regulacji celnych czy sensowna polityka władz municypalnych, niż hobbystyczno-egoistyczno-modowo-charytatywne „wybory konsumenckie” i także „oddolne działania”. Ale wówczas należałoby nieco utemperować ego „radykałów”, w zamian zaś nauczyć się współpracy z grupami osób, które niekoniecznie są tak samo „aktywne” i „świadome”, jak kontrkulturowi „buntownicy”.

To właśnie etos propagowany przez tych ostatnich podkopuje możliwości zbiorowego działania. Eskalacja kulturowych różnic w imię „samorealizacji”, odrzucenie wszelkich reguł w ramach „wyzwolenia” i walki z hierarchiami (od nich bowiem już ponoć tylko krok do faszyzmu), skutkują niemożnością nawiązania sojuszków. Środowiska, które uważają się za radykalne i poddają „totalnej” krytyce „system”, w praktyce nie robią zatem nic, aby cokolwiek zmienić – w niszowych grupach spędzają miło czas, nazywając egocentryzm „alternatywnym stylem życia”. Czym kontrkulturowcy różnią się w wymiarze społecznym od wędkarzy? Chyba tym jedynie, iż miłośnicy wędkowania nie udają, że ich aktywność cokolwiek zmienia, a tym bardziej – że zagraża jakiemuś „systemowi”. My jednak daliśmy sobie wmówić, że 40-letni facet z kolekcją spławików to z zasady bierny społecznie nudziarz, konformista i przeciętniak, zaś 19-letnie dziewczę z równie pieczołowicie gromadzoną kolekcją muzyki „alternatywnej”, jest zaangażowaną, wrażliwą buntowniczką, zwiastującą „nowe czasy”.

Z konieczności streszczam wielowątkowy i pełen przykładów wywód Heatha i Pottera, chcąc nie chcąc mocno zubażając to, co mają do powiedzenia. Ich książka nie jest pozbawiona wad, z których główną wydaje się zbytne utożsamianie z przyjętą tezą – tak znaczne, że autorzy krytykują kontrkulturę nawet tam, gdzie jej idee noszą znamiona sensu. Przykładem niech będzie niechęć wobec ekspansji reklam, których nie można traktować – wbrew opiniom autorów – jako pojedynczych, nieszkodliwych przekazów, bo w takiej liczbie i natężeniu tworzą one spójny przekaz, rugujący

niekomercyjne wartości i postawy. Na zasadzie reakcji przeciw obsesjom „antysystemowców” nazbyt idealizują też obecny porządek, np. gdy przekonują, że problem dewastacji środowiska rozwiążą mechanizmy rynkowe, opłaty za zanieczyszczanie itp. Być może część tych słabości należy złożyć na karb pochodzenia jej autorów. Kanadyjczycy, czyli mieszkańcy jednego z najbogatszych, a zarazem bardzo „socjalnych” krajów, mogą sobie wyobrażać, że kapitalizm wszędzie jest taki „bezproblemowy”. Te niedoskonałości książki nie zmieniają jednak tego, że jest ona znakomita – nie tylko jako rzetelna i krytyczna analiza ważnego zjawiska, ale również jako quasi-manifest.

Autorzy „Buntu na sprzedaż” krytykują bowiem kontrkulturę przede wszystkim za podkopanie tradycyjnej polityki lewicy. Niezależnie, czy uznamy „(kontr) kulturowy bunt” za rdzeń, czy jedynie za element szerszego procesu, faktem pozostaje, że współczesna lewica i środowiska postępowe wpadły w wiele pułapek opisanych powyżej. Te kilka dekad, podczas których brnęły coraz bardziej w kontrkulturowe szaleństwo, było zarazem okresem demontażu socjalnych funkcji państwa, przeciwko czemu nikt na większą skalę nie protestował. **Jeśli nie chcemy zatem powrotu „dzikiego” kapitalizmu i wojny wszystkich ze wszystkimi, w której przegrają najsłabsi, potrzebujemy odbudowy lewicy.**

Takiej lewicy, która kontrkulturowemu eskapizmowi i elitaryzmowi przeciwstawi odnowienie więzi z masami, odkładając na bok różnice w stylu życia. Takiej, która oprze działania i struktury nie na egoistycznych rojeniach o „antyautorytaryzmie” i „braku hierarchii”,

lecz na zasadach demokratycznych. Takiej, która mrzonki o „obaleniu systemu” zastąpi konkretnymi inicjatywami, mającymi na celu utrzymanie lub poszerzenie zakresu zdobyczy socjalnych, a życie ludzkie bardziej bezpiecznym i stabilnym, a także – nie ma potrzeby wstydzić się tego postulatu – wygodnym. Takiej, która zamiast naiwnych marzeń o masowym odrzuceniu konsumpcjonizmu, położy nacisk na ograniczenie najbardziej szkodliwych postaw i trendów, czy to za pomocą przepisów, czy wysokiego opodatkowania ich. Takiej, która w miejsce roztrząsania problematyki kulturowej, stylów życia i wyborów konsumenckich zajmie się ponownie sferą polityki i reformami instytucji. Takiej wreszcie, która zamiast wolności – przesadnie akcentowanej przez ostatnie dekady oraz świetnie współgrającej z etosem dynamicznego kapitalizmu – w centrum uwagi postawi równość i braterstwo.

Ten, zdawałoby się, bardzo umiarkowany program, jest zarazem radykalny. Oznacza on bowiem ni mniej ni więcej, lecz zawrót o 180 stopni z drogi, którą lewica podążała przez kilka minionych dziesięcioleci.

REMIGIUSZ OKRASKA

Joseph Heath, Andrew Potter, *Bunt na sprzedaż. Dlaczego kultury nie da się zagłuszyć?*, Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA, Warszawa 2010, przełożyła Hanna Jankowska.

Książkę można nabyć w sprzedaży wysyłkowej: MUZA SA, ul. Marszałkowska 8, 00-590 Warszawa, tel. 22 628 63 60, e-mail: info@muza.com.pl, księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

POLECAMY

Czy lewica to PZPR, UB, łagry, Stalin, „dzieła Marksa i Lenina”? • Czy socjalizm to ZSRR, Bierut, Gomułka i Moczar? • Czy „polska droga do socjalizmu” to cukier na kartki, cenzura i strzelanie do robotników?

POZNAJ INNĄ LEWICĘ!
LEWICOWO.pl

Pierwszy i jedyny portal internetowy poświęcony tradycjom i dorobkowi polskiej lewicy demokratycznej, patriotycznej i niekomunistycznej

www.lewicowo.pl

• Abramowski • Daszyński • Limanowski • PPS • spółdzielczość • związki zawodowe • Moraczewski • Mickiewicz • Brzozowski • Thugutt • Sempołowska • Żeromski • Krahelska • Hołówko • Ossowski • Zaremba • Ciołkoszowie • Próchnik • Pragier • Zygielbojm • Barlicki • Perl • Niedziałkowski • Krzywicki... i wiele innych materiałów. Kilka razy w tygodniu nowe teksty, w tym unikatowe, niewznawiane od kilkadziesiąt lat.

Rafał Bakalarczyk (ur. 1986) – absolwent polityki społecznej na Uniwersytecie Warszawskim i socjologii politycznej w Högsolan Dalarna (Szwecja); od 2010 r. doktorant na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Interesuje się szeroko rozumianą polityką społeczną, zwłaszcza problemami opieki, edukacją oraz skandynawskim modelem dobrobytu. Publikował m.in. w „Głosie Nauczycielskim”, „Dziś” i „Przeglądzie”. Współautor książki „Jaka Polska 2030?”, wydanej przez Ośrodek Myśli Społecznej im. Ferdynanda Lassalle’a, z którym stale współpracuje. Zwolennik współdziałania i wymiany doświadczeń między różnymi środowiskami prospołecznymi. Bliski mu jest duch książek Żeromskiego, zwłaszcza postać Szymona Gajowca z „Przedwiośnia”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Aleksander Bikbow

(ur. 1974) – socjolog, wicedyrektor Centrum Filozofii Współczesnej i Nauk Społecznych Uniwersytetu Moskiewskiego, wcześniej związany z kilkoma uczelniami wyższymi oraz Rosyjską Akademią Nauk. Zajmuje się m.in. socjologią nauki oraz nierównościami społecznymi. Członek zespołu czasopisma „Logos” oraz magazynu „Puszhin”, poświęconego książkom z dziedziny nauk politycznych i społecznych, ekonomii i filozofii. Autor bloga na temat przemian systemów edukacyjnych, nie tylko w Rosji (a.bikbov.ru), jeden z animatorów rosyjskojęzycznej platformy blogerskiej dla ruchów obywatelskich (dvizh.org), organizator debat na ważne tematy społeczne, jak reformy edukacji. Tłumacz na rosyjski m.in. dzieł Pierre’a Bourdieua oraz Michela Foucaulta.

Jadwiga Bogdanowicz

(ur. 1965) – przez wiele lat dziennikarka newsowa w codziennej prasie trójmiejskiej („Dziennik Bałtycki”, „Głos Wybrzeża”), zajmowała się tam również tematami gospodarczymi (stocznie), społecznymi i publicystyką; następnie zajęła się tematami finansowymi – pisząc do „Gazety Bankowej”. Obecny zawód to skutek poszukiwania swojego miejsca w życiu (wcześniej pracowała m.in. jako fotograf czy dekorator). Uważa, że doświadczenie zdobyte pracą w wielu zawodach pozwala jej patrzeć na życie z różnych stron. Nałogowo czyta, słucha i ogląda wiadomości – w mediach różnych opcji, żeby dojrzeć sedno problemu. Z wyboru zrezygnowała z samochodu na rzecz komunikacji miejskiej.

Klaudia Maria Budek

(ur. 1989) – studentka Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych oraz Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego. Uczestniczka rocznej wymiany studenckiej na Uniwersytecie Bazylejskim w Szwajcarii. Badaczka rzeczywistości społecznej, zafascynowana wpływem otoczenia na życie jednostki. W zakresie polityki społecznej interesuje się szczególnie rozwojem kapitału ludzkiego i migracjami. Na co dzień optymistka o szerokim spektrum zainteresowań, poszukująca drugiego dna.

Gary Dorrien

(ur. 1952) – amerykański kapłan anglikański, profesor etyki społecznej i religioznawstwa, działacz organizacji walczących o sprawiedliwość społeczną. Autor kilkunastu cenionych książek i ok. 250 artykułów z dziedziny etyki, socjologii, teologii, filozofii politycznej i historii. W swoim dorobku ma m.in. „Reconstructing the

Common Good: Theology and the Social Order” (1990), „Soul in Society: The Making and Renewal of Social Christianity” (1995), fundamentalne, trzytomowe „The Making of American Liberal Theology” (2001, 2003, 2006), „Imperial Designs: Neoconservatism and the New Pax Americana” (2004), „Social Ethics in the Making: Interpreting an American Tradition” (2008) oraz „Economy, Difference, Empire: Social Ethics for Social Justice” (2010). Były prezes Amerykańskiego Towarzystwa Teologicznego. W młodości uprawiał wiele dyscyplin sportu. Ma córkę, która jest teologiem.

Leszek Gilejko

(ur. 1932) – socjolog, profesor doktor habilitowany, pracownik naukowy Katedry Socjologii Ekonomicznej Szkoły Głównej Handlowej w Warszawie oraz dziekan Wydziału Socjologii Akademii Humanistycznej im. Aleksandra Gieysztora w Pułtusku, członek Komitetu Nauk o Pracy i Polityce Społecznej PAN. Od wielu lat zajmuje się socjologią przemysłu i struktur społecznych, ruchami społecznymi (w tym ruchem robotniczym), związkami zawodowymi, kwestiami samorządu pracowniczego i akcjonariatu pracowniczego oraz społecznymi skutkami transformacji ustrojowej. Jest autorem licznych książek i artykułów naukowych na te tematy oraz redaktorem wielu prac zbiorowych. W PZPR był przedstawicielem frakcji reformatorskiej; po Październiku ‘56 r. włączył się w działania na rzecz tworzenia samorządu pracowniczego, brał udział w opracowywaniu ustawy o samorządzie załogi przedsiębiorstwa (uchwalonej we wrześniu 1981 r.), uczestniczył w obradach Okrągłego Stołu z ramienia strony rządowej. Po roku 1989 był członkiem-założycielem Solidarności Pracy, następnie

pełnił funkcje doradcze w Unii Pracy. Przewodniczący Naukowej Rady Programowej Centrum Partnerstwa Społecznego „Dialog” przy Ministerstwie Pracy i Polityki Społecznej. Członek Rady Honorowej „Nowego Obywatela”.

Bartłomiej Grubich

(ur. 1985) - absolwent socjologii i filozofii (UAM). Obecnie mieszka w Poznaniu, choć wciąż przede wszystkim jest z Bydgoszczy. Uważa, że traci dużo czasu na rzeczy mniej istotne, że za dużo myśli i za mało działa, ale usilnie szuka dobrych proporcji pomiędzy tymi sprawami. Aktualnie stara się empirycznie na własnym przykładzie sprawdzić, czy po studiach czeka tylko szara rzeczywistość. Kontakt: bgrubich@interia.pl. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Tomasz Jarmużek

(ur. 1974) - doktor filozofii. Czyta „Obywatela” od pierwszego numeru, bez pominięcia nawet jednego wydania. Ma konto w SKOK-u od 10 lat. Od dawna popiera idee ochrony dzikiej przyrody, nie łapie się jednak na tanie sztuczki „gabinetowych postępowców” z mainstreamu, którzy żyją ze szkodenia interesom społecznym. Z wiekiem stał się bardziej konserwatywny, ale bez przesady. Tradycja, historia i wspólnota to dla niego więcej niż sentyment.

Edward Karolczuk - doktor nauk humanistycznych, interesuje się problemami teorii polityki, historii najnowszej oraz społeczno-politycznymi skutkami transformacji ustrojowej. Publikował na łamach „Dziś” i „Przeglądu”, posiada publikacje naukowe w wydawnictwach krajowych i zagranicznych, autor

książki „O wrogu. Szkice filozoficzno-historyczne” (2010). Interesuje się żeglarsstwem, latem można spotkać go na Mazurach.

Tadeusz Kowalik (ur. 1926) - profesor ekonomii i nauk humanistycznych, zajmuje się głównie analizą porównawczą systemów ekonomicznych; związany z Instytutem Nauk Ekonomicznych PAN oraz Wyższą Szkołą Społeczno-Ekonomiczną w Warszawie. W latach 1948-1968 był członkiem Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, w latach 1956-1957 redaktor naczelny „Życia Gospodarczego”. Wykładał na uniwersytetach w Toronto, Nowym Jorku i Oksfordzie. W latach 1956-1962 uczestnik Klubu Krzywego Koła. W latach 70. sygnatariusz kilku apeli do władz w obronie represjonowanych działaczy opozycyjnych. W sierpniu 1980 r. był doradcą Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Stoczni Gdańskiej, a następnie doradcą Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność”. W latach 1989-1992 współtwórca Solidarności Pracy, w roku 1992 współzałożyciel Unii Pracy i członek Rady Programowej tej partii. W roku 1998 współtwórca Stowarzyszenia Studiów i Inicjatyw Społecznych. Zwolennik socjaldemokratycznego modelu gospodarczego. Autor i współautor wielu książek, m.in. „Nierówni i równiejsi” (2002), „Systemy gospodarcze, efekty i defekty reform i zmian ustrojowych” (2005), „www.Polska Transformacja.pl” (2009), „Stanisław Gomułka i transformacja polska, dokumenty i analizy, 1968-1989” (2010).

Natalia Królikowska

(ur. 1985) - wojująca aktywistka społeczna, łódzianka. Z wykształcenia polonistka i kulturoznawczyni, z wyboru weganka,

a z przekory głęboko wierząca chrześcijanka. Miłośniczka Dostojewskiego, Szostakowicza i Bierdiajewa oraz Amona Tobina, Bonobo i DJ-a Krusha. Publikuje na łamach „Arterii” i „Tygla Kultury”.

Rafał Łętocha

(ur. 1973) - politolog i religioznawca. Doktor habilitowany nauk humanistycznych, zastępca Dyrektora w Instytucie Religioznawstwa Uniwersytetu Jagiellońskiego, profesor w Instytucie Politologii Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Oświęcimiu. Autor książek „Katolicyzm a idea narodowa. Miejsce religii w myśli obozu narodowego lat okupacji” (Lublin 2002), „Oportet vos nasci denuo. Myśl społeczno-polityczna Jerzego Brauna” (Kraków 2006) i „O dobro wspólne. Szkice z katolicyzmu społecznego” (2010). Publikował m.in. we „Frondzie”, „Glaukopisie”, „Nomosie”, „Nowej Myśli Polskiej”, „Państwie i Społeczeństwie”, „Pro Fide Rege et Lege”, „Studiach Judaica”, „Templum Novum”. Od urodzenia mieszka w Myślenicach i bardzo jest z tego zadowolony. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Konrad Malec

(ur. 1978) - przyrodnik, z zainteresowaniem i sympatią spogląda na tzw. hipotezę Gai, autorstwa Jamesa Lovelocka. Lubi przemieszczać się przy użyciu własnych sił, stąd rower i narty biegowe są mu nieocenionymi przyjaciółmi. Miłośnik tego, co lokalne i nieuchwytnie, czego nie da się w prosty sposób przenieść w inne miejsce. Każdą wolną chwilę spędza na łonie Natury. Dumny ojciec Olafa. Członek redakcji „Nowego Obywatela”.

Remigiusz Okraska

(ur. 1976) – współzałożyciel i redaktor naczelny „Nowego Obywatela”, twórca koncepcji i redaktor portalu www.lewicowo.pl, w latach 2001–2005 redaktor naczelny ekologicznego miesięcznika „Dziki Życie”, socjolog, autor kilkuset tekstów prasowych, redaktor kilkunastu książek. Od 17. roku życia związany z działalnością społeczną.

Janina Petelczyc (ur. 1985) – absolwentka polityki społecznej na Uniwersytecie Warszawskim, od 2010 r. doktorantka na Wydziale Dziennikarstwa i Nauk Politycznych UW. Zawodowo interesuje się zabezpieczeniem społecznym, polityką rodzinną i międzynarodową porównawczą polityką społeczną. Pozazawodowo pochłania ją astronomia. Warszawianka od urodzenia, ciągle znajduje w tym mieście coś nowego i prowadzi o nim bloga (mojawarszawa.blox.pl). Lubi rower, podróże i marlarstwo holenderskie.

Krzysztof Posłajko – doktor filozofii Uniwersytetu Jagiellońskiego, zajmuje się filozofią języka i metafizyką. W wolnych chwilach publicysta, członek inicjatywy blogerskiej „Nowe Peryferie” (lubczasopismo.salon24.pl/noweperyferie).

Michał Sobczyk (ur. 1981) – absolwent ochrony środowiska. Z „Obywatel” współpracuje praktycznie od początku edycji pisma. Niepoprawny optymistą, radykalny reformista, patriota lokalny (od urodzenia mieszka na Bałutach) i gospodarczy. Kibic Łódzkiego Klubu Sportowego.

Joanna Szalacha (ur. 1979) – socjolog, absolwentka stosunków międzynarodowych, adiunkt w Wyższej Szkole Bankowej w Toruniu, badacz w zespole prof. Andrzeja Zybertowicza, autorka tekstów analizujących zakulisowe i podmiotowe wymiary globalizacji, m.in. rozprawy doktorskiej „Podmiotowe aspekty globalizacji. Poza-państwowi aktorzy

i globalna władza strukturalna”; nadal stara się wypracować intelektualnie swoje „gładwellowskie 10 tys. godzin”. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Krzysztof Wołodźko

(ur. 1977) – wychował się w Szóldrach, pegeerowskiej wsi w Wielkopolsce, mieszka wraz z Żoną w Krakowie. Współpracownik platformy hostingowej www.salon24.pl i bloger (consolamentum.salon24.pl), czasem tłumacz, czasem dziennikarz; lubi pisać i mówić o Nowej Hucie. Kontakt: k.wołodzko@iphils.uj.edu.pl. Stały współpracownik „Nowego Obywatela”.

Jerzy Żyżyński (ur. 1949) – specjalista w dziedzinie zarządzania i ekonomii, statystyki, komentator ekonomiczny. Zajmuje się m.in. ekonomią sektora publicznego, polityką fiskalną i polityką pieniężną oraz ich wzajemnymi relacjami. Doktor habilitowany, kierownik Zakładu Gospodarki Publicznej Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego, profesor tej uczelni. W latach 1993–1996 ekspert ekonomiczny w Zespole Budżetu i Finansów Biura Studiów i Ekspertyz przy Kancelarii Sejmu RP. W latach 1998–2004 członek Rady Społeczno-Gospodarczej przy Rządowym Centrum Studiów Strategicznych. Był ekspertem sejmowych komisji śledczych ds. prywatyzacji PZU oraz ds. prywatyzacji sektora bankowego. Autor m.in. „Pieniądz a transformacja gospodarki” (1998), „Wstęp do problematyki uwarunkowań i funkcji polityki pieniężnej i fiskalnej” (2002), „Podstawy metod statystycznych w zarządzaniu” (2004, 2007), „Budżet i polityka podatkowa” (2009).



CZYTELNIKU, ZAPRENUMERUJ NOWEGO OBYWATELA

1. zapłacisz aż 10 zł taniej za kolejne cztery numery - prenumerata roczna to koszt 50 zł, zaś cena 4 numerów pisma wynosi 60 zł
2. wesprzesz finansowo nasze inicjatywy (pośrednicy pobierają nawet do 50% ceny pisma!)
3. masz szansę na ciekawe i cenne nagrody
4. często dostaniesz drobny upominek dołączony do numeru
5. prenumerata to wygoda - „Nowy Obywatel” w Twojej skrzynce pocztowej
6. zamawiając prenumeratę, dostaniesz gratis numer archiwalny (do wyboru nr 45-51)

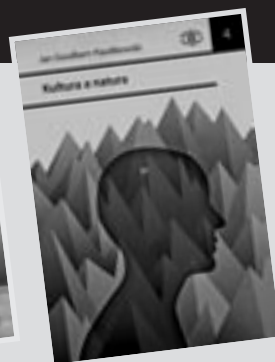
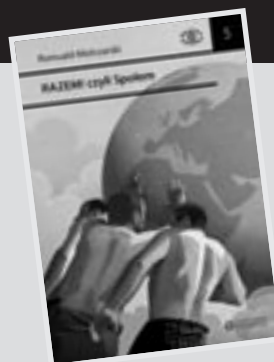
TYLKO
50 zł
ROCZNIE

Opłacić roczną prenumeratę w banku lub na pocztę i czekać, aż „Nowy Obywatel” sam do Ciebie przywędruje :-)
Możesz też skorzystać z naszego sklepu wysyłkowego, dostępnego na stronie www.obywatel.org.pl/sklep

Wpłaty w wysokości 50 zł należy dokonywać na rachunek:
Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta: 78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Prenumeratę można rozpocząć od dowolnego numeru.

UPOMINKI OTRZYMUJĄ



Książkę Romualda Mielczarskiego „RAZEM! czyli Społem”:

- **Wojciech Dudziński** - Warszawa
- **Joanna Jaglińska** - Czerniaków Opatowski

Książkę Jana Gwalberta Pawlikowskiego „Kultura a natura”:

- **Mariusz Krauze** - Gutów Duży
- **Adam Kaliszewski** - Warszawa
- **Andrzej Tomczyk** - Gdynia

PRENUMERATA NAPRAWDĘ SIĘ OPŁACA

NOWY OBYWATEL

Celem, do którego dążymy, jest państwo, społeczeństwo i kultura zorganizowane wokół idei dobra wspólnego. Przyświecają nam następujące wartości:

Samorządność, czyli faktyczny udział obywateli w procesach decyzyjnych we wszelkich możliwych sferach życia publicznego.

(Re)animacja społeczeństwa. Sprzeciwiając się zarówno omnipotentnemu państwu, jak i liberalnemu egoizmowi, dążymy do odtworzenia tkanki inicjatyw społecznych, kulturalnych, religijnych itp., dzięki którym zamiast biernych konsumentów zyskamy aktywnych obywateli.

„Demokracja przemysłowa”. Dążymy do zwiększenia wpływu obywateli na gospodarkę, poprzez np. akcjonariat pracowniczy, ruch związkowy, rady pracowników. 1/3 życia spędzamy w pracy – to zbyt wiele, aby nie mieć na nią wpływu.

Sprawiedliwe prawo i praktyka jego egzekwowania, aby służyło społeczeństwu, nie zaś interesom najsilniejszych grup.

Media obywatelskie, czyli takie, które w wyborze tematów i sposobów ich prezentowania kierują się interesem społecznym zamiast oczekiwaniami swoich sponsorów.

Wolna kultura. Chcemy takiej ochrony własności intelektualnej, która nie będzie ograniczała dostępu do kultury i dorobku ludzkości.

Rozwój autentyczny, nie pozorny. Kultowi wskaźników ekonomicznych i wzrostu konsumpcji, przeciwstawiamy dążenie do podniesienia jakości życia, na którą składa się m.in. sprawna publiczna służba zdrowia, powszechna edukacja na dobrym poziomie, wartościowa żywność i czyste powietrze.

Ochrona dzikiej przyrody, która obecnie jest niszczone i lekceważona w imię indywidualnych zysków i prymitywnie pojmowanego postępu. Jeśli mamy do wyboru nową autostradę i nowy park narodowy – wybieramy park.

Solidarne społeczeństwo. Egoizmowi i uznaniowej filantropii przeciwstawiamy społeczeństwo gotowe do wyrzeczeń w imię systemowej pomocy słabszym i wykluczonym oraz stwarzania im realnych możliwości poprawy własnego losu.

Sprawiedliwe państwo, czyli takie, w którym zróżnicowanie majątkowe obywateli jest możliwie najmniejsze (m.in. dzięki prospołecznej polityce podatkowej) i wynika z różnicy talentów i pracowitości, skromne dochody nie stanowią bariery w dostępie do edukacji, pomocy prawnej czy opieki zdrowotnej.

Gospodarka trójsektorowa. Mechanizmom rynkowym i własności prywatnej powinna towarzyszyć kontrola państwa nad strategicznymi sektorami gospodarki, sprawna własność publiczna (ogólnokrajowa i komunalna) oraz prężny sektor spółdzielczy. Nie zawsze prywatne jest najlepsze z punktu widzenia kondycji społeczeństwa.

Gospodarka dla człowieka – nie odwrotnie. Zamiast pochwał „globalnego wolnego handlu”, postulujemy dbałość o regionalne i lokalne systemy ekonomiczne oraz domagamy się, by państwo chroniło interesy swoich obywateli, nie zaś ponadnarodowych korporacji i „zagranicznych inwestorów”.

Przeszłość i różnorodność dla przyszłości. Odrzucamy jałowy konserwatyzm i sentymenty za „starymi dobrymi czasami”, ale wierzymy w mądrość gromadzoną przez pokolenia. Każdy kraj ma swoją specyfikę – mówimy „tak” dla wymiany kulturowej, lecz „nie” dla ślepego naśladownictwa.

- niepoprawna politycznie publicystyka
- alternatywna ekonomia
- tradycje myśli społecznej
- radykalna ekologia



Gwiazdozbiór w „Solidarności”

Joanna i Andrzej Gwiazdowie w rozmowie z Remigiuszem Okraską

Obszerny zapis rozmów z legendami opozycji antykomunistycznej, wzbogacony o wybór unikalnych materiałów dotyczących ich życia. Wśród tematów PRL, Wolne Związki Zawodowe, „Solidarność”, stan wojenny, „okrągły stół” i III RP. W barwnych, pełnych anegdot opowieściach sporo jest opinii zwanych kontrowersyjnymi, i to dla wielu uczestników życia publicznego, nie tylko tych, z których krytyką Gwiazdowie są kojarzeni.

Do książki dołączono płytę DVD z filmem o niezależnych obchodach 25. rocznicy powstania „Solidarności”, współorganizowane m.in. przez J. i A. Gwiazdów oraz „Obywatela”.

512 stron plus 32 strony wkładki zdjęciowej oraz płyta DVD

Cena 44 zł – u wydawcy • 49 zł – w księgarniach



„Braterstwo, solidarność, współdziałanie” – Edward Abramowski

Po raz pierwszy w historii w osobnym tomie zebrane wszystkie artykuły Abramowskiego poświęcone kooperatyzmowi, współpracy, stowarzyszeniom, oddolnym inicjatywom społecznym, w tym kilka niepublikowanych od roku 1938! Legendarny polski myśliciel przypomniany po latach. Jako bonus unikatowy artykuł Jana Wolskiego „Z przemówień Edwarda Abramowskiego” oraz obszerne posłowie Remigiusza Okraski.

280 stron

Cena 24 zł – u wydawcy • 29 zł – w księgarniach



„Świat według Monsanto” – Marie-Monique Robin

Zapis szokującego śledztwa dziennikarskiego na temat działalności wielkiego koncernu biotechnologicznego. Autorka opierając się na bogatej dokumentacji (relacje świadków, „odzyskane” ściśle tajne pisma itp.) przedstawia agresywne praktyki korporacji będącej największym producentem roślin modyfikowanych genetycznie (GMO). Do publikacji dołączona jest płyta DVD zawierająca cztery filmy poświęcone zagrożeniom związanym z GMO.

480 stron + płyta DVD

Cena 34 zł – u wydawcy • 39 zł – w księgarniach



„Kultura a natura” – Jan Gwalbert Pawlikowski

Pierwsze w historii wznowienie całości unikatowego tekstu pierwotnej edycji książki „Kultura a natura” z roku 1913 – pionierskiego w Polsce manifestu ochrony przyrody. Oprócz niego książka zawiera dwa inne ważne teksty tego autora – „Tatry parkiem narodowym” (1923) i „W obronie idei parku narodowego” (1936), a także obszerną przedmowę Remigiusza Okraski. Poznaj tradycje polskiej myśli ekologicznej!

150 stron

Cena 17 zł – u wydawcy • 19 zł – w księgarniach



„RAZEM! czyli Społem” – Romuald Mielczarski

Wybór najważniejszych tekstów współtwórcy i wieloletniego lidera nowoczesnej spółdzielczości spożywców w Polsce, poświęconych jej zasadom, wizjom i celom. Zawarte w nim artykuły nie były wznawiane od roku 1936! Towarzyszy im jedna z najbardziej szczegółowych prezentacji biografii autora, jakie kiedykolwiek opublikowano, pióra Remigiusza Okraski.

164 strony

Cena 18 zł – u wydawcy • 20 zł – w księgarniach

Zamawiając dwie książki zapłacisz o 2 zł mniej za każdą z nich, przy zakupie trzech – o 3 zł taniej za każdy egzemplarz, jeśli weźmiesz wszystkie – otrzymasz rabat w wysokości 4 zł od ceny każdej pozycji. Do każdej wysyłki dołączamy drobny podarek od redakcji „Nowego Obywatela”.



Wpłaty przyjmujemy na konto:
Stowarzyszenie „Obywatela Obywatelom”
Bank Spółdzielczy Rzemiosła
ul. Moniuszki 6, 90-111 Łódź
Numer konta:
78 8784 0003 2001 0000 1544 0001

Zamówienia w Internecie:
www.obywatel.org.pl/sklep

Kontakt: Łukasz Walczuk
tel.: 42 630 22 18
e-mail: walczuk@obywatel.org.pl

koperatywa.org

niezła agencja kreatywna



Kooperatywa.org to spółdzielnia dobrego dizajnu, forpocztą skrzydlatych idei.

Specjalizujemy się w obsłudze marketingowej i poligraficznej organizacji pozarządowych i biznesu odpowiedzialnego społecznie. Mamy mózgi i doświadczenie pracowników agencji reklamowych i serca społeczników. To rzadkie połączenie.

Tworzymy identyfikacje wizualne projektów, plakaty, ulotki, estetyczne i proste w obsłudze serwisy internetowe, gry edukacyjne, filmy animowane...

Opracowujemy kompleksowe strategie marketingowe, składamy książki (te poważne i te szalone) i inne publikacje.



Czyńmy dobro. Razem.

Jesteśmy częścią Organizacji Pożytku Publicznego.
Cały nasz dochód zasila działalność statutową Stowarzyszenia „Obywatele Obywatelom”.